



DC
DIGITAL

SUSAN LEWIS

DOPÓKI
GIA MUZYKA

Lewis Susan

Dopóki gra muzyka

Elizabeth Sorill, pielęgniarka, nawiązuje romans z uczniem jednej z najbardziej ekskluzywnych szkół w Anglii. Kiedy ich związek wychodzi na

światło dzienne, wybucha skandal, który rozdziela kochanków. Ona wychodzi za mąż za starszego od siebie milionera, on żeni się ze znaną malarką. Po latach spotykają się w tragicznych dla Elizabeth okolicznościach.

Aleksander - wzięty adwokat - ma szansę pomóc byłej ukochanej.

Elżbieta

Rozdział 1

Uczeń!?! Chcesz powiedzieć, że zakochałaś się w uczniu?

- Żałowałam, że w ogóle powiedziałam cokolwiek na ten temat, Janice przyglądała mi się z niedowierzaniem.

- Nie powiedziałam, że jestem zakochana, powiedziałam tylko...

- Tak, wiem, co powiedziałaś. Ze nie możesz przestać o nim myśleć. I te twoje miny, doprawdy nie mogę uwierzyć, że byłam taka niedomyślna. Ale uczeń, Elżbieto, czy ty wiesz, co robisz? Czy zdajesz sobie sprawę, co to znaczy?

- Nię takiego nie robię, a to znaczy, że ty jak zwykle przesadzasz.

- Zbyt długo już siedzisz w tej szkole i pokręciło ci się w głowie. O, Boże! Mogłabym jeszcze zrozumieć, gdyby to był któryś z nauczycieli, ale chłopiec?

- Gdybyś go zobaczyła, nie nazwałabyś go chłopcem?

- No dobrze, to ile on ma lat? Piętnaście, szesnaście.

- Prawie siedemnaście.

- A ty masz dwadzieścia jeden. I mamy rok 1964, a ty jesteś chyba jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie widziałam w życiu. Musisz wydostać się z tego miejsca, Elżbieto, i to prędko. Młodsza siostra przełożona w prywatnej szkole męskiej, pytam cię! Po pierwsze, nigdy nie rozumiałam, dlaczego w ogóle tam pojechałaś? A więc co takiego zaszło między wami? Chyba nie?...

- Oczywiście, że nie. Tańczyliśmy ze sobą na zabawie kończącej semestr,

i to wszystko.

- Tańczyliście! Z trudem mogę wydobyć z ciebie cokolwiek tylko dlatego, że tańczyłaś z uczniem?

Coś jest naprawdę z tobą nie w porządku, Elżbieto Sorrill. Muszę ci znaleźć faceta, i to prędko.

Janice lubiła swoje powiedzenie „i to prędko”, ale w tym momencie działało mi ono na nerwy.

Przyjechałam, żeby spędzić z nią letnie wakacje w mieszkaniu w Putney, które dzieliłyśmy jeszcze będąc pielęgniarkami w klinice Medford. Byłam tam zaledwie kilka miesięcy, kiedy przyszło ogłoszenie o wolnym miejscu dla młodszej siostry przełożonej w Męskiej Szkole w Foxton, na zachodzie kraju. Skłamałam, jeśli chodzi

o mój wiek, wzięłam referencje od pani Carey w Medford i odjechałam. Właściwie nie wiem, dlaczego to zrobiłam, wydawało się to wyzwaniem, a poza tym w Londynie nigdy nie czułam się u siebie. To było sześć miesięcy temu.

- Zakładam, że chcesz znaleźć sobie mężczyznę? - powie-

działa Janice, gdy zdała sobie sprawę, że nie zamierzam nic więcej powiedzieć.

- Nie musisz tego mówić w taki sposób, a tak naprawdę to nie chcę.

- Elżbieto, zastanów się! Ten związek do niczego nie doprowadzi, a może ściągnąć na ciebie same kłopoty.

- Przestań mi prawić morały. Tańczyłam z nim, to wszystko, a poza tym go lubię. On jest...

- Daruj sobie. Pewnie mi powiesz, że jest wysoki, śniady, przystojny, a do tego ma czarujący uśmiech.

- Rzeczywiście jest wysoki, śniady i przystojny. A jeśli chodzi o uśmiech, to ma jeden przekrzywiony ząb, lecz nie to chciałam powiedzieć. Dzięki niemu poczułam, iż należę do tej szkoły - co nie jest łatwe w takim miejscu. Jest mi tam teraz bardzo fajnie i przyjemnie, o wiele bardziej zabawnie niż kiedykolwiek w pubach na King's Road. Jestem szczęśliwa, Janice. Czuję, że mam tam swoje miejsce - a wszystko to dzięki niemu.

- Dzięki niemu? - Spojrzała na mnie, a ja czułam, że zaraz wypowie to swoje ulubione „i to prędko”. -

Czy nie zdajesz sobie sprawy, jakie wrażenie robisz na ludziach, Elżbieto? Nie, chyba nie, nigdy nie zdawałaś sobie z tego sprawy. Spójrz na

siebie! Masz to wszystko, o czym każda z nas może tylko marzyć: zmysłowa, długonoga, czarująca, wystarczy, że się poruszysz, a już z mężczyzną coś się dzieje. Jezu, jest w tobie coś takiego...

- Janice...

- Jest w tobie coś, co powoduje, że człowiek czuje się, jakby był najważniejszą osobą na świecie. Jak się nazywała ta piosenka, *Od waleta po króla*? Nawet to cholerne słońce wychodzi, kiedy ty się śmiejesz. I to nie tylko na mężczyznach, ale i na kobietach robisz takie wrażenie, więc jeden Bóg raczej wie, co czują te biedne młode chłopaki, odcięte od świata w tej szkole. Spróbuj spojrzeć na siebie ich oczami. Pewnego dnia po prostu pojawiaasz się w ich życiu; mówisz inaczej niż oni, zachowujesz się inaczej, nikt o tobie nic nie wie. Jesteś tajemnicą...

- Przestań opowiadać bzdury. Jestem zwykłą osobą, Janice, taką jak każdy inny. Nie mówię o swojej przeszłości, bo jest zbyt bolesna, ale ty wiesz, co się stało, jak zabito moich rodziców. Potem przyjechałam do Londynu i uczyłam się -razem z tobą - żeby zostać pielęgniarką, więc dlaczego nie przestaniesz opowiadać bzdur o jakiejś tajemnicy?

- Ty naprawdę nie wiesz, o czym mówię? - westchnęła. Wystarczy, że powiesz coś tym swoim głębokim, melodyjnym głosem, a już każdy zatrzymuje się, by cię słuchać. Założę się, że jest w tobie zadurzony. Założę się, że oni wszyscy są. Ale ja zamierzam cię stamtąd wyciągnąć, i to prędko.

Najwyższa pora, żebyś wróciła do normalnego świata. A jak on się właściwie nazywa?

- Aleksander. Aleksander Belmayne.

Zdziwiła się tak bardzo, że jej oczy stały się ogromne jak spodki.

- Aleksander Belmayne! To ten, o którym mi pisałaś? Ten, którego nie mogłaś znieść, przez którego twoje życie było okropne? - Zakryła twarz dłońmi. - Boże, zdaje się, że wpadłaś w większe tarapaty, niż myślałam.

- Zawsze wszystko dramatyzujesz, Janice. No dobrze, na początku go nie lubiłam, bo go nie znałam.

To wszystko.

- To wszystko?! O mało nie wyjechałaś przez niego stamtąd w Wielkanoc, nie pamiętasz?

- Żałuję, że ci w ogóle o tym powiedziałam. I zamierzam wrócić do Foxton na początku przyszłego semestru, możesz więc zapomnieć o szukaniu mi innego mężczyzny, innej pracy czy czegokolwiek innego.

- A więc mogę ci tylko powiedzieć, żebyś nie przychodziła do mnie z

płaczem, gdy z tobą zerwie, jak mu przejdzie szkolna

miłość. Tyle że on pewnie nie zerwie. Mężczyźni nigdy nie zrywają z kobietami takimi jak ty. Tylko osoby takie jak ja muszą umieć się pozbierać po zerwaniu.

Wybiegła z pokoju, ale wiedziałam, że wróci. Kłóciłyśmy się już wcześniej i zazwyczaj jedna z nas wypadała z wrzaskiem z pokoju. Dawało to czas na zastanowienie się, kto miał rację, a kto nie.

Ale oczywiście tym razem Janice miała rację. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak wyglądam, jaka jestem. I gdybym wtedy opuściła szkołę, tak jak mi sugerowała, gdybym wtedy wyjechała, kto może zgadnąć, ilu cierpień bym uniknęła? Jednak wtedy najważniejsze było dla mnie Foxton. Szkoła, do której uczęszczało około dwustu chłopców, była dla mnie całym światem. Nie mogłam przewidzieć, co zrobię Aleksandrowi, czy też jak on postąpi wobec mnie. Oczywiście byli tam też inni, na przykład pani Angrid, siostra przełożona, na której bardzo mi zależało. Ale to głównie dzięki Aleksandrowi czułam...

Ale zaczynam wyprzedzać fakty. Wszystko potoczyło się tak szybko i tak wiele się wydarzyło, że czasami muszę się dokładnie zastanowić, zanim przypomnę sobie, jak to się wszystko zaczęło. Zaraz potem się śmieję, ponieważ byłoby szaleństwem choć przez chwilę pomyśleć, że naprawdę mogłabym zapomnieć.

Rozdział 2

Pewnego zimnego wiosennego dnia, tuż po obiedzie, pani Angrid, siostra przełożona, wzięła do ręki swój mocno sfatygowany tomik poezji Shelleya i odwróciła krzesło w stronę kominka.

- No, to przynajmniej mamy spokój na następne sześć miesięcy - powiedziała, mając na myśli badania lekarskie, które trwały przez ostatnie dwa i pół dnia. - Dlaczego nie zrobisz sobie wolnego popołudnia? Idź i pozwiedzaj okolicę! Nie ma sensu, żebyś tu siedziała, chyba że chcesz posłuchać wierszy. Spojrzała na mnie badawczo spod swoich krzaczastych brwi,

zdając sobie doskonale sprawę, że wolałabym zrobić cokolwiek innego, niż wysłuchiwać recytacji poematu *Prometeusz uwolniony*. Zaśmiała się, gdy ściągnęłam z głowy wykrochmalony czepek i rozpuściłam włosy.

- Piękna - powiedziała. - Zbyt piękna. Zastanawiam się, czy dobrze

zrobiłam, przyjmując cię tutaj do pracy. Choć teraz nie potrafię sobie wyobrazić, że mogłoby cię tu nie być, nawet jeśli uciekasz na samo wspomnienie Shelleya.

Właśnie zbierałam się do wyjścia, kiedy Christopher Bedling, chudy, pryszczaty mały chłopiec z drugiej klasy, zapukał i wszedł.

- Zostawiłem sweter, proszę pani - powiedział. Spoglądając na mnie, zarumienił się i zaczął chichotać, a wraz z nim grupka chłopców, którzy zebrali się na zewnątrz przy pomazanej tablicy.

- Drzwi obok, w gabinecie panny Sorrill - odpowiedziała pani Angrid i spojrzała na mnie. - Nie wiesz, co oni knują? -zapytała zamknąwszy za nim drzwi.

- Nie mam pojęcia. - Było jednak pewne, że coś knują. Coś w rodzaju inicjacji, jak to nazwała pani Angrid, ostrzegając mnie, że chłopcy na pewno wykorzystają okazję, wiedząc że mam po raz pierwszy nocny dyżur.

- Nieznośne bestie! - powiedziała i wróciła do swojej książki. Minęły już dwa miesiące od mojego przyjazdu do szkoły

i całkiem dobrze się zadomowiłam, chociaż czasami nadal czułam się onieśmielona. Musiałam się uszczypnąć, żeby się upewnić, czy to nie sen. Całe to miejsce było o wiele większe, niż mogłabym sobie wyobrazić, z nie kończącą się - wypisaną ręcznie złotymi literami - listą odznaczonych uczniów najstarszych klas oraz portretami przodujących absolwentów Foxton. Korytarze były ciemne, przejmująco wilgotne, pachniały woskiem i gotowaną kapustą. Chłopcy byli takim przeciwieństwem tego ponurego otoczenia, że czasami byłam zdziwiona, kiedy słyszałam ich tupot, okrzyki i śmiech. A sposób, w jaki każdy tutaj mówił, sprawiał, że

marzyłam, by pozbyć się swego miękkiego akcentu, na pół londyńskiego, na pół zachodniego, i stać się jedną z nich. Pracowałam zawzięcie nad tym, jak i nad innymi rzeczami. Od kiedy tylko tu przyjechałam, czułam, że kipi we mnie swego rodzaju ekscytacja. Było to tak, jakbym cały czas czekała, że coś się wydarzy; jak pęk gotowy do pęknięcia.

Gdy wyszłam na zewnątrz, zdecydowałam pójść do domu piechotą. Po pierwsze dlatego, że świeciło piękne słońce, a po drugie użyłabym każdej wymówki, aby uniknąć kłopotów związanych z korzystaniem z Tonto.

Tonto to nazwa, jaką nadali chłopcy wózkowi golfowemu, którym pani Angrid i ja

przemieszczałyśmy się do małego domku, w którym wspólnie zamieszkiwałyśmy - ona na parterze, a ja na piętrze. „Osobne, samodzielne

mieszkanko”, jak to powiedziała, kiedy pierwszy raz mnie oprowadzała. Domek stał na obrzeżach terenu szkoły, zamykając jedyną wolną przestrzeń pomiędzy gęstym żywopłotem na południowej stronie, za boiskiem do rugby, wciśnięty między zagajnik Foxtona - pięć drzew, kilka krzewów i staw - a pola. Z okna mojej sypialni można było w oddali zobaczyć pomnik Artura Foxtona, założyciela szkoły, który stał na dziedzińcu przed szkołą, tak jak generał przed swoją armią.

Gdy przechodziłam pod oknami świetlicy szóstej klasy, Godfrey Barnes otworzył okno, gwizdnął

przeciągle i zapytał, czy nie przyszłabym na herbatę. Powiedziałam, że może wpadnę później, zakładając, że nie będę musiała uczestniczyć w kolejnej debacie na temat ekonomicznych i handlowych skutków przyłączenia Wielkiej Brytanii do Europy. Ostatnim razem, kiedy

powiedziałam, że Anglia zdaje się już jest w Europie, zaczęli się tak śmiać, iż następnego dnia musiałam wyciągnąć atlas, by się upewnić, że miałam rację.

- A co pani myśli o *Kochanku Lady Chatterleyi* - wykrzyknął Richard Lock. - Zakładam, że pani to czytała?

- Fragmenty - przyznałam.

- Można się domyślić, które fragmenty. Czy wie pani, że tam jest trzydzieści scen pieprzenia, czternaście...

Powstrzymując śmiech pomyślałam, że lepiej stamtąd odejść. Zaledwie jednak doszłam do głównego wejścia, otworzyły się drzwi.

- Proszę pani!

- Tak, o co chodzi? - spytałam starając się, aby mój głos zabrzmiał jak najbardziej wyniośle. Nigdy nie zachowywałam się tak wobec nikogo innego, ale z jakiegoś powodu w przypadku Aleksandra Belmayne'a nie mogłam się opanować. Był uczniem piątej klasy, jednym z najbardziej popularnych chłopców w szkole i bez wątpienia najprzystojniejszym.

- Hm, w zasadzie to nic takiego, proszę pani, tylko że, więc... - Spoglądał na niebo, idąc wolno w moją stronę. - Czyż nie jest przyjemnie, gdy świeci słońce? Ostatnio była pieska pogoda, tu jest znacznie przyjemniej latem. Można więcej przebywać na powietrzu.

Spojrzałam na niego zdając sobie sprawę, że się rumienię, ale nie byłam w stanie nic powiedzieć.

- Zastanawiałem się tylko, proszę pani - patrzył mi prosto w oczy. - Gdyby nie jechała pani do domu Tonto, to pomyśleliśmy z kolegami, że

moglibyśmy zaliczyć kilka dołków na polu golfowym. Pani Angrid nigdy by się nie dowiedziała, bo myślałaby, że pani korzysta z Tonto. Na pewno nic się nie stanie.

Zrobiłam krok w tył kręcąc głową.

- Bardzo mi przykro, gdyby Tonto był mój, to byłoby co innego, ale...

Podniósł do góry ręce na znak rezygnacji.

- W porządku, proszę pani, rozumiem. Nie powinienem w ogóle był prosić. - Po czym, uśmiechając się do siebie, odwrócił się i wszedł do budynku.

Ucieszyłam się, że tak łatwo się wycofał, nie byłam bowiem zbyt stanowcza. Dopiero gdy zaczęłam iść w stronę Tonto,

zdałam sobie nagle sprawę, że nic ich nie powstrzyma, żeby wziąć wózek. A gdyby się zepsuł...

Najlepiej będzie, jeśli ja zabiorę Tonto, a tym samym pokażę Aleksandrowi Belmayne'owi, że nie jestem taką idiotką, za jaką mnie uważa.

Wycofując Tonto włączyłam przycisk, który uruchamiał małe pomarańczowe kierunkowskazy po bokach. Jakiś miesiąc temu zainstalowali je chłopcy z trzeciej klasy, ale niestety albo świeciły jednocześnie, albo wcale. Włączyłam bieg, jednak minęły dwie lub trzy sekundy, zanim zdałam sobie sprawę, że cały czas jadę do tyłu. Nacisnęłam nogą hamulec. Nie działał. Odwróciłam się, chcąc zobaczyć, czy nic nie ma na drodze, i dosłownie w ostatniej chwili udało mi się uniknąć zderzenia z nowiutkim Roverem dyrektora. Prawie się o niego otarłam i cały czas jechałam dalej. Nagle maszyna zawyła, a ja nadal pędziłam po parkingu.

Słyszając „cha, cha” pędziłam na oślep - i o zgrozo! widzę, jak czerwony Ford Popular pana Leara zbliża się do mnie. Szarpnęłam kierownicą, ale było już za późno. Tonto pędził wprost na zderzak samochodu. Potem wszystko potoczyło się tak prędko, że nie wiedziałam, gdzie jestem, dopóki nie wyskoczyłam z siedzenia i nie wylądowałam na żwirowanej drodze, rozdzierając pończochy i rozrzucając zawartość torebki. Tonto wywrócony na bok zawarczał i ucichł. Zakryłam twarz rękoma i biorąc głębokie oddechy próbowałam dojść do siebie.

Głośne oklaski przywróciły mnie do rzeczywistości. Dwa piętra wyżej zobaczyłam w oknie grupkę chłopców - wszyscy pękali ze śmiechu. Ktoś machnął ręką. Byłam tak wściekła, że chciałam krzyknąć.

Gdy z twarzą mokrą od łez wbiegłam do szkoły, wpadłam prosto na Aleksandra Belmayne'a.

- Ty! - wrzasnęłam. - To twoja sprawka, czyż nie? Ten wózek wcale ci nie był potrzebny, chciałeś tylko zrobić ze mnie idiotkę. Drogo mi za to zapłacisz. A teraz zejź mi z drogi!

- Proszę posłuchać...

- Nie dotykaj mnie! Za późno na przeprosiny.

Twarz pani Angrid zrobiła się blada ze złości, gdy opowiedziałam jej, co się stało i jakiego podstępu użyto, żebym wzięła wózek golfowy.

- Tak, to w stylu Belmayne'a. Ghodź ze mną - burknęła i poprowadziła mnie wprost do dyrektora.

Pierwsza troska pana Lorimera dotyczyła jego Rovera, ale jak tylko dowiedział się, że szczęśliwie go ominęłam, zrobił się bardzo współczujący - przynajmniej jeśli chodzi o mnie.

- Przyprowadzić tu Belmayne'a - warknął.

Pani Angrid wybiegła z gabinetu, a ja nagle poczułam, że jest mi gorąco, kręci mi się w głowie i zaczęłam się trząść.

- Proszę usiąść, panno Sorrill - powiedział wskazując na brązowy skórzany fotel. - Musiał to być dla pani duży szok. Może napije się pani czegoś?

- Nie, nie - wymamrotałam, próbując obciągnąć spódnicę tak, by zakryć podrapane kolana i dziury w pończochach.

Podniósł słuchawkę i wywołał sekretarkę.

- Proszę znaleźć pana Leara. Niech jak najszybciej przyjdzie do mojego gabinetu. Powinien być teraz w czwartej klasie.

Czekaliśmy w milczeniu. Pan Lorimer miał na sobie togę i szary garnitur. Stał do mnie tyłem, wyglądając przez okno. Miałam świadomość, że włosy spadają mi na ramiona, próbowałam więc upchnąć je pod kołnierzem płaszcza.

W końcu pani Angrid przyprowadziła Aleksandra Belmayne'a.

- Dziękuję pani, pani Angrid - powiedział pan Lorimer przechodząc koło swego biurka. - To wszystko.

- Pani Angrid wyglądała na rozczarowaną, ale ponieważ nikt nie odważył się dyskutować z dyrektorem, więc odwróciła się i zamknęła za sobą drzwi.

- Belmayne - pan Lorimer patrzył chłopcu prosto w oczy - wiesz, po co zostałeś tu wezwany?

- Nie, proszę pana - odparł z pobladłą twarzą Aleksander.

- Czy to ty jesteś odpowiedzialny za wypadek panny Sorrill na wózku

golfowym, Belmayne?

- Nie, proszę pana.

- Panna Sorrill uważa, że to twoja sprawka. Aleksander wbił wzrok w podłogę.

- Będąc starszym uczniem szkoły, orientujesz się zapewne, że jedyną karą za ten nieodpowiedzialny występki i wyrządzone szkody może być wyrzucenie cię ze szkoły?

Mnie zamurowało, a Aleksander aż podskoczył. Odrzucił ciemne, kręcone włosy z oczu i wpatrywał

się w dyrektora. Groźba tylko go poruszyła. Można było przewidzieć, że dyrektor tak łatwo nie wygra.

I rzeczywiście tak się stało. Kazał Aleksandrowi podać nazwiska, ale ten odmówił i konsekwentnie zaprzeczał, jakoby miał cokolwiek wspólnego z wózkami golfowymi. Było jasne, że dyrektor mu nie wierzy, i całe przesłuchanie zaczęło się na nowo, gdy przyszedł pan Lear. Przez cały czas twarz Aleksandra przykuwała mój wzrok. On nie spojrzał na mnie ani razu. Jego szare oczy błyszczały i wydawało się, że cień na brodzie staje się coraz ciemniejszy, gdy walczył ze sobą, aby opanować gniew.

Nie wiem, jak długo tam byliśmy, ale wydawało się, że trwało to wiele godzin. Aleksander oddał

swoją odznakę starszego ucznia, a pan Lear położył na biurku trzcinę. W ich oczach Aleksander był

tylko chłopcem, wyższym jednak od nich obu i noszącym już cechy mężczyzny, którym miał się wkrótce stać. Moje serce wyrywało się do niego, gdy zdałam sobie sprawę, jak bardzo cierpi jego ambicja.

W końcu pan Lorimer odwiózł mnie do domu.

- Porozmawiam z lordem Belmayne'em, zanim podejmę ostateczną decyzję - powiedział, gdy spytałam, co się stanie z Aleksandrem. - Do tego czasu chłopiec pozostanie pod nadzorem pana Leara.

Widziałam potem Aleksandra, gdy szedł do sypialni razem z innymi chłopcami z piątej klasy. Stałam na półpiętrze przy swoim gabinecie patrząc, jak przechodzą. Ani on, ani żaden z nich na mnie nie spojrzał.

Szkoda, że to musiał być Belmayne - powiedziała pani Jenkins, przewracając stronę gazety.

Spojrzałam na nią znad krzyżówki, którą właśnie rozwiązywałam. Nauczycielka łaciny miała przerwę w lekcjach i przyszła do mojego gabinetu

na herbatę.

- Dlaczego? - spytałam. - Raczej szkoda, że to się wogóle wydarzyło. Myślę, że to było naprawdę niebezpieczne.

- To prawda, ale jeszcze większa szkoda, że to akurat Belmayne. - Przesunęła pustą filiżankę po stole.

- Oczywiście jest w tym pani wina. Mam na myśli całe to łagodne traktowanie. Pozwoliła im pani myśleć, że jest ich koleżanką, czyż nie? Nie ma się więc co dziwić, to tak jakby zachęcała ich pani czasami do złego zachowania - na przykład trzy tygodnie temu, gdy dała się pani wciągnąć w bitwę na kule śniegowe - to uchybia pani godności. Wiem, że jest pani młoda, Elżbieto, ale musi pani dbać o swoją pozycję. A kupowanie chłopcom brylantyny, kiedy jedzie pani do wioski, żeby wyglądali jak Elvis Presley - to już zupełnie absurdalne. Na szczęście pani Angrid położyła temu kres, zanim pan Lorimer się dowiedział. Nie może pani udawać, że jest jedną z nich, a potem donosić akurat na tego, którego najbardziej uwielbiają. Oni nigdy pani tego nie wybaczą, a przynajmniej dopóki Aleksander pani nie wybaczy. Widziałam go niedawno, jak szedł na boisko rugby. Niezłe lanie musiał mu sprawić pan Lear. Jeszcze dziś widać ślady.

- Ale to przecież już prawie tydzień temu! - powiedziałam.

- Dokładnie. Pan Lear jest bardzo dumny ze swojego samochodu.

Niestety Prezes Sądu Najwyższego ma, zdaje się,

o wiele więcej na głowie, jeżeli to, co piszą w tym artykule, jest prawdą - mówiła dalej.

- A co Prezes Sądu Najwyższego ma z tym wspólnego? Spojrzała na mnie spode łba.

— Zapewne wie pani, że Prezes Sądu Najwyższego to ojciec Aleksandra.

- Wróciła do czytania gazety. - Te przekłete cygańskie typki! O, tutaj - wstając podała mi gazetę - proszę przeczytać. Może uświadomi to pani, jakim człowiekiem jest lord Belmayne - i jaki będzie Aleksander w przyszłości.

Nie zamierzałam pokazywać jej, że jestem tym zainteresowana.

Zaczekałam aż wyjdzie, nim zabrałam się do czytania gazety. 1

„Lord Belmayne, Prezes Sądu Najwyższego, jest ponownie uwikłany w przykry konflikt z rodziną cygańskiego mordercy, Alfreda Ince’a. Rodzina uważała zawsze, że Ince, skazany na karę śmierci w 1954 roku za notoryczne morderstwa rolników, był niewinny. Lord Belmayne, który przewodniczył w długim

i głośnym procesie, w trakcie którego wielu członków rodziny Ince’a

zostało aresztowanych za obrazę sądu, od tego czasu stał się ofiarą stałych prześladowań.

Nie po raz pierwszy rodzina Ince'a osiedliła się na terenie posiadłości lorda Belmayne'a. Kilka tygodni temu doszło do gwałtownych scen, gdy lord Belmayne spowodował usunięcie ich ze swojego majątku. Ostatnio posiadłości Belmayne'a w Londynie i Suffolk ucierpiały na skutek aktów wandalizmu, a lady Belmayne doznała szoku po wrzuceniu cegły przez okno jej domu przy Belgrave Square.

Według źródeł lokalnych Cyganie powrócili do posiadłości w Suffolk wczoraj we wczesnych godzinach rannych. Lord Belmayne, którego otwarte wypowiedzi na temat procesu Nelsona Mandeli, przewodniczącego Afrykańskiego Kongresu Narodowego w Republice Południowej Afryki, zyskały mu znaczną popularność, rozmawiał ze mną wkrótce potem.

- Ci ludzie dręczą moją rodzinę i moich pracowników. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by ich usunąć.

Jak zasugerował zarządca posiadłości, w obozowisku Cyganów mają miejsce akty perwersji z udziałem nieletnich dziewcząt i chłopców, ale lord Belmayne odmówił komentarza na ten temat. We czwartek, w gorącym przemówieniu w Izbie Lordów, jeszcze raz..."

Ktoś zastukał do drzwi.

- Przepraszam, że pani przeszkadzam. - Był to pan Ellery, nauczyciel chemii. - Trochę sobie poparzyłem moje stare palce w laboratorium. Oczywiście powinienem już do tej pory zmądrzeć, ale oni wszyscy myślą, że pierwsi robią kawały nauczycielom. Ci z trzeciej klasy czasem potrafią być takimi okropnymi małymi stworami. Wyobraża pani sobie, podgrzewają szklane naczynie i zostawiają na moim biurku, żebym wziął do ręki.

Zaprowadziłam go do umywalki, żeby włożył rękę pod zimną wodę, a potem poszłam poszukać bandaży w szafce z lekarstwami.

- Będzie przez chwilę bolało - powiedziałam osuszając mu palce.

- Nie szkodzi, przeżyję. - Spojrzał na moje biurko i wolną ręką odwrócił gazetę w swoją stronę, żeby przeczytać artykuł o lordzie Belmaynie. - Ma pecha - powiedział po paru minutach. - Jakkolwiek zazwyczaj prasa traktuje go znacznie gorzej niż tu.

- Czy spotkał go pan? - zapytałam.

- Tak, wiele razy. Jego syn jest w naszej szkole. - Spojrzał na mnie. — Ale przecież pani o tym wie.

Zdaje się, że ma przyjechać w niedzielę po mszy.

- Ach!

- Niech się pani nie martwi. Młody Belmayne zasłużył sobie na karę.

Mógł spowodować bardzo przykry wypadek.

- Ale nie spowodował - powiedziałam - a teraz po prostu bym chciała, żeby to wszystko minęło. Już całkiem nieźle sobie radziłam, zanim to się wydarzyło.

- Hm, szkoda - powiedział, co sprawiło, że poczułam się jeszcze gorzej. - Po prostu szkoda, że to był Belmayne.

- To samo powiedziała pani Jenkins - wymamrotałam.

- No, ale chłopcy zawsze pozostaną chłopcami. Obawiam się, że będzie pani musiała się do tego przyzwyczaić, jeżeli chce pani przetrwać w Foxton. Teraz jednak lepiej już sobie pójdę. Bóg jeden raczy wiedzieć, jakiego spustoszenia tam dokonali pod moją nieobecność.

Bezmyślnie patrzyłam, jak wychodzi. Drzwi już prawie się za nim zamknęły, gdy nagle zawrócił.

- Czy gra pani w brydża, panno Sorrill? Spojrzałam na niego.

- W brydża?

- Tak sobie pomyślałem - wzruszył ramionami i odszedł.

Następna niedziela była wolna, w związku z czym większość chłopców spędzała dzień z rodzicami.

Po obiedzie wraz z panią Angrid przeszłyśmy po pustych sypialniach, szukając słodczy i komiksów.

Potem ona wróciła do naszego domku, zostawiając mnie w gabinecie lekarskim. Całymi dniami próbowałam obmyślić sposób, jak podejść do Aleksandra i wytłumaczyć mu, żebyśmy spróbowali zapomnieć o tym wypadku z Tonto, ale za każdym razem, kiedy go widziałam, wydawał się tak wrogo nastawiony, że nie mogłam zebrać się na odwagę. Pan Ellery, z którym byłam w bistro poprzedniego dnia wieczorem, przypomniał mi, że jestem członkiem ciała nauczycielskiego i w związku z tym mogę go wezwać do swego gabinetu, kiedy tylko zechcę - ale to nie było takie proste. Od dnia mego przyjazdu zawsze czułam się podenerwowana w towarzystwie Aleksandra, mimo że w pierwszym tygodniu przechodził samego siebie, żebym się tutaj dobrze czuła. Potem nie zwracał na

mnie uwagi, z czego w gruncie rzeczy byłam zadowolona. Było w nim

coś takiego, że czułam się zażenowana i zakłopotana.

Rozmyślałam o tym wszystkim, gdy nagle otworzyły się drzwi i wszedł on.

- Aleksander! - poczułam, że rumienię się od stóp do głów. Było jasne, że jest w fatalnym nastroju.

- Pan Lorimer oczekuje na panią w swoim gabinecie - powiedział i nie czekając odwrócił się i wyszedł.

Gdy weszłam do gabinetu dyrektora, od razu wiedziałam, kim jest ten dżentelmen o wspaniałym wyglądzie. Chciałam się zapaść pod ziemię.

- Proszę usiąść, panno Sorrill - powiedział pan Lorimer. - Lord Belmayne poprosił o rozmowę z panią, zostawiam więc państwa.

Lord Belmayne był przystojnym mężczyzną, chyba starszym, niż wyglądał. Miał wspaniałe bujne siwe włosy i przenikliwe szare oczy. Od razu zauważyłam, po kim Aleksander odziedziczył spojrzenie - w tym przypadku złe spojrzenie.

- Wydaje mi się, że jestem winien pani przeprosiny za dziecinne i nieodpowiedzialne zachowanie mego syna - powiedział prawie na mnie nie patrząc. - Cieszę się jedynie, że nie doznała pani żadnych obrażeń.

Jego obecność była tak przytłaczająca, a sposób bycia tak oziębły, że kiedy otworzyłam usta, aby coś powiedzieć, nie zdołałam wydobyć z siebie słowa.

Zadowolony z mego milczenia mówił dalej.

- Może być pani pewna, że Aleksander został odpowiednio ukarany, zarówno przez szkołę, jak i przeze mnie, i mam nadzieję, że nic podobnego więcej się nie zdarzy.

Spojrzał w stronę drzwi, a następnie zakładając ręce do tyłu podszedł do okna. Byłam wolna i mogłam odejść.

Rozdział 3

Z dnia na dzień moje życie stawało się coraz bardziej nie do zniesienia. Pomijając beznadziejne dowcipy w stylu podkładania zdechłych myszy i pajaków czy też podkradania mojej bielizny z pralni (później zawieszanej na pomniku Artura Foxtona), żaden z chłopców mnie nie zauważał. Przechodzili koło mnie idąc spać, a w czasie posiłków okazywali mi szacunek, lecz nie odzywali się do mnie.

Wszystkie choroby zgłaszano do pani Angrid, podczas gdy ja siedziałam w swoim gabinecie z nadzieją, że ktoś do mnie zajrzy, ale oprócz pana

Ellery'ego nikt nie zaglądał.

To właśnie on mi powiedział, że za karę Aleksander nie

pojedzie w czasie ferii na narty ze swoją rodziną. Mogłam sobie wyobrazić, jak surowa była to kara dla Aleksandra, w którego pokoju - zajmowanym wspólnie z Henrym Clive'em - wszystkie ściany oblepione były plakatami z narciarzami. No dobrze

- to wszystko, co mogłam sobie pomyśleć - i tak zasłużył na więcej! Tak właśnie się czułam, kiedy pan Ellery opowiedział mi o tym, ale mój nastrój zmienił się natychmiast i zamiast osoby obrażonej i zranionej przemówiła przeze mnie młodsza siostra przełożona, która pamiętała, jak uprzejmy był wobec niej Aleksander, kiedy przyjechała tutaj i nikogo jeszcze nie знаła...

Pod koniec semestru byłam tak nieszczęśliwa, że zdecydowałam, iż lepiej będzie, jeśli wyjadę.

Mogłabym wyjechać na Wielkanoc i po prostu nie wrócić. Ale ostatniego dnia zdałam sobie sprawę, że nie mogę opuścić pani Angrid, nic jej nie mówiąc.

Słuchała, kiedy opowiadałam jej o listach mojej przyjaciółki Janice, która pisała, jak świetnie bawi się w Londynie, jak łączy pracę pielęgniarki z pracą modelki i że ma mnóstwo chłopaków - zarumieniłam się, gdy mówiłam, że ja jeszcze nigdy nie miałam chłopaka.

- Bo wie pani - powiedziałam - czytam w różnych czasopismach, co robią ludzie w moim wieku, a ja nic takiego nie robię. Jedynie plakat Georgea Harrisona na ścianie w mojej sypialni i minispódniczka Mary Quant, którą zamówiłam z katalogu, świadczą, że jestem nowoczesna. Wiem, że powinnam uprzedzić panią wcześniej, więc jeżeli pani zechce, wrócę i zostanę, dopóki nie znajdzie pani kogoś innego. Kuzyn Janice ma sklep przy Carnaby Street, mogłabym tam pracować. To nie dlatego, że mi się tutaj nie podoba, czy coś w tym rodzaju, wszyscy byli dla mnie naprawdę bardzo mili, lecz nie wydaje mi się, żebym mogła dłużej tu zostać. Po prostu tęsknię za Londynem.

- Ale faktycznie - powiedziała pani Angrid - chcesz wyjechać przez chłopców?

Odwrociłam wzrok. Powinnam była wiedzieć, że się domyśli. Ścisnęła mi rękę.

- Czy uwierzysz, że to wszystko minie? Potrząsnęłam głową.

- Naprawdę, uwierz mi. Zachowują się jak dzieci, ale musisz pamiętać, że to są dzieci. A jeśli chodzi o Aleksandra, to fakt, cieszy się dużą popularnością i jest bardzo dumny, ale mu przejdzie.

- Nie, nie przejdzie! On mnie nienawidzi!

- Teraz mówisz tak, jakbyś była jednym z nich! A jeśli chodzi o mnie, moja droga, bardzo by mi ciebie brakowało, gdybyś odeszła. Bardzo rozweseliłaś to miejsce, bardziej, niż sobie wyobrażasz. Nawet pan Lorimer to przyznał. No, muszę powiedzieć, że czasami jesteś nieznośna szczególnie gdy wbijesz sobie coś do głowy i zaczynasz działać na własną szkodę - ale na szczęście żadna krzywda się nie stała, a zajmujesz ważne miejsce w naszych sercach i o ile wiem, my w twoim też. A teraz znów się rumienisz, mój Boże, jak ty się łatwo rumienisz, czyż nie? No, nie wiem, być może rzeczywiście powinnaś być w Londynie, pracować jako modelka lub ekspedientka w jakimś modnym sklepie.

Jednak, chyba że się kompletnie mylę, to nie jest twój świat, jak to mówią. Spróbuj więc się rozmówić ze sobą, nie wyglądasz mi na osobę, która by tak łatwo się poddawała.

Zacząłam szukać chusteczki do nosa w rękawie, schylając głowę tak, by nie widziała, że płaczę.

- No dobrze, a może odłożymy to do końca letniego semestru? — powiedziała podając mi papierową chusteczkę. I wydaje mi się, że jeśli spróbujesz porozmawiać z Aleksandrem, to on cię wysłucha. Jest zbyt przyzwoitym chłopcem, by długo nosić w sobie urazę.

- Doprawdy? - Wzruszające, jak bardzo chciałam, żeby to była prawda.

- Możesz mi wierzyć. A więc zostaniesz?

Skinęłam głowę. Nie miałam aż tyle odwagi, by zarzucić jej rękę na szyję, ale bardzo chciałam to zrobić.

- Dobra dziewczynka. A teraz mam ci coś do powiedzenia. Pamiętasz Marka Davenisha, tego małego chłopca z pierwszej klasy, który tak bardzo tęskni za domem? Jego ciotka przyjechała dzisiaj rano do szkoły. Mama Marka zmarła wczoraj w nocy. On jest teraz w mieszkaniu pana Lorimera, czekają na ciebie.

Nie wiem, dlaczego ciotka Marka pozostawiła go w szkole, nie chciałam pytać, ale jeszcze nigdy nie widziałam tak zagubionego i nieszczęśliwego dziecka. Rzucił mi się w ramiona, gdy weszłam do pokoju, a ja przytuliłam go, żeby nie widział, że ja też płaczę. Biedne, małe stworzenie, miał zaledwie

jedenaste lat i prawie żadnych przyjaciół. Jak wszyscy mogli go tak opuścić?

Zabrałam go do domu, żeby nie widział, jak inni chłopcy przygotowują się do wyjazdu na ferie. Miał

w kieszeni talię kart i nauczył mnie grać. Poczęstowałam go lemoniadą i ciastkami, ale nic nie jadł ani nie mówił. Od czasu do czasu widziałam, że jego oczy napełniają się łzami. Wtedy obejmowałam go, a on mocno przytulał się do mnie jak małe przestraszone dziecko, którym w istocie był.

Gdy pan Lorimer zapukał do moich drzwi późnym popołudniem, wzruszyła mnie życzliwość, z jaką patrzył na Marka. Przeczesał włosy ręką, słuchając jego opowiadania, jak to ograł mnie siedem razy w karty. Marek dodał jeszcze, że wygrał ze mną sześć do trzech. Na szczęście pan Lorimer zaśmiał się, a następnie zwrócił się do mnie.

- Wygląda na to, że mamy następny wypadek, z którym będzie pani musiała sobie poradzić, panno Sorrill. Pani Angrid spadła ze schodów. Pan Parkhouse zawiózł ją do szpitala, choć

ona twierdzi, że to tylko zwichnięcie. Spojrzał na Marka, który przez chwilę zajęty był przeglądaniem moich kartotek.

- Czy nie miałyby pani nic przeciwko temu, żeby odprowadzić mnie do samochodu?

Zaczekał, aż wyszliśmy na zewnątrz, zanim zaczął mówić.

- Cieszę się, że mam okazję porozmawiać z panią, panno Sorrill, ponieważ chciałbym powiedzieć, iż zdaję sobie sprawę, że ostatnio nie było pani łatwo, i że jest mi bardzo przykro z tego powodu. Pani Angrid powiedziała mi, że mimo to zgodziła się pani zostać w szkole, więc chciałbym pani serdecznie za to podziękować. Bardzo mnie cieszy, że ma pani takie naturalne podejście do chłopców. Pani skromność ma na nich bardzo dobry wpływ. Przepraszam, jeśli czuje się pani zażenowana, ale bardzo cenimy pani udział w wychowywaniu chłopców.

Czy nie za dużo tych komplementów jak na jeden dzień? Chyba będę musiała częściej mówić, że chcę odejść...

- Dziękuję — powiedziałam łaskawie, zastanawiając się jednocześnie, jak ostatnio wyrosłałam i jaka stałam się dostojna.

- Jest jeszcze jedna sprawa, panno Sorrill. Widząc, jak Mark jest panią zachwycony, a jednocześnie biorąc pod uwagę fakt, że pani Angrid nie będzie mogła się poruszać przez tydzień lub dwa, zacząłem się zastanawiać, czy nie zgodziłaby się pani zostać w szkole w czasie przerwy wielkanocnej?

Oczywiście otrzyma pani odpowiednie wynagrodzenie.

- Dobrze. Będę się tutaj dobrze czuła. Spojrzał na mnie dziwnie i dodał:

- Gdyby była pani tak uprzejma i przyprowadziła Marka do mojego mieszkania około szóstej, jak już zabierze swoje rzeczy z internatu, to porozmawiam z nim o wyjeździe na pogrzeb.

Biedny mały Mark. Wygląda na to, że jego opiekunowie tylko czekali na to, by zrzucić na szkołę wszystkie swoje obowiązki. Jeśli rzeczywiście tak było, to może lepiej dla Marka,

iz został z nami. Dobrze poznałam uczucie samotności po śmierci moich rodziców i wiem, jakie to straszne być z dorosłymi, którzy cię nie chcą.

Jak się jednak okazało, wcale nie spędzałam z nim dużo czasu. Mieszkał u pana Lorimera i obydwaj spotykali się z nami tylko na posiłkach. Czasami widziałam, jak wyjeżdżają gdzieś samochodem lub spacerują po terenie szkoły. Codziennie wieczorem szłam, żeby powiedzieć Markowi dobranoc, i czekałam, dopóki nie zasnął.

Resztę czasu zajmowała mi pani Angrid, która zasługiwała na miano najgorszej pacjentki świata -

pozostawiając konkurencję daleko w tyle. Wozila ją na wózku po terenie szkoły i oglądałam z nią telewizję, ale oprócz tego i oprócz słuchania, jak czyta poezje Shelleya, nie za bardzo było co robić, gdy wszyscy chłopcy wyjechali. Kiedy więc pan Ellery odwiedził nas w tygodniu, o mało nie zemdlął

z wrażenia - tak gorące spotkało go powitanie. Mark był z nami tego dnia i twarz mu pojaśniała na widok gry „Monopol”, którą pan Ellery przyniósł ze sobą. Założę się, że grając w „Monopol” we czwórkę robiliśmy więcej hałasu niż chłopcy grając w rugby - przede wszystkim dlatego, że pani Angrid cały czas próbowała oszukiwać.

W niedzielę wielkanocną Mark pokazał mi list, który pieczołowicie przechowywał od kilku dni.

Myślałam, że to list od ciotki, trudno mi więc było uwierzyć, że jego autorem jest Aleksander Belmayne. Napisał do Marka, jak bardzo współczuje mu z powodu śmierci matki. Pani Angrid piała z zachwytu, kiedy jej o tym powiedziałam.

- Aleksander jest starszym w internacie Marka, dlatego do niego napisał. To bardzo wiele znaczy dla tego chłopca. Inni nie odważą się być dla niego niemili, gdy dowiedzą się o liście Aleksandra. -

Spojrzała na mnie. - No widzisz, on nie jest taki zły, nie mówiłam?
Ponieważ nic nie odpowiedziałam, tylko spojrzałam na nią, potrząsnęła głową i podała mi list.

- Jesteś zbyt dumna, młoda damo, i powinnaś się zastanowić, co jest najważniejsze.

Dwa dni przed końcem ferii przechodziliśmy z panem Ellerym korytarzem szóstej klasy, idąc do ogrodu. Śmiałam się tak serdecznie z czegoś, co powiedział, że nie usłyszałam głosów dochodzących ze swiedicy.

- Czy są tu jacyś uczniowie z szóstej klasy? - zapytał pan Ellery, mimo że znał odpowiedź. - Intruzi!

Włamywacze! -Zaczął się skradać na palcach w stronę drzwi. - Niech pani się przygotuje, żeby biec po pomoc.

Zakryłam usta, by powstrzymać śmiech, i czekałam, gdy on otworzył z hukiem drzwi.

- Mam cię! - zakrzyknął. Usłyszałam odgłosy bójki, a potem pana Ellery'ego, który mówił

podniesionym głosem: -Belmayne! A ty co tutaj robisz?
Zamarłam.

- Oglądam telewizję, proszę pana - padła odpowiedź.

- To jest świetlica szóstej klasy - zwrócił uwagę pan Ellery, tak jakby Aleksander o tym nic nie wiedział.

- Tak jest, proszę pana. Ale myślałem, że skoro ich nie ma...

- To nie o to chodzi. - Pan Ellery wymachiwał rękoma -tylko co ty tutaj robisz? Nie powinno cię tu być aż do środy.

- Moja babcia jedzie na urlop, proszę pana. Zapomniała powiedzieć o tym memu ojcu. Pan Lorimer wie o wszystkim, proszę pana.

- Czy pani wiedziała coś o tym? — pan Ellery zwrócił się do mnie.
Potrząsnęłam głową. - No dobrze -

powiedział do Aleksandra - co więc zamierzasz ze sobą zrobić?

Weszłam do pokoju akurat w momencie, gdy Aleksander wzruszył ramionami. Zobaczywszy mnie poczerwieniał na twarzy. Pan Ellery też musiał to zauważyć.

- Na pewno znajdziemy ci jakieś zajęcie - powiedział. -A co ty właściwie oglądasz, chłopcze?

- Mecz piłki nożnej, proszę pana.

- Nie zapomnij wyłączyć telewizora, jak będziesz wychodził.

Porozmawiam z tobą później.

- To dziwny chłopiec, nie uważa pan? - powiedziałam, gdy spacerowaliśmy po ogrodzie.

- Kto, Belmayne? - westchnął. - Jeśli chodzi o naukę, jest prawie doskonały. I wie pani, to jest wspaniałe dziecko. Jest zbyt czarujący, zbyt mądry i o wiele za bardzo przystojny, ale nie można się oprzeć, żeby go nie lubić.

- Nie można? Zaczął się śmiać.

- Niech pani da spokój, już wystarczy na jego temat -chwyciwszy mnie za rękę pociągnął za sobą na wzgórze.

Na szczycie była huśtawka, którą chłopcy zrobili na drzewie. Usiadłam na niej, a pan Ellery mnie huśtał. Próbował ze mną flirtować, ale udawałam, że tego nie zauważam, więc huśtał mnie coraz wyżej, aż zaczęłam krzyczeć, żeby zatrzymał. W końcu udało mi się zeskoczyć, lecz upadłam i sturlałam się z górki, uderzając o pojemnik z suchymi liśćmi.

Zbiegł za mną, oczywiście piekielnie przerażony, czy nic mi się nie stało, ale gdy zobaczył, że się śmieję, pomógł mi wstać.

- Jest pani niesamowita, czy wie pani o tym? - powiedział zdyszany. - A jeśli już o tym mówimy, to ma pani też niesamowite nogi.

- Nie powinien był pan patrzeć - zawołałam strząsając liście z fartucha.

W tym momencie zauważyłam, że Aleksander stoi przy oknie w pokoju muzycznym, obserwując nas.

Nie wiem dlaczego, ale nagle wydało mi się, że zaszło słońce, i zadrżałam.

- Zimno pani? - zapytał pan Ellery. - Wejdźmy do środka. Zawołam kogoś, żeby przyszedł i posprzątał to wszystko.

Obeszliśmy budynek i weszliśmy głównym wejściem, w chwili gdy Aleksander wychodził z pokoju muzycznego.

- Idź i posprzątaj liście w ogrodzie, chłopcze, dobrze? - powiedział pan Ellery.

Aleksander spojrział na mnie tak wściekłym wzrokiem, że o mało się nie cofnęłam, a następnie wybiegł ocierając się o nas. Pan Ellery zawołał go.

- Nie obchodzi mnie twój stosunek do mnie, Belmayne, ale masz wrócić i przeprosić pannę Sorrill. I to już!

Aleksander odwrócił się, ale nie podszedł do nas.

- Przepraszam - powiedział.

Rozstaliśmy się z panem Ellerym przy schodach. Zaczekałam tam, aż zniknął w pokoju

nauczycielskim, zanim poszłam za Aleksandrem.

Znalazłam go, jak zgodnie z poleceniem napełniał pojemniki liśćmi.

Zbieranie suchych liści było zazwyczaj karą - i to dla młodszych chłopców, rozumiem więc, dlaczego był wściekły, że musi to robić. Odkręcił głowę, ale gdy zobaczył, że to ja, wrócił do swojej pracy.

- Czy mogę pomóc? - zaproponowałam.

- Nie, dziękuję.

Stałam tam przez chwilę obserwując go. Powoli zaczynałam zdawać sobie sprawę, że wszystko się we mnie gotuje. Byłam tak bardzo zdenerwowana, że cieszyłam się, iż na mnie nie patrzy. W końcu powiedziałam:

- Przyszłam tu, żeby z tobą porozmawiać. Czy posłuchasz, co mam ci do powiedzenia?

Przerwał pracę, wyprostował się i patrzył prosto przed siebie.

- Słuchaj, nie mam nic przeciwko temu, żeby cię przeprosić czy żeby przyznać, że jest mi przykro z powodu tego, co się wydarzyło. Wydaje mi się, że skoro mamy żyć pod tym samym dachem, byłoby lepiej, gdybyśmy mogli się jakoś porozumieć.

Co ty na to, żebyśmy zaczęli od tego, iż będziesz na mnie patrzył, gdy do ciebie mówię?

Ku memu zdziwieniu spojrział na mnie, a wtedy ten okropny rumieniec zaczął pokrywać moją twarz.

- Tak lepiej - powiedziałam. - A teraz nie chcę wracać do przyczyn, które doprowadziły do tego wszystkiego, nie chcę też, żebyś ty do tego wracał. Chciałam tylko powiedzieć, że gdybyś pomyślał, co mogło się wydarzyć, zanim zepsułeś ten głupi wózek golfowy, wtedy wiedziałbyś, że...

- A skąd jest pani taka cholernie pewna, że to ja zepsułem ten wózek? - burknął. - Czy widziała pani, że ja to zrobiłem? Nie. Ale spójrzmy prawdzie w oczy, pani trzymała to w zanadrzu jako haczyk na mnie od dnia przyjazdu. Pani...

- Nie krzycz na mnie, Aleksandrze Belmayne. Zastawiłeś na mnie pułapkę, dobrze wiesz, że to zrobiłeś.

- Nie zastawiłem na ciebie żadnej pułapki, głupia kobieto!

- Jak śmiesz?! Chcę, żebyś wiedział... Nie, nie przerywaj mi, nie

zamierzam więcej słuchać, co masz do powiedzenia.

- Dlaczego? Boi się pani tego, co mogłaby usłyszeć?

- Nie boję się ciebie!

- Nie? - Zrobił krok w moją stronę, a ja zrobiłam krok w tył. - Niech pani na siebie spojrzy! - krzyczał.

- Już nie zadziera pani nosa, czyżbym się mylił? A teraz niech pani mnie posłucha dla odmiany.

Lubiłem panią, czy wie pani o tym? Myślałem, że jest pani w porządku. Zawracałem sobie głowę, żeby panią odpowiednio przyjąć w tej szkole, a co pani zrobiła w zamian? Ignorowała mnie. Ilekroć widziała pani, że idę w jej stronę, zmieniała pani kierunek. Gdy rozmawiałem z panią, natychmiast przybierała pani ten swój zarozumiały ton, mimo że dla wszystkich innych była pani słodka jak cukierek. Jak już powiedziałem, nie wiem, co jeszcze mógłbym zrobić, ale od tej pory musi pani sama się o siebie troszczyć.

Dlaczego więc nie zostawi mnie pani w spokoju?!

- Nigdy cię nie ignorowałam. Po pierwszym tygodniu mojego pobytu tutaj to ty ignorowałeś...

- Gzy wie pani, że to ja przekonywałem wszystkich do pani i tłumaczyłem, że nie ma znaczenia, iż jest pani inna niż my. Ja...

- Jestem prostytutką! Czy to chciałeś powiedzieć?

- Tak, prostytutką! - spojrzał na mnie. - A teraz niech mi pani powie, czy kiedykolwiek przyszło pani do głowy, że ten wózek golfowy mógł mieć jakąś usterkę? Nie. Uparcie pani wierzyła, że ktoś zrobił

pani kawał. No dobrze, zdarza się, rzeczywiście zrobili, ale to nie byłem ja! Przez panią straciłem odznakę przewodniczącego, dostałem chłostę i nie pojechałem na narty. Więc jeśli przyszła pani tutaj prosić o przebaczenie, to niemożliwe, za późno.

- Prosić o przebaczenie! Ciebie? Ty zarozumiały, mały...

- To po co pani tu przyszła?

- Ktoś mi zrobił kawał i cierpię z tego powodu. A jeżeli to nie ty, to dlaczego się przyznałeś?

Odpowiedział przez zaciśnięte zęby.

- Na wypadek gdyby pani tego nie zauważyła, to wcale nie powiedziałem, że to ja. - Zbierał się, żeby odejść.

Myśli wirowały mi w głowie.

- Ale wzięłaś na siebie winę - krzyczałam za nim. -Dlaczego to zrobiłaś, jeśli to nie ty?

Odwrócił się, żeby spojrzeć na mnie; jego oczy pełne były pogardy.

- Powinienem był donieść? Czy to ma pani na myśli? Donieść na kogoś innego? - Wypluwał słowa, a jego twarz robiła się biała. Gdy znów odwrócił się ode mnie, zauważyłam, że zaczyna się uśmiechać.

Był to uśmiech gorzki i pogardliwy.

Zanim zdałam sobie sprawę z tego, co robię, chwyciłam go za ramiona i zaczęłam okładać pięściami.

Podniósł ręce, żeby się bronić, ale ja nie przestawałam go bić.

- Ty złośliwy, ograniczony, arogancki gówniarzu! Wydaje ci się, że jesteś taki mądry, co? Więc dobrze, to teraz ci powiem, co ja o tobie myślę! - Uderzyłam go w twarz. Natychmiast złapał mnie za ręce, a potem patrząc na mnie z góry zawarczał:

- Dlaczego po prostu stąd nie wyjedziesz? Wyjedź gdzieś, tak daleko; jak tylko możesz, tam gdzie są tacy jak ty. To miejsce nie jest dla ciebie.

Wyrwałam ręce z jego uścisku i szybko się odwróciłam, żeby nie mógł zauważyć, że mam oczy pełne łez. Stałam tyłem do niego i z jakiegoś powodu nie byłam w stanie zrobić kroku, żeby odejść. On przemówił pierwszy.

- Przepraszam. Nie miałem prawa mówić do pani w ten sposób.

Ponieważ nic nie odpowiedziałam, podszedł do mnie.

- Proszę nie płakać. Jest mi bardzo przykro, naprawdę. Nie wiem, dlaczego to wszystko powiedziałem.

- Położył rękę na moim ramieniu. - Nie miałem nic złego na myśli.

Wzruszyłam ramionami i dopiero teraz mogłam odejść.

Później, gdy byłam sama w gabinecie, próbowałam sobie przypomnieć to wszystko, co

powiedzieliśmy, ale byłam w stanie myśleć tylko o tym, że robi mi się gorąco, a potem zimno i że potwornie źle się czuję. Wstałam, ale zaraz usiadłam, zrobiłam sobie herbatę, ale jej nie wypić, otworzyłam książkę, ale nie byłam w stanie czytać, chciałam wyjść z pokoju, ale zaraz wracałam.

Wiem, że nie powinnam była go uderzyć, lecz on też nie powinien mówić do mnie w ten sposób. Jak również nie powinien był mnie tak przeproszać - nie wiem dlaczego, ale po prostu nie powinien!

Dzień przed rozpoczęciem semestru Henry Clive, który dzielił pokój z Aleksandrem, wrócił do szkoły. Twarz miał

opaloną na czekoladę, co raczej nie poprawiło nastroju Aleksandra.

Starłam się unikać Aleksandra, od czasu kiedy go uderzyłam, było jednak

oczywiste, że powiedział Henry'emu o wszystkim, ponieważ kiedy ich spotykałam, zaczęli się śmiać. Wydawało się, że gdziekolwiek się pojawię, oni tam są. Byłam tak zażenowana, że chciałam zniknąć.

I oto znowu się pojawili, wychodzili akurat z basenu, gdy przechodziłam tamtędy, wioząc panią Angrid na wózku. Zaśmiewała się z czegoś, co właśnie powiedziała, gdy Henry krzyknął i powłócząc nogami podszedł do nas zapytać, jak się czuje. Była zachwycona. Za nim przyszedł Aleksander i stanął z boku, podczas gdy Henry żartował sobie z panią Angrid. Wiedziałam, że mnie obserwuje, ale nie zamierzałam dać mu satysfakcji i nie zarumieniłam się.

- No, Belmayne - powiedziała pani Angrid odwracając się w jego stronę - jesteś za duży na to, żeby robić w majtki, więc dlaczego tam stoisz, jakbyś coś przeszkrobał?

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Jak się pani miewa, pani Angrid?

- Już lepiej, już lepiej. Słyszałam, że szykujecie jakieś przedstawienie w przyszłym semestrze. O co chodzi?

- To miała być tajemnica - zajęczał Henry.

- Nic nie jest dla mnie tajemnicą - odpowiedziała pani Angrid. - Do tej pory powinniście się już zorientować. No wyduście z siebie, co to ma być?

- No więc to jest coś, co napisał Aleksander - odpowiedział Henry.

Oczywiście, że tak, któż by inny! Cały czas patrzyłam w niebo.

- I pan Lear - dodał Aleksander.

- Nie pozwól, żeby sobie przypisał zasługi - oponował Henry - pomógł ci tylko w wyszukaniu materiałów.

- Może byś okazał trochę więcej szacunku, Henry Clive! - zasyczała pani Angrid. - A więc o czym jest ta twoja sztuka?

- Trochę cierpliwości i pani zobaczy - przekomarzał się Aleksander. Wiedziałam, że nadal mi się przypatruje i śmieje się sam do siebie, więc uśmiechnęłam się do Henry'ego, który nawet na mnie nie patrzył.

- Jak długo będę musiała czekać? - zapytała pani Angrid. Wzruszył ramionami i spojrzał na Henry'ego, który odpowiedział mu spojrzeniem.

- Przepraszam, zdaje się, że pani coś powiedziała. - Aleksander uśmiechnął się, rzucając spojrzenie w moją stronę. - Jak długo? Przypuszczam, że dwa tygodnie.

- A kto występuje w tej sztuce?

- My.

- A to mi niespodzianka. Czy jest jeszcze miejsce dla kogoś innego? Wydaje mi się, że nie, biorąc pod uwagę osoby, które mają taki przerost ambicji.

Aleksander i Henry zaśmieli się.

- Powiedziałem pani, że będzie pani musiała zaczekać, żeby się dowiedzieć - rzekł Aleksander.

- No dobrze, w takim razie już idźcie - powiedziała pani Angrid. - Wyszuszczone sobie włosy, zanim się przeziębicie. I proszę mi zarezerwować dobre miejsce na przedstawieniu!

- Nic się nie poprawiło między tobą a Belmayne'em? - zapytała pani Angrid, gdy chłopcy odmaszerowali, a ja zaczęłam ją wieść z powrotem do domu.

- Powiedziałam pani, on mnie nienawidzi.

- I przypuszczam, że ty też go nienawidzisz - zachichotała.

- Tak.

Później tego samego wieczoru byłam w swoim gabinecie, słuchając radia i przygotowując się do nowego semestru, gdy zapukano do drzwi i wszedł Henry Clive.

- Czy mogę wejść na chwilę? - zapytał. Wyciągnęłam rękę, żeby wyłączyć radio.

- Oczywiście. Proszę wejść i usiądź. - Walcząc ze sobą, żeby nie okazać, jak jestem zadowolona, czy raczej zaskoczona, że go widzę, wskazałam na krzesło po drugiej stronie biurka. - Chyba nic ci się nie stało, co?

- Nie, nie. Jestem w całkiem niezłej formie. Podniosłam brwi i przyjrzałam mu się dokładnie.

- Trudno zaprzeczyć.

- Nie, to nie ma nic wspólnego ze złym samopoczuciem - zaśmiał się. To jest, w zasadzie nie wiem, czy mam prawo o to pytać.

- Nigdy do tej pory takie względy cię nie powstrzymywały.

- Czy nie będzie się pani czuła urażona?

- Nie wiem, a powinnam? Wzruszył ramionami.

- Słuszna uwaga. Chodzi o to, że razem z Aleksandrem zastanawialiśmy się... Wie pani, chodzi o tę sztukę, o której pani Angrid wspomniała dziś po południu. A więc po tej rozmowie przyszedł nam do głowy wspólny pomysł. Bo widzi pani, w sztuce biorą udział trzy osoby, w tym kobieta. Zamierzaliśmy przebrać któregoś z chłopców, ale skoro pani jest, no tak, jest kobietą... - Rumieniec, jaki powoli rysował się na jego twarzy, nagle

wystąpił w całej okazałości. Zamachał ręką w powietrzu, jakby chciał powiedzieć: o, cholera! - No, więc pomyśleliśmy, że może zgodziłaby się pani zagrać tę rolę? -Usiadł wygodnie, wyraźnie zadowolony, że ma już to za sobą.

Patrzyłam na niego zaskoczona, zdaje się, że z wrażenia aż otworzyłam usta.

- To znaczy, że chcecie, bym zagrała w waszym przedstawieniu? - zapytałam, a on skinął głową. - Ja nie... To znaczy, jesteś tego pewien? A co na to Aleksander? Czy on nie będzie...

- Och, proszę się o niego nie martwić - przerwał mi Henry. - Tak czy inaczej, to był jego pomysł.

Powiedzmy, że jest to gałązka oliwna - symbol pokoju. Po tym wszystkim, co się

wydarzyło, kiedy pani go uderzyła, on panią przeproszał, a pani płakała... Więc jemu jest z tym bardzo źle, a poza tym potrzebujemy kogoś do naszej sztuki, więc co pani o tym myśli? Czekał, a ja myślałam.

- I mówisz, że to był pomysł Aleksandra? - zapytałam w końcu.

- Tak. No, to zgodzi się pani?

- Nie wiem. To znaczy, ja nigdy przedtem nie grałam.

- To nie takie trudne. Wystarczy, że nauczy się pani tekstu i pochodzi trochę po scenie, kiedy będzie trzeba. Aleksander jest reżyserem, to on pani powie, co należy robić.

- A co to za rola?

- Będzie pani grała rolę mojej żony - oświadczył z taką dumą, że ledwie powstrzymałam się od śmiechu.

- No dobrze - powiedziałam - zrobię to, pod warunkiem że nie będzie się z tym wiązało żadne niebezpieczeństwo.

- A co może być niebezpiecznego w byciu moją żoną? -Uśmiechnął się i wstał. - Pierwsza próba jutro o jedenastej, w sali od historii, zanim wszyscy się zjadą.

Rozdział 4

Wszystko zmieniło się od chwili, kiedy zgodziłam się zagrać rolę Beth Wonderful, żony Heeso Wonderfula. Zupełnie mnie nie zaskoczyło, że Aleksander Belmayne jako reżyser był strasznym tyranem. Dyrygował mną, jakbym była ciotką Sally, ale powiedziałam mu, że jeżeli będzie wykorzystywał sytuację, znów go pobiję. Ponieważ uważał, że była to

rozsądna riposta, powiedział: „Och, bij mnie, och, bij mnie!” Tak czy inaczej pokazałam mu, że nie tylko potrafię grać. Kiedy potrzebowaliśmy kwiatów do przedstawienia, zrobiłam chryzantemy z wiórów ze szkolnej stolarni i pomalowa-

łam je swoim lakierem do paznokci. Kiedy potrzebowaliśmy kurtyny na scenę, pożyczyłam zasłony z salonu dyrektora. Był jedynym nauczycielem, który miał duże okna w swoim salonie, a poza tym to my o nie dbaliśmy...

Był pewien niezręczny moment, kiedy Aleksander powiedział mi, że muszę nauczyć się mówić „elegantcko”. Zareagowałam zbyt ostro, muszę przyznać, ale był to mój słaby punkt.

- O, znowu idzie primadonna z głową w chmurach i depcze wszystko po drodze. Jak to kobieta -

krzyczał za mną.

- Dlatego ją obsadziliśmy - powiedział Henry. - A takt nie jest twoją najmocniejszą stroną.

- Nic się nie martw, wróci - usłyszałam, jak powiedział Aleksander, zanim trzasnęłam drzwiami.

To już koniec! Nic mnie tam nie zaciągnie z powrotem! To znaczy, dopóki nie przyszedł i nie zapukał do moich drzwi...

- No dobrze, będę błagał, jeśli to konieczne - powiedział. - Proszę, błagam, czy wróci pani?

- Nie!

- Jest pani upartą, dumną...

- Przypuszczam, że zaraz nazwiesz mnie prostaczką! Wybuchnął śmiechem, a ja zaraz za nim.

Wystawiliśmy naszą sztukę pod koniec trzeciego tygodnia letniego semestru. Zatytułowana była *Państwo Wspaniali*. Była to komedia o starym człowieku -

granym przez Aleksandra, który (zgodnie z objaśnieniami reżyserskimi Aleksandra) próbuje pokazać małżeństwu Wonderful - samolubnej parze żyjącej w dobrobycie - jak powierzchowne i bez sensu prowadzą życie. Stary człowiek nie odniósł żadnego sukcesu, małżonkowie Wonderful byli bowiem ludźmi zbyt głupimi i zbyt nadętymi, żeby cokolwiek zrozumieć. Jednak skandalizujące dialogi -których większość (nawet ja o tym wiedziałam) można było przypisać Bernardowi Shaw czy Oscarowi Wilde bardziej niż

Aleksandrowi Belmayne - sprawiły, że zarówno uczniowie, jak i nauczyciele pokładali się ze śmiechu.

Gdy przedstawienie się skończyło, wszyscy troje kłaniając się wyszliśmy na scenę. Następnie Henry i Aleksander wręczyli mi ogromny bukiet kwiatów, a ja płakałam jak krokodyl, przy akompaniamencie okrzyków radości i oklaskach całej szkoły.

Wydawało się, że pan Ellery jest równie zadowolony, jak pani Angrid, że wojna między mną a Aleksandrem należy do przeszłości. W zasadzie tylko pani Jenkins była z tego ewidentnie niezadowolona. Uważała, że użyliśmy zbyt frywolnych słów — chociaż, jak zauważyłam, nie powstrzymało jej to od przychodzenia do mojego gabinetu na herbatę. Nie przeszkadzało mi to specjalnie, wolałabym jednak, żeby przestała czytać mi na głos gazety. Można by pomyśleć, że jest jedyną osobą na świecie, której mąż pracuje na Fleet Street.

- Nie mogę pojąć, jaka zaszła w pani zmiana - powiedział pan Ellery któregoś wieczoru tydzień czy dwa później, gdy jedliśmy kolację w miejscowym bistro. - Jest pani taka szczęśliwa. Wie pani, że chłopcy panią uwielbiają? Nigdy nic podobnego nie widziałem. Gdziekolwiek się ruszę, wszędzie słyszę, jak rozmawiają o pani. Wczoraj znalazłem wzruszający wierszyk, napisany przez jednego z naszych poetów z pierwszej klasy, w którym opisuje panią jako dziecko zamienione przez wróżkę.

- Jako co?!

- Księżniczka wykradziona z kołyski przez elfy. Wybuehnęłam śmiechem, ale pan Ellery powiedział: - Być może on ma rację. Nikt z nas nic o pani nie wie, nawet skąd pani pochodzi. Czy kryje się za tym jakaś tajemnica?

- Nie. Po prostu nie lubię o sobie mówić. A poza tym nie ma o czym opowiadać.

- Musi coś być.

- Nawet gdyby było, to i tak panu nie opowiem, bo żartuje pan sobie ze mnie.

-Ja?

- Tak, pan! - Rzuciłam w niego serwetką.

- W takim razie będę chyba musiał dołączyć do klubu pani fanów i snuć teorie na pani temat, jak pozostali. Czy wie pani, że w zeszycie każdego ucznia szkoły podstawowej, który sprawdzam, nazwisko Bobby Moorea jest

wytarte, a na jego miejsce wpisane pani?

- Ale nie ze szkoły średniej - powiedziałam zawiedziona.

- O, chłopcy ze szkoły średniej podchodzą do tego o wiele poważniej, są w tej sprawie, jak by to powiedzieć, o wiele bardziej subtelni.

- Ach tak? A w jakim sensie?

- Wiedzą, że byłbym zazdrosny.

O mało nie zemdlałam z wrażenia, gdy to powiedział.

- Czy poczuła się pani zakłopotana? - zapytał bez cienia zażenowania.

- Tak.

- To dobrze. Być może teraz wreszcie dostanę się do pani. W ciągu ostatnich tygodni była pani nieosiągalna - musiałem przedzierać się przez tłumy małoletnich adoratorów, żeby móc panią zobaczyć.

Później wracaliśmy do szkoły spacerem przez wzgórze.

- Filiżanka herbaty by nam nie zaszkodziła - powiedział, gdy doszliśmy do drzwi mojego gabinetu.

Widząc to spojrzenie w jego oczach, uśmiechnęłam się.

- Obawiam się, że właśnie skończyła mi się herbata. Oparł ręce o ścianę po moich obu bokach i spojrzał mi prosto w oczy.

- Dwie minuty - nalegał.

Usłyszałam hałas na schodach i spojrzałam do góry. To był Henry Clive.

- Przepraszam panią - wydukał — szukałem tylko...

- Tak? - powiedział pan Ellery. - A czego to szukałeś?

- Niczego, proszę pana.

- Śledziłeś nas, czyż nie? - zapytał pan Ellery niezwykle ostro. - Wracaj do łóżka, chłopcze.

Porozmawiamy jutro rano.

- Co to za hałasy tutaj? - zapytała pani Angrid, wychodząc ze swego gabinetu. - Bądźcie cicho, wy dwoje, bo obudzicie chłopców.

- Przepraszam panią, pani Angrid - powiedział pan Ellery tym razem nadzwyczaj delikatnie.

Odwróciła się w moją stronę:

- Wejź do mnie na chwilę, Elżbieto.

Odsunęłam pana Ellery'ego, żeby przejść, kierując w jego stronę przepaszającą spojrzenie. Pani Angrid zamknęła za mną drzwi.

- To było dobre pożegnanie, co?

Mogła równie dobrze powiedzieć to głośno. Wybuchnęłam śmiechem.

- Szkoda tylko, że Henry Clive was widział, jutro cała szkoła będzie o

tym mówiła.

- Nic takiego nie robiliśmy - zauważyłam.

- Nie musieliście, chłopcy i tak dośpiewają sobie resztę. No dobrze, muszę wracać do domu, żeby zdążyć na Billy'ego Cottona. Dasz sobie tutaj radę, co?

- Z pewnością. - Jak na kogoś, kto twierdzi, że nie znosi telewizji, jej uwielbienie dla programu „Billy Cotton's Band Show” było zaskakujące. Nie mówiąc o „Coronation Street” czy „Peyton Place”.

- Aha, byłabym zapomniała - powiedziała wsadzając głowę z powrotem w drzwi - druga klasa planuje jakąś ucztę o północy w łazience Hardy'ego. Zwróć na nich uwagę, dobrze?

- Jakim cudem pani to odkryła?

- Wiem wszystko, co należy wiedzieć o tym miejscu - odpowiedziała pstrykając się w nos. - Dobrze byłoby, żebyś ty też o tym pamiętała. - I chichocząc zamknęła za sobą drzwi.

Choć nadal się uśmiechałam, gdy weszłam do swojego gabinetu, głęboko poruszyło mnie to, co powiedziała. Z jakiegoś powodu zabrzmiało to jak ostrzeżenie.

Nie upłynęło wiele czasu, jak zaczęły rozchodzić się plotki. Panna Sorrill i pan Ellery. Anonimowe liściki ze skandalizującymi rysunkami, przedstawiającymi to, o co chłopcy nas posądzali, zaczęły pojawiać się pod moimi drzwiami. Muszę im przyznać nagrodę za wyobraźnię, chociaż byłam zszokowana ich szeroką wiedzą na temat seksu. Pan Ellery został potraktowany w podobny sposób, tyle że on uważał to za dobry dowcip.

- Nie trzeba dużo czasu, żeby to dotarło do pana Lorimera. Pani Jenkins przeszywała mnie wrogim spojrzeniem, popijając herbatę w moim gabinecie.

- Nie ma co docierać.

- Chłopcy są bardzo przebiegli, Elżbieto, przed nimi nic się nie ukryje. I muszę pani powiedzieć, że ja sama zauważyłam, w jaki sposób narzucasz się panu Ellery'emu. Wie pani, tak nie może być. Wszyscy widzą, że on czuje się niezręcznie w tej sytuacji. Radziłabym pani, żeby trzymała się bardziej na dystans.

Stara krowa! Jak ona śmie?!

- W jaki sposób mam się trzymać bardziej na dystans - wypaliłam - skoro pan Ellery łąsi się do mnie przez cały czas niczym mały szczeniak?!

- Panno Sorrill! - zaparło jej dech. - Mówi pani o jednym z nauczycieli tej

szkoły. - Jest pani bardzo zarozumiała. Być może nie nadaje się pani do szkoły w Foxton.

- Nie ma pani prawa mówić do mnie w ten sposób -krzyknęłam i aż podskoczyłam, gdy trzasnęła drzwiami.

Jej atak był tak nieoczekiwany i niesprawiedliwy, że upłynęło dobre kilka minut, zanim udało mi się pozbierać. To nie było w moim stylu tak postawić się wobec kogoś z nauczy-

cieli, ale ona: na to zasłużyła. Od czasu jak zaczęły się plotki, stałam się bardzo drażliwa. Byli oczywiście chłopcy, którzy traktowali je jako coś więcej niż dobry dowcip, na przykład Aleksander i Henry stali się w stosunku do mnie chłodni. Ostatnio prawie ich nie widywałam.

Poszłam do sypialni, aby sprawdzić, czy chłopcy posprząтали pod łózkami i w łazienkach. Tylko połowicznie byłam skupiona na tym, co robię, próbowałam jednak stwierdzić, kto nie wywiązał się ze swoich zadań, żeby wpisać jego nazwisko kredą na tablicy. Wypisani musieli stawić się u siostry przełożonej.

Gdy doszłam do pokoju, który dzielili Aleksander i Henry, serce mi zamarło. Pokój był w okropnym stanie. Postanowiłam, że sama trochę go uprzątnę, przynajmniej żeby uniknąć konfrontacji. Ubrania zwisały z na wpół otwartych szuflad, więc wyjęłam je po kolei, przyzwyczajając się do poskładania i włożyłam z powrotem. W momencie gdy zamykałam ostatnią szufladę, zauważyłam niebieskie zamszowe sztyblety w szafce Aleksandra. Miał specjalne pozwolenie na te buty, ale mógł je zakładać tylko wtedy, gdy występował w szkolnym zespole big-beato-wym. Powinny być na dole, w szafie obok gabinetu pani Angrid, a nie w jego pokoju. Gdy wyciągnęłam buty, na podłogę wypadła mała czerwona książeczka. Otworzyłam na pierwszej stronie, gdzie widniało pięknie wykaligrafowane imię Beth. Szybko zamknęłam książkę, ale serce biło mi coraz szybciej. Nie, powiedziałam do siebie.

Tylko dlatego, że grałam rolę Beth Wonderful w jego sztuce... Nie, to niemożliwe.

- Co pani, do cholery, tu robi?

Upuściłam książkę i odwróciłam się natychmiast.

- Aleksander! - głos mi zamarł.

Porwał książkę z podłogi i odwrócił się ode mnie z pobladłą twarzą.

- Przepraszam - wymamrotałam. - Wypadła z szafki na buty, po prostu...

- Chodzi pani wszędzie i wtyka nos do cudzych pamiętników, co? A może tylko do mojego?

- Mówię ci, że wypadł, a ja otworzyłam tylko, żeby zobaczyć, co to jest. Nic nie przeczytałam, więc się nie martw, twoje tajemnice są bezpieczne. - Próbowałam się zaśmiać.

Spojrzał na mnie z góry i przez chwilę myślałam, że cierpi. Potem przecesał ręką włosy, odgarniając je z twarzy, odwrócił się i uderzył pięścią w ścianę.

- Po prostu niech pani stąd idzie - powiedział.

- Przepraszam, Aleksandrze, naprawdę jest mi...

- Powiedziałem, niech pani wyjdzie!

- Aleksandrze, proszę...

- Co, proszę? - Odwrócił się na pięcie.

- Słuchaj, wiem, że nie powinnam była zaglądać do tej książki, ale już ci mówiłam, nic nie przeczytałam, tylko otworzyłam okładkę.

- Ale to wystarczyło, czyż nie? - I zanim zdążyłam go powstrzymać, wybiegł rozniewany z pokoju.

Rozdział 5

Pani Angrid spojrzała na termometr, potrząsnęła nim i przeszła po pokoju.

- Nic ci nie jest, młoda damo.

- Stale jednak robi mi się gorąco i wtedy czuję mdłości. Trwa to już kilka tygodni. Serce bije mi raz szybciej, raz wolniej, czy to nie jest dziwne?

Pojawiła się z powrotem nie wiadomo skąd.

- Wielkie nieba, a teraz dlaczego płaczesz? Już ci mówiłam, nic ci nie jest.

- Nie wiem, dlaczego płaczę.

Założyła ręce na piersiach i uśmiechnęła się.

- A ja myślę, że wiem. Jest to prawdopodobnie kombinacja dnia miesiąca i upału. Za kilka dni poczujesz się znacznie lepiej, a teraz już idź, bo spóźnisz się na film.

- Jaki film?

- Ten film z Jamesem Bondem, o którym od dawna marzy cała szósta klasa.

- No dobrze, idę. - Wytarłam nos i wstałam z krzesła.

- Elżbieto! - Pani Angrid zawołała za mną, gdy dochodziłam do drzwi. -

Nie zamierzasz wziąć torebki? Mój Boże, co się z tobą ostatnio dzieje?
Następnym razem zapomnisz zabrać głowę.

Było to w dniu rozdawania świadectw. Spacerowałam po terenie szkoły z chłopcami z młodszych klas, zatrzymując się, gdy chcieli przedstawić mnie swoim rodzicom - i próbując ignorować pana Ellery'ego, który robił do mnie miny poprzez tłum. Usłyszałam głos, który ledwie rozpoznawałam.

Spojrzałam i zobaczyłam Prezesa Sądu Najwyższego, idącego w moją stronę z dyrektorem przez trawnik. Spotkałam jego wzrok i uśmiechnęłam się. Równie dobrze mogłabym się uśmiechać do któregoś z cherubinów nad wejściem. Patrzył obok mnie, po czym wyciągnął rękę do kogoś, kto się przepychał przede mną. Spodłądałam na niego przez chwilę. Gdy zdałam sobie sprawę, że pan Lorimer patrzy na mnie wilkiem, odwróciłam się, torując sobie drogę w stronę tłumy.

Aleksander i Henry przesadzili nieco, jeśli chodzi o ich wygłupy w zespole muzycznym, a ja chichotałam widząc, jak niektórzy rodzice wzdrygają się na dźwięk trąbki, w którą dał Darren Goodchild, trzymając ją tuż przy twarzy Henry'ego. Wiedziałam, że Aleksander jest świadom moich spojrzeń, choć nie dał tego po sobie poznać. Chciałam tak po prostu móc podejść do niego i powiedzieć mu coś - problem polegał na tym, że nie bardzo wiedziałam co.

Zmienił się w stosunku do mnie od tego pamiętnego dnia w jego pokoju.

Rozejrzałam się w poszukiwaniu moich wiernych adoratorów, ale żadnego nie było w pobliżu. Nagle zdałam sobie sprawę, że muszę się schować do budynku, bo w przeciwnym razie skompromituję się, płacząc przy wszystkich. Dlaczego właściwie chciało mi się płakać, tego nie wiem, ale ostatnio sporo płakałam bez specjalnego powodu.

Weszłam do pokoju muzycznego i sięgnęłam po chusteczkę. Usiadłam przy pianinie. Potem wstałam i przeszłam się po pokoju. Nie chciałam wracać do swojego gabinetu, ponieważ pani Angrid na pewno przyszłaby znowu, żeby mnie stamtąd wyrzucić. Okazało się jednak, że pokój muzyczny nic jest dobrym schronieniem. Pan Ellery wszedł tak cicho, że o mało nie wyskoczyłam ze skóry, kiedy do mnie przemówił.

Zaśmiał się i zapytał, dlaczego nie jestem na dworze w ten piękny, słoneczny letni dzień.

Odpowiedziałam mu, że weszłam tu, żeby się ochłodzić.

- A te łzy?

Spojrzałam na niego i ku memu przerażeniu znów zaczęłam płakać.

- Nie powie mi pani, że chodzi o tę prezerwatywę -powiedział, mając na myśli małą paczuszkę, którą dostałam dziś rano. - Wie pani, wydaje mi się, że traci pani poczucie humoru.

- Poczucie .humoru?! — krzyknęłam. - To może pan mi powie, co było takiego śmiesznego w tym ohydny przedmiocie, czy cokolwiek tam było w środku.

- Ale to był tylko klej - wyszczerzył zęby w uśmiechu. -Może ktoś chce pani powiedzieć, że się do niej klei.

- To nawet nie jest śmieszne.

- No nie, być może nie, A pani myśli, że Belmayne miał z tym coś wspólnego?

- No, niezupełnie. Wzruszyłam ramionami. - Ale... oj, nie wiem.

Oboje wyjrzelśmy przez okno i zobaczyliśmy Aleksandra stojącego z ojcem.

- Chyba nie gniewacie się znów na siebie, co?

- Nie. To znaczy przynajmniej jeśli chodzi o mnie. Uśmiechnął się znowu.

- Powiem pani coś. Porozmawiam z nim i wyjaśnię mu parę rzeczy, to powinno załatwić sprawę. A teraz co pani powie na małą kawę? - Zaczął prowadzić mnie w stronę otwartych francuskich okien.

- Nie, nie mogę tam wyjść w takim stanie. Najpierw pójde trochę się odświeżyć.

Gdy dochodziłam do drzwi, krzyknął za mną:

- Zakładam, że wiesz, na czym polega problem Aleksandra, Elżbieto? - Mrugnął do mnie, po czym wyszedł przyłączając się do tłumu.

Następnego dnia były moje dwudzieste pierwsze urodziny, o czym nie mogłam powiedzieć nikomu w Foxton. Co do pani Angrid, to była przekonana, że kończę dwadzieścia trzy lata. Również tego dnia miał się odbyć letni bal w Szkole dla Dziewcząt imienia Św.

Winifreda. Przez cały dzień zespół Aleksandra miał próbę w pokoju muzycznym.

Pracowałam w gabinecie, jednocześnie słuchając, jak grają, i w którymś momencie musiałam odpłynąć myślami w swój świat, gdyż dopiero pukanie do drzwi oraz widok Aleksandra uświadomił mi, że muzyka ucichła.

Patrzył na mnie stojąc w drzwiach i przeczesując ręką włosy, aby

odgarnąć je z oczu.

- Ja - spojrział przez ramię, a ja zobaczyłam Henrygo przewieszonego przez poręcz schodów i rozmawiającego z kimś poniżej - to znaczy my chcielibyśmy zaprosić panią na tance dziś wieczorem.

Nie byłam w stanie nic zrobić, tylko stałam i przyglądałam mu się. Wtedy Henry odwrócił się.

- Zapytałeś ją już? - rzucił.

Aleksander rozpostarł dłoń, zakrył nią twarz Henry'ego i popchnął go, jakby usuwając z drogi. Gdy się odwrócił, nadal wyglądał poważnie, ale widząc, że ja się śmieję, też się roześmiał.

- Masz na myśli zabawę w Szkole Św. Winifreda?— zapytałam.

- Tak. Wszyscy się elegancko ubierają, a pan Ellery powiedział, że zawiezie panią samochodem.

- Albo jego samochód, albo Tonto - wtrącił Henry.

- W takim razie będzie to musiał być samochód pana Ellery'ego - powiedziałam.

Pan Ellery przyjechał po mnie punktualnie o siódmej i zatrąbił tak głośno, jak tylko się dało.

- Z pewnością wszyscy zemdleją na pani widok w tym stroju - powiedział obserwując moje ledwo zakryte przez sukienkę uda, gdy wsiadałam do samochodu.

- Nie uważa pan, że jest za krótka?

- Chyba pani żartuje. Wygląda znakomicie! Wystarczyło jednak, że weszłam do holu szkolnego, a już wiedziałam, iż popełniłam błąd; Wszystkie dziewczęta od Św. Winifreda miały długie suknie -

prawdziwe suknie balowe, a ja w mojej mini od Mary Quant, ściśle przylegającej do ud, czułam się jak totem indiański. Było jednak za późno, żeby zawrócić, powiedziałam więc sobie po prostu, że jestem od nich starsza i mogę się ubierać w to, na co mam ochotę. Patrząc jak

Aleksander śpiewa na scenie, klaskałam w ręce, tupałam nogami w takt muzyki i śmiałam się z chłopców, którzy próbowali zrobić pociąg. Dyrektor przyglądał mi się groźnym wzrokiem, ale ja zbyt dobrze się bawiłam, by się tym przejmować. Aleksander śpiewał: *W górę i w dół, i wkoło znów kręcimy się*, a wszyscy zrzucali buty z nóg, rozpuszczali włosy i kręcili się jak szaleni. Chłopcy, którzy wyglądali inaczej niż w szkole, prawie jak dorośli - w tych swoich czarnych swetrach polo i szarych spodniach - obracali dziewczynami

jak młynkiem w takt piosenki *Rock Around the Clock*, a nawet próbowali madisona.

Aleksander śpiewał pierwszą zwrotkę *Doo Wah Diddy Diddy*, a wszyscy wiwatowali, gdy pan Ellery wywijał mną na środku parkietu.

- Wszystko w porządku? - krzyczał obracając mną wkoło.

- Wspaniale. Ale tak przy okazji, to co pan powiedział Aleksandrowi?

- Powiedzmy, że wyjaśniłem mu kilka rzeczy.

- Na jaki temat?

- Mój i pani.

- Czy to właśnie było to, co go niepokoiło?

- Pani wie, że tak - krzyknął, gdy Henry Clive chwycił mnie za rękę i obrócił w tańcu, podczas gdy ktoś inny grał za niego na perkusji.

Wydawało się, że wszystko trwało zaledwie chwilę, a już zespół zaczął się kłaniać, po czym przygasły światła na ostatni taniec wieczoru. Koniec letniego balu, koniec letniego semestru. Śpiewali jedną z moich najbardziej ulubionych piosenek, *Przypieczętowane pocałunkiem* Bryana Hylanda.

Piłam coca-colę obserwując, jak pan Ellery prosi do tańca dyrektorkę od Św. Winifreda. Potem odwróciłam się i zobaczyłam Aleksandra schodzącego ze sceny. Gdy skierował się w mo-

ją stronę, serce zaczęło mi walić młotem i nagle ogarnęła mnie panika. Wyciągnęłam rękę, żeby dolać sobie coli, ale wtedy jego ręka zamknęła się na mojej; nie patrząc na niego odstawiłam szklankę i poszłam za nim na parkiet.

Obejmował mnie tak, że prawie nie śmiałam się poruszyć. Czułam jego oddech na policzku, gdy śpiewał słowa piosenki:

Nie chcę się żegnać na lato Wiedząc, że stracimy miłość, Przymknij, że spotkamy się we wrześniu I przypieczętuj to pocałunkiem.

Jego nogi poruszały się obok moich, wiedziałam, że przytula mnie za mocno, ale nie byłam w stanie się odsunąć. Głowę miałam na jego ramieniu, a pod sztywnymi palcami czułam jego plecy. Po chwili zdałam sobie sprawę, że drzę - i że on też drży. Pan Ellery spojrzał na mnie, a ja odwróciłam wzrok.

Byłam tak przepełniona uczuciem, iż myślałam, że się uduszę, a panika, którą odczuwałam wcześniej, znów dała o sobie znać. Potem muzyka powoli ucichła i odsunęliśmy się od siebie. Spojrzałam wreszcie na niego. Miał taki sam wyraz twarzy jak wtedy, gdy przyłapał mnie ze swoim pamiętnikiem. Ale po chwili już patrzył na mnie inaczej. Gdy pochylał się nade mną, nagle

zapaliły się światła.

Pani dyrektor klaszcząc w ręce zaczęła gromadzić swoje dziewczynki. Aleksander cały czas patrzył na mnie, gdy jak oszalała szukałam pana Ellery'ego po sali. Zauważyłam go, czekającego na mnie przy drzwiach; podbiegłam do niego.

Pan Ellery trajkotał przez cały czas w drodze powrotnej do Foxton, a wszystko, do czego ja byłam zdolna, to uśmiechać się i przytakiwać. Nie byłam w stanie myśleć. Po prostu chciałam

być sama. Gdy tylko wróciłam do domu, pobiegłam prosto do lustra w sypialni. Miałam lśniące, większe niż normalnie oczy, wypieki na twarzy i było mi gorąco, za gorąco. Chciałam się znaleźć z powrotem na parkiecie. Chciałam, żeby znów śpiewał mi do ucha słowa tej piosenki, chciałam, żeby przygasło światło i żeby...

Zakryłam twarz rękoma. Chciałam, żeby mnie pocałował.

Rozdział 6

A więc tak to się zaczęło. Głupi kawał, przedstawienie, a potem taniec. Nie podejmowałyśmy z Janice więcej tego tematu, ale kiedy odwoziła mnie na dworzec Paddington w ostatnim dniu wakacji, powiedziała:

- Zmierzasz do upadku, Elżbieto. To wszystko nie jest w porządku i ty dobrze o tym wiesz.

Lecz to z nią było coś nie w porządku. Miałam sześć tygodni, żeby spojrzeć na wszystko z perspektywy, i już podjęłam decyzję, że w nowym semestrze będę się starała omijać Aleksandra.

Teraz, kiedy jest w szóstej klasie, a jego pokój

znajduje się w przybudówce do stajni, nie powinno to być trudne... I nie byłoby, gdybym pomimo wcześniejszych postanowień nie wybierała najdziwniejszych dróg wokół budynku szkoły, mając nadzieję, że jakimś cudem go spotkam. Wydawało się, że on również codziennie miał jakiś problem, z którym musiał przyjść do mojego gabinetu, lub znajdował powód, dla którego ja musiałam przyjść do świetlicy szóstej klasy. Nic nigdy nie zostało powiedziane, ale czasami napotykałam jego spojrzenie i widziałam, że rozpamiętuje wieczór, kiedy razem tańczyliśmy. Starałam się unikać jego wzroku, ponieważ ja także nie mogłam zapomnieć tego wieczoru.

Któregoś dnia zapadłam na gripę. Pani Angrid stanowczo zabroniła, by

ktokolwiek zbliżał się do naszego domku, dopóki nie wstanę z łóżka, i osobiście przynosiła mi kartki z życzeniami powrotu do zdrowia, owoce i kwiaty. Po sześciu dniach wybrałam się na wyprawę aż do pomnika Foxtona, a było to trochę dalej niż dziesięć kroków od wejścia. Gdy rozeszła się wiadomość, że już wychodzę z domu, byłam stale otoczona przez chłopców, którzy chcieli towarzyszyć mi w spacerach, a któregoś wieczoru Aleksander i Henry przyjechali na Tonto, żeby zabrać mnie na przejażdżkę. Później, nawet wtedy, gdy już czułam się lepiej, cała nasza trójka spotykała się każdego wieczoru i jeśli była ładna pogoda - szliśmy na spacer, a jeśli nie - gawędziliśmy w świdicy. Oczywiście czasami Aleksander był

bardzo zajęty lub musiał pójść gdzieś z którymś z nauczycieli. Te wieczory wydawały mi się bardzo puste.

Nie minęło wiele czasu, gdy zorientowałam się, że nie mogę spać, bo stale o nim myślę. Tak bardzo chciałam, aby mnie pocałował, że czasami musiałam chować głowę w poduszkę, żeby nie wołać jego imienia. Stawałam nago przed lustrem i przyglądałam się sobie. Nigdy przedtem nie poświęcałam zbyt wiele uwagi swemu ciału, ale teraz wydawało się ono najważniejsze na świecie. Nienawidziłam swoich piersi, dlatego że są

za duże, ale kiedy ich dotykałam, zaczynałam płakać z podniecenia.

Przed Bożym Narodzeniem moje zainteresowanie Aleksandrem szokowało mnie samą. Kiedy obserwowałam, jak gra w rugby, czułam, że wszystko w środku mnie boli. Patrzyłam na jego nogi i ramiona, sposób w jaki się porusza i w jaki opiera ręce na kolanach łapiąc oddech; na włosy, które opadały mu na oczy. A potem czekałam na jego uśmiech.

Dzień przed zakończeniem semestru zaprosiłam kilku chłopców do siebie na babeczki i gorący poncz.

Zrobiłam to celowo, mając nadzieję, że Aleksander i Henry zostaną dłużej, i rzeczywiście tak się stało.

Siedzieli na mojej starej, wysłużonej kanapie słuchając płyt, gdy Henry powiedział nagle: - Już wiem, dlaczego nie pojedziesz z nami i nie spędzisz z nami świąt Bożego Narodzenia?

W pierwszej chwili pomyślałam, że mówi do Aleksandra, ale patrzył na mnie. Zaśmiałam się.

- Nie wydaje mi się, żeby twoi rodzice bardzo na to czekali. A poza tym mam już inne plany.

Aleksander wstał i podszedł dołożyć drewna do kominka.

Obserwowałam, jak przy nim przykucnął, opierając ręce na kolanach, i

wpatrywał się w płomienie. Oczy Henryego napotkały mój wzrok; wzruszyłam ramionami. Aleksander zazwyczaj się tak nie zachowywał.

Odwróciłam się, żeby dokończyć pakowania prezentu dla pani Angrid, gdy Henry nagle stuknął się ręką w czoło i krzyknął:

- O, cholera, przecież ja mam dla ciebie prezent, Elżbieto, i zapomniałem go ze sobą zabrać. - Spojrzał na Aleksandra.

Natychmiast się zorientowałam, co oni uknuli, i mimo że nie było na świecie nic, czego pragnęłabym bardziej niż zostać sam na sam z Aleksandrem, nagle się przestraszyłam.

- Nie musisz go teraz przynosić - powiedziałam. - Dasz mi jutro rano przed wyjazdem. - Wręczyłam im wcześniej przygo-

towane małe paczuszki. - Nie wolno otwierać aż do Bożego Narodzenia.

- Nie wolno? - protestował Henry. - Musimy otworzyć je teraz. Możemy mieć nasze własne święta we trójkę. Pójdę i przyniosę swój prezent. - I zanim zdążyłam go zatrzymać, już go nie było.

Aleksander usiadł na krześle obok kominka.

- Jesteś bardzo cichy dziś wieczór — powiedziałam. Wstał, włożył ręce do kieszeni i zaczął przemierzać pokój.

Zatrzymał się, stojąc tyłem do mnie.

- A co ty będziesz robić w święta? - zapytał. Byłam zaskoczona niemiłym tonem jego głosu.

- Już ci mówiłam, że mam pewne plany - odpowiedziałam spokojnie.

- Będiesz spędzać święta sama, co? - powiedział patrząc mi w oczy.

Ciężko przełykałam ślinę. Miał rację. Janice pojechała ze swymi rodzicami na Karaiby, więc ja zarezerwowałam sobie pokój w małym hoteliku w Londynie, gdzie zamierzałam czytać książki Edny O'Brien przez całe ferie, dopóki nie będę mogła znów wrócić do Foxton.

- Nie, oczywiście, że nie będę sama. Mówię szczerze, Aleksandrze, nie wiem, co cię naszło.

Nagle znalazł się obok mnie.

- Musisz chyba wiedzieć, że nie za bardzo podoba mi się, abyś sama spędzała święta - zamruczał. - To mnie naszło!

- Ale nie masz się o co złościć, a poza tym już ci mówiłam, że nie będę sama.

- W takim razie z kim zamierzasz je spędzić? Wiem, że nie masz rodziny, więc z kim*..

- To nie twoja sprawa - wypaliłam. Wyglądał na zranionego, więc natychmiast zrobiło mi się przykro.

- Jadę do Londynu, zatrzymam się u przyjaciół.

- Jakich przyjaciół? Nigdy o nich nie mówiłaś.

- Tylko dlatego, że nie są oni częścią mojego życia tutaj, w Foxton. Daj spokój - powiedziałam starając się, by mój głos zabrzmiał wesoło - a co ty będziesz robił w święta?

- Wiesz, co będę robił. - Nagle pochylił się w moją stronę, a we mnie zamarło serce, gdy spojrzałam mu w oczy. - Elżbieto, pozwól, żebym pojechał z tobą. Mogę powiedzieć rodzicom, że spędzę święta u Henrygo.

- Aleksandrze, nie wolno ci tak mówić! Nawet myślenie o tym jest absurdalne. Twoi rodzice będą chcieli cię zobaczyć i ty też będziesz chciał z nimi spotkać się.

- Nie chcę. Chcę być z tobą.

Zaczerwienił się z zażenowania i złości, a ja nie wiedziałam, co powiedzieć. Usiadł obok mnie i wziął

mnie za rękę. Bezskutecznie próbowałam mu się wyrwać.

- Aleksandrze - głos uwiązł mi w gardle. - Przestań, proszę. Wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli wyjdiesz, zanim powiesz coś, czego potem będziesz żałował.

- Nie będę tego żałował. Do diabła! Przestań traktować mnie jak dziecko! Przecież wiesz, co do ciebie czuję.

- Aleksandrze! - podskoczyłam na kanapie. - Nie mów nic więcej.

Chłopcy - młodzi mężczyźni, będący jeszcze w szkole, mają prawo się napalać, ja to rozumiem. Ale ty, Aleksandrze, posuwasz się za daleko. - Robisz z siebie pośmiewisko.

Widziałam, że mocno go to zabolalo.

- Czy wiesz, jakie to uczucie? - zapytał. - Czy wiesz, co przeszedłem przez wszystkie miesiące od tego wieczoru na balu? Jeśli ci nie zależy, to dlaczego?

- Och, Aleksandrze, oczywiście, że mi zależy. - Co ja mówiłam? - Lubię cię. Lubię twoje towarzystwo i wydawało mi się, że ty lubisz moje. Ale to nie było nic więcej, Aleksandrze, naprawdę nic więcej.

- Kłamiesz! - wrzasnął. - Wprowadziłaś mnie w błąd.

Sprawiałaś, że myślałem, iż czujesz do mnie to samo, co ja czuję do ciebie

- a cały czas to były tylko pozory. Teraz widzę, jaka naprawdę jesteś. Jesteś po prostu samotną starą panną, która moim kosztem podbudowuje swoje ego.

- Przestań! Przestań! Nie wprowadziłam cię w błąd, ja... -Wyciągnęłam do niego rękę, ale wyrwałam się i stanęłam za kanapą, traktując ją jak barierę między nami,

- Cały czas naśmiewałaś się ze mnie, co? - krzyczał. - Teraz to widzę. Wszystko mówiłaś panu Elleryemu, śmiałaś się, że nie jestem w stanie odrabiać lekcji, że nie jestem w stanie nic zrobić, bo cały czas myślę o tobie. Byłem tylko obiektem żartów, czyż nie tak?

Zakryłam twarz dłońmi.

- Mylisz się, Aleksandrze, uwierz mi. Chciałam, żebyś... och proszę, idź już.

- Idę i nie oczekuj, że któryś z nas tu wróci. Widzisz, nawet Henry dał się omamić. Nawet on widział, jak się do mnie odnosisz. Ale odtąd to już koniec, Elżbieto, koniec z nami wszystkimi. - Sięgnął do kieszeni. - Masz! Oto prezent dla ciebie na święta. Wesołych świąt! - powiedział i rzucił mi go pod nogi.

Drzwi zatrzasnęły się za nim, a ja nagle zdałam sobie sprawę, że nie mogę pozwolić mu tak odejść.

Był już na dole schodów, gdy otworzyłam drzwi. Spojrzał w górę, gdy go zawołałam. A potem, zanim zorientowałam się, co się dzieje, byłam już w jego ramionach. Wiedziałam, że to nie jest w porządku, ale nie mogłam pozwolić mu odejść.

Wprowadził mnie z powrotem do pokoju, pociągnął mnie i uklęknął przed kominkiem.

- Przepraszam - wyszeptał, wyciągając rękę, by otrzeć mi łzy. -r Przepraszam za wszystko, co powiedziałem.

- Ja też. - Spuściłam głowę, ale on podniósł moją twarz i pocałował mnie. Najpierw bardzo delikatnie, ale gdy jego ręce zamknęły się na mych policzkach, przywarłam do niego, chcąc czuć go jak najbliżej.

- Powiedz, że mnie kochasz, Elżbieto. Proszę, powiedz mi - wymamrotał.

Pocałował mnie ponownie i tym razem poczułam, że nasze języki spotkały się. Przesunęłam palcami po jego włosach, coś mówiłam, nie zdając sobie z tego sprawy.

- A teraz pozwolisz, żebyśmy z tobą pojechali? - zapytał. Potrząsnęłam głową.

- Proszę cię, Aleksandrze, bądź rozsądny. Nie możesz pojechać, nie wolno ci tego zrobić tylko dlatego, że przyznaliśmy, co do siebie czujemy. To wcale nie jest w porządku. Musisz pojechać do domu, do rodziców, a ja pojedę do Londynu. Potem, po świętach... zobaczymy, kto wie? Myślę, że po tym, co zaszło, lepiej będzie, jeśli nie będziemy zostawać sam na sam.

Zakrył mi usta ręką.

- Nie mów tak. Nigdy więcej tak nie mów. Zgadzam się pojechać do domu na ferie, ale tylko pod tym warunkiem, że zgodzisz się widywać ze mną potem, tylko jeśli mi przyrzekniesz, że nadal będziesz mnie kochać. Proszę, przyrzeknij mi, Elżbieto.

W końcu nie miałam siły mu odmówić. I tak już za bardzo go kochałam.

Rozdział 7

Nie mogłam popełnić większego błędu niż pojechać do małego hotelu pana Billingsa w pobliżu Bayswater Road. Właściciel był miłym, jowialnym mężczyzną, który oznajmił mi z dumą, że dostałam jedyny pokój z łazienką, jednak tapety i zasłony były wypłowiałe - a biorąc pod uwagę mój nastrój - gdy zamknęły się za nim drzwi, musiałam walczyć ze sobą, żeby powstrzymać łzy. Duży fotel pod stojącą lampą był odpowiedni do siedzenia i czytania, lecz nigdy nie przeczytałam więcej niż kilka pierwszych linijek *Dziewczyny o zielonych oczach*.

Chodziłam na spacerzy oglądając sklepy lub do Hyde Parku i starałam się ze wszystkich sił nie myśleć o Aleksandrze - ale oczywiście nie myślałam tylko o nim.

W nocy, słuchając dźwięków dochodzących z ulicy, siedziałam przed lustrem i dotykałam, palcami ust, przypominając sobie, jak to było, kiedy mnie całował. I zawsze kończyło się tym, że krzyżowałam ramiona na piersiach i chciało mi się płakać, tak bardzo chciałam go dotknąć.

W dzień Bożego Narodzenia otworzyłam prezent, który od niego dostałam. Kiedyś, gdy wszyscy rozważaliśmy, co byśmy sobie kupili, gdybyśmy mieli dużo pieniędzy, powiedziałam, że kupiłabym sobie drogie francuskie perfumy o nazwie „Y”. Zapamiętał to. Tak bardzo chciałam, żeby był tam wtedy, kiedy prawie umierałam z tęsknoty. A ponieważ drżałam, gdy otwierałam paczuszkę, upuściłam ją i butelka się stłukła. Całe święta przepłakałam w poduszkę. Nie mogłam znieść myśli, że mogłabym go utracić, jeszcze nie.

Późnym popołudniem, dwa dni po Bożym Narodzeniu, pan Billings

zapukał do moich drzwi.

Musiałam zasnąć, wydawało mi się bowiem, że na korytarzu słyszeć jakiś hałas. Ktoś mówił, że widział mnie, jak wychodziłam. Wyskoczyłam z łóżka, książka spadła z głuchym odgłosem na podłogę. Gdy otworzyłam drzwi i pstryknęłam światło, zauważyłam pana Billingsa na szczycie schodów.

Jego twarz pojaśniała, gdy mnie zobaczył, i zaczął coś mówić, ale ja patrzyłam, kto stoi za nim. To niemożliwe. Chyba śniłam. Przecież nie wiedział, gdzie jestem...

- ...to miło mieć gości, szczególnie w okresie świąt - mówił pan Billings. Poklepał Aleksandra po ramieniu i popchnął go w moją stronę. Potem usłyszałam, jak Aleksander dziękuje za herbatę, którą proponuje mu pan Billings, i jakby w oszołomieniu pozwoliłam wziąć się za rękę i wprowadzić do pokoju. Kiedy zamknęły się drzwi, odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć, podniósł rękę i odgarnął szalik z twarzy.

- Wesołych świąt - powiedział cicho. Nieswoim głosem dopytywałam się:
- Skąd wiedziałeś...? Co robisz...?

Wziął mnie w objęcia. Jego twarz - jeszcze zimna od wiatru - przytuliła się do mojej, a ramiona obejmowały mnie mocno. Puścił mnie, a ja otworzyłam szeroko oczy.

- Aleksander...

- Powiedz mi tylko, że mnie kochasz, Elżbieto. Proszę. -Całował moje oczy, nos i policzki, a potem znowu usta. - Nie mogłem myśleć, nie mogłem spać, nie mogłem jeść. Musiałem przyjechać.

Powiedz, że czułaś to samo. Powiedz, że kochasz mnie tak bardzo, jak ja kocham ciebie.

- Kocham cię - wyszeptałam Łamiącym się głosem, bo starałam się nie płakać.

Zdjął płaszcz i położył na krześle. Patrzyłam w bok, ale on wziął mnie za brodę i odwrócił do siebie.

Leciutko się uśmiechnęłam.

- Nie chcę już dłużej czekać - wyszeptałam.

Całował mnie powoli i drżącymi palcami próbował rozpiąć mi sukienkę. Po chwili podniósł mi rękę i wskazał gestem, żebym rozebrała się sama, podczas gdy on zaczął zdejmować swoje ubranie. Prawie cały czas patrzyłam

na ścianę naprzeciwko, ponieważ bałam się spojrzeć na niego, a także, że mogę go rozczarować. I oto stał obok mnie, przesuwał dłonie po moich ramionach, a ja wtuliłam twarz w jego szyję.

Rozpiął mi stanik, a potem delikatnie odsunął mnie od siebie. Gdy ściągnął mi ramiączka i zobaczył moje piersi, usłyszałam, jak oddech zamarł mu w gardle. Próbowałam się zakryć, zażenowana.

Odciągnął moje ręce i przyciągnął je do siebie.

- Popatrz na mnie, Elżbieto - wyszeptał. - Popatrz na mnie tutaj.

Spojrzałam w dół zahipnotyzowana i patrzyłam, jak moje ręce przesuwały się po jego człomku, a potem, kiedy otoczył moje brodawki palcami, uścisnęłam go. Spojrzałam w górę, słysząc dźwięk wydobywający się z głębi jego gardła, tak jakby się krztusił. A potem nagle moja dłoń zrobiła się mokra.

- O mój Boże! - Głos Aleksandra chrypiał wściekłością i zawodem. Odwrócił się, zakrywając twarz rękoma. Stałam nie wiedząc co robić, gdy przebiegł koło mnie i uciekł do łazienki.

Kiedy weszłam, stał opierając się o umywalkę.

- Aleksandrze - wyszeptałam.

- Nie - burknął. - Nie chcę twojego współczucia. Podeszłam do niego i oparłam głowę na jego ramieniu.

- Kocham cię - powiedziałam. - Nie bądź zły. To się czasem zdarza po raz pierwszy.

- Skąd wiesz? - wypalił.

Objęłam go i zaczęłam całować. Odwrócił mnie i przygarnął mocno do siebie.

- Po prostu nie mogłem się zatrzymać - wyszeptał.

- Rozumiem to - powiedziałam.

Wziął ręcznik i owinął nim biodra, a potem usiadł na brzegu wanny. Kołysałam jego głowę w swoich ramionach, przeczesując palcami włosy. Próbował być dzielny za nas oboje, ale teraz wiedziałam, że przyszła moja kolej.

- Wrócisz teraz do pokoju? - zapytałam w końcu. Pokiwał głową, więc wzięłam go za rękę i poprowadziłam do

łóżka, gdzie położyliśmy się obok siebie.

- Elżbieto - wyszeptał w ciszę. - To, co powiedziałaś przed chwilą, że to się czasami zdarza pierwszy raz... - Podniósł się na łokciu i patrzył mi w

twarz. - Chciałbym móc znaleźć odpowiednie słowa, by wyrazić, jak wiele dla mnie znaczysz.

Zamknęłam oczy i przyciągnęłam go do siebie, żeby mnie pocałował. Po chwili wsunęłam mu język do ust i nie upłynęło wiele czasu, gdy poczułam, jak wzbiera w nim namiętność. Odezwał się nieswoim głosem.

- Myślisz, że możemy spróbować jeszcze raz? Przytaknęłam, a gdy zbliżał usta do moich piersi, zaczęłam z

trudem przełykać ślinę. Podniósł głowę, przyciągnął mnie do siebie, a ja poczułam na brzuchu jego męskość. Bałam się i zamknęłam oczy, gdy ścigał mi majtki, a potem zaczął delikatnie dotykać opuszkami palców. Nigdy przedtem nie odczuwałam czegoś takiego. Zesztywniałam, gdy przyciskał

dłonie do moich ud i spojrzawszy mu w oczy próbowałam wymówić jego imię.

Zabrał rękę i delikatnie rozsuwając mi nogi położył się na mnie. Następnie poczułam, że bardzo wolno otwieram się przed nim i przyciągam go do siebie. Jedno delikatne pchniecie i już był we mnie.

Dotknął swymi wargami moich warg i wszedł we mnie głębiej. Zatkąło mnie z bólu, zatrzymał się.

- Czy dobrze się czujesz? - wyszeptał.

Skinęłam głową, a gdy zaczęliśmy się znowu poruszać, całe moje ciało przepełnione było miłością.

Wsunął pode mnie ręce i podniósł bliżej do siebie, a kiedy oplótłam jego nogi swoimi, zaczął się poruszać szybciej, oddychał z trudem, a później wykrzyknął moje imię i zapadł się cały we mnie.

Objęłam go ramionami, cały czas przytulając się do niego. Nasze ciała były lepkie i wilgotne, jego serce waliło mocno przy moim, ale nie chciałam, żeby już wyszedł ze mnie. Podniósł głowę, by mnie pocałować, i poczułam jego łzy na policzkach.

W końcu odsunął się ode mnie. Od razu wiedziałam, że coś jest nie tak i byłam przerażona, że żałuje tego, co zrobiliśmy. Oddałam mu się tak łatwo, a jeśli teraz będzie mną za to gardził? Chciałam coś powiedzieć, obserwując go siedzącego na brzegu łóżka, z głową opartą na rękach, ale paraliżował mnie strach.

- Powiedz mi, co mam zrobić - wyszeptał. - Powiedz mi, czego chcesz.

Ponieważ nic nie odpowiedziałam, odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć.

- Jesteś taka piękna, Elżbieto, a to co mi właśnie dałaś... Ale ty musisz czuć to samo.

Zamknęłam oczy i z ulgą wyciągnęłam do niego ręce.

- Po prostu bądź tutaj - wyszeptałam - wszystko, co masz zrobić, to po prostu być tutaj.

- Ale ja mogę dać ci więcej - nalegał. - Wiem, że mogę. Powiedz mi tylko, pokaż mi, jak to robić.

- Nie wiem - odpowiedziałam.

Gdy spojrział na mnie, zauważyłam niepewność w jego oczach.

- Czy mogę spróbować - zapytał.

Przytaknęłam. Kiedy zaczął mnie pieścić, a potem wsunął mi palce między nogi, nagle uświadomiłam sobie, co powinien robić. Biorąc nieśmiało jego rękę, zatrzymałam ją tam, gdzie była.

- Tam - powiedziałam. - Właśnie tam. - I gdy mnie tak dotykał i zaczął znów głaskać, doświadczyłam czegoś tak wspaniałego, że nigdy w życiu nie byłabym w stanie tego opisać. Zasnęliśmy na chwilę, a gdy się obudziłam, jego palce zataczały kręgi wokół brodawek moich piersi. Zmarszczył brwi, jak gdyby nie mógł uwierzyć w to, co dzieje się z moim ciałem, a potem się uśmiechnął, gdy zauważył, że go obserwuję.

- Czy możemy się znowu kochać? - zapytał szeptem.

Później, gdy wróciłam z dołu z herbatą i kanapkami, rozmawialiśmy, a ja próbowałam udawać, że jestem zła, kiedy powiedział, że przed wyjazdem ze szkoły zajrzał do mojego kalendarza i stąd wiedział, gdzie mnie szukać.

- Nie ma sensu, żebyś patrzyła na mnie w ten sposób, Elżbieto - powiedział, siedząc nago na brzegu łóżka i rozdzie-

rając zębami kanapkę z indykiem. - Wiem, że się ucieszyłaś, gdy mnie zobaczyłaś. No powiedz, że się ucieszyłaś - dodał, gdy nic nie odpowiedziałam.

- W pewnym sensie. Wzruszyłam ramionami.

- W pewnym sensie? - zakrztusił się. - W takim razie wolę nie myśleć, w jakim stanie fizycznym byłbym teraz, gdybyś naprawdę ucieszyła się na mój widok. I przestań patrzeć na mnie tam, wiesz, jak to na mnie działa.

- Nigdzie na ciebie nie patrzę - oponowałam. - A teraz powiedz, co z twoimi rodzicami? Co oni myślą, że gdzie jesteś?

- W Londynie. Wzruszył ramionami.

- I że co robisz?

- No, nie myślą, że śpię z młodszą siostrą przełożoną z Foxton, to jest pewne.

Przestałam się uśmiechać.

- Aleksandrze, nie mów w ten sposób.

- Przepraszam. Myślą, że przyjechałem, aby pójść do teatru z innymi chłopcami.

- Czy zostaniesz tylko na jedną noc? - Starłam się, żeby mój głos nie brzmiał desperacko, ale serce biło mi już tak mocno, że próbowałam zakryć je rękoma.

Musiał zrozumieć co czuję, ponieważ podszedł i ukląkł przede mną.

- Nie opuszczę cię teraz, Elżbieto, nie mogę. Wyglądał tak młodo, tak dzielnie. Co teraz z nami będzie?

Dwa dni później wreszcie odważyliśmy się wyjść do teatru. Było przedpołudniowe przedstawienie *Szczęśliwych dni*, sztuki Becketta, która pomimo absurdalnej tematyki rozśmieszała nas do łez, gdy Winnie, zakopana w ziemi do pasa, próbowała wypełnić sobie dni piłując paznokcie i przetrząsając torebkę.

Przez całe przedstawienie Aleksander trzymał mnie za rękę i co jakiś czas nachylał się, żeby mnie pocałować, tak jak wtedy, kiedy myślał, że śpię. Ja również całowałam go, gdy spał, bo wyglądał wtedy tak młodo i był taki bezbronny. Wiedziałam, że mimo okazywanej pewności siebie bał się tak samo jak ja, że coś może zakłócić nasze szczęście. Bywało również - kiedy nie umiał ukryć swego oszołomienia tym, co się z nim dzieje - że spoglądał na mnie przez kilka minut, potem błagał, żebym powiedziała, jak bardzo go kocham, a ja śmiałam się i opowiadałam mu różne romantyczne głupstwa, dopóki on również nie zaczął się śmiać.

Po przedstawieniu zdecydowaliśmy, że skoro się tak dobrze bawimy, zaszalejemy i poszukamy jakiejś wesołej restauracji, gdzieś w Covent Garden. Właśnie szliśmy w kierunku bistro ukrytego na tyłach targu, gdy stało się coś, czego nie przewidzieliśmy - Aleksander zauważył panią Jenkins uwieszoną na ramieniu swego męża. Aleksander szybko wciągnął mnie do jakiegoś sklepu i skrył w swych ramionach.

Pani Jenkins przepłynęła obok nas, nie patrząc nawet w naszą stronę, ale my staliśmy jeszcze ładne parę minut sparaliżowani faktem, że byliśmy o włos od zdemaskowania. Spojrzeliśmy na siebie.

Wiedzieliśmy, że to dopiero początek. W zaciszu naszego małego

pokoiku na Bayswater było nam bardzo łatwo mówić sobie, jak dzielnie stawimy czoło światu. Rzeczywistość okazała się inna.

Czar wieczoru prysł, wracaliśmy do hotelu, nie odzywając się do siebie. Zanim doszliśmy, podjęłam decyzję. Spotkanie pani Jenkins sprawiło, że byłam chora ze wstydu: podobnie jak ona powinnam być odpowiedzialnym członkiem personelu szkoły. Nagle wyobraziłam sobie oskarżające spojrzenia rodziców Aleksandra, pani Angrid, pana Lorimera, pana Ellery'ego i reszty chłopców, którzy mi zaufali. Musiałam być szalona, żeby pozwolić na taki rozwój sytuacji. Czy w ciągu ostatnich kilku dni chociaż raz się zastanowiłam, co robię i jak to wpłynie na

Aleksandra? On był za młody, by znać swój umysł, był uparty, zdecydowany i rozpieszczony. Może zachowywał się jakby był starszy i na takiego wyglądał, ale nie zmieniało to faktu, że nie miał jeszcze siedemnastu lat. Nasz związek należy zakończyć teraz, bez względu na to, ile bólu mi to sprawi, ponieważ jest to nic w porównaniu z tym, jaką krzywdę mogę mu wyrządzić, jeśli pozwolę, żeby to trwało.

Zanim otworzył drzwi do hotelu, zatrzymałam go i odwróciłam w swoją stronę.

- Aleksandrze - powiedziałam miękko - chcę, żebyś poszedł do pokoju i zabrał swoje rzeczy. Nie. Nie.

Proszę, nic nie mów, nie spierajmy się, nie mogłabym tego znieść. Musimy się pożegnać, kochany, więc lepiej niech to będzie teraz, zanim świat zepsuje to, co przeżyliśmy razem. Zdecydowałam, że będzie najlepiej, jeśli nie wrócę do Foxton w nowym roku...

- Elżbieto! - Położył mi rękę na ustach. - Zostaję tutaj z tobą. Wejdź do środka, proszę. Musimy porozmawiać, wiem, że musimy, ale nie próbuj odpychać mnie w ten sposób.

Głos zamierał mi w gardle na myśl o stracie, jaką już odczuwałam.

- W ten sposób będzie łatwiej, Aleksandrze. Jeśli zaczniemy rozmawiać, to tylko wszystko utrudni. Ja teraz idę na spacer. Proszę, zabierz swoje rzeczy...

- Powiedziałaś, że mnie kochasz, Elżbieto.

- Prawie dusząc się od łez, potrząsnęłam głową. - Kocham cię, Aleksandrze, ale nie mogę, nie mogę...

- i wyrywając dłoń z jego ręki pobiegłam w dół ulicy.

Spodziewałam się, że pobiegnie za mną, a kiedy tak się nie stało,

musiałam mocno zagryźć wargi, żeby krzykiem nie wypełnić pustki. Spacerowałam ponad godzinę, nie wiedząc zupełnie, o czym myślę ani gdzie idę. Byłam przerażona perspektywą powrotu, ale przecież musiałam wrócić. To jest pierw-

szy krok, jaki muszę zrobić, stawiając czoło życiu bez niego. Gdy przestąpiłam próg pokoju, zeszywniałam - on tam był, siedział na łóżku i czekał na mnie.

Zamknęłam drzwi i w ciszy patrzyłam na niego obolałymi i zapuchniętymi oczami. Wstał, wziął mnie za rękę i poprowadził do łóżka.

- Usiądź - powiedział - i posłuchaj. I nie przerywaj mi, dobrze?

Skinęłam głową.

Usiadł na starym, krześle, zwiesił ciemną głowę, skupiając w półmroku na mnie wzrok.

- Wiem, co każdy pomyśli - że w moim wieku nie znam swego umysłu, że rujnuję sobie życie i temu podobne rzeczy. Ale to nie ma znaczenia, co myślą inni ludzie, Elżbieto, ponieważ nic nie zmieni moich uczuć do ciebie. Oczywiście, że nie będzie to łatwe, szczególnie kiedy wiem, że nawet ty uważasz mnie za zbyt młodego na to, co się zdarzyło między nami. Wszystko, co mogę powiedzieć, to tyle, że zarówno w książkach i filmach, które cenię, jak również w dotychczasowym życiu - mimo że tak niewiele widziałem - miłość nigdy nie liczy się z wiekiem. Kocham cię i chcę, żebyś nadal była najważniejszą częścią mego życia. Nic innego mnie nie obchodzi. Wiem, że nadejdzie czas, kiedy inne rzeczy też będą dla mnie ważne - ale zawsze, bez względu na okoliczności, tylko ciebie będę kochał. Nic tego nie zmieni, Elżbieto. Nie potrafię określić słowami tego, co uczyniłaś z moim życiem, ale wiem, że bez ciebie nie będzie ono nic znaczyć. Więc jeśli mnie teraz opuścisz, skrzywdzisz nas oboje, być może bardziej, niż potrafimy sobie wyobrazić.

To, co próbuję powiedzieć, jest w istocie bardzo proste. Już teraz bardzo cię kocham, ale wiem, że będę kochał cię zawsze, a jeśli mi nie wierzysz, być może będziemy musieli czekać całe wieki, żebyś się o tym przekonała. Tak czy inaczej, nie zmieni

to tego, co do ciebie czuję. Proszę więc, nie odgradzaj mnie od swego życia.

Zrobiło się już prawie całkiem ciemno i ledwie go widziałam w drugim końcu pokoju. Upłynęło sporo czasu, zanim wstałam i podeszłam do niego.

Wyciągnął do mnie ręce. Siedziałam mu na kolanach, obejmowałam go, kołysząc do przodu i do tyłu, i wycierając łzy z policzków.

- Podobnie jak ty, nie wiem, co przyniesie przyszłość, ale miejmy nadzieję, że nasza miłość będzie na tyle silna, żeby stawić jej czoło.

Rozdział 8

Nigdy nie myślałam, że to możliwe, ale z upływem czasu moja miłość do Aleksandra stawała się coraz silniejsza. Po powrocie do Foxton przechodziliśmy straszne męczarnie - będąc tak blisko, jednocześnie nie mogliśmy się dotknąć. Próbując zapanować nad sobą, śmialiśmy się ze wszystkiego.

Aleksander na przykład celowo poruszał się tak, jakby przechodził najgorszy rodzaj męczarni fizycznych, rozśmieszając mnie do łez.

- Ale ja naprawdę tak się czuję - stwierdził, gdy powiedziałam mu, że przesadza.

Między lekcjami przybiegał do gabinetu lekarskiego, zamykał za sobą drzwi i całował mnie tak mocno i prędko, że zanim zdążyłam się zorientować, już go nie było. Pod koniec każdego dnia zawsze staraliśmy się pójść na spacer lub - jeśli padało - ja wślizgiwałam się do świetlicy na filiżankę kawy, podobnie jak to robiłam z ubiegłoroczną szóstą klasą. Mimo że niewiele razy byliśmy sam na sam i tak udało się nam kochać dwukrotnie w ciągu kilku pierwszych tygodni nowego semestru.

Za pierwszym razem miało to miejsce w stodole, która znajdowała się dwie mile od szkoły. Nieważne, że gdy tam dotarłam, buty miałam całe w błocie, a włosy potargane przez wiatr. Cały czas trzymałam w ręku liścik, który zostawił rano w poszewce od poduszki, prosząc bym spotkała się z nim o czwartej, kiedy to szósta klasa zazwyczaj odrabiała lekcje w swoich pokojach albo słuchała płyt w świetnicy. Później, gdy posiniaczeni, leżeliśmy obok siebie pełni czułości, naśmiewałam się z tego, jak zrzucałam fartuch i przewracaliśmy się w sianie. Nasze śmiechy i figle, przypominały baraszkowanie dwóch baranków na polu.

Ponieważ wielu uczniów odwiedzało w domu zarówno panią Angrid jak i mnie, nie powstawały żadne podejrzenia co do wizyt Aleksandra i Henryego - chociaż powodowało to sprzeczki między nami, gdy nie pozwalałam Aleksandrowi przychodzić częściej i samemu. Jednak pewnego razu przyszedł

wczesnym wieczorem, właśnie gdy miałam się kąpać. Stało się to, co było nieuniknione, a w kilka sekund po tym, jak skończyliśmy się ubierać, pani Angrid zapukała do moich drzwi

i zaraz potem weszła.

Przyjrzała nam się podejrzliwie; później; bardzo wzburzona tym, że omal nie zostaliśmy zdemaskowani, urządziłam Aleksandrowi awanturę. Byłam zaszokowana jego lekkim podejściem do tego incydentu. Wyrzucałam mu, że jest niedojrzały, licząc iż pani Angrid będzie po naszej stronie.

Nie cierpiał, gdy

przypominałam mu jego młody wiek, więc odpalił mówiąc, że wykorzystuję swoją pozycję i ukrywam nasz związek.

- Tak, prawdę mówiąc to nie jestem zbyt dumna z tego, co robimy - powiedziałam.

- A więc wstydzisz się. - Jego twarz pobladła. - Nie jestem niczym innym tylko napalonym uczniakiem, który spełnia twoje...

- Nie mów do mnie w ten sposób! Nic by z tego nie było, gdybym cię nie kochała, ale twoje głupie i nieodpowiedzialne zachowanie sprawia, że zastanawiam się, jak długo to potrwa. Masz tu więcej nie przychodzić, słyszysz, co mówię?

- Zgoda!

- I nawet nie myśl o wkładaniu liścików do mojej poszewki, spalę je, zanim przeczytam.

Przemęczyliśmy się w milczeniu przez dwa dni, aż jego wola osłabła i znalazłam liścik wsunięty pod drzwi gabinetu. Chciał, żebym wiedziała, iż wcale nie myśli tego, co powiedział, że nie zamierza być pyszałkiem, ale po prostu kochając mnie tak bardzo, chciałby, aby cały świat się o tym dowiedział.

Teraz zdał sobie sprawę, jak dziecinne było jego zachowanie, więc jeśli mu przebaczę, to czy spotkałabym się z nim później w lasku. Zignorowałam to. Następnego dnia był kolejny liścik i dwa kolejne w trzecim dniu. Nadal je ignorowałam. Ostatni liścik został doręczony do domu i mówił, żebym poszła do diabła.

Przeżywałam męczarnie, aż spotkałam jego wzrok przy obiedzie i zaczęłam się śmiać. To jednak nadal nie powstrzymało mego zdenerwowania. Tak bardzo martwiłam się o to, co robiliśmy, -tak bardzo obawiałam się, jak to się potoczy, że po prostu nie wiedziałam, co robić. W takim stanie znalazł mnie pewnego popołudnia, kiedy byłam sama w

gabinecie, zanosząc się od płaczu.

Spojrzał na mnie, bez słowa wyciągnął ramiona i objął mnie. Próbowałam się odwrócić.

- Nie! Nie rób tego! - powiedział ze złością. - Na litość boską, dlaczego chcesz, żebyśmy oboje tak cierpieli?

- Nie wiem, co robić - powiedziałam. - Kocham cię, bardzo cię kocham, ale Aleksandrze...

- Posłuchaj, oboje wiedzieliśmy, że to nie będzie proste, więc nie utrudniaj wszystkiego jeszcze bardziej. A teraz przestań już i przytul się do mnie.

Pozwoliłam mu się objąć, ponieważ w tej chwili nie przejmowałam się, że ktoś mógłby wejść i nas odkryć. Kochałam go i to było wszystko, co się liczyło.

Wrócili! - krzyczał Aleksander. - Ci cholerni Cyganie wrócili!

Henry podniósł wzrok znad gazety, a Aleksander mrugnął widząc, że idę w ich stronę. Było późne popołudnie, siedzieli obok kortów tenisowych, czytając poranne gazety i wykrzykując przypadkowe niemiłe komentarze do chłopców, którzy grali w tenisa.

- Bogu dzięki, że mnie nie ma w domu - powiedział Aleksander. - Mogę sobie teraz wyobrazić ojca, jego ohydną purpurową twarz i tę pulsującą węzowatą żyłę. Życie nie jest wtedy nic warte.

Henry zabrał Aleksandrowi gazetę i szczerząc zęby podał ją mnie.

- Czy czytałaś ten kawałek, że oni są jak robactwo? - zapytał Aleksander spoglądając na mnie. - Jak mówi moja mama, nigdy się ich nie pozbędziemy, jeżeli ojciec nie wytruje ich siarczanem. Tak czy inaczej, to prawda co mówi. Widziałem ich, jak byłem na Boże Narodzenie, ohydne typy. Zastanawiam się, czy to prawda, że dorabiają się na prostytutce dzieci. W lokalnym brukowcu napisali, że tak.

- Nie tylko w lokalnym - powiedział Henry. - Tutaj też coś o tym piszą.

- Henry, drogi chłopcze, czemu u licha czytasz taką szmatę?

- Jesteś takim snobem, Aleksandrze Belmayne - zaśmiałam się.

- Zupełnie się z tym zgadzam - powiedziała pani Angrid, wychodząc zza naszych pleców.

Aleksander wykrzywił się, a następnie odwrócił się w stronę Henry'ego.

- Co tam piszą? - zapytał.

- Wiadomości w skrócie. Wszystko o tej prostytucji dzieci. Cytują twojego ojca, jakoby coś mówił, że wezwie firmę Rentokil, żeby się tym zajęła.

Aleksander zawył ze śmiechu.

- Renta kto? - zapytałam.

- Rentokil. Firma, która zajmuje się tępieniem szkodników

- oświeciła mnie pani Angrid.

- Zupełnie jakbym słyszał mojego ojca - powiedział Aleksander. - Nie ma wątpliwości, że sika z radości na myśl o nadchodzącej walce.

- Aleksandrze!

- Przepraszam, siostrzo przełożona, chwilowo się zapomniałem. - Gdy posłał jej całusa, musiałam się odwrócić, żeby nie zauważył, że się śmieję.

- A tak w ogóle - mówiłam dalej, gdy pani Angrid odeszła

- co wy dwaj tu robicie? Myślałam, że idziecie do teatru dziś po południu.

- Pan Lear zachorował - odpowiedział Henry, opróżniając puszkę shandy.

- Tytus Andronicus zostawił nas w opałach. Aleksander podał mi puszkę shandy.

- Mogę tylko powiedzieć, że cieszę się, iż jestem teraz tutaj a nie w domu.

- Wstał, podszedł do mnie i obejmując mnie ramionami pocałował w szyję.

- Aleksandrze! - wrzasnęłam odskakując od niego. - Na litość boską, ktoś mógłby zobaczyć! - Zaśmiał się, a ja rzuciłam mu piorunujące spojrzenie, lecz równocześnie usłyszałam, jak sama mówię, żeby przyszedł do gabinetu po kolacji. Henry wyciągnął się i ziewnął.

- Wiecie co, tak sobie myślałem - powiedział - że musimy spróbować znaleźć jakiś sposób, aby cię zabrać z nami do Oksfordu, Elżbieto.

Uśmiechałam się boleśnie, obserwując Aleksandra, który usiadł i wziął do ręki gazetę. To było coś, o czym nie pozwalałam sobie myśleć - pora, kiedy będą musieli wyjechać.

- Mam nadzieję, że dziewczyny w Oksfordzie są trochę bardziej pociągające niż te od Św. Winifreda - zadumał się Henry. - Już to sobie wyobrażam. Orgie i kolejne orgie. Może powinienem więcej ćwiczyć. Nie może być tak, że ty uwodzisz każdą pannę w okolicy, nie, Aleksandrze.

Gdy odchodziłam, usłyszałam słowa Aleksandra.

- Henry, stary, co ci strzeliło do głowy? Nastąpiła cisza, potem Henry powiedział.

- Nie miałem nic takiego na myśli. Po prostu się nie zastanowiłem. Powiedz jej, że mi przykro, dobrze?

Kilka minut później, słysząc, że drzwi gabinetu zamknęły się, wyszłam zza parawanu.

- Nic nie musisz mówić powiedziałam, zanim on zdążył się odezwać. - Musimy jednak spojrzeć prawdzie w oczy. Gdy stąd wyjedziesz...

- To jeszcze dużo czasu, Elżbieto. A poza tym to, że będę w Oksfordzie, niczego nie zmieni. Przez cały czas będziemy nadal się widywać.

Pocałował mnie i nie po raz pierwszy poczułam, że zaczynam się rozklejać. Stracę go, wiedziałam, że go stracę. Uśmiechał się, gdy uwolnił mnie ze swych objęć.

- I co w tym takiego śmiesznego? - zapytałam. - Ty.

- Ja!? Dlaczego?

- Nie wiem, tak po prostu. - Wzruszył ramionami. - Uwielbiam twoje włosy - powiedział zdejmując mi czepek i wyciągając spinki. - Hebanowe włosy i hebanowe oczy. Podnieś spódnicę, chcę popatrzeć na twoje nogi.

- Czy możesz przyjść do mnie wieczorem, po dziesiątej? - zapytałam czując, jak jego palce wędrują pod moimi podwiązkami. - Chcę, żebyś się ze mną kochał.

Jego twarz nagle spoważniała.

- Przyjdę - powiedział.

Kupiłam trochę wina, wyłożyłam orzeszki i chipsy, ale jak przyszedł, zapomnieliśmy o tym wszystkim. Później, gdy siedzieliśmy przed kominkiem, a nasze ubrania leżały porozrzucane po pokoju, zaczął mówić o tym, co robiliśmy. Wtedy po raz pierwszy uprawialiśmy seks oralny. Nie wiem dlaczego - być może dlatego, że przez cały dzień czułam się niepewna - nagle wybuchnęłam płaczem.

Natychmiast przerwał to, o czym mówił, i przysunął się, żeby być blisko mnie.

- Myślałem, że ci się podobało. Przepraszam, nie będziemy tego więcej robić.

- Oczywiście, że mi się podobało - powiedziałam. - Dlatego płaczę. Spojrzał na mnie z ukosa.

- Zdaje się, że tę zagadkę będę musiał sam rozwiązać. Westchnęłam i oparłam głowę na jego ramieniu.

Podniósł

swój kieliszek z winem i podał mi go, potem sam wypił łyk.

- O czym myślisz? - zapytał.

- Myślę i mam nadzieję, że pewnego dnia będziesz wspominał to wszystko i przypomnisz sobie tak jak, to było. No wiesz, jak bardzo się kochaliśmy, jak wiele nauczyliśmy się nawzajem...

- Nie lubię, gdy mówisz w ten sposób. Przecież razem będziemy wspominać, czyż nie?

- Chciałam tylko powiedzieć, że jeśli z jakiegoś powodu tak się nie stanie, to mam nadzieję, że zawsze pozostaniemy dla siebie wspaniałym wspomnieniem.

- Przestań, Elżbieto. Przestań mówić takie rzeczy. To w związku z tym, co Henry powiedział dziś po południu, prawda? Więc posłuchaj, co ci teraz powiem, nie pojedę do Oksfordu na studia.

Zdecydowałem, że będzie łatwiej nam obojgu, jeśli nie pojedę.

- Pojedziesz do Oksfordu. A jeśli nie, to wtedy naprawdę cię zostawię. Tak czy inaczej, jestem dzisiaj w złej formie, Aleksandrze - nie zwracaj na mnie uwagi. Gdzie jest wino? - Wstał po butelkę, a kiedy wrócił, przyglądałam się, jak je nalewa. - Uśmiechnij się, Aleksandrze, chcę zobaczyć twój przekrzywiony ząb.

Zaśmiał się, a potem się pochylił nade mną. Cała moja niepewność odeszła, ponieważ kiedy byliśmy razem, coraz bardziej stawaliśmy się jednością.

Któregoś ranka kilka dni później siedziałyśmy z panią Angrid i pakowałyśmy apteczki na wielkanocny bieg terenowy, leniwie gwarząc na temat nowego eksperymentu, który miał polegać na tym, że dziewczęta ze Szkoły Św. Winifreda będą uczestniczyły w wykładach dla szóstej klasy w Foxton. Stwierdziłyśmy, że dziewczęta na pewno będą rozpraszać uwagę chłopców, którzy powinni raczej myśleć, jak dostać przyzwoitą ocenę. Pani Angrid wyszła zrobić herbatę, a gdy wróciła i usadowiła się na krześle, zamiast wziąć do ręki filiżankę, długo wpatrywała się we mnie surowym wzrokiem.

Czułam się nieswojo i próbowałam żartować.

- To ja, Elżbieta - powiedziałam. - Tak pani patrzy, jakby widziała mnie po raz pierwszy.

- O, nic - powiedziała kręcąc głową - nie po raz pierwszy. Widziałam cię

już wiele razy, moja droga.

- Jak dziwnie pani mówi.

Westchnęła ciężko i wyciągnęła rękę po herbatę. Czekałam, aż zacznie mówić, próbując nie zwracać uwagi na sygnał alarmowy, który i tak już dźwięczał mi w głowie. Minęła dobra chwila, zanim odezwała się znowu.

- Ta cała pogawędka o dziewczętach przed chwilą... - zaczęła. - No tak, wydaje mi się, że nie ma sensu owijać w bawełnę. Wiesz, do czego zmierzam. - Patrzyła na mnie, czekając na odpowiedź. - Czy wiesz, co robisz? - zapytała bez ogródek.

- Pakuję apteczki - zażartowałam.

- Elżbieto.

- Poczulałam, że się rumienię, i odwróciłam wzrok.

- Widziałam jak wychodził z naszego domku poprzedniego wieczoru - powiedziała.

Kiedy spojrzałam jej w oczy, zrozumiałam niemą prośbę, żebym nie kłamała, i chociaż chciałam zaprzeczyć, powiedzieć jej, że coś sobie ubzdurała, okazało się, że nie potrafię. Wstałam z krzesła i podeszłam do okna.

- Nie wiem, co powiedzieć.

- Tu nie ma nic do powiedzenia. Ważne jest, co musisz zrobić.

Z trudem przełykałam ślinę. Chciałam na nią krzyczeć, nazwać ją wścibską starą babą, która miesza się w nie swoje sprawy, zamiast pilnować własnego nosa. Ale w głębi duszy wiedziałam, że ma rację.

- Opuścił się w nauce - kontynuowała pani Angrid. - Oblał łacinę na koniec semestru. Wiedziałas o tym? Nie? Tak też mi się wydawało. Dzisiaj zdaje angielski, tak?

Przytaknęłam.

- Pan Lear uważa, że też obleje.

- Czy pan Lear wie? - zaparło mi dech.

- Nie. Ale zaczynają się pytania. Zawsze był lepszy od innych, o wiele lepszy. Został wezwany przez pana Lorimera,

wiedziałaś o tym? Ten chłopak jest jak zamroczony przez ciebie, Elżbieto. Nie potrafi ani jasno widzieć, ani jasno myśleć. Jeśli nie uzyska najlepszych ocen w przyszłym roku, nie muszę mówić, co to będzie oznaczało.

Potrząsnęłam głową. Mówiła mi - najdelikatniej, jak potrafiła - coś, o czym dobrze wiedziałam.

Rujnowałam mu życie.

- Czy uważa pani, że powinnam Wyjechać? - zapytałam po długiej chwili.

- Nie — powiedziała dobitnie.

Gdybym teraz wyjechała, byłby jeszcze bardziej rozkojarzony. Powinnam raczej porozmawiać z nim i spróbować namówić go, żeby zaczął zachowywać się rozsądnie.

- Czy zamierza pani opowiedzieć komukolwiek to, co pani wie? - zapytałam ją.

Uśmiechnęła się i po raz pierwszy zobaczyłam jej dziwną twarz bliską płaczu.

- Nie - powiedziała. - Zdaje się, że wiem, co czujesz do niego, Elżbieto. Inni pomyślą, że go zbałamuciłaś, że bawisz się nim. Lecz ja wiem. Wiedziałam to od samego początku.

Serce mało mi nie wyskoczyło.

- Próbowałam nie dopuścić do tego - powiedziałam.

- Nie wątpię, że próbowałaś. Teraz jednak jest już za późno, już się stało. Musisz pomóc mu uzyskać najlepsze oceny na koniec roku, tylko o to cię proszę. Jak tylko dostanie się do Oksfordu, cała sprawa spali na panewce. On jest za młody na to wszystko i to samo dotyczy ciebie. Powinnaś spotykać się z ludźmi w swoim wieku.

- Mówią, że prawda jest zawsze bolesna. - Uśmiechnęłam się, a ona wzięła mnie za rękę.

- Bardzo cię lubię, Elżbieto. Ostatnią rzeczą, jaką chciałabym widzieć, byłoby twoje cierpienie. Ale myślę, że w głębi serca wiesz, co powinnaś zrobić.

Tego wieczoru poprosiłam Henry'ego, żeby poszedł z nami na spacer. Można nas było widzieć ze szkoły, bo nie chciałam dawać powodów do podejrzeń.

Aleksander krzyczał i wściekał się, gdy powiedziałam mu, co powiedziała pani Angrid. W pierwszej chwili zamierzał pobiec do szkoły i powiedzieć jej, co o niej myśli, ale wspólnie z Henrym udało nam się go powstrzymać. W końcu gdy się uspokoił i wszystko dokładnie omówiliśmy we troje, ubiłam z Aleksandrem interes. Jeśli zgodzę się wyjechać z nim na Wielkanoc - tylko we dwoje - to on zabierze się poważnie do nauki w następnym semestrze.

Ponieważ rodzice Aleksandra wyjeżdżali do Francji zobaczyć się jego

siostrą i jej mężem, nie mieli mu za złe, gdy im oznajmił, że jedzie pomóc w nadzorowaniu jednego z kursów Outward Bound dla młodszych uczniów. Pojechaliśmy osobnymi pociągami do stacji Penzance. Potem pojechaliśmy do domku letniego, który wynajęliśmy zaraz za Zennor.

Przez dwa i pół tygodnia tysiąc razy próbowałam powiedzieć mu, że to już koniec, ale nie byłam w stanie tego zrobić. Wydawało się, że wszystkie jego poczynania mają na celu uszczęśliwienie mnie.

On sam był taki szczęśliwy, że samo zastanawianie się nad tym, jak wszystko popsuć, było zbyt bolesne. Wiedziałam, że udaje, iż jesteśmy małżeństwem, począwszy od sposobu, w jaki próbował

pomagać mi w kuchni, czy jak walczył z odkurzaczem do dywanów lub jak podchodził do baru w miejscowym pubie, żeby zamówić mi drinka, nie pytając co chcę. Po raz pierwszy byliśmy zupełnie wolni - tylko dla siebie, po raz pierwszy nie musieliśmy oglądać się przez ramię, w obawie że ktoś może nas zauważyć. Był inny, o wiele bardziej pewny siebie, taki dorosły, taki opiekuńczy - chociaż oczywiście zdarzyło się kilka spięć. Było to wspaniałe uczucie posmakować, jakie mogłoby być nasze wspólne życie - ale jeszcze bardziej utrudniało mi powiedzenie, że gdy skończą się

wakacje, nie chcę się z nim więcej widywać... Zdecydowałam, że to będzie jedyny sposób. Gdyby myślał, że zrywam z nim, ponieważ ktoś inny powiedział mi, że to będzie właściwe rozwiązanie - nie zgodziłby się na to, ale jeśli w jakiś sposób uda mi się wytłumaczyć mu, że już go nie kocham, wtedy będzie musiał się pogodzić z moim odejściem.

Czekałam aż do ostatniego dnia. Poszłam do wsi, żeby kupić mleko. Byłam zaskoczona, gdy powiedział, że nie idzie ze mną, przez cały czas pobytu bowiem prawie się nie rozstawaliśmy.

Przynajmniej miałam czas przygotować się do tego, co zamierzałam powiedzieć. Nie było mnie dosyć długo. Spacerowałam wokół kościoła, gapiąc się na ponure wrzosowiska i wmawiając sobie, że robię to z miłości do niego, ponieważ tak będzie dla niego najlepiej - próbowałam nie myśleć o tym, jak bardzo go skrzywdzę.

Gdy otworzyłam furtkę do ogrodu, wyglądał przez okno, zaniepokojony moją długą nieobecnością.

Serce wyrywało mi się do niego i musiałam walczyć ze sobą, żeby się nie uśmiechać i nie machać do niego.

Wzięłam głęboki oddech, zanim stanęłam w drzwiach. Nadal stał przy

oknie, patrząc jak wchodzi, i od razu wiedziałam, że coś knuje. Wtedy zobaczyłam, co to jest. Z jednej z dębowych belek zwisał

transparent, po którym biegł napis: Czy zostaniesz moją żoną?

Był wyraźnie zdenerwowany - a jednak nigdy nie widziałam w jego oczach tyle miłości.

- Nie wiedziałem, czy napisać: „czy wyjdiesz za mnie”, czy podoba ci się słowo „żona” - wyjaśnił. -

Mogę zrobić inny napis, jakkolwiek zechcesz, tylko czy...

Rozkleiłam się i zaczęłam płakać, a on natychmiast był przy mnie. Tulił mnie, a ja wczepiałam się w niego błagając, by zawsze mnie kochał i nigdy mnie nie zostawił... W końcu udało mu się mnie uspokoić i poszedł zrobić herbatę. Zaczęłam

się śmiać. Było to tak, jakbym go utraciła, a teraz do mnie wrócił. On również się śmiał, ale wiem, że był dezorientowany.

- Śmieję się, bo jesteś wariatem, bo kocham słowo „żona” i ciebie tak bardzo kocham, że mało nie oszaleję z radości - powiedziałam.

- Czy to znaczy, że wyjdiesz za mnie? - zapytał przyglądając mi się badawczo.

- To znaczy, że wyszłabym za ciebie już teraz, w tej sekundzie, gdybyśmy mogli...

- Proszę, nie podawaj listy powodów, dla których nie możemy. Chcę tylko usłyszeć, jak powiesz „tak”, a potem porozmawiamy kiedy.

- Zapytaj jeszcze raz.

- Czy wyjdiesz za mnie?

- Tak.

Dopiero dużo później tego dnia byliśmy w stanie rozmawiać o tym sensownie. Wtedy - choć nie mogłam się zdobyć na odejście - wymusiłam na nim zgodę, że nie będziemy ponownie mówić o małżeństwie, dopóki nie wróci z Oksfordu.

- Nadal będę chciał, wiesz - wyszeptał.

- Będę się modlić do Boga co wieczór, żebyś chciał.

Rozdział 9

Wiedząc, co mogłoby się stać, gdyby ktoś się o nas dowiedział, oboje zachowywaliśmy się w sposób bardziej odpowiedzialny po powrocie do Foxton na letni semestr. Nadal jednak Aleksandrowi bardzo trudno było zachować dyskrecję, dlatego też gdy miałam wolny wieczór, szłam do pubu,

żeby go nie kusiło przyjść do mnie do domu lub gabinetu. Poza tym nie było tak źle, pomijając to, że zawsze byli wokół nas jacyś ludzie, ale przynajmniej widywaliśmy się i codziennie zostawialiśmy sobie liściki w poduszce.

Potem - co było do przewidzenia - Aleksander znalazł

sposób na nasze trudności: odkrył opuszczoną chatę dróżnika milę lub dwie od szkoły... Spotykaliśmy się tam przynajmniej raz w tygodniu, a byliśmy tak bardzo ostrożni, że nie powiedzieliśmy o tym nawet Henry'emu. Aleksander przychodził od strony tunelu, który znajdował się około stu metrów od chaty, podczas gdy ja, zaliczając szybkiego drinka w czasie lunchu, przechodziłam za pubem, wspinałam się przez płot, przebiegałam szybko przez pole pełne krów, a potem dróżką docierałam do chaty, gdzie on już czekał na mnie - pewnego razu przebrany w kapelusz dróżnika, z chorągiewką, gwizdkiem i kolejką na szynach.

Nigdy mu o tym nie powiedziałam - być może dlatego, że byłby z tego powodu niezadowolony - że zaprzyjaźniłam się z pewną dziewczyną w pubie. Miała na imię Ruth. Powiedziała mi, że jej rodzina mieszka w wiosce. Dużo mówiła o sobie, rozśmieszyła mnie, opowiadając o wszystkich swoich chłopakach i w jaki sposób jej nadskakiwali.

- Musisz poznać Petera - powiedziała pewnego dnia, po tym jak opowiedziała mi szczegółowo, co robili poprzedniej nocy. Kiedy poszłam do pubu następnego dnia, Peter też tam był.

Któregoś dnia - całkiem przypadkowo - wspomniałam Aleksandrowi o Ruth i Peterze. Tak jak przypuszczałam, był zazdrosny, toteż więcej o nich nie mówiłam.

Pod koniec semestru do szkoły przyjechali rodzice Aleksandra. Sprawozdanie, jakie otrzymali od pana Lorimera, nie było wspaniałe, ale i tak o wiele lepsze, niż którekolwiek z nas mogłoby się spodziewać. Oczywiście ojciec Aleksandra nie był tym uszczęśliwiony i dał mu to do zrozumienia.

Przez cały dzień suszył mu głowę, a potem zabrał jego i Henrygo do wioski na kolację.

Umówiłam się z Ruth w pubie o wpół do ósmej. Ostatnie dwa tygodnie Peter spędził w Londynie na załatwianiu spraw służbowych, byłam więc trochę zaskoczona widząc go w pubie. Usadowiliśmy się w kącie baru z naszymi drinkami i podczas

gdy Ruth rozmawiała z Peterem o Londynie, ja zastanawiałam się nad tym, co w tej chwili robi Aleksander.

- Jakaś jesteś dzisiaj przestraszona, Elżbieto - powiedziała Ruth; - Chyba nic się nie stało?

Spojrzałam na nią.

- Przepraszam, byłam myślami o wiele mil stąd.

- Mil? Czy tylko kilkaset metrów za wzgórzem, w Foxton?

- Co do mnie, to uważam, że ukrywa tam gdzieś jakiegoś tajemniczego kochanka - wtrącił Peter. - No, powiedz lepiej, kto to jest. Nauczyciel łaciny? Nauczyciel angielskiego? Już wiem, to dyrektor.

- To typowe, jeśli chodzi o ciebie - powiedziała Ruth. -Wszystko musi sprowadzać się do seksu. -

Odwróciła się do mnie. - Nie zwracaj na niego uwagi.

Tak bardzo ich lubiłam. Chciałabym przedstawić ich Aleksandrowi.

- Powiedz, czy nigdy nie tęsknisz za Londynem? - zapytała Ruth. -

Mieszkałaś tam, zanim tu przyjechałaś, nieprawdaż?

Gawędziliśmy o tym, gdzie pracowałam w Londynie, i o miejscach, które lubiłam odwiedzać. Wizyta lorda Belmayne'a w szkole tak mnie rozkojarzyła, że nie mogłam się skupić na tym, co mówię, ale wydawało się, że ani Ruth, ani Peter tego nie zauważają.

Kiedy wróciłam do domu około pół do jedenastej, Aleksander czekał już na mnie. Od razu wiedziałam, że pił; ukrył się w krzakach za pomnikiem, skąd nie mógł się wydostać.

- Gdzie byłaś? - pytał, gdy próbowałam go wyciągnąć.

- Nie powinieneś tu przychodzić. Gdzie jest Henry? Poszedł podpisać się za siebie i za mnie -

wybełkotał. -

Zawsze to miło spotkać się ze starszankami, ale oni marudzą i marudzą. Jest jakaś szansa na kawę?

Gdy weszliśmy do domu, nalegał, że zrobi kawę, ale idąc do kuchni przewrócił się na poręcz kanapy.

- Lepiej powiedz, ile wypiełeś wina? - zapytałam.

- Niewiele. To brandy musiało tak podziałać.

Pomogłam mu usiąść na krześle w kuchni. Siedział cierpliwie i obserwował mnie, dopóki nie podeszłam do lodówki, by wyjąć mleko. Wtedy wstał, podszedł i objął mnie.

- Chciałbym, żebyśmy już byli małżeństwem - powiedział unosząc moje włosy i całując mnie w szyję.

- Będziemy, czyż nie? Pewnego dnia wyjdiesz za mnie?

- Tak - powiedziałam. - Tak, wyjdę.
- Niewiele brakowało, żebym im dzisiaj powiedział o tobie. Zamarłam.
- Ale nie powiedziałaś?
- Nie, lecz zamierzam to zrobić. W czasie letnich wakacji. Pojadę do domu na kilka dni, wtedy im powiem... Pokiwałam przecząco głową.
- Nie, nie, nie wolno ci. Jeszcze nie teraz.
- ...potem pojedziemy gdzieś, tylko my dwoje. Dokąd chcesz pojechać? Zaczęłam protestować.
- Odpowiedz tylko na moje pytanie - powiedział. - Dokąd pojedziemy? Zdałam sobie sprawę, że nie ma sensu teraz z nim dyskutować.
- Zaproponuj jakieś miejsce - powiedziałam.
- Sark. To jest taka mała wysepka niedaleko Guernsey. Bardzo romantyczna.
- Zabierzemy ze sobą Henry'ego?
- Jeszcze nie zwariowaliśmy.
Odsunęłam się od niego i przeszłam do pokoju.
- Nie podejrzewam, aby udało mi się ciebie namówić, żeby to była podróż poślubna? - powiedział i klucząc dotarł do kanapy.
- Nie, nie uda ci się.
- Wiedziałem, że tak powiesz. Tak czy inaczej, zawsze możemy udawać, że jesteśmy małżeństwem. Zrobię rezerwację dla pana i pani Belmayne, jak to brzmi?
Uśmiechnęłam się i o mało serce nie wyskoczyło mi z radości na sam dźwięk tych słów.
- Ach, zupełnie bym zapomniał. Do licha! Musiała mi wypaść w krzakach. Stój tam i nie ruszaj się.
Wrócił z płytą, którą nastawił. Gdy rozległa się muzyka, przyciągnął mnie do siebie i objął ramionami.
- Pamiętasz?
Jak mogłabym zapomnieć? Było to *Przypieczętowane pocałunkiem*.
- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin i z okazji rocznicy, kochana - powiedział, gdy zaczęliśmy tańczyć.
- Rocznicy?
- Dzisiaj wieczorem mija rok od chwili, kiedy po raz pierwszy trzymałem cię w ramionach i tańczyliśmy tę melodię.
Spojrzałam mu w oczy i zastanowiłam się, co takiego zrobiłam, żeby zasłużyć na kogoś tak beznadziejnie romantycznego.

- A teraz zamknij oczy, mam dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę.
Zrobiłam, jak prosił, a gdy jego wargi przywarły do moich, poczułam, że manewruje przy mojej lewej ręce. Był to pierścionek zaręczynowy.

- Daję ci moją miłość, moje serce i moje życie - wyszeptał. Tuż przed końcem semestru pojechałam na dwa dni do

Londynu. Wytłumaczyłam Aleksandrowi, że muszę pomóc Janice wykaraskać się z kłopotów. Nie był

zbyt zachwycony, że zostanę tam na noc, ale przypomniałam mu, że ma wtedy grać w krykieta w szkole w Dorset i że właściwie nie będzie zbytnio za mną tęsknił.

Kiedy wróciłam, pani Angrid czekała na mnie, drzwi do jej gabinetu były otwarte.

- Elżbieto, wejdź do mnie, dobrze?

Gdy zobaczyłam jej twarz, od razu wiedziałam, że coś się stało; pomimo upału ręce mi zlodowaciały.

Przede wszystkim pomyślałam, że coś się stało Aleksandrowi.

Zamknęła za mną drzwi i podeszła do biurka.

- O co chodzi? - zapytałam i sama byłam zaskoczona martwym dźwiękiem swojego głosu.

Spróbowałam jeszcze raz. - Chyba Paul Raven nie zachorował na odrę?

- Nie, Elżbieto - powiedziała z grobową miną - tu nie chodzi o Paula Ravena. - Spojrzała na gazetę leżącą na biurku, po czym odwróciła ją w moją stronę.

Spojrzałam na pierwszą stronę i w tym momencie zrozumiałam, jakie to jest uczucie, gdy komuś cały świat wali się pod nogami. SENSACJA; SYN PREZESA SĄDU NAJWYŻSZEGO ZAKOCHANY

W CYGANIE. Przez sekundę myślałam, że zemdleję, miałam bowiem uczucie, że ściany gabinetu zacieśniają się wokół mnie.

Nigdy - nawet w najgorszych snach - nie śniło mi się coś podobnego. Strona tytułowa, tak żeby cały świat mógł się dowiedzieć. Ogromne, czarne litery i zdjęcia szkoły w Foxton. W prawym dolnym rogu mniejsze zdjęcie przedstawiało obóz Cyganów na terenie posiadłości lorda Belmayne'a. Przeczytałam kilka pierwszych wierszy artykułu. „W związku z zarzutami, że na terenie posiadłości lorda Belmayne'a - Prezesa Sądu Najwyższego - ma miejsce prostytucja dzieci cygańskich, nasi reporterzy mogą teraz wyjawić, że syn lorda Belmayne'a, Aleksander Belmayne, sam prowadzi rozwiązłe życie w elitarniej Szkole Męskiej w Foxton, wraz ze swoją cygańską

miłością...” Słowa zaczęły mi się zamazywać przed oczami i musiałam mocno trzymać się blatu biurka, żeby nie upaść. Pani Angrid podsunęła mi krzesło, a potem podała kieliszek koniaku.

- Aleksander - powiedziałam próbując wstać. - Gdzie on jest? Czy to widział?

Pani Angrid wyciągnęła rękę, żeby mnie zatrzymać.

- Jest w gabinecie dyrektora. Razem z ojcem. Zamknęłam oczy i poczułam, że ręce zaczynają mi znowu

drżeć. Zrobiło mi się niedobrze, myślałam, że za chwilę zwymiotuję. Pani Angrid przysunęła mi krzesło. Wzięła mnie za ręce i zaczęła je rozcierać.

- Elżbieto - powiedziała - spójrz na mnie. Powoli i z trudem spojrzałam na jej twarz.

- Wiem, że wychowywałaś się na jarmarkach, dziecko. Pani Carey powiedziała mi o tym, gdy dawała ci referencje. Nie ma się czego wstydzić. Musisz mi jednak powiedzieć, moja droga, czy masz coś wspólnego z rodziną Ince?

Potrząsnęłam głową.

- Nie.

- To dlaczego w tej gazecie napisali, że masz? Przełykałam ślinę, próbując wydobyć z siebie głos.

- Nie wiem - powiedziałam. - Jarmarki, pewnie myślą... - spojrzałam na nią. - Nie jestem Cyganką, przynajmniej nie taką, za jaką mnie uważają.

Pani Angrid ścisnąwszy mnie za rękę zapytała grubym, głębokim głosem.

- Czy Aleksander wie, gdzie się wychowywałaś?

- Nie. Nigdy to nie było ważne. - Spojrzałam na nią znowu. -

Wiedziałam, że kiedyś nasz związek będzie musiał się rozpaść, naprawdę. Ale, Boże, niech to nie będzie tak. Proszę, pani Angrid...

Podskoczyłam na dźwięk dzwonka telefonu. Poklepała mnie po ręku i poszła odebrać.

- Tak - powiedziała. - Tak, zaraz to zrobię. - Miała ponury wyraz twarzy, gdy odłożyła słuchawkę. - To był dyrektor. Lord Belmayne chce cię widzieć.

Nie byłam w stanie stawić mu czoła. Bolały mnie pczy, mięśnie twarzy, całe ciało - wszystko.

- Oni się mylą! Proszę pani, pani Angrid, musi im pani to powiedzieć, popełnili błąd.

Pani Angrid położyła mi ręce na ramionach.

- Za późno, moje dziecko. Próbowałam pomóc ci wcześniej, ale teraz już nic nie mogę zrobić. - Nagle znalazłam się w jej ramionach, a ona kołysała mnie jak małe dziecko. Kiedy mnie puściła, zobaczyłam jej pobrużdżoną twarz mokrą od łez. - Będzie mi cię bardzo brakować, Elżbieto. Być może bardziej, niż przypuszczasz.

Wstrzymałam oddech, próbując to zrozumieć.

- Pójdę z tobą - powiedziała i poprowadziła mnie do gabinetu dyrektora.

Lord Belmayne czekał, aż zamkną się drzwi za dyrektorem. Potem, trzymając z tyłu zaciśnięte ręce, odwrócił się od okna, żeby na mnie spojrzeć.

- A więc - powiedział - udało się pani zrobić głupców z nas wszystkich. Mam nadzieję, że jest pani zadowolona. -Przeszywał mnie wzrokiem, ale gdy próbowałam przemówić, nie mogłam wydobyć słów.

Przechylił się do przodu, opierając ręce o biurko.

- Zdaje sobie pani sprawę, że mogła pani zrujnować życie mojego syna? Jednak przecież po to panią tu przysłali, czyż nie? Żeby zrobić pośmiewisko ze mnie - i z mojego syna, siedemnastoletniego chłopca.

Pierwszy raz się pani nie udało, co? Mam na myśli tę historię z wózkiem golfowym. Mógł zostać wtedy wyrzucony ze szkoły, lecz tak się złożyło, że uwierzyłem w jego niewinność. Ale i tak otrzymał

przypisaną mu karę, bo pani nalegała. A teraz to znowu pani - pani, której udało się doprowadzić do tego, by jego nazwisko wypisywali w tym ohydny brukowcu. Tyle tylko, że znowu pani nieczyny podstęp nie wypalił, ponieważ i tym razem mój syn nie zostanie wydalony ze szkoły. O nie! To pani

odejdzie, panno Sorrill. Zanim jednak opuści pani ten pokój, chcę wiedzieć dokładnie, kim pani jest.

Czy jest pani wnuczką Ince'a, czy jego siostrzenicą? Czy tylko oddaną przyjaciółką?

- Nie mam nic wspólnego z rodziną Ince - krzyczałam. -Nie jestem Cyganką. Ja nie...

- Posłuchaj mnie, młoda damo. Wczoraj wieczorem zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby to nie dostało się do prasy. W końcu przegrałem, a wie pani dlaczego? Ponieważ dokładnie zbadali sprawę.

Znali fakty, a fakty mówią same za siebie. Pytam więc panią jeszcze raz, kim pani jest?

- Mój tata był kuglarzem. Jako dziecko wychowywałam się na jarmarku,

ale...

- Jarmarki! Cyganie! To jest to samo!

- Nie! To nie to samo! Proszę mnie wysłuchać. Kocham pańskiego syna, a on kocha...

Trzasnął pięścią w stół.

- Niech pani daruje sobie kłamstwa wobec mnie! Jest pani niczym dla mego syna, słyszy pani, niczym!

Jeśli kiedykolwiek zbliży się pani do niego jeszcze raz...

- Nigdy go nie skrzywdzę, przysięgam. Nigdy!

- Nazwiska! Chcę znać nazwiska ludzi, którzy panią do tego namówili. Zakryłam twarz rękoma.

- To wszystko jest pomyłką. Proszę zapytać panią Angrid, ona panu powie.

Ale on nie słuchał. Był zdecydowany znaleźć jakieś powiązanie między mną a Alfredem Inceem. A jeśli nie było żadnego związku, jak mówiłam, to chciał wiedzieć, dlaczego nie powiedziałam prawdy o swoim pochodzeniu, gdy przybyłam do szkoły. I dlaczego ze wszystkich szkół w Anglii wybrałam właśnie Foxton? I dlaczego ze wszystkich chłopców w szóstej klasie wybrałam akurat jego syna?

Pytania w moją stronę padały tak

szybko, że kręciło mi się w głowie i cokolwiek chciałam powiedzieć, wychodziło nie tak. Chciał

wiedzieć, dlaczego pojechałam do Londynu poprzedniego dnia? Ile dziennikarze zapłacili mi za tę historię? Jakie następne plugastwa zamierzają wydrukować? Jak długo jeszcze będzie trwała ta vendeta? Czy ludzie tacy jak ja nie mają za grosz przyzwoitości?

- Ma pani opuścić szkołę w ciągu godziny - zakończył. -Słyszysz pani? Precz! A ja już osobiście dopilnuję, żeby pani stopa nie stanęła w żadnej przyzwoitej szkole w Anglii.

Pani Angrid odwiozła mnie do domu na Tonto. Wiedziałam, że chłopcy obserwowali nas przez okno, ale nie potrafiłam zmusić się, żeby spojrzeć w górę. Gdy wysiadłyśmy z wózka, pani Angrid zatrzymała mnie.

- Sądzę, że powinnaś wiedzieć, kto odpowiada za to wszystko, Elżbieto. To robota pani Jenkins.

Rozumiem, że widziała was w Londynie w czasie świąt? I od tamtej pory cały czas miała cię na oku. A biorąc pod uwagę jej kontakty na Fleet Street... Zaprzyjaźniłaś się z jakimiś osobami w lokalnym pubie. To dziennikarze.

Przeżywałam koszmar.

Pani Angrid odprowadziła mnie do pokoju dziennego. Był tam Aleksander. Pani Angrid popatrzyła na nas kolejno, a potem wyszła.

Mogłam zauważyć napięcie na jego twarzy i domyślić się, że jego rozmowa z ojcem wcale nie była łatwiejsza niż moja. Trzymał w ręku egzemplarz gazety.

- Nie powinno cię tu być - wyszeptałam. Jego głos był chłodny i sarkastyczny.

- Przyszedłem się pożegnać.

- Och!

- Jak mogłaś, Elżbieto? - wrzasnął nagle. - Ośmieszylaś mnie i moją rodzinę. Dlaczego to zrobiłaś?

- To nieprawda - powiedziałam. - Mylisz się, wszyscy się mylicie. Proszę, posłuchaj...

- Przestań kłamać! - krzyczał. - Po co innego jechałabyś wczoraj do Londynu, jeśli nie chodziłoby o sprawę z tym ohydny brukowcem? Chciałbym cię zabić, wiesz o tym?

- Aleksandrze, proszę...

- To za wiele jak na zbieg okoliczności, Elżbieto. Oni są tam, na ziemi mego ojca, a ty tutaj, w szkole.

Mój ojciec ma rację, czyż nie? To spisek Osiągnęłaś co chciałaś. Idź, podnieś ten ohydny brukowiec.

Zatrzymaj go sobie. A później, kiedykolwiek poczujesz się źle, będziesz się mogła napawać rozkoszą, jak to ty - Elżbieta Sorrill - ośmieszylaś rodzinę Belmayne. - Spojrzał na mnie z obrzydzeniem. - I pomyśleć, że uwierzyłem w twoją miłość do mnie.

Weszła pani Angrid.

- Aleksandrze - powiedziała cicho - myślę, że wystarczy. Złapał pudło z książkami i płytami, które mi pożyczył,

i podszedł do drzwi. Trzymając rękę na klamce, odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć. Wiedziałam, że nigdy nie zapomnę nienawiści i bólu, jakie były wtedy w jego oczach.

Pani Angrid weszła, stanęła obok mnie przy oknie i razem patrzyłyśmy, jak Aleksander idzie przez pole w stronę szkoły. Spojrzałam na pierścionek, który mi podarował - zaledwie dwa dni temu. Teraz już nigdy nie będę miała okazji powiedzieć mu, po co pojechałam do Londynu. Nosłam jego dziecko.

Aleksander

Rozdział 10

Dużo czasu zajęło mi pozbieranie się po wyjeździe Elżbiety z Foxton - i z mojego życia. Teraz, zawdzięczając to wiekowi i doświadczeniu, wiem, dlaczego robiłem to, co robiłem. Nadal jednak ze wstydem wspominam te lata i ból, jaki sprawiłem nie tylko sobie, ale również innym. W czasach kiedy życiową misją każdego studenta było naprawianie świata, pojechałem do Oksfordu, zjadany przez złość - złość palącą tym bardziej zażarcie z każdym mijającym rokiem, im bardziej chciałem zaprzeczyć istnieniu beznadziejnej pustki, jaką zostawiła po sobie Elżbieta w moim życiu.

Nie mogłem jej zapomnieć, mimo że oszukała mnie i ośmieszyła moją rodzinę. To przez nią mój pierwszy rok w Oksfordzie można uznać za stracony, rozproszony w słodko pachnącym dymie marihuany, która była jedynym lekiem na chaos i urazy nękające moje serce. A mimo to na zewnątrz zachowywałem się jak każdy inny student. Od czasu do czasu - jeśli nas to bawiło - trafialiśmy z Henrym na jakiś przypadkowy wykład, ale głównie spędzaliśmy czas oddając się intelektualnym debatom na temat tego, jak my, studenci powinniśmy wziąć na siebie odpowiedzialność za pokój na świecie. Pokój - to było hasło naszych czasów, chociaż - jak na ironię - pomimo długich włosów i głoszenia modnego socjalizmu, w naszym zachowaniu niewiele przypominało pokój czy socjalizm.

Jeździliśmy z łoskotem po całym Oksfordzie nowym Mercedesem 230 SL, w który wyposażyła mnie moja babcia na osiemnaste urodziny, wydawaliśmy skandaliczne, zaimprovizowane przyjęcia, wściekaliśmy się na establishment i w agresywny sposób wykorzystywaliśmy trend „Make love not war” (kochajcie się, a nie czyńcie wojny). Uprawianie seksu przychodziło mi nadzwyczaj łatwo, biorąc pod uwagę kolejkę dziewczyn tłoczących się pod moimi drzwiami, jakbym był wcieleniem samego Giacomo Casanovy - skandal „afery miłosnej z Cyganką” pozostawał nadal żywy.

Wystarczyło, bym kiwnął palcem, a wszystkie padały mi do stóp. Rozkoszowałem się sposobem, w jaki mogłem je wykorzystywać, a potem po prostu odejść.

Musiało to być na drugim roku studiów, kiedy rozwój wydarzeń wybawił mnie ze stanu znużenia łatwymi podbojami. Studenci w Paryżu strajkowali przeciwko rządowi de Gaulle'a, wywołując niesłychane zamieszanie wśród studentów na całym świecie. Energicznie i z krzykiem uczestniczyłem w różnych posiedzeniach, bojkotach i zebraniach. Czuliśmy, że wreszcie

nadszedł czas, by nas wysłuchano, by potępić zaniechanie idei rewolucji na rzecz kapitalistycznej wygody i by poznano nasze

obrzydzenie do okrucieństw, jakich dokonywano na całym świecie. Wraz z tysiącami innych Henry i ja maszerowaliśmy na Londyn, aby zademonstrować przeciwko wojnie w Wietnamie, przeciwko rosyjskiej inwazji na Czechosłowację, przeciwko UDI i ciemieniu Murzynów w Rodezji.

Demonstracje i protesty stały się częścią tych czasów, tak jak Janis Joplin, hippisi i koncerty muzyki pop... A koncerty muzyki pop stwarzały kolejną okazję do zrobienia skręta, rozebrania się i kochania na trawie. Pp koncercie wszędzie panował pokój i harmonia; każdy kochał świat.

To właśnie po koncercie - Festiwalu Dzieci-Kwiatów - po raz pierwszy spotkałem Jessikę. Poszliśmy całą bandą do mieszkania, które dzieliłem z Henrym w budynku Brackenbury, aby dalej słuchać muzyki. Ja jednak byłem znudzony, nie dopity i potrzebowałem nowej dziewczyny. Wspaniale wyglądająca sztuka, która późnym wieczorem weszła do pokoju powłóczystym krokiem, znakomicie pasowała do mojego wizerunku, choć tak uderzająco nie pasowała do tego miejsca rozłożonych dzieci-kwiatów, którym przyglądała się chłodno z pełną świadomością swego seksapilu.

Z początku tylko patrzyłem na nią, jak stała ogarniając wzrokiem rozrzucone ciała poprzez błękitną mgłę narkotyków i kadzidła. Nie wydawało się, by szukała jakiejś konkretnej osoby, tak samo jak nie przejmowała swym odmiennym wyglądem. Jako jedyna kobieta w pokoju nie była ubrana w kaftan i nie miała warkoczy. Właściwie patrząc na nią - taką filigranową - miało się wrażenie, jakby się przeglądało ożywione stronice „Vogue’a”.

- Za daleko - Henry zamamrotał mi do ucha.

- Kto to jest?

- Nigdy przedtem jej nie widziałem. - Wzruszył ramionami. - Zapytaj swoją przyjaciółkę. - Szczercząc zęby w uśmiechu, skinął na kogoś za mną.

Odwróciłem się. Dziewczyna, której imienia nie pamięta-

łem, wpatrywała się we mnie paranoicznie znarkotyzowanym wzrokiem.

Natychmiast rozpoznałem to spojrzenie: pieprzyłem ją trzy razy - co w jej mniemaniu przyznaje jej pewne prawa własności wobec mnie. Wziąwszy mnie za rękę wyciągnęła na zewnątrz, a ponieważ na półpiętrze było sporo osób szalejących przy „Creamack”, pociągnęła mnie na dół.

- Nazywa się Jessika Poynter — zasyczała.

- Naprawdę? - wycedziłem wkładając ręce do kieszeni i opierając się o ścianę. - Może zechciałabyś mnie przedstawić, co?

Uderzyła mnie w twarz - mocniej, niż to zazwyczaj robiły -i wybiegła. Patrzyłem za nią, rozcierając szczękę i uśmiechając się, po czym wszedłem na schody i przecisnąłem się z powrotem na przyjęcie.

Gdy odnalazłem Jessikę Poynter, przyglądała się badawczo lubieżnym twarzom na obrazie Ensora *Intryga*, który powiesiłem, żeby rozjaśnić, rozweselić trochę te ściany.

- Lepsze to niż patrzeć w lustro - powiedziałem. Spojrzała na mnie ód niechcenia, po czym znów odwróciła się do obrazu.

Przypatrywałem się jej, rozbawiony jej udawaną obojętnością, a mój wzrok wędrował powoli, zaczynając od grubo namalowanych kresek, które biegły ukośnie od wewnętrznych kącików oczu w stronę skroni, aż do białych podkolanówek, kończących się co najmniej dwadzieścia centymetrów od listwy zrobionej szydełkiem sukienki, pod którą, o ile mogłem stwierdzić, nie miała nic.

- A więc to jest słynny czy raczej niesławny Aleksander Belmayne.

Uśmiechnąłem się głupio i oderwałem wzrok od jej ledwie przykrytych piersi, przenosząc go na blade wargi.

- Czy to prawda, co o tobie opowiadają? - zapytała nie patrząc na mnie.

- Zależy, co słyszałaś.

Zrobiła krok do tyłu i przechyliła głowę na bok, nadal przypatrując się groteskowym twarzom na ścianie. W końcu podniosła na mnie wzrok, do perfekcji wykorzystując swój niski wzrost.

- Mówią, że pogardzasz kobietami.

Nie mogę powiedzieć, że byłem nieświadomy tego popularnego mitu, rozgłaszanego głównie przez zacietrzewione feministki, które panoszyły się po całym Oksfordzie, a których większość co najmniej raz korzystała z moich usług. Tym razem jednak po raz pierwszy któraś powiedziała mi o tym wprost — a przynajmniej zanim poszedłem z nią do łóżka.

Zaśmiałem się.

- A jaką odpowiedź chciałabyś usłyszeć na to pytanie?

- Jaką wolisz?

- Wolę przynieść ci drinka - powiedziałem zabierając jej pustą szklanę. Dość długo mnie nie było i spodziewałem się, że mogła zniknąć w tym

czasie, ale ona czekała.

Dlaczego one wszystkie są takie łatwe do przewidzenia?

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się do mnie odbierając szklanę, przy czym nie mogłem nie zauważyć wyzwania w jej oczach. - Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Czy pogardzasz kobietami?

Westchnąłem i nagle poczułem się znudzony.

- Pogardzam kobietami - potwierdziłem i odwróciłem się, chcąc odejść.

Złapała mnie za rękę.

- Nie zrobię nic, żeby to zmienić.

- Nie mogłabyś.

- Nie mogłabym? - Zaśmiała się delikatnie, a mnie замуrowała jej protekcyjność, a może to była agresja...

- Nie widziałem cię wcześniej - powiedziałem.

- Somemlle. Pilnie studiuję. - Wzruszyła ramionami, gdy nic nie odpowiedziałem. - Czy nie po to tu jesteśmy?

- Być może.

Powoli zaczęła się uśmiechać.

- O ile osiągniemy to, do czego dążymy.

- A ty czego chcesz?

Ponownie rzuciła mi chłodne spojrzenie. Była to wystarczająca odpowiedź.

Podtrzymałem ciszę między nami, wpatrując się w jej oczy.

Powiedziałem:

- Śpij ze mną dzisiejszej nocy.

- Czy to jest to, czego chcesz?

- Tak.

- Zawsze dostajesz to, co chcesz?

- Zazwyczaj tak.

- Ale nie zawsze? Potrząsnąłem głową.

- Mogę cię znów zobaczyć?

- Będę w okolicy.

Zaśmiałem się i przez ulotną sekundę wyglądało, że nie jest sobie pewna.

- Jutro zabiorę cię na przejażdżkę - powiedziałem.

- Słynnym Mercedesem? Nie, jutro nie. Może pojutrze. Jutro przyjeżdżają moi rodzice.

- Nie mogę ich poznać?

Wyglądała na zaskoczoną i tym razem jej oczy kpiły ze mnie.

- Dobrze. Przyjdź na herbatę. Czwarta trzydzieści. - Omiotła wzrokiem pokój, potem uśmiechnęła się.

- Jeśli desperacko szukasz towarzystwa do łóżka na dzisiejszą noc, wygląda na to, że twój przyjaciel Henry skończył z Rosalind Purbright. Jestem pewna, że będzie bardziej niż chętna, zwykle jest.

Uniosłem brwi ze zdziwienia.

- A gdybym poszedł do łóżka z Rosalind Purbright dzisiejszej nocy, nie miałabyś nic przeciwko temu?

- Dlaczego miałabym mieć?

- Może dlatego, że ja chciałbym, żebyś miała.

- OfK., w takim razie mam. Czy powinnam również dać jej po buzi jutro, czy wolałbyś oberwać ty?

- W tym tygodniu już dwa razy dostałem w twarz.

- To bardzo dobra twarz do bicia.

- Dziękuję - powiedziałem. - Twoja też.

Zaśmiała się i podniosła głowę w przyzwalający sposób. Objąłem ją i oparłem o ścianę, czując jej ciało przez azur sukienki. Spojrzała na mnie, lekko rozchylając usta i nagle chciałem ją mieć, tam, w samym środku przyjęcia. Ze sposobu, w jaki na mnie patrzyła, wiem, że też tego chciała.

Gdy przechyliłem głowę, żeby ją pocałować, wsunęła rękę pomiędzy nas i zaczęła mnie pieścić przez dżinsy. Zajęczałem w jej otwarte usta i złapałem ją za włosy. W odpowiedzi jej ręka zaczęła mnie jeszcze mocniej przyciskać i przez jedną przerażającą chwilę myślałem, że wytrysnę.

Potem nagle odepchnęła mnie od siebie.

- Ciao - powiedziała i wyszła, wręczając mi swoją pustą szklanekę.

Nie poznałem rodziców Jessiki następnego dnia, bowiem z jakiegoś powodu nie mogli przyjechać.

Nawet dobrze się stało, bo miałem mecz rugby, o którym zapomniałem. Zaprosiłem Jessikę, żeby przyszła popatrzeć, ale nie była zainteresowana.

Widziałem ją kilka razy w ciągu następnego miesiąca, ale prawie zawsze w towarzystwie, z którym przestawała, a jeśli udało się nam być sam na sam i poruszałem temat seksu, po prostu wzdychała - czy tylko o tym potrafisz myśleć? W życiu jest tyle innych ważnych rzeczy. I jeśli nie parała się historią sztuki, jechała do Hull bądź gdzie indziej, by organizować żony rybaków, albo do Dagenham, by się przyłączyć do strajku

szwaczek, które domagały się równych płac. Miałem świadomość, że się

ze mną drażni, ale przez jakiś czas mnie to bawiło, więc pozwalałem jej na to. Niedługo jednak położę temu kres i dam jej taką lekcję, że nigdy nie zapomni - a potem zajmę się kimś innym... Tymczasem skoncentrowałem się bardziej niż zazwyczaj na takich rzeczach, jak wykłady i seminaria, a Jessikę, jej sztukę i feminizm odłożyłem na drugi plan. Wkrótce się przekona, że Aleksander Belmayne nigdy jeszcze nie czołgał się przed żadną kobietą.

Potem dowiedziałem się od Henry'ego, że ona pieprzy się z Guyem Hibbertem, jednym z naszej paczki. Wpadłem prosto w pułapkę, a moja wściekłość nie miała granic, gdy w odpowiedzi na moje zaproszenie na kolację przysłała mi chłodny liścik, że jest zajęta. Jednak dalej pisała, że jej rodzice przyjeżdżają następnego dnia, a ponieważ kiedyś wyraziłem ochotę, by ich poznać, więc jeżeli nie zmieniłem zdania, to przyjeżdżają około czwartej trzydzieści.

Zwinąłem liścik i cisnąłem nim o ścianę. A żeby zademonstrować, co o niej myślę, wybrałem się na poszukiwanie Rosalind Purbright, którą natychmiast dmuchnąłem siedem razy.

O czwartej trzydzieści następnego dnia znalazłem się w Somerville College. Pofatygowałem się i wykopałem najmniej wytarte džinsy, a także poprosiłem pewną pielęgniarkę ze szpitala Radcliffe, z którą widywałem się od czasu do czasu, żeby mi uprasowała jakąś przyzwoitą koszulę. Byłem na siebie wściekły, że tak się wysilam, a jeszcze bardziej wściekły na Henry'ego, że doskonale bawi się z tego powodu.

Kiedy przyjechałem, Jessika wraz z rodziną już czekała. Jej matka zaplanowała piknik, więc wpakowaliśmy się do Bentleya jej ojca i wyruszyliśmy w plener. Zatrzymaliśmy się gdzieś przy drodze do Stratfordu i znaleźliśmy „miłe, zacienione miejsce”, jako że pani Poynter mdlała na słońcu.

Wyglądaliśmy śmiesznie: cztery osoby siedzące przy drodze, ale zdaje się, że ja byłem jedyną, która zdawała sobie z tego sprawę. Wkrótce potem pan Poynter wdał się w zażartą dyskusję z Jessiką na temat tego, czy kobiety powinny mieć prawo grać na giełdzie.

- W życiu nie słyszałem czegoś tak śmiesznego - mrucał. - Kobiety! Na parkiecie giełdy! Jaki inny nonsens jeszcze wymyślisz? - Mówiąc to wypchał usta następnym kurzym udkiem.

Pani Poynter wyjęła mały wentylator na baterię, który brzęczał zataczając

monotonne kółka wokół jej twarzy. Jessika patrzyła na nią z lekceważeniem, ale na szczęście przestała sprzeczać się z ojcem i dołała mi wina. Staralem się nie patrzeć na zegarek. Pomyślałem, że mogłoby to być całkiem przyjemne popołudnie, gdyby tylko ten starszy pan się zamknął, a byłoby jeszcze lepiej, gdybym mógł

zostać sam na sam z Jessiką.

- A więc - zwrócił się do mnie pan Poynter wydłubując z zębów resztki kurczaka - co studiujesz, chłopcze?

- Prawo - odpowiedziałem.

- Tak, oczywiście, prawo. Poznałem kiedyś twego ojca. Nie pamiętam, gdzie to było, chyba w Izbie Lordów. Jak on się miewa?

- Ostatni raz, gdy z nim rozmawiałem, czuł się bardzo dobrze, dziękuję, sir.

- Och, jak strasznie gorąco - narzekła pani Poynter. -Przynieś moją parasolkę z samochodu, kochanie, dobrze? -zamrugła na Jessikę. - To taka dobra dziewczyna - powiedziała, gdy Jessika odeszła. -

Długo się znacie?

- Niezupełnie - odpowiedziałem. Skinęła głową i odpędzając muchy, dk których chyba była szaloną atrakcją, straciła zainteresowanie moją osobą.

Jessika wróciła z parasolem, po czym położyła się koło mnie na trawie. Nie miała stanika, więc brodawki jej piersi były

dokładnie widoczne pod cienką bawełnianą koszulką, a moje dżinsy zaczęły mnie niewygodnie cisnąć, kiedy powoli przesunęła palcami po piersiach, zanim położyła ręce na trawie.

- Czy w końcu pozbył się tych przeklętych Cyganów? -zainteresował się pan Poynter.

Zastygłem w napięciu, ale zanim zdołałem odpowiedzieć, Jessika zapytała:

- Czy któreś z was miało ostatnio jakieś wiadomości od Lizzie? Od wieków nie dostałam od niej listu.

- Jest gdzieś w Turcji - odpowiedziała matka. - Bóg jeden raczy wiedzieć, po co się tam wybrała. Mam tylko nadzieję, że nie przywiezie jakiegoś paskudztwa.

- Lizzie to moja siostra - wyjaśniła Jessika. - Wyleciała z uniwersytetu i pojechała w podróż dookoła świata, żeby się odnaleźć. Dwa lata temu, od tamtej pory jej nie widziałam.

- Bardzo przedsiębiorcza - zauważyłem.

- Przedsiębiorcza, powiadasz? - wtrącił się pan Poynter. - Ja to nazywam całkowitym brakiem odpowiedzialności.

- Owszem, to też - powiedziałem słysząc, jak Jessika chichocze.

- Długo się już znacie? - zapytała pani Poynter. Oparła się o drzewo i zamknęła oczy w błogiej nieświadomości, że już raz zadała to pytanie.

- Niezbyt - odpowiedziała Jessika, przeciągając się i ziewając. - Aleksander chce, żebym się z nim przespała. Jak myślisz, co powinnam zrobić, mamusiu?

Zakrztusiłem się.

- O, Boże, nie wiem, kochanie. Czy to konieczne? - Jej matka uśmiechała się miło, mając cały czas zamknięte oczy. Pan Poynter obgryzał kolejne kurze udko i wyglądał na znudzonego. Jessika zaśmiała się i rzuciła się z powrotem na trawę.

- Właściwie nie jestem pewna - powiedziała. Potem nagle podskoczyła i wyciągnęła do mnie rękę. -

Chodźmy na spacer.

Wstałem i mamrocząc coś do jej rodziców poszedłem za nią przez pole.

- Musiałś to powiedzieć? - zapytałem, gdy znaleźliśmy się poza zasięgiem ich słuchu.

- Nie, nie musiałam, ale warto było, żeby zobaczyć wyraz twojej twarzy.

- Czy oni nie mają nic przeciwko temu? To znaczy, żebyś spała z facetami?

- Nigdy nie wydawało mi się, żeby mieli.

- Niezwykli rodzice. Szczególnie, że mają córkę.

- Ale byłoby w porządku, gdyby mieli syna?

- To nie ja ustalałem zasady - powiedziałem podnosząc ręce w pozycji obronnej.

Pociągnęła mnie, zatrzymała i odwróciła, żebym na nią patrzył.

- A ja zmieniam zasady, Aleksandrze.

Wyglądała przepięknie. Jej blond włosy niedbale upięte na czubku głowy opadały skręconymi kosmykami wokół szyi, a inteligentne oczy przyglądały mi się badawczo w oczekiwaniu na odpowiedź. Ponieważ nie odpowiadałem, wzruszyła ramionami i zaczęła rozglądać się wokół siebie.

Po chwili wzniosła ręce do nieba, a głowę odchyliła do tyłu. Gdy zaczęła mówić, wydawało się, że recytuje poezję, a potem powoli skierowała na mnie wzrok.

- Powiedz mi, Aleksandrze, ponieważ muszę wiedzieć. Tak naprawdę to myślisz, że kim jestem? Jaki jest mój cel na tym świecie?

Nie po raz pierwszy słyszałem, jak zadaje te pytania, i wiedziałem, jaka jest przy tym poważna.

Spojrzałem na nią. Była dla mnie tajemnicą. Jej poszukiwania znaczenia i wartości w życiu oddaliły ją ode mnie bardziej, niż można by określić jakąkolwiek ziemską odległością. W pewnym sensie czyniło ją to bardziej pociągającą - chciałem ją osiąść i stać się jedynym celem jej życia.

- Czy cel to to samo co przeznaczenie? - zapytałem. - Czy używasz tego słowa, by określić swoją drogę życiową?

Spojrzała znów na mnie zaskoczona i zaintrygowana -zaskoczona, ponieważ nigdy przedtem nie traktowałem jej poważnie, a zaintrygowana, ponieważ udało mi się powiedzieć coś, co można było uznać za warte zastanowienia.

- Widzę, że zamierzasz zgłębić moją psychę - powiedziała w końcu, a potem powoli poszła przez pole.

Uspokojony, że zaduma nad zawłościami życia skończyła się, i w najmniejszym stopniu nie rozczarowany moim w to wkładem, poszedłem za nią. Był senny letni dzień i szkoda było marnować te piękne pola kukurydziane w Oxfordshire na tło dyskusji o znaczeniu życia.

Gdy doszliśmy do ogrodzenia następnego pola, Jessika wspięła się na nie. Próbowałem podążyć za nią, ale zatrzymała mnie i w ten sposób ogrodzenie znalazło się między nami.

- Czy byłby w tym jakiś cel, żeby skonsumować nasz związek? - zapytała.

Ledwie powstrzymując okrzyk pragnienia, rozejrzałem się wokół, z desperacją próbując wyłowić jakąkolwiek nadającą się do dyskusji głęboką myśl. Kiedy spojrzałem na nią, nadal mnie obserwowała. Rozpuściła włosy, a jej wilgotne usta przyciągały słońce.

- Myślę, że byłby - powiedziała i uśmiechnęła się. - Chcę być naga. Chcę, żebyś ty był nagi.

Poczułem, jak mój członek nabrzmięwa, i wyciągnąłem rękę, by ją dotknąć. Jej wargi były już rozchylone, wepchnąłem język głęboko w jej usta, wzięła moją rękę i umieściła ją na małym pagórku piersi.

- Mocniej — jęknęła, gdy zacząłem obracać jej sutek między palcami. - Mocniej.

Szybko przeskoczyłem przez ogrodzenie. Jej ręce objęły moje biodra,

rozsuwała mi suwak spodni.

Byłem już twardy i czu-

łem, jak krew we mnie pulsuje. Pociągnęła spodnie, ściągnając mi je z pośladków, po czym podniosła ręce, żeby zdjąć podkoszulek. Grzebałem się przy suwaku jej dżinsów, ale odepchnęła mnie mówiąc.

- Ja to zrobię. Rozbieraj się razem ze mną.

Nadzy poszliśmy na pole. Kukurydza sięgała nam do pasa, nie było jednak nikogo w okolicy, kto mógłby nas zobaczyć. Po chwili zatrzymała się i uklękła. Jej twarz była na wysokości mego członka, podniosła go i nakryła ustami. Trzymałem jej głowę i poruszałem się wraz z nią, czując jak jej zęby ocierają się o mnie. Po chwili puściła mnie i spojrzała mi w oczy. Odsunąłem ją i położyłem się obok, manewrując tak, aby dotrzeć do gąszczu jasnych włosów na jej łonie.

Gdy poczułem skurcz jej mięśni, szybko usiadłem, trzymając jej nogi rozchylone, gotów w nią wejść.

Polizała moje usta, zatapiając w nich delikatnie zęby, a paznokcie wpiła mi w pośladki. Ustawiłem się nad nią, a potem zmuszając ją, by patrzyła mi prosto w oczy, wtargnąłem w nią całą siłą. Krzyknęła.

Przeszyłem ją jeszcze raz, zrobiłem przerwę, a potem znowu.

Wiedziałem, że sprawiam jej ból, lecz ona krzyczała o więcej. Mogłem zaraz wytrysnąć, ale ona nie była jeszcze gotowa, a ja chciałem, żeby krzyczała znowu - krzyczała i krzyczała. Spojrzała na mnie i zobaczyłem, że się śmieje.

- Pomyśl o swoim życiu, Aleksandrze. Pomyśl o wszystkim w życiu, i użyj tego, pchnij to we mnie.

Chcę tego wszystkiego.

Opuściłem głowę i pocałowałem ją z furją, po czym chwyciłem jej nogi i uniosłem do góry tak wysoko, że kolana miała prawie na ramionach.

- To jest to, o tak - jęczała. - Czuję, jak we mnie wchodzisz. Cały. Użyj tego, Aleksandrze! Użyj tego, żeby mnie pieprzyć!

Patrzyłem na jej twarz wykrzywioną z pożądania.

- Czy ona też była taka dobra? - burknęła. - Ta twoja Cyganka?

Zamarłem, a ona zaśmiała się. Ł

- Czy to o niej teraz myślisz? - zapytała wijąc się pode mną i skręcając palcami moje włosy. - O tej cygańskiej dziwce?

Moje ręce obsunęły się na jej szyję, prawie ją dusząc, a potem - z całą siłą, jaka mi pozostała - wbiłem się w nią tak mocno, że zaczęła krzyczeć,

abym przestał. Ale ja nie ustawałem, pchnięcie za pchnięciem, wciskałem ją w ziemię, miażdżyłem pod sobą i nawet na nią nie spojrzałem. Niech krzyczy, niech walczy, musi zapłacić za ten błąd. A potem targnął mną orgazm, krusząc mnie, oślepiając, dławiąc, i usłyszałem swój głos, który wykrzyknął jedno imię, gdy moje ciało wybuchło w niej.

Była pode mną w pułapce. Próbowwała się poruszyć, a mnie zrobiło się niedobrze i przekręciłem się na plecy. Słyszałem, jak oddycha, po chwili znów zaczęła się poruszać. W końcu odkręciła mi twarz do siebie. Onanizowała się.

- Patrz na mnie - wyszeptała.

Czułem jedynie obrzydzenie. Zauważyła to i zaśmiała się. Potem wygięła plecy do góry i jęczała, gdy fale orgazmu szarpały jej ciało. Patrzyłem na nią nienawidząc jej.

- A więc ma na imię Elżbieta, tak? - zapytała, gdy staliśmy przy ogrodzeniu zakładając na siebie ubrania. Widząc jak wciska swe drobne ciało w dzinsy, musiałem walczyć z impulsem, by nie zgnieść jej własnymi rękoma. - Nadal jesteś zły? - zapytała, ponieważ nie odpowiadałem. - Tylko pomyśl przez chwilę, Aleksandrze, a przekonasz się, że twoja złość była celem naszego kochania się. Musiałeś stawić czoło swojemu cierpieniu.

- Jakiemu cierpieniu? Ty nie wiesz, o czym, do cholery, mówisz, więc po prostu się zamknij!

- Jesteś zły od środka, Aleksandrze, to dlatego jesteś taki,

jaki jesteś. Musisz się z tym zmierzyć, a ja chcę ci w tym pomóc. Powiedziałam w Federacji, że mogę to zrobić, i myślę, że mi się udało, chociaż być może ty jeszcze nie zdajesz sobie z tego sprawy.

- W Federacji?! Chcesz powiedzieć, że dyskutowałyście na mój temat w czasie tych swoich lesbijskich orgii?! Jesteś chora, wiesz o tym?

- Nie, Aleksandrze, to ty jesteś chory. Sposób, w jaki wykorzystujesz kobiety, świadczy o tym, że jesteś chory. A wykorzystując nas, ubliżasz samemu sobie. Miałam rację, to dlatego, że nadal tęsknisz za Cyganką. Czy to bardzo boli?

Odwróciłem się.

- Biedny Aleksander - zagruchała.

- Czy możemy zmienić temat? - wypaliłem.

- Oczywiście. Ale skoro ja mogę stawić temu czoło i poradzić sobie z tym, to dlaczego ty nie możesz?

W końcu jeżeli mamy się pobrać, będę musiała żyć także z nią, czyż nie?
Natychmiast się odwróciłem.

- Jeżeli mamy co zrobić?

Śmiała się, a ja nigdy nikogo tak bardzo nie nienawidziłem, od dnia kiedy dowiedziałem się prawdy o Elżbiecie.

Zacząła wspinać się na ogrodzenie, a ja chwyciłem ją za rękę.

- Lepiej wbij to sobie do głowy teraz, Jessiko. Nie mam zamiaru ożenić się z tobą ani z kimkolwiek innym, jeśli o to chodzi. Więc...

- W porządku - powiedziała cmokając mnie w policzek, przeskoczyła przez ogrodzenie i zaczęła biec z powrotem przez pole.

Rozdział 11

Nienawidziłem jej, a mimo to nie dawała mi spokoju. Im bardziej próbowałem trzymać się od niej z daleka, tym częściej okazywało się, że do niej idę. To było tak, jakby uprzedła pajęczynę i schwytała mnie w pułapkę; kiedy miała na to ochotę, wpełzała ze swej nory, zaspokajała swe żądze, a potem mnie porzucała. Tygodnie przechodziły w miesiące, a ja nadal się z nią spotykałem. Jej niezależność i nieuchwytność doprowadzały mnie niemalże do szaleństwa. Jej poszukiwania celu życia trwały; wyjaśniła mi, że jest to coś więcej, niż ja mógłbym jej zaoferować. Jej potrzeba znalezienia

tożsamości, uznania, statusu była źródłem nie kończących się kłótni między nami, ale ani ona, ani ja nie mogliśmy się bez siebie obejść.

Henry gardził nią, co sprawiało, że ja tym bardziej ją akceptowałem. Kiedy zarówno ona, jak i ja zdecydowaliśmy, że wyprowadzimy się ze swoich akademików i wynajmiemy sobie mały dom na przedmieściu Oksfordu, myślałem, że będzie to koniec naszej przyjaźni.

- Jesteś nienormalny - krzyczał do mnie, stojąc w drzwiach mojego pokoju, gdy się pakowałem.

- Być może - powiedziałem zdejmując ze ściany obraz Ensora i wykrzywiając się, przypomniałem sobie bowiem pierwszy wieczór, kiedy poznałem Jessikę.

- Ona nie jest odpowiednia, Aleksandrze. Sypia z innymi facetami, wiesz o tym, co?

- Tak, wiem o tym. Uderzył pięścią w ścianę.

- Jak możesz tylko wzruszać na to ramionami. Boże, wydaje mi się, że cię w ogóle nie znam.

Zaśmiałem się na to.

- Zaczyna to brzmieć jak sprzeczka kochanków, Henry. Nawet się nie uśmiechnął. Oczy mu błyszczały i widziałem, jak walczy ze sobą. Odwróciłem się, by spakować do torby przybory do golenia.

- To Elżbieta, co? - wybuchnął nagle.

Odwróciłem się w jego stronę, cały czas trzymając w ręce maszynkę do golenia. Był to temat zakazany między nami od czasu wyjazdu z Foxton.

- To Elżbieta, Jessika wszystko mi o tym opowiedziała. Pozwala ci myśleć o Elżbiecie* kiedy ją pieprzysz, tak?

Poczułem, jak krew spływa mi do nóg.

- Zwariowałeś...

- Nie! To ty zwariowałeś. Posłuchaj, czy wiesz dlaczego ona to robi? Dlaczego pozwala ci trwać w tym chorym złudzeniu? To po to, byś nigdy nią w pełni nie zawładnął. Po to, by mogła cię rzucić, kiedy tylko zechce. Ona cię wykorzystuje, Aleksandrze. Jesteś dla niej motywacją, wyzwaniem. Jeśli uda jej się ciebie pokonać, złamać cię, odniesie wielkie zwycięstwo dla żeńskiej części ludzkości.

- Nie wiesz, o czym mówisz.

- Cholernie dobrze wiem. „Nie jestem pokarmem dla męskich szowinistycznych świń!” Boże, przecież to ma wypisane wielkimi literami na koszulce! Zrobiła z ciebie pośmiewisko, Aleksandrze, za sposób w jaki za nią latasz. I chyba tak naprawdę nie myślisz, że uda ci się wyrwać Elżbietę ze swojego wnętrza przez...

- Z mojego wnętrza! Co ty za brednie wygadujesz!

- To nie brednie. Jessika sama mi powiedziała, wszystkim powiedziała. Co ona takiego robi, Aleksandrze? Czy wkłada fartuch pielęgniarki?

- Na litość boską! - wrzasnąłem.

Twarz Henry'ego zrobiła się bardzo blada. Przeniósł wzrok na maszynkę do golenia, którą cały czas trzymałem w ręce.

- Dlaczego nie użyjesz jej teraz? - zapytał. - Przetnij sobie żyły i skończ z tym, zanim Jessika zrobi to za ciebie, bowiem, posłuchaj mnie, Aleksandrze, ona cię zniszczy.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, wyszedł dumnie z pokoju, trzaskając drzwiami.

Nie widziałem go przez kilka tygodni, ale tak byłem zajęty z Jessiką, że nie miałem czasu o nim myśleć. Od strony intelektualnej moje życie przyjęło nowy kształt, gdy wkroczyłem w jej świat bohemy - artystów, pisarzy, a dni

spędzałem pozując nago, gdy ona. stała przy sztalugach tworząc moje nierozpoznawalne portrety. To był jej okres surrealistyczny.

Oryginalność wspólnego mieszkania szybko minęła, gdy

Jessika zaczęła przyprowadzać do domu swoje przyjaciółki feministki - brygadę lesbijek, jak pogardliwie je nazywałem, a także powróciła do starego zwyczaju uczestniczenia w zgromadzeniach kobiet w odległych zakątkach kraju. W tym czasie Federacja Wyzwolenia Kobiet - organizacja, do której należała

- próbowała wpłynąć na wprowadzenie ustawy rządowej o równości płac. Miały mnóstwo innych spraw, takich jak wolny dostęp do środków antykoncepcyjnych, specjalne uprawnienia dla pracujących matek, przepisy przeciwko wykorzystywaniu kobiet w miejscu pracy oraz stara ulubiona sprawa Jessiki -ustawa zezwalająca kobietom na uczestniczenie w giełdzie. W rzeczywistości było tego tyle, że w końcu straciłem orientację, co ona robi, i miałem dosyć nie kończących się awantur politycznych, w które byłem wciągany, kiedykolwiek tylko była w domu. Nie dlatego, że nie wierzyłem w to, co próbowała robić, po prostu stawałem się coraz bardziej znużony, próbując jej pomóc w uporaniu się z podstawowymi sprzecznościami w jej zachowaniu. Z jednej strony z pasją wierzyła w każdy z feministycznych ideałów Federacji, a z drugiej - nie dość że mieszkała z jednym ze wspólnych wrogów, to właściwie była w nim coraz bardziej zakochana. Nie mogła się z tym pogodzić - ja też nie. Nie chodziło bowiem o to, że oczekiwałem, aby mi gotowała, zmywała po mnie czy mi prasowała; były to wszystko czynności, które mogłem wykonać i wykonywałem sam, czasami jednak, kiedy chciała być dla mnie wyjątkowo miła, nalegała, żeby robić to za mnie. Wyrećzała mnie, ponieważ mnie kochała, ponieważ chciała to robić, tak przynajmniej wtedy mówiła. Potem jednak wpadała w straszną furję i w żaden sposób nie mogłem jej przekonać, że jej status nowoczesnej, wyzwolonej kobiety wcale się przez to drastycznie nie pogorszył. Wszyscy mężczyźni potrzebują kobiet tylko po to, żeby były ich niewolnicami - wrzeszczała na mnie; chcą, żeby paradowały z nimi jako symbole ich statusu społecznego, a po-

tem odwożą je do domu, żeby bawiły ich dzieci, tak jak oni sobie tego życzą. Nie istnieje nic, co dałoby się porównać z arogancją i głupotą męskiego ego! A wszystko dlatego, że zacerowała mi dziurę w skarpetce, tak małą, że nawet jej nie zauważyłem.

Po sprzeczce, która o mało nie doprowadziła do rękoczynów, tylko

dlatego, że poprosiłem ją o wysłanie mojego listu, wyszedłem z domu. Ogromnie potrzebowałem męskiego towarzystwa.

Odszukałem Henry'ego i od razu pokleпалиśmy się po ramieniu, tak jak gdyby nasza kłótnia nigdy nie miała miejsca. Obecnie mój pokój zajmował Robert Lyttleton, chłopak, który przyjechał rok po nas z Eton i znał rodzinę Henry'ego. We trzech zaczęliśmy spędzać razem dużo czasu, głównie w pubach „Browns” i „Kings Arms”. A pub „Przyjemność u Parsona” był wygodnym schronieniem tylko dla mężczyzn, gdzie często bywałem, wiedząc, że to irytuje Jessikę.

Nie znaczy to oczywiście, że przestałem z nią mieszkać. Nasz dziwaczny i ekscentryczny związek trwał nadal, cementowany boleśnie piorunującą mieszanką nienawiści i pożądania. Cieszyłem się, gdy mogłem sprawiać jej cierpienie, ponieważ mnie kochała; ona zaś w desperacki sposób próbowała nie przejmować się tym, że miałem inne kobiety, i odpłacała mi pięknym za nadobne. Ja przynajmniej byłem szczęśliwy, prowadząc takie życie, i nie zamierzałem tego zmieniać.

Kiedy więc po egzaminach końcowych wpadłem na pomysł zaproszenia pani Angrid na weekend do Oksfordu, nikt chyba nie był bardziej zaskoczony tą propozycją niż ja sam. Henry'ego po prostu замуrowało.

- Wyobraź sobie tylko tego starego smoka - powiedziałem, zanim zdążył cokolwiek z siebie wydusić -

jak chodzi po terenie college'u kołyszając biodrami i pouczając wszystkich, żeby przestali obgryzać paznokcie i włożyli koszule do spodni. To będzie nokaut.

- A gdzie się zatrzyma? Wzruszyłem ramionami.

- Dlaczego nie u mnie i Jessiki?

Oczy Henry'ego stawały się coraz większe, pomyślałem więc że być może nie jest to taki wspaniały pomysł. Potwierdziło się to zresztą później, gdy Jessika napadła na mnie i zażądała, bym wyjaśnił, czego się spodziewałem i w jaki sposób ona ma dać sobie radę, mając przez cały dzień na głowie schorowaną starą siostrę przełożoną. Po pierwsze, to skąd u licha, przyszedł mi pomysł, żeby ją zaprosić - a może po prostu jestem zwariowany na punkcie sióstr?

Tak naprawdę to zastanawiałem się jeszcze nad tym zaproszeniem, ale po tych drwinach usiadłem i tego samego wieczora skomponowałem list do pani Angrid. W następnym tygodniu otrzymałem odpowiedź. Pisała że z

przyjemnością przyjedzie i czy mógłbym zarezerwować jej pokój w tym uroczym hotelu „Eastgate” - apartament Ruskina, jeśli mi się uda - gdzie zatrzymała się podczas ostatniego pobytu w Oksfordzie.

Z naszych dochodów, na które składało się roczne stypendium wysokości czterystu dwudziestu funtów oraz kieszonkowe w wysokości sześciuset funtów, jakie każdy z nas otrzymywał od ojca, udało nam się z Henrym wysupłać odpowiednią kwotę, żeby zapłacić za apartament Ruskina. W

umówioną sobotę wyjechałem na stację po panią Angrid. Byłem podenerwowany i wściekły na siebie za to. Gdy zobaczyłem panią Angrid wysiadającą z pociągu, serce waliło mi młotem. Sytuację uratował Mercedes. Nie powiedziała nic, tylko zacisnęła usta i spojrzała na mnie zza swoich nowych okularów. Pamiętałem tak dobrze to spojrzenie, że o mało nie chwyciłem jej w ramiona i nie zacząłem z nią tańczyć po parkingu.

Henry czekał w hotelu. Wstał z fotela na nasz widok, następnie podszedł bardzo blisko i prawie złamał

sobie krzyż, próbując ją podnieść. Jej twarz promieniała do bólu.

Kiedy skończyliśmy lunch, wyjęła mocno sfatygowany przewodnik i zabrała nas na zwiedzanie, wlokąc od pomnika do muzeum, od college’u do biblioteki, robiąc na nas szalone wrażenie ogromem wiedzy. W końcu dotarliśmy do Balliol, gdzie uparła się, żeby Henry pokazał jej swój pokój.

O mało się nie udławiłem, widząc minę Henry’ego; było to tak, jakbyśmy cofnęli się w czasie. Pani Angrid była słusznie przerażona stanem jego pokoju i chciała wiedzieć, kto jest za to odpowiedzialny i kto pozwolił, żeby mu się upiekło. Henry wyszeptał, że jego służący wyjechał i obaj westchnęliśmy z ulgą, że ledwie udało nam się uniknąć zderzenia przeszłości z przyszłością...

Tego wieczora zjedliśmy z nią kolację. Zostałem dłużej, niż zamierzałem, głównie dlatego, że wraz z przyjazdem pani Angrid Jessika stała się jakby intruzem w moim życiu, niestosownością. Ponieważ jednak musiałem stawić czoło jej oburzeniu wcześniej czy później, pojechałem do domu, zostawiając panią Angrid i Henry’ego przy koniaku i wspominkach. Zostałem puste mieszkanie, a na łóżku leżący list. Nie pofatygowałem się nawet, żeby go przeczytać. Wiedziałem, że Jessika wróci.

Następnego dnia Henry uczestniczył w regatach ósemek Oksford i Cambridge, zabrałem więc panią Angrid na spacer do Magdalen, by obejrzeć park z sarnami.

- A więc pod koniec miesiąca jedziesz do domu - powiedziała, gdy

przeszliśmy koło wieży udając się na most.

- Mmm - pomachałem do grupki kolegów, którzy wypłynęli spod mostu na łódce.

- A potem co zamierzasz ze sobą zrobić?

- Studiować advokaturę.

- A Henry?

- To samo.

- I nadal jesteś zdecydowany praktykować prawo karne? -zapytała przechylając się przez barierkę mostu.

- Tak.

- Czy twój ojciec jest teraz bardziej zadowolony? To znaczy po całej tej sprawie...

- Niezupełnie, lecz już się o to nie kłócimy.

- Jak on się miewa? Czytałam w gazecie, że nie czuł się dobrze. Zdaje się serce, tak?

- Myślę, że już teraz lepiej. Najwyraźniej doktor powiedział mi, żeby podchodził do wszystkiego spokojniej, ale wie pani, jaki on jest.

- A twoja matka?

- Ach, ona miewa się świetnie. Napędziłem jej trochę strachu, to oczywiste, ale od kiedy Lucinda ma dziecko, jest zajęta innymi sprawami.

- Oczywiście. Zapomniałam, że masz siostrę. Wyszła za mąż za Francuza, tak?

- Ma na imię Etienne. A teraz urodził im się syn i zanim pani zapyta, jestem pewien, że pošłą go do Foxton, chyba że Etienne będzie nalegał, aby miał francuskie wykształcenie!

Zaśmiała się.

- No, a teraz powiedz, co u ciebie? Kim jest ta Jessika, o której Henry opowiadał mi wczoraj wieczorem?

- Henry powiedział pani o Jessice?

- Tak. Ale ja i tak podejrzewałam, że ktoś musi być, w przeciwnym razie dzieliłbyś mieszkanie z Henrym. Więc jaka ona jest? Dlaczego mi jej nie przedstawiłeś?

- Wyjechała na weekend, żeby dotrzymać towarzystwa swojej babci.

- Przyglądała mi się podejrzliwie.

- Mmm, to coś poważnego między wami? Odpowiedziałem wzruszeniem ramion, po czym zgrabnie odwiodłem ją od tego tematu i poprosiłem, żeby

opowiedziała mi nowinki z Foxton. Byłem zaskoczony, gdy usłyszałem, że pan Lear jest teraz zastępcą dyrektora, a pan Ellery ożenił się z nową nauczycielką angielskiego, która przybyła do szkoły zaraz po moim wyjeździe. Foxton został

zmiażdżony w rugby przez trzy lata z rzędu przez Monkforth Abbey, dodała z obrzydzeniem.

- Wydaje się, że od kiedy wyjechaliście, oni zapomnieli, jak się gra w tę nieszczęsną grę. Masz niebieską, jak słyszałam?

- Bardzo dużo słyszy pani tam w Foxton - zaśmiałem się i poszedłem dalej. Szła o krok lub dwa z tyłu.

- A ta druga siostra? - zapytałem po krótkiej ciszy. Zapomniałem jej nazwiska. Czy nadal tam jest?

- Panna Austen. Tak, nadal jest z nami.

Kiedy przeszliśmy na drugą stronę mostu, schodziliśmy powoli po schodach nad brzeg rzeki. Dopiero po kilku minutach zorientowałem się, że pani Angrid nie idzie koło mnie. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem, że obserwuje mnie z rękoma wsuniętymi w kieszenie swetra.

- Czy coś się stało? - zapytałem. Ponieważ nie odpowiadała, spojrzałem na zegarek - Już wiem! Pora na herbatę. Niedaleko stąd jest wspaniała herbaciarnia. Obawiam się, że nie mają co prawda gorących tostów z masłem, ale robią znakomite ciastka z konfiturami domowej roboty i świeżymi...

- Dlaczego nie zapytasz, Aleksandrze? - Czekąca z oczami utkwionymi we mnie. - Przecież po to mnie tutaj zaprosiłeś, czyż nie?

Wpatrywałem się w rzekę. Nie byłem świadom żadnego motywu, ale być może dlatego, że nie pozwalałem sobie, by dotarł on do mojej świadomości. To było tak dawno temu - nie potrafiłem nawet przywołać obrazu jej twarzy. Dlaczego więc serce biło mi przyspieszonym rytmem? Dlaczego pociły mi się dłonie?

Spojrzałem znów na panią Angrid. Nadal mnie obserwowała.

- Mogę wrócić do Foxton nie wspominając nawet jej imienia, jeżeli tego chcesz - powiedziała. - To zależy od ciebie.

Usiadłem na trawie i oparłem łokcie na kolanach. Po chwili podeszła i usiadła obok mnie. Nie miałem odwagi spojrzeć jej w oczy, gdy zapytałem: - Czy miała pani od niej jakieś wiadomości?

- Poczłówkę. - Poszperała w torebce. - Proszę, przywiozłam ją na

wypadek, gdybyś chciał zobaczyć.

Długo na nią patrzyłem, ale nie wziąłem jej.

- Kiedy to przysłała? - zapytałem w końcu.

- Jakiś rok temu.

- Wie pani, gdzie ona jest?

- Nie.

- Nie pisze w kartce?

- Nie.

Zaśmiałem się, ale wiem, że zabrzmiało to gorzko.

- A więc to wszystko, tak? - powiedziałem wstając. - Może już do tej pory nie żyje, tyle o niej wiemy.

Pani Angrid nic nie odpowiedziała.

- No co mam powiedzieć? - krzychałem w gniewie. - Odeszła z naszego życia cztery lata temu. Wie, gdzie jesteśmy, gdyby chciała się z nami skontaktować, zrobiłaby to. Dawno temu przestałem cierpieć na bezsenność z tego powodu. - Nie to akurat chciałem powiedzieć, ale jakoś nie mogłem użyć właściwych słów.

Pani Angrid westchnęła i wyciągnęła rękę, abym pomógł jej wstać.

- To niedobrze, Aleksandrze - powiedziała. - Widzę to w twoich oczach, mimo że upłynęło tyle czasu.

Myślałam, że do tej pory już ci przeszło, jednak zdrowy rozsądek podpowiada mi, że nie byłoby mnie tutaj, gdyby tak się stało. - Odwróciłem się, żeby nie widziała wyrazu mojej twarzy, a ona znowu westchnęła i spojrzała na rzekę. - Ona była wyjątkową osobą, prawda? Nie wydaje mi się, by ktokolwiek z nas tak naprawdę zdawał sobie sprawę, jak wiele dla siebie oboje znaczyliście.

Oboje byliście tacy młodzi. Teraz mogę ci tylko powiedzieć, żebyś przestał zadawać karę sobie i - z tego, co mówi Henry -wszystkim wokół. Minęło dużo czasu, Aleksandrze, wystarczająco dużo, abyś otrząsnął się z tego, co się wydarzyło. Tylko w ten sposób przestaniesz zadawać ból, wtedy rzeczywiście będzie wszystko skończone.

Odwróciłem się błyskawicznie w jej stronę.

- To jest skończone! Na litość boską, co mam zrobić, żeby to udowodnić? Tak, rzeczywiście znaczyła coś dla mnie, ale jak sama pani powiedziała, to było dawno temu. Byłem uczniem. Teraz wszystko się zmieniło. Ja się zmieniłem.

Westchnęła i zawiesiła torebkę na ręku. Kiedy spojrzała na mnie, znowu

miała smutne oczy i powoli potrząsnęła głową.

Spojrzałem na nią i w tym momencie poczułem w sobie taki gniew, że chciałem ją uderzyć. Dlaczego oni wszyscy nie przestaną mnie zadreć? Dlaczego nie chcą uwierzyć, kiedy mówię, że to już dla mnie nic nie znaczy? Jest w moim życiu inna kobieta - jest już od ponad roku. To przecież musi coś znaczyć, do cholery!

Ucieszyłem się, że Henry dołączył do nas na herbatę w Eastgate i wyczuwając napięcie między mną a panią Angrid natychmiast próbował wszystko załagodzić. Prawie mu się udało, ale ja nie dałem się całkiem udobruchać, ponieważ wiedziałem, że miał takie samo zdanie na temat tego, czym pani Angrid mnie zezłościła.

Później odwiozłem panią Angrid na stację i czekałem, dopóki jej pociąg nie odjedzie. Gdy zamykałem drzwi wagonu, szybko się odwróciła i wcisnęła mi do ręki liścik. Nagłe bicie mego serca musiało się odbić na twarzy, ponieważ potrząsnęła głową.

Odwinąłem liścik dopiero w samochodzie i uśmiechnąłem się, gdy zobaczyłem, że jest to strofa z Shelleya. Przeczytałem powoli.

Życie mija, ale nie znika, Nadzieja zanika, ale nie umiera, Prawda może być ukryta, ale nadal gore, Miłość odrzucona - powraca.

Uderzyłem mocno ręką w kierownicę. Cholera! Niech ją diabli! Co trzeba zrobić, żeby ją przekonać, że nie tylko nie kocham już Elżbiety, ale że kocham kogoś innego? Jessika jest dziwką, ale nie mogę bez niej żyć. Jesteśmy z Jessiką stworzeni dla siebie i cała reszta świata może iść do diabła. A co więcej, wiem dokładnie, co należy zrobić, żeby pokazać całemu światu, że Elżbieta już nic dla mnie nie znaczy - absolutnie nic.

Co to znaczy nie?! - wrzeszczałem. - To znaczy, że odmawiasz?

- Tak, to dokładnie to znaczy. - Henry przeszedł powoli przez pokój, żeby uzupełnić kieliszek, po czym powłócząc nogami wrócił do krzesła i usiadł.

- W takim razie wydaje mi się, że będę musiał poprosić Roberta Lyttletona powiedziałem.

- Zawsze możesz prosić.

- Odwróciłem się, żeby spojrzeć mu prosto w twarz.

- Posłuchaj, Henry, żenię się. Podobno jest to jeden z najważniejszych dni w życiu mężczyzny. Proszę cię, żebyś tam był, przy mnie.

- A ja mówię, że nie chcę być. Właściwie to w ogóle nie chcę tam być. Odmawiam siedzenia i patrzenia, jak mój najlepszy przyjaciel robi z siebie

głupca. Cała ta sprawa jest fikcją, Aleksandrze, dobrze o tym wiesz.

- Fikcja! Dobry Boże, chłopie... Ale Henry mi przerwał.

- To zaczęło się od wizyty starej Angrid. Zaszła ci za skórę na temat Elżbiety, czyż nie? No dobrze, dobrze, to dawno

skończone, słyszałem już tysiąc razy, jak to mówiłeś. Wierzę ci, w porządku? Nie musisz żenić się z Jessiką, żeby to odowodnić. Powietrze uszło ze mnie jak z przekłutego balonika.

- Widzisz, mam rację - mówił dalej. - Praktycznie wszystko, co robiłeś w ciągu ostatnich czterech lat, ma związek z Elżbietą. Twoja reputacja ogiera i pożeracza serc obrosła taką legendą, że największa feministka w Oksfordzie chciała cię upolować. Jedyny kłopot w tym, że ona też się w tobie zakochała.

Wszystkie się zakochują, Aleksandrze, ponieważ jesteś sukinsynem. Ponieważ one wszystkie gównem cię obchodzą, poza tym, że mają ci zapłacić za to, że czujesz się „zdradzony” przez jedną z przedstawicielek ich płci - przez dziewczynę, której -jak twierdzisz - już nawet nie kochasz. Skoro więc jej już nie kochasz, to dlaczego nie przestaniesz zachowywać się w ten sposób? Skończ z tym, zanim popełnisz jeden z największych błędów w swoim życiu.

- Niemożliwe - powiedziałem.

- To nie jest niemożliwe!

- Mam na myśli, że to jest niemożliwe, aby to był największy błąd w moim życiu. Ten największy już popełniłem.

- Kiedy byłeś tylko dzieckiem. I nadal zachowujesz się jak dziecko.

- Już ją poprosiłem - powiedziałem.

- Powiedz jej, że zmieniłeś zdanie.

- Dlaczego miałbym to zrobić? Przecież nie zmieniłem.

- O, do cholery z tym - westchnął rozdrażniony. - Jeżeli chcesz zrujnować sobie życie, w takim razie zrób to. Widzę, że nic z tego, co mówię, do ciebie nie trafia.

Siedzieliśmy długo w ciszy, zanim którykolwiek z nas coś powiedział. W końcu nasze spojrzenia spotkały się i ja uśmiechnąłem się. Z oporami on też się uśmiechnął.

- Czy ustaliliście termin? - zapytał.

- Dziewiętnastego czerwca.

- Dlaczego to musi być tak wcześnie?

- A dlaczego nie? Wzruszył ramionami.

- A gdyby teraz Elżbieta stanęła tu w drzwiach, co wtedy?
- Na litość boską, Henry! - Podskoczyłem na krześle, po czym uśmiechnąłem się, ale było to wymuszone. - Gdyby stanęła, mógłbym zaprosić ją na ślub.

Zaczął się śmiać.

- Ty naprawdę jesteś sukinsynem.

- Właśnie dlatego Jessika wychodzi za mnie, a przynajmniej ty chcesz, żebym wierzył, że tak jest.

- Nie mogę wymyślić żadnego innego powodu. Oprócz tytułu oczywiście. Tym razem ja się zaśmiałem.

- Niech ma ten swój tytuł, czort z tym. Rozumiemy się z Jessiką bardzo dobrze. Ona jest kobietą, jakiej potrzebuję. Gdybyś jej nie nienawidził tak bardzo, też byś to zauważył. Będzie doskonałą żoną dla adwokata. A ponadto jest znakomita na przyjęciach. Jest mądra, inteligentna i ma swoją sztukę, która daje jej jakieś zajęcie poza zatruwaniem mi życia z brygadą lesbijek.

Henry spojrzał na mnie skoncentrowany.

- Zakładam, że nigdy jej tego nie powiedziałaś.

- Czy pozostałbym przy życiu, żeby opowiedzieć tę historię? Tak, czy inaczej, mogę mówić dalej? Ma niezależny, choć, muszę przyznać, czasami spaczony umysł. Jest piękna. Biodra, stworzone do rodzenia dzieci, mogą produkować potomków rodu Belmayne. Czego więcej może chcieć

mężczyzna?

Henry rzucił mi ironiczne spojrzenie i powiedział.

- Myślałem, że ty ze wszystkich ludzi na świecie najlepiej potrafisz odpowiedzieć na to pytanie.

Rozdział 12

Po prostu nie rozumiem, co się z nimi stało. - Jessika odeszła od lustra, patrząc na siebie krytycznym wzrokiem. Wokół niej nasza sypialnia pozostawała w stanie permanentnego chaosu. Mokre ręczniki leżały tam, gdzie zostały rzucone, buty wysypywały się z szafy, zawartość torebki Jessiki porzrzucana była po całym łóżku, które zaledwie godzinę temu zmiętosiliśmy kochając się, a nasze dzisiejsze ubrania były rzucone na kupę obok kanapy. Kopnąłem ręcznik, zanim na niego weszła, po czym stanąłem za nią, przyglądając się jej w lustrze. Obracała w palcach perły zawieszona na szyi, a potem zapięła cienki pasek podtrzymujący sukienkę, która kosztowała mnie osiemdziesiąt trzy

gwinee w ubiegłym tygodniu, ponieważ spóźniłem się godzinę na wystawę, na której pokazywano dwa jej obrazy. Była piękna. Wspaniałe blond włosy miała podpięte spinką wysadzaną szafirami i brylantami - klejnot rodzinny - którą moja matka podarowała jej prawie rok temu, w dniu naszego ślubu. Pasowała znakomicie do sukienki.

- Być może utknęli gdzieś w korku - powiedziałem nadal się jej przypatrując.

Przechyliła się w stronę lustra i wpatrywała się w siebie mrużąc oczy.

- Co myślisz o tym cieniu do powiek? Nie wydaje ci się zbyt ciemny? Mam jaśniejszy.

Wzruszyłem ramionami, nie przerywając wiązania krawata.

- Dla mnie osobiście wyglądasz oszałamiająco we wszystkim. - Spojrzałem na zegarek.

- Teraz ty próbujesz mnie popędzać - zaczęła narzekać. - Nie ruszę się, dopóki nie powiesz, który ci się bardziej podoba.

- Podoba mi się ten, który nałożyłaś - powiedziałem, a ona się zaśmiała.

- Podejź do mnie. - Biorąc mnie za rękę, okręciła mną w celu dokonania inspekcji. - Mhm, tak może być - zdecydowała, strzepując niewidzialne pyłki z mojej wieczorowej marynarki. - Masz bilety?

Poklepałem się po kieszeni, aby się upewnić, że tam są, potem złapałem ją za rękę, zanim z powrotem doszła do lustra. Obróciła się w moich objęciach, a ja musnąłem ustami jej nagie ramiona. Pachniała wyśmienicie.

- Jeden pocałunek? - zapytałem pochylając się nad jej ustami.

- Nie, rozmażesz mi szmin... Och, Aleksandrze, zobacz, co zrobiłeś - utyskiwała, gdy ją puściłem, ale jej oczy lśniły, więc pocałowałem ją jeszcze raz.

- Szkoda, że nikt mnie nie ostrzegł, jakie to utrapienie mieć męża przy sobie, szykując się na bal - zaśmiała się biorąc do ręki szminkę. — O, Boże, gdzie oni pojechali? Dlaczego ich jeszcze nie ma?

- Może samolot Lizzie ma opóźnienie? - zasugerowałem. - Zadzwoń na lotnisko?

- Tak, tak. To dobry pomysł.

Ale British Airways potwierdziły, że samolot z Melbourne, który miał przylecieć o szóstej trzydzieści, wylądował o czasie.

- No dobrze, to co w takim razie robimy? - Zauważyłem na jej policzkach plamki ostrzegawcze, które pojawiały się zawsze, gdy coś się działo

niezgodnie z planem.

- Idziemy bez nich - powiedziałem. - Henry ma ich bilety. A poza tym to długi lot, może ona jest zmęczona.

- Nie znasz Lizzie.

- To może pojechali prosto tam.

- O, nie bądź śmieszny, Lizzie musi się najpierw przygotować. Nie, muszą być już w drodze.

Poczekajmy jeszcze pięć minut. Gzy zrobiłeś mi drinka?

Zeszliśmy na dół do salonu, gdzie czekaliśmy przez pięć minut, potem następne pięć; Jessica w tym czasie przemierzała pokój, a jej ciężka suknia szeleściła wokół kostek. Moja wcześniejsza fala namiętności już opadła i obserwowałem ją ze wzrastającą irytacją. Czasami jej zachowanie tak przypominało zachowanie rozpieszczonego smarkacza, że miałem ochotę wziąć ją na kolano i zdrowo jej przylać. W zasadzie już raz to zrobiłem, ale - jak było do przewidzenia - moja agresja tak podnieciła Jessikę, że skończyło się na tym, iż kochaliśmy się jak szaleni na podłodze w kuchni. Od tamtej pory zawsze zastanawiam się, czy nie zachowuje się tak celowo, żebyśmy to powtórzyli. Ale widząc, jak jej twarz prawie zbrzydła ze złości, powątpiewałem, czy w tej chwili myślała o seksie.

Gdybym zastanowił się nad małżeństwem z Jessiką, uznałbym, że spełniło wszystkie moje oczekiwania. Nigdy nie prze-

stawaliśmy ze sobą konkurować. Jessica udawała brak zainteresowania prawie wszystkim, co robiłem i twierdząc, że nie jest żadną dupą wołową, żeby siedzieć w domu i przeżywać sukcesy męża -

zmuszała mnie do przeżywania jej triumfów artystycznych, wraz ze wszystkimi urazami, zazdrościami i feminizmem. Wielokrotnie ją zdradzałem, ale co dziwne - mimo że moje uczucia do niej były takie ambiwalentne - zawsze żałowałem tego, co robiłem, kiedy widziałem, jak bardzo cierpi.

Jednak z biegiem czasu - mimo moich usilnych starań - nasze niedopasowanie poza łóżkiem stawało się coraz bardziej zgubne. Nie mogłem się opanować, żeby nie wyobrażać sobie, jak mogłoby wyglądać moje życie z Elżbietą, gdyby tylko... Elżbieta... W końcu wszystko sprowadzało się do niej.

Jessika niecierpliwiła się, a ja patrzyłem, jak znów przemierza pokój. Westchnąłem. Jak inaczej wyglądałoby wszystko, gdybym ożenił się z Elżbietą. Nie zostało we mnie już nic z tego gniewu, który omal nie

przyprawił mnie o kalectwo w Oksfordzie. Nic z urazy, która powoduje, że - nawet teraz - chcę sprawić ból każdej kobiecie, która stanie na mojej drodze. Dobry Boże! Byłem przecież wtedy jeszcze chłopcem. Dlaczego ona tego nie rozumiała? Nie chciałem być wobec niej okrutny, odwrócić się od niej, tak jak to zrobiłem. Wiedziałem, że mnie kocha - co zatem sprawiło, że nie odezwała się do mnie?

Do diabła! Zerwałem się na nogi. Dlaczego nadal tak cierpię? A nawet jeśli znów pojawiłaby się w moim życiu, co do cholery mógłbym zrobić? Teraz jestem żonaty. Tylko pomyśl o tym, Aleksandrze Belmayne. Żonaty - a przecież przysięgałeś, że będziesz ją zawsze kochał. Ożeniłeś się z Jessiką, a dlaczego? Żeby udowodnić, że już nie kochasz Elżbiety, podczas gdy cały czas... Gdybyś był

prawdziwym mężczyzną, spojrzalbyś prawdzie w oczy...

- Cholera! Cholera, cholera! — Jessika uderzyła szklanką o stół i podeszła do okna. Starłem się nie okazywać zdenerwowania i nalałem sobie kolejnego drinka. Wiedziałem, że lepiej

będzie nie wdawać się w spory z Jessiką przed wyjściem, chociaż bardzo trudno mi było trzymać język za zębami. Od początku nie chciałem iść na bal na Berkley Square, ale Jessika znalazła nowego mecenasa swoich obrazów w George'u Man-neringu, właścicielu galerii przy Knightsbridge, a ponieważ on szedł na ten bal, Jessika widziała w tym kolejną okazję, żeby się do niego umizgiwać.

To był mój pomysł, żeby zaprosić Henry'ego. Powiedziałem, że mógłby towarzyszyć siostrze Jessiki, Lizzie, która wracała do Londynu „na kilka miesięcy, a może na zawsze, kto wie?” Henry'emu bardzo przypadł do gustu ten pomysł, więc zmalowały moje wyrzuty sumienia wobec Caroline, z którą Henry widywał się ostatnio częściej niż z innymi dziewczynami. Obecnie Henry był bez wątplenia królewiczem z wyboru debutantek, a nawet został umieszczony na liście „Harpers and Queen” jako jedna z najlepszych partii w kraju - pokładaliśmy się z tego ze śmiechu.

Musieliśmy jeszcze odbyć cztery przesłuchania w Inns of Court*, ostatnią serię egzaminów, a potem, jak dobrze pójdzie, zostaniemy przyjęci w poczet adwokatów. Wciąż byłem zdecydowany zajmować się prawem karnym, a mój ojciec już przestał się sprzeciwiać - biorąc pod uwagę, że kara przez powieszenie została zniesiona, zniknęły jakiegokolwiek jego obawy, żebym nie zaangażował się ponownie w sprawę Ince'a. Tak więc zakładając, że osiągnę wymagane rezultaty, zamierzałem wstąpić do Izby Adwokackiej w

Korporacji Inner Temple, gdzie lord Green jest jednym z seniorów.

Będą mówić, że ojciec mnie tam zaprotegował, ale ja się tym nie przejmuję. Ponieważ ojciec został

ministrem sprawiedliwości, bez względu na to, gdzie pójdę, wszędzie ludzie będą mi zarzucać, że jestem „protegowanym Woolsacka”**.

Zegar nad kominkiem zaczął wybijać dziewiątą.

* Cztery korporacje prawnicze nadające przywileje obrońcy sądowego.

** Fotel kanclerski w Izbie Lordów.

- Dość tego! Wystarczająco długo czekaliśmy - obwieściła Jessika. - Po prostu będą musieli sami tam dojechać.

Odstawiłem posłusznie drinka i poszedłem po jej pelerynę. Nagle zrobiło mi się jej żal. Wiem, że cieszyła się na przyjazd siostry, a bal na Berkley Square był znakomitą okazją, by powitać ją w domu w dobrym stylu.

- Rozchmurz się, kochanie - powiedziałem narzucając jej pelerynę na ramiona i zapinając pod szyją. -

A poza tym zawsze masz jeszcze mnie do towarzystwa.

Natychmiast jej twarz złagodniała, ale czułem, że Jessika staje mi się obca.

Wszyscy z naszej ekipy byli na balu, połowa już nieźle ululana, a druga połowa próbowała ich dogonić. Kiedy szliśmy z Jessiką do namiotu, w którym odbywał się bal, usłyszałem, jak przeklęła, ponieważ obcas ugrzązł jej w glinie. Podtrzymałem ją za łokieć, żeby jej pomóc. Droga do szampana okazała się strasznie uciążliwa, ponieważ jej obcasy bez przerwy zapadały się i trzeba je było wyciągać z ziemi.

- Jeżeli ośmielisz się powiedzieć, że uprzedzałeś mnie, iż tak będzie - zasyczała łapiąc oddech - nie ręczę za siebie.

W środku tłumu stał Robert Lytton, a na jego ramieniu uwieszona była wyjątkowo atrakcyjna, niezbyt młoda kobieta. Ostatnio Robert był drugi w kolejności za Henrym na liście playboyów, ale jeśli moje informacje były prawdziwe, mógł wygrać konkurencję. Awansował niespodziewanie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i pewnie w niedalekiej przyszłości wyjedzie na placówkę dyplomatyczną, ale - jak głosiła plotka - najpierw musi się ożenić.

Przedstawił swą towarzyszkę jako Rachel, po czym natychmiast skierował uwagę na Jessikę. Jessika jak zwykle rosła słuchając jego pochlebstw, a ja czułem ukłucie zazdrości, zastanawiając się - zresztą nie po

raz pierwszy - czy spali ze sobą w Oksfordzie.

- A więc to pan jest Aleksandrem Belmayne'em — powiedziała Rachel. - Spotkałam pańską matkę raz czy dwa. Jak ona się miewa?

Odwróciłem spojrzenie od Jessiki, która odrzuciła do tyłu głowę i zaśmiewała się z czegoś, co Robert wyszeptał jej do ucha, i okazało się, że patrzę głęboko w czarująco zielone oczy Rachel. Wpatrywała się we mnie wyraźnie kuszącym wzrokiem, podczas gdy jej pełne, uśmiechnięte usta rozchyliły się, ukazując przepiękne białe zęby. Być może ze względu na nagły przypływ zazdrości poczułem nagle, że chcę się pochylić i brutalnie ją pocałować, uratował mnie jednak ktoś, kto na nią wpadł i oblał jej szampanem rękę. Zaśmiała się cicho i nie odrywając ode mnie wzroku, oblizywała koniuszki palców.

- Jak ona się miewa? - powtórzyła, ponieważ nie odpowiedziałem.

- Kto? A, moja matka. Bardzo dobrze, dziękuję. - Rzuciłem spojrzenie w stronę Jessiki, która przyłączyła się do grupy przyjaciół i wyglądało na to, że zupełnie o mnie zapomniała.

Tańczyłem z Rachel, pamiętając, aby od czasu do czasu spoglądać, czy Henry nie przyjechał, ale nie było go widać. W związku z tym skupiłem uwagę na Rachel. Od chwili kiedy wziąłem ją w ramiona w tańcu, wiedziałem, do czego to wszystko zmierza. Zazwyczaj byłem znudzony kobietami, które mi się narzucały, ale gdy delikatne, dojrzałe, o krągłych kształtach ciało Rachel poruszało się kusząco wraz z moim, poczułem, że szczerze odpłacam za obietnicę czegoś nowego.

Wyciągnęła rękę ze szklanką, prosząc o więcej szampana, a ja poszedłem, by spełnić jej życzenie. Po drodze rozglądałem się za Jessiką, ale wydawało się, że zniknęła i na króciutką chwilę poczułem się dziko wolny; jednak to uczucie szybko zastąpił lęk, że być może Robert Lyttleton gdzieś ją wyciągnął.

Nigdy nie byłem zazdrosny o żadnego innego mężczyznę, ale z jakie-

goś powodu w przypadku Roberta Lyttletona było inaczej. Był tak cholernie miły i tak cholernie dobry we wszystkim. Jessika mogła się pieprzyć, z kim chciała, byle nie z nim, chociaż ostatnio wydawało się, że robi to tylko ze mną.

Przetańczyłem kilka tańców z Rachel, potem poszliśmy zjeść kolację, a po kolacji znów z nią tańczyłem. Zrobiła się już pierwsza w nocy. Nadal nie było widać Jessiki. A ze sposobu, w jaki Rachel patrzyła na mnie,

wiedziałem, że gotowa jest coś zrobić wyczuwając przez dłuższą część wieczoru moją erekcję. Pociągnąłem ją trochę zbyt brutalnie za rękę i zacząłem torować sobie drogę do najbliższego wyjścia.

- Ach, kochanie, tu jesteś!

- Zamarłem. Usłyszałem, jak obok mnie Rachel wydaje łagodny okrzyk zdziwienia i musiało upłynąć ładne kilka sekund, zanim byłem w stanie się odwrócić. Włosy Jessiki opadały na twarz w nieładzie.

Szminkę miała rozmazaną, a na szyi muszkę, której końce zwisały między piersiami.

- Szukałam cię wszędzie, Aleksandrze. Czyż to nie jest superwspaniały bal? Czy jesteś zadowolony, że przyszedłeś? Mówiłam ci, że będziesz zachwycony.

Mrugnęła kilka razy, zanim przesłała Rachel jedno ze swoich najchłodniejszych spojrzeń, po czym biorąc mnie za rękę powiedziała do niej:

- Przepraszam, nie pamiętam, jak pani ma na imię, ale jestem przekonana, że nie będzie pani miała nic przeciwko temu, jeśli zabiorę mojego męża do tańca, prawda?

Spojrzałem przepaszająco na Rachel, ale ona się tylko uśmiechnęła i skłoniwszy lekko głowę w stronę Jessiki, zginęła w tłumie.

- Nie musiałaś być tak nieuprzejma - powiedziałem próbując utrzymać Jessikę w pozycji pionowej, gdy zderzaliśmy się ze wszystkimi w fokstrocie.

- Tak mi przykro, kochanie. Ach, jesteś na mnie zły.

Prawdopodobnie wolałbyś, żebym pobłogosławiła twój ro-mansik. Już byłeś o krok, żeby z nią wyjść i się pieprzyć, GO?

- Masz wybujałą wyobraźnię - powiedziałem - i jesteś pijana.

- Ach, ale nie na tyle pijana, żeby nie przyłapać własnego męża na zdradzie. Lub przynajmniej bardzo blisko zdrady. Powiedz mi - pytam z czystej ciekawości - gdzie zamierzaliście to zrobić?

Zanim odpowiedziałem, patrzyłem na nią przez chwilę, próbując wyczuć jej nastrój.

- W naszym łóżku - powiedziałem w końcu.

- O, bardzo nieładnie. - Odrzuciła do tyłu głowę i roześmiała się na cały głos. - Zawsze robisz się wściekły, jak cię nakryję. Podejrzewam, że jest podobna do Elżbiety, wszystkie zazwyczaj są, czyż nie? - Znowu zaśmiała się piskliwie. - Najwyższa pora, Aleksandrze, żebyś się dowiedział, iż wiem o tobie wszystko, dokładnie wszystko.

- W takim razie wiesz również, że jestem zmęczony tą rozmową, i myślę, że najwyższa pora, abym cię zabrał do domu. Przynieś swoją pelerynę.

- Ty mi ją przynieś.

- Powiedziałem: przynieś swoją pelerynę.

Zwykle wiedziała, kiedy posunęła się za daleko, a najczęściej działo się to wtedy, gdy poruszała temat Elżbiety. Odeszła, przeciskając się przez tłum, a mnie pozostawiając na środku parkietu. Nie byłem pewien, czy zamierza wrócić, ale na wszelki wypadek rozejrzałem się za Rachel. Stała w grupie osób, których nie znałem, lecz zauważyła mnie, zanim do niej podszedłem. Było jasne, że nie zamierza prowokować sceny z Jessiką, dała mi więc szybko swój adres i powiedziała, żebym spotkał się z nią tam następnego dnia o piątej.

Jessika wróciła, niosąc pelerynę i przybierając minę niegrzecznego dziewczynki, W drodze do domu cały czas chichotała

w taksówce i próbowała rozpiąć mi spodnie, ale ja nie byłem w nastroju. W końcu się poddała i zaczęła ssać palec, wiedząc, że to mnie irytuje.

Kiedy podjechaliśmy przed dom, w salonie paliły się światła.

- To Lizzie! - krzyknęła Jessika, a ja odczułem ulgę, bo w pierwszej chwili pomyślałem, że to złodzieje.

Weszliśmy po cichu, a Jessika skradała się przez hol do salonu. Gdy podeszła do drzwi, zatrzymała się i odwróciła.

- Czy coś słyszałeś? - wyszeptała.

- Może śpi - powiedziałem.

Przez chwilę wyglądała na niezdecydowaną, po czym popchnęła drzwi i wpadła do pokoju.

- Lizzie! - wrzasnęła.

Wszedłem za nią. Zobaczywszy Lizzie i Henry'ego na kanapie, ogarnął mnie pusty śmiech. Nie mogliśmy wybrać lepszego momentu, żeby im przeszkodzić, chociaż sądząc po wyrazie twarzy Henry'ego, był on innego zdania. Jessika wyglądała na zupełnie tym nie poruszoną, choć nie mogła nie zauważyć, że Henry ukradkiem próbuje zapiąć rozporek. Popatrzył na mnie z wyrzutem, potem wstał

i stanął z tyłu, podczas gdy Jessika obejmowała Lizzie.

- Mogliście nas jakoś uprzedzić - wymamrotał.

- Co do ciebie, stary, i tak już było na to za późno. A tak przy okazji, czy to twoje? - wskazałem na białe jedwabne majtki, które leżały na podłodze za

kanapą.

- Aleksandrze, chodź, poznaj Lizzie. Czy ona nie jest po prostu boska? -
Posłałem Henry'emu uśmiech, po czym odwróciłem się w stronę Lizzie.

Zajęty Henrym i rozrzuconą bielizną nawet jej się nie przyjrzałem.

Przygotowując się, żeby objąć ją po bratersku, złapałem się na tym, że nie wiem, jak ona wygląda. Nie była tak niska jak Jessika ani nawet w połowie tak ładna, miała jednak w sobie coś nieuchwytnego, co sprawiało, że była bardzo seksowna.

- No, dalej - nalegała Jessika - pocałuj ją. Wystarczyło, że mnie dotknęła, a odsunąłem się od niej, jakby przeszedł przeze mnie prąd elektryczny.

Śmiała się i patrzyła na mnie badawczo.

- No, Jess, rzeczywiście jest w każdym calu taki przystojny, jak mówiłaś. Teraz żałuję, że nie byłam na ślubie, Aleksandrze. Może udałoby mi się ciebie nakłonić do zamienienia panny młodej.

Jessika zaśmiała się i kładąc rękę na ramieniu siostry, powiodła ją na górę, by zademonstrować sypialnię, którą dla niej przygotowała.

Odwróciłem się do Henry'ego.

- Jezu Chryste! - wybuchnąłem, gdy tylko oceniłem, że są poza zasięgiem słuchu.

Henry wybuchnął śmiechem.

- Nie wiem, czy dasz sobie z tym wszystkim radę, przyjacielu. Będzie cię miała na śniadanie, a jeśli Jessika się o tym dowie, pokroi cię na kolację.

Przeszły mnie ciarki.

- No, jestem pewien jak cholera, że nie straciłeś ani minuty - zauważyłem.

- Nie patrz tak na mnie, stary - podniósł ręce do góry w obronie. - To jej robota. Od momentu jak ją odebrałem z lotniska, oblaża mnie jak wysypka.

Śmiejąc się podszedłem do baru i nalałem nam koniaku. Z góry słyhać było Lizzie, która piszcziała z zachwyty podczas oprowadzania po domu.

Henry siedział w fotelu i wyglądał jak kot, który spił całą śmietankę.

Opowiadał - w najdrobniejszych szczegółach - o niezrównanym ciecie, którym się raczył

przez całą noc i które zamierzał wykorzystać ponownie. Wystarczyło raz spojrzeć na Lizzie, żeby się zorientować, że to ona była tą, która wykorzystywała, ale głośno tego nie powiedziałem.

W końcu Jessika krzyknęła, że zrobiło się późno, i Henry ruszył do wyjścia. Przy drzwiach poklepał

mnie po ramieniu.

- Do zobaczenia rano, stary. Postaraj się nie przedobrzyć dzisiejszej nocy, nie zapomnij, że jutro mamy kolejne egzaminy. Ach, powiedz Jess, że nie będę jutro u was na kolacji, zabieram twoją oszałamiającą szwagierkę do restauracji

- Coś ci powiem, następnym razem daj jej jednego ode mnie, co? - wyszczerzyłem zęby w uśmiechu.

- Ależ, Aleksandrze, przecież sam możesz to zrobić. Odwróciliśmy się, by zobaczyć Lizzie stojącą na schodach

w przezroczystej różowej koronkowej koszulce, narzuconej na gołe ciało. Nie spuszczałem z niej wzroku, gdy zaczęła do nas schodzić. Miała wilgotne usta, a jej jędrne sutki sterczały pod cienkim jak pajęczyna materiałem.

- Dobranoc, Henry - zamruczała zarzucając mu ręce na szyję i otwierając usta. Zobaczyłem, że ich języki się spotkały. Nie spuściła ze mnie wzroku.

Kilka tygodni później, gdy wracałem do domu, zaskoczyła mnie czekająca przed drzwiami eks-dziewczyna Henry'ego -Caroline Truman. z wdziękiem powstrzymując łzy, zapytała mnie, co ona złego zrobiła? Dlaczego Henry do niej już nie dzwoni? Czy mógłbym z nim porozmawiać i nakłonić go, żeby się z nią spotkał chociażby na godzinę? Pomimo że zawsze lubiłem Caroline, byłem wściekły, iż udało jej się przyprzeć mnie do muru! Nawet jeśli byłem częściowo odpowiedzialny za rozpad związku pomiędzy nią a Henrym, to przecież nie zmusiłem go, by rzucił się w objęcia Lizzie.

Odrzucone kobiety zawsze zachowywały się tak samo, płakały i pociągały nosem, a przede wszystkim błagały, żeby mężczyzna do nich wrócił, nawet jeśli było całkiem jasne, że on tego nie chce. A co, do cholery, ja mogłem tutaj pomóc? Zasugerowałem, żeby poszła na duże zakupy i kilka przyjęć, a jeśli nadal będzie czuła się osamotniona, to zawsze jeszcze jestem ja. Odeszła z zawiedziona.

Ponieważ w skrzynce pocztowej bez przerwy pojawiały się nowe zaproszenia - na premiery, koncerty, wystawy - ja, podobnie jak Henry, wkrótce o niej zapomniałem. Co wieczór było jakieś przyjęcie lub klub, gdzie należało się pokazać, jakieś miejsce, które należało zobaczyć, butelki szampana, które należało wypić, i gry, w które należało zagrać. Całe miasto opowiadało o naszych szalonych przyjęciach, jako że drzwi i okna były szeroko otwarte, a dostojny i spokojny Belgrave Square drżał w posadach.

Jakimś cudem w czasie tych orgii i frywolności udało się nam z Henrym zaliczyć cztery ostatnie przesłuchania, a zdając - również w tajemniczy sposób - egzaminy końcowe, zostaliśmy przyjęci w poczet adwokatów.

Nie mogłem nie zauważyć, że w tym czasie Caroline nie była jedyną dziewczyną, której towarzystwa Henry sobie odmawiał; każda osoba płci żeńskiej, która chciała mu się narzucić -a robiło to wiele -

była odrzucana, aby on mógł skoncentrować się na niezrównanych urokach Lizzie. A im częściej Henry widywał się z Lizzie, tym częściej ja widywałem się z Rachel. Zdawałem sobie sprawę, że kochając się z Rachel bardzo często fantazjowałem na temat Lizzie, ale był to najbezpieczniejszy sposób pozbycia się myśli o szwagierce. Wiele razy powtarzałem Jessice, żeby porozmawiała z Lizzie na temat jej chodzenia po domu nago, ale Jessika zbyt była zajęta swoimi sprawami, żeby przejmować się tym, jak działają na mnie wspaniałe piersi Lizzie. Jeśli chodzi o Rachel, to uznałem, iż mimo jej niewątpliwiej atrakcyjności miała dużo szczęścia, że ktoś w moim wieku się nią zainteresował.

Ponadto była moją towarzyszką w innej pasji, która mnie coraz bardziej wciągała - hazardzie.

Jessikę widywałem bardzo rzadko. Od przyjazdu Lizzie zdwoiła swoje wysiłki na rzecz Ruchu Kobiet, próbując wszystkich swoich sztuczek, żeby ją zwerbować do wojny przeciwko mężczyznom.

Lizzie była tym znudzona tak samo jak ja, ale lepiej potrafiła to ukryć. Chociaż Jessika tak bardzo poświęcała

się tej sprawie, nie zanieczywała innych. Jeśli nie uczestniczyła akurat w spotkaniu w saloniku przy Belgrave Square, który zarekwirowała na użytek swojej lesbijskiej brygady, to była albo w swoim studio na ostatnim piętrze domu, albo w galerii George'a Manneringa przy Knightsbridge.

Wszystko, co dotyczyło sztuki, przedstawiało się jak najlepiej, zapewniała mnie za każdym razem, kiedy przypominałem sobie, by o to zapytać. George uważał, że wykazuje „niezwykły potencjał” i był przekonany, że w ciągu roku będzie mogła mieć własną wystawę. Kiedy mi to powiedziała, nie mogłem się powstrzymać, żeby nie rzucić okiem na obrazy, które zdobiły ściany przy Belgrave Square, zastanawiając się, co by na to powiedziała moja matka. Zapanował niepokojący rozejm między nią a Jessiką od czasu, gdy matka napadła na dom usłyszawszy, że Jessika wiesza swoje obrazy obok dzieł sztuki, które moja matka wraz z

babką z takim trudem zdobywały. Sam sobie pomyślałem, że matka wyraziła bardzo umiarkowany pogląd, gdy delikatnie nadmieniła, iż „chefs d’oeuvre” Jessiki wyglądają trochę nie na miejscu obok inkrustowanych mebli i pozłacanych brązów. Jessika dąsała się przez trzy dni po wizycie mojej matki także na mnie, gdyż nie udzieliłem jej najmniejszego wsparcia w czymś, co ma dla niej fundamentalne znaczenie. Trochę zmieszany oponowałem, że wręcz przeciwnie, wspieram ją cały czas przez sam fakt, że znoszę te obrazy bez narzekania. Niezbyt mądrze dobrałem słowa, a ceną, jaką musiałem za to zapłacić, był nowy serwis obiadowy.

Nie było jednak od tego ucieczki. Obrazy Jessiki były, delikatnie mówiąc, skrajne. Jediną rzeczą, jaką kiedykolwiek na którymkolwiek z nich rozpoznałem - a schodziły ze sztalug dziesiątkami - był królik, schowany „całkiem sprytnie” jak zauważyłem, w rogu obrazu zatytułowanego *Królikarnia*. Oczywiście tytuł zdradzał tajemnicę, ale mimo to byłem z siebie bardzo dumny, dopóki nie dopadł mnie gniew Jessiki, że nie

wyczułem subtelności wybuchającego wulkanu, to bowiem miał przedstawiać obraz... Nigdy nie udało mi się dowiedzieć, co robił tam królik. Od tamtej pory nigdy nie usiłowałem zgadywać tematów jej obrazów i potulnie przyjąłem rolę jednego z tych nie wtajemniczonych, czekając aż sama wyjaśni mi dokładnie, jakie uczucia chciała uchwycić w obrazie, a potem zapewniałem ją, że w pełni jej się to udało. Oczywiście nigdy mi nie wierzyła, ale była to taka gra między nami, z której oboje byliśmy zadowoleni.

W zasadzie to dzięki sztuce zacząłem zauważać zachodzącą w Jessice przemianę. Od pewnego czasu zaczęliśmy rozmawiać o założeniu rodziny. Pierwsza reakcja Jessiki - gdy zdała sobie sprawę, że mówię poważnie — przypominała horror.

- Ty chcesz mieć dziecko! Nie rozśmieszaj mnie, Aleksandrze. Co na to powiedzieliby twoi przyjaciele? To nie przypomina wyobrażenia prawdziwego mężczyzny - macho, które tak usilnie próbujesz kultywować. Biorąc pod uwagę twoją śmieszoną męską dumę, jestem zdziwiona, że masz w ogóle odwagę o tym mówić.

- Jess, powiedziałem ci o tym, bo jesteś moją żoną. Jeżeli nie mogę powiedzieć tobie, to komu, do diabła, mam powiedzieć? A jeśli chodzi o obraz prawdziwego mężczyzny, to ty mnie zadziwiasz!

Prędzej bym cię podejrzywał, że oskarżysz mnie o próżność reproduktora chcącego mieć potomstwo.

Zaśmiała się.

- Tak, to też. Tak czy inaczej, to jest poza dyskusją. Przykro mi, kochanie, jeśli czujesz się jak kwoka, ale ja nie.

Nie zamierzałem tak łatwo się poddać i ona o tym wiedziała. Mimo to byłem zaskoczony, że mnie wysłuchała bez naśmiewania się. Potem ja wysłuchałem jej wyjaśnień, dlaczego to jest zły pomysł.

Zaczynały się od tego, że jest jeszcze za młoda, a kończyły stwierdzeniem, które było do przewidzenia, że nie jest moją kwoką.

W końcu jednak, nawet bez szczegółowej analizy feministycznej, jaki to będzie miało wpływ na jej osobę - czego oczekiwałem i na co byłem przygotowany - zgodziła się przerwać zażywanie tabletek antykoncepcyjnych. Powinno to być dla mnie ostrzeżeniem, ponieważ Jessika nigdy nie poddawała się tak łatwo, szczególnie jeśli dotyczyło to „wykorzystywania jej kobiecości”. Jednak moja reakcja była tak pozytywna, że nawet mnie samego zaskoczyła. Do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo chciałem mieć dziecko. Byłem tym nawet trochę zażenowany. Jessika nie mogła się oprzeć, żeby sobie ze mnie nie pożartować, ale było to bardzo czułe i przez chwilę byliśmy bliżej niż kiedykolwiek od dłuższego czasu.

Nawet Lizzie udzieliła się ta atmosfera i traktowała swoją siostrę, jakby ta już była w ciąży. Jessika była zachwycona, że skupiła na sobie tyle uwagi, a w naszym życiu erotycznym pojawiła się czułość -

uczucie do tej pory nam obce. Co dziwne jednak, mimo zadowolenia z całej sytuacji nie byłem w stanie pozostać wierny. Jeśli nie widywałem się z Rachel lub kimś innym przez trzy lub cztery dni, stawałem się kapryśny i nerwowy. Zadawałem sobie pytanie, dlaczego tak się dzieje, ale zdaje się przyjąłem założenie, że jest to stan naturalny w przypadku takiej osoby jak ja. Ponieważ Jessika absolutnie nie mogła się o tym dowiedzieć, więc zabierałem ją na wycieczki do Paryża, obsypywałem kwiatami i robiłem wszystko, żeby ją uszczęśliwić. Trwało to około trzech miesięcy, a potem wszystko zaczęło się zmieniać.

Dawniejsze obrazy Jessiki były zawsze jasne i przekolorowane, ktoś - oczywiście nie ja - mógłby powiedzieć, że nawet jaskrawe Teraz jednak zaczęła wyzierać z nich jakaś choroba. Na początku były tylko dwa lub trzy, które znalazły się na ścianie w sypialni. Ponieważ był to w zasadzie pokój kobiecy, pełen perkalu i koronek, obrazy tworzyły niemal upiorny kon-

trast, a ich szarości i czernie z rozmazanymi ostrymi rdzawo-brązowymi smugami sprawiały, że czułem się nieswojo. Kiedy jednak próbowałem zasugerować Jessice, że może lepiej by im było w szopie w ogrodzie, zamiast wybuchnąć gniewem ledwie spojrzała na mnie - jak bym to określił - niewidzącymi oczami i uśmiechnęła się w przestrzeń.

Pewnego wieczoru wspomniałem o tym Lizzie, lecz ona tylko wzruszyła ramionami.

- Ach, wiesz, jacy są artyści - powiedziała - wszyscy są trochę stuknięci, ale gdyby nie byli, nie mogliby robić tego, co robią. A Jess jest geniuszem, wiesz dobrze.

Wydawało mi się, że przesadziła ze swoim siostrzanym oddaniem, więc postanowiłem zarzucić ten temat.

- Co porabia Henry dziś wieczorem? - zapytałem. Jedliśmy kolację we dwoje, gdyż Jessika poszła na wystawę na Fulham z Georgeem Manneringeńi. To była następna sprawa. Przedtem zawsze chciała, żebym chodził z nią na wysowy, a teraz, mimo że między nami tak dobrze się układało, przestało jej na tym zależeć.

- Henry? Henry się dąsa, ponieważ powiedziałam mu, że za często się widzimy.

- Wydawało mi się, że jesteś do niego bardzo przywiązana. Wzruszyła ramionami.

- Być może.

Wyczuwając, że nie chce o tym mówić, oparłem się wygodnie, żeby dokończyć swoje wino.

Zauważyłem kolejny ponury obraz Jessiki na ścianie w jadalni, tym razem dokładnie naprzeciw krzesła, które zwykle zajmowałem. Patrzyłem na niego przez jakiś czas i nie podobał mi się tak samo jak wszystkie inne. Wtedy zdałem sobie sprawę, że musiała powiesić go tam celowo i choć nie byłem w stanie wytłumaczyć powodu, poczułem, jak włosy stają mi dęba.

- Czy coś się stało? - zapytała Lizzie. Jej głos przestraszył

mnie, co musiało być widać. - Wydaje się, że jesteś dzisiaj bardzo nerwowy - dodała.

- Zamyśliłem się - powiedziałem z uśmiechem. Zajmujemy się teraz wyjątkowo nieprzyjemną sprawą o morderstwo, która chyba trochę daje mi się we znaki.

Pani Dixon została dzisiaj wieczorem, żeby przygotować kolację, więc

kiedy skończyliśmy, pomogłem jej sprzątnąć ze stołu, zanim przeszedłem do salonu, gdzie znalazłem Lizzie. Siedziała na podłodze, przeglądając czasopisma i prawie nie zareagowała, kiedy wszedłem.

Usiadłem na kanapie i wyciągnąłem przed siebie nogi. Był ciepły wieczór, okna były pootwierane. Z

zewnątrz nie dochodziły żadne hałasy, rozparłem się więc wygodnie i rozkoszowałem spokojem, po raz pierwszy od dawna wolny od zdenerwowania, jakie zazwyczaj mnie prześladowało. Patrzyłem na włosy Lizzie poruszane przez wiatr i na jej ręce, które przerzucały strony magazynu. Cofnąłem się myślami do spotkania kilka godzin wcześniej z Rachel; wiedziałem, że znowu - w myślach - kocham się z Lizzie, ale wynagrodzę to Rachel później, jak ją spotkam w Clermont... Zamknąłem oczy i znów zdałem sobie sprawę, że czuję niepokój: ostatnim razem straciłem dużo pieniędzy - więcej, niż wynosiła moja kwartalna pensja - i szedłem do kasyna tylko po to, żeby się odegrać. Zerknąłem na zegar. Będę musiał wyjść za pół godziny.

- Tu jest strasznie gorąco, nie uważasz? - Lizzie wyciągnęła się, zauważyłem, że dwa górne guziki bluzki miała rozpiętó. Przechyliła się do przodu, jednocześnie odrzucając włosy do tyłu. Jej prawa pierś była prawie całkowicie odsłonięta. Potem, odrzucając na bok czasopismo, wyciągnęła nogi i położyła się na podłodze. Krótka spódniczka pozwijała jej się na biodrach, a gdy podniosła jedno kolano, mignęły mi przed oczami białe majtki.

Powoli jej wzrok spotkał się z moim, widziałem, jak zwilża językiem wargi. Uśmiechnęła się, a ja nie śmiałem się poruszyć i nagle napięcie seksualne stało się wyraźnie wyczuwalne. Ona jest siostrą twojej żony - powtarzałem sobie. Każdą, możesz mieć każdą, ale ją zostaw w spokoju. Cały czas patrzyłem jej w oczy. Ona należy do Henry'ego, nie możesz tego zrobić, nie warto z tego powodu tracić przyjaciela. Zaciśnąłem zęby i wbiłem palce w poręcze kanapy, ale napięcie w kroczu przekreśliło mój opór.

- Uwielbiam takie ciepłe wieczory, a ty, Aleksandrze? - zamruczała kładąc ręce na piersi, a potem przesuwając je wzdłuż ciała. - Zawsze się wtedy czuję tak, świetnie.

- Lizzie, czy myślisz, że Jessika na romans z George'em Manneringem? - zagadnąłem. Nagle atmosfera się oczyściła. Lizzie usiadła, układając nogi na podłodze.

Zanim zaczęła mówić, patrzyła na mnie przez chwilę.

- Chyba żartujesz? - powiedziała. - Z George'em Manneringem?

Oczywiście, że nie mówiłem poważnie. Oddanie Jessiki wobec mnie było ostatnio tak ewidentne, a George Mannering był tak kiepskim przykładem męskości według czyichkolwiek kryteriów, że lepiej zostawmy Jessikę w spokoju. Wzruszyłem ramionami.

- Czy nie zauważyłaś, jak ona dziwnie się ostatnio zachowuje?

- Już wcześniej to powiedziałaś - wypaliła. - Dziwnie? W jakim sensie?

- Z jednej strony te jej okropne obrazy.

Wydawało się, że to wyprowadziło ją z równowagi. Była jak najbardziej przygotowana, żeby wciągnąć do łóżka męża własnej siostry, ale nie była przygotowana, żeby tenże mąż wypowiadał się krzywdząco o sztuce siostry. Obserwowałem jej twarz, wyczuwając wewnętrzną walkę. Wiedziałem, że zastanawiała się, czy bardzo chce mnie usidlić? Jeżeli będziemy się spierać na

temat Jessiki, nigdy nie wróci poprzedni nastrój. W końcu wzruszyła ramionami i zdałem sobie sprawę, że sztuka Jessiki powoli przesuwa się na drugie miejsce, gdy powiedziała: - Moim zdaniem ona zachowuje się zupełnie normalnie. Nie mogłem pominąć przelotnego uczucia zwycięstwa, a przynajmniej teraz już byłem w stanie się kontrolować.

- Henry powiedział, że widział ją wczoraj na Harley Street.

- Czy jest coś dziwnego w Harley Street?

- Oczywiście że nie. Tylko dziwne, że Jessika tam była, podczas gdy minie powiedziała, że jedzie do Bristolu na jakieś spotkanie.

Lizzie głośno ziewnęła, dając tym jasno do zrozumienia, że jest znudzona sprawami swojej siostry.

- Mogę tylko powiedzieć, że kobieta musi mieć tajemnice, nawet przed swoim mężem. - Przerwała, tak jakby nagle coś jej się przypomniało, po czym odwróciła się do mnie. - Chyba nie jesteś zazdrosny, co? - Zazdrosny?! O co?

- Nie wiem. O jej sztukę?

Skierowałem wzrok na obraz wiszący w jadalni.

- Nie, nie jestem zazdrosny - powiedziałem.

Wstała i wolno podeszła do lustra. Cisza wisiała ciężko w powietrzu, a ja wiedziałem, że Lizzie jeszcze ze mnie nie zrezygnowała.

- Myślę, że pójde wziąć prysznic - powiedziała patrząc na moje odbicie w

lustrze. - Pójdiesz ze mną?

Zaśmiałem się.

- Dzięki, ale muszę wyjść.

Uśmiechnęła się enigmatycznie, zanim się odwróciła.

- Rachel czeka, co?

- Rachel? - zapytałem zaskoczony.

- Rachel Armstrong. Kobieta, u której spędzasz większość popołudni, przy Lennox Gardens.

Zamknąłem oczy i nagle poczułem się bardzo zmęczony. Gdy je otworzyłem, nadal mi się przyglądała.

- Skąd wiesz o Rachel? Pstryknęła się w nos.

- Coś mi tak mówi.

- Czy Jessika wie? Czy o to w tym wszystkim chodzi? -wskazałem ręką w stronę obrazu.

- Jessika? Och nie, nie wydaje mi się, żeby wiedziała. I nie powiem jej, jeśli ci zależy.

Westchnąłem głęboko.

- Skąd bierze się u mnie takie przeczucie, że będą z tym związane jakieś warunki?

Usłyszałem niski, gardłowy śmiech.

- Bo będą. Możemy zacząć od prysznic? Zamknąłem oczy i próbowałem się modlić, żeby pani Dixon już wyszła do domu. Modliłem się, żeby Jessika nie stanęła w drzwiach, a na końcu modliłem się, żeby zdobyć się na opór. Słyszałem jednak tylko, jak Lizzie zdejmuje ubranie, a potem zapadła cisza.

Gdy otworzyłem oczy, stała przede mną naga, wyciągając rękę.

Co mogłem zrobić? Nie miałem wyboru.

Rozdział 13

Było już dobrze po północy, kiedy wszedłem na górę do salonu gry w kasynie Clermont. Kasjer przywitał mnie serdecznie, a ja zastanawiałem się, jaką by miał minę, gdybym pokazał mu wyciąg z konta, który dotarł do mnie z poranną pocztą.

Kiedy zasiadłem do ruletki, usłyszałem pomruk przy stole i dostrzegłem trzy kupki czarnych żetonów, które właśnie wzbogacały okazałą kolekcję Rachel. Jej skośne oczy błysnęły w moim kierunku, ale w żaden inny sposób nie dała po sobie poznać, że mnie dostrzegła. Przypuszczałem, że jest na mnie zła, ale i ja

miałem z nią na pieńku. Spóźniłem się, to prawda, nie powinna w związku z tym robić jednak aż takiej afery. Doszedłem do wniosku, że nie mam ochoty przyglądać się jej dalszym wygranim, ruszyłem więc zerknąć, jak Robert Lyttleton próbuje swoich sił gdzie indziej, a potem zasiadłem do blackjacka.

Od początku grałem brawurowo, podwajając i zwiększając stawkę przy każdej okazji i w ciągu pierwszej godziny miałem na stole tysiąc. Wygrywałem prawie każde rozdanie i kiedy Rachel dołączyła do sporej grupki osób, która zgromadziła się wokół mnie, zdążyłem zebrać żetony warte prawie dwadzieścia tysięcy funtów.

Oparła dłonie na moich ramionach i schyliła się, by mi coś szepnąć do ucha, ale jej nie słuchałem.

Tym razem popchnąłem dziesięć tysięcy na środek stołu, a krupierka wyciągnęła właśnie drugą trójkę.

Jej wzrok spotkał się z moim.

- Split — mruknąłem i rozłożyłem karty, jedna obok drugiej. Stawiałem teraz całe dwadzieścia kawałków.

Szóstka pik wylądowała obok trójki karo.

- Dziewięć. — Głos krupierki był jedynym dźwiękiem, jaki dało się słyszeć w pomieszczeniu. -

Siedem - rzuciła, gdy czwórka kier dołączyła do trójki kier na mojej drugiej ręce.

Przy następnej karcie miałem na drugiej ręce szesnaście. Po chwili dołączył tam król karo.

- Siedemnaście.

Nie musiałem podnosić głowy i spoglądać na siedzącą obok mnie starszą panią, by wiedzieć, że wstrzymała oddech. Z pewnością poprzestanę na tym - nikt przy zdrowych zmysłach nie grałby już dalej. Serce tak mi waliło, że w otaczającej nas ciszy nieomal dało się słyszeć jego łomot. Wiedziałem, że wszyscy wpatrują się we mnie, zafascynowani i przerażeni, by zobaczyć, czy będę grać dalej.

- Niemożliwe! - To Robert Lyttleton syknął przez zęby, gdy skinąłem głową. Kilka osób podsunęło się bliżej.

Czekałem na odwrócenie kolejnej karty.

- Dwadzieścia jeden - rzuciła jakby od niechcenia kru^ pierka.

Kobieta obok mnie miała dziewiętnaście. Spojrzałem na rozdającą.

- Stand-offi - Spokojnie pchnęła w moim kierunku najpierw jedno dziesięć tysięcy, a zaraz potem następne.

Wyczułem, że starsza pani ma ochotę wyjść, gdyż taki tłum odebrał jej odwagę. Ponieważ moja brawura przyciągnęła uwagę całego kasyna, a więc i ona została, żeby jeszcze popatrzeć.

- Dziesięć. - Czułem uda Rachel przyciskające się do mego ramienia.

- Podwajam - rzuciłem natychmiast. Ponownie stawiałem dwadzieścia kawałków. Krupierka nie czekała długo z następną kartą.

- Blackjack - powiedziała cicho, jakby sama nie bardzo mogła w to uwierzyć. I jej musiało się udzielić napięcie, ponieważ ostatnią kartę odkryła drżącą dłonią. Przez zgromadzony tłum przeszedł pomruk niedowierzania i podniecenia.

Wygrałem pięćdziesiąt tysięcy funtów.

Popatrzyłem na otaczające mnie twarze. Wszyscy się uśmiechali, wyciągając ręce, by mi pogratulować. Dla większości z tych ludzi pięćdziesiąt tysięcy nie było wielką sumą; zaimponowała im natomiast moja odporność - to, że nie zrezygnowałem przy siedemnastu, i diabelskie szczęście, które dało mi blackjaka na stand-offie.

- Szampana! - zawołał Robert, poklepując mnie po plecach. - Ty stawiasz.

Poczułem dłoń Rachel wślizgującą się do kieszeni moich spodni i w tym samym momencie zdałem sobie sprawę, że ktoś mnie szarpie za rękę.

Wyciągając jej dłoń, odwróciłem się z niejakim trudem, by zobaczyć, kto usiłuje przyciągnąć

moją uwagę. To kobieta, która grała obok mnie przez cały wieczór.

Coś we mnie zmięкло na widok jej uśmiechu. Przypominała mi moją babkę. Z niej także emanowało poczucie pewności siebie i spokoju; nie miało się najmniejszych wątpliwości, że z nią o wiele bardziej warto spędzić jedną chociażby godzinę niż trzy z innymi ludźmi.

- Może przyłączy się pani do nas w barze? - zaproponowałem.

- Dziękuję, ale nie - pokręciła głową. - Dla mnie najwyższa pora iść spać

- mówiła głębokim, jakby nie znoszącym sprzeciwu głosem, co stanowiło pewien kontrast z jej delikatnym ciałem. - Chciałabym tylko panu

pogratulować. Niewiele osób wzięłoby ponownie kartę przy siedemnastu. -

Patrzyła mi badawczo w oczy, tak jakby szukała tam czegoś, co tylko ona potrafiłaby dostrzec. Po chwili jej twarz ponownie rozjaśniła się w uśmiechu.

- Wie pan, jeśli słuszne jest stare powiedzenie, że kto ma szczęście w kartach, nie ma szczęścia miłości, to drzę z obawy o pańskie serce, młody człowieku!

-I śmiejąc się z własnego dowcipu, życzyła wszystkim dobrej nocy.

- Oto kolejna ofiara do haremu Belmayne'a - zażartował Robert z uśmiechem. - No to co, schodzimy na dół czy nie?

- Bądź taki kochany i idź zająć stolik - wtrąciła Rachel, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć.

- Zawsze do usług - zsalutował Robert. - Co mam zamówić?

- Naturalnie to, co mają najlepszego! - Rachel pogłaskała go pod brodą, a następnie obróciła i delikatnie popchnęła w stronę schodów.

Wystarczyło mi tylko zobaczyć jej twarz, kiedy na mnie spojrzała, bym wiedział, że nie dołączymy do Roberta. Malo-

wało się bowiem na niej nie skrywane pożądanie i dopiero w tym momencie uświadomiłem sobie, że mam erekcję. Nie wiem, od jak dawna, ale zdałem sobie sprawę z tego, że wygrana podziałała na nas jak afrodyzjak. Musieliśmy gdzieś się kochać, i to natychmiast.

W samochodzie rozpięła mi rozporek, jeszcze zanim włączyłem silnik. Upuściłem kluczyki i kiedy schyliłem się po nie, jej palce objęły mój członek. Krzyknąłem, czując jak fala pożądania przenika moje ciało, i odrywając jej rękę odepchnąłem Rachel na siedzenie.

- Zaczekaj! - warknąłem i zapalając silnik wyjechałem z parkingu, o mały włos nie zderzając się po drodze z samochodem policyjnym.

Na Lennox Gardens cofnąłem samochód pod ogrodzenie i zgasilem motor. Rachel już chciała wysiadać, ale ja zatrzasnąłem jej drzwiczki. Pożądanie, od którego aż nabrzmiała mi pierś, wręcz mnie dusiło.

- Chcesz się pieprzyć, to zrobimy to po mojemu! - rzuciłem.

Jej usta zadrżały, a ja nachyliłem się i z całej siły ją pocałowałem.

- Przenieś się na tylne siedzenie! - Już chciała zaprotestować, ale gwałtownie rozdarłem jej suknię z przodu i oswobodziłem piersi. - Chcesz to zrobić, czy nie?

- Tak, o Boże, tak! - jęknęła odrzucając głowę na oparcie.

- No to przełaź do tyłu!

Przez chwilę jakby się wahała, lecz kiedy dostrzegła mój stojący członek, który sama wyswobodziła ze spodni, zaczęła się posłusznie przesiadać. Poczekalem, aż zatrzasnie tylne drzwiczki. Wtedy ogarnęła mnie przytłaczająca wręcz potrzeba upokorzenia jej. Wysiadłem z samochodu, ale gdy zrozumiała, że wcale nie zamierzam wsiadać do tyłu, uchyliła drzwiczki. Wpatrując się we mnie, wysłuchiwała krótkiego polecenia.

Posłusznie obróciła się i uniosła nogi na siedzenie. Zmuszając ją do tego, by uklękła, oparty na rękach i kolanach, zdarłem z niej bieliznę i wszedłem w nią od tyłu.

Tamtej nocy po raz pierwszy tak naprawdę pieprzyłem Rachel. Nie mógłbym powiedzieć, że się kochaliśmy, bo w tym akcie, do którego doszło na tylnym siedzeniu samochodu, nie było ani odrobiny czułości. Ale teraz, skoro już posiadam Lizzie, mogłem się skoncentrować na Rachel i na tym wszystkim, co chciałem z nią zrobić. Byłem pijany własnym sukcesem. Od tej pory między mną a Rachel będzie dokładnie tak -zostanie niewolnicą mego pożądania, jak mnie ubezwłasnowolniło pożądanie Lizzie.

Kiedy wreszcie wróciłem do siebie, słońce zaczynało wznosić się ponad horyzont. Spojrzałem w górę na białą fasadę domu przy Belgrave Square i pomyślałem o mojej żonie, która posłusznie czeka w łóżku, aż wrócę. A także o szwagierce w pokoju obok, która zaledwie kilka godzin temu leżała pode mną dysząc i błagając o jeszcze, gdy się w nią wdarłem. Na koniec pomyślałem o pięćdziesięciu tysiącach funtów w kieszeni.

Krew zaczęła krążyć mi w żyłach znacznie szybciej, powodując takie samo podniecenie, jakie odczuwałem po wygranej w Clermont. Byłem gotów na więcej. Chciałem znowu wygrać. Pójdę do Lizzie. Pokażę jej, kto tutaj rządzi. I zrobię to, gdy Jessica będzie obok za ścianą.

Wkradłem się po schodach na górę i minąłem naszą sypialnię, nawet się przed nią nie zatrzymując, żeby zajrzeć do środka. Na końcu korytarza otworzyłem drzwi do sypialni Lizzie.

W przyćmionym świetle przenikającym przez zasłony dostrzegłem jeszcze jedną głowę na poduszce.

Wymięta pościel owinęła się wokół dwóch ciał. Przez moment poczułem straszliwą zazdrość, gotów zabić tego, kto leży obok. W tym momencie zdałem sobie sprawę, że to Henry, i zamknąłem drzwi.

Łóżko w mojej sypialni było puste.

Wściekły zszedłem na dół, sądząc że Jessica nie położyła się i czeka na mnie. Nie zostawiła jednak nawet żadnej kartki. Zrobiłem sobie kawy i opadłem na fotel, przygotowany na dłuższe czekanie.

Gdyby Jessica wkroczyła w tym momencie, byłbym gotów ją zabić: wszyscy robili to, co ja chcę, nad wszystkimi miałem kontrolę, nad wszystkimi - z wyjątkiem własnej żony.

Musiałem chyba przysnąć, bo w chwili gdy usłyszałem jakiś ruch przy

schodach, na kuchennym zegarze było dziesięć po siódmej. Podniosłem się z fotela i zakląłem, gdyż na podłogę spadła filiżanka z moją nie dopitą kawą, która zostawiła na dywanie ciemną plamę. Patrzyłem na nią, zastanawiając się, co zrobić. Wtedy usłyszałem, że ktoś zamknął drzwi wejściowe, na zewnątrz zaś rozległy się kroki.

Podbiegłem szybko do drzwi, chcąc opowiedzieć Henry'emu o mojej wygranej. Ale kiedy w szarym londyńskim świecie wyjrzałem na zewnątrz, zobaczyłem, że to nie Henry wsiada do swego BMW, lecz Robert Lyttleton właśnie zapala silnik nowiutkiego Jaguara, którym chwalił się nam w ubiegłym tygodniu.

Odjechał, a ja stojąc w drzwiach próbowałem pozbierać myśli.

Właściwie nie dobiegł moich uszu żaden dźwięk, mimo to wyczułem czyjaś obecność. Odwróciłem się więc, zaglądając do domu przez otwarte drzwi.

W połowie schodów stała Lizzie. Miała zmierzwione włosy, wargi płonęły czerwienią niedawnych pocałunków. Przyglądała mi się, jakby prowokując, bym coś powiedział. Ale ja nie patrzyłem na nią -

widziałem tylko kobietę stojącą obok, z ręką opartą na balustradzie, z gołą stopą rytmicznie stukającą o podłogę. Odebrałem ich uśmiechy jako przesłanie triumfu, który nie pozostawiał mi cienia wątpliwości co do przebiegu wydarzeń w pokoju na końcu korytarza.

- Cześć, kochanie - mruknęła Jessika. A kiedy ruszyłem w stronę schodów, odrzuciła głowę i krótko się zaśmiała.

Nie pamiętam dokładnie, co się stało potem. Przypominam to sobie jako gmatwaninę kolorów, zderzających się wokół, oślepiających mnie, zaćmiewających mi umysł. Słyszałem szaleńczy śmiech, a potem krzyki, które mnie ogłuszyły, wwiercały mi się w mózg. I krew. Krew na moich rękach, na ścianach. A wokół ból, chaos, zniszczenie...

Rozejrzałem się po rozwieszonych obrazach. Nigdy wcześniej ich nie widziałem. Przypominały bardzo obrazy, które zdobiły ściany Belmayne House w Suffolku. Niespokojnie przeniosłem wzrok z jednego na drugi, kiedy nagle zobaczyłem przed sobą *Roche-Blond o zmierzchu słońca* Moneta. W zasadzie lubiłem obrazy impresjonistów, ale teraz, ponieważ tak bardzo różniły się od ponurych płócien Jessiki, boleśnie mi o niej przypominały, pogłębiając poczucie winy.

Poruszyłem się w fotelu i wróciłem do gazety. Na stronie drugiej pisano o podłożu sprawy oszusta Haleya Weinberga -wkrótce miała się odbyć

rozprawa - i raz jeszcze poczułem się winny. Jerremy Corbyn otrzymał akta dwa miesiące temu -to ja harowałem za niego. Powinienem przynajmniej zadzwonić do kancelarii i dać mu znać, gdzie jestem. Ale tego nie zrobiłem.

Od czterech dni mieszkałem u Rachel - przez te cztery dni na zmianę albo wyładowywałem swoją wściekłość na jej ciele, albo grałem jak szalony w Clermont, gdzie miałem już długi w wysokości osiemdziesięciu pięciu tysięcy funtów. Za wszystko winiłem Jessikę. Kiedy myślałem o niej, czułem, jak paznokcie wbijają mi się w dłonie, a gdy próbowałem sobie przypomnieć tamten wczesny poranek, w pamięci tłoczyły mi się potworne obrazy. Po co się wtedy roześmiała?

Otwarły się drzwi i weszła Rachel. Miała na sobie futro

z soboli, które kupiła w ubiegłym tygodniu za wygraną w ruletkę, i już na sam jej widok poczułem, że mam ochotę się na nią rzucić.

- A ty ciągle tu? - spytała kładąc torebkę na fotel.

- Jak widzisz. Poszła powiesić futro.

- To Morant - rzekła po powrocie do pokoju, wskazując głową na stolik, na którym trzymałem nogi.

Zdjąłem stopy.

- Teraz możesz zrobić to samo z tymi pudełkami - zauważyła, pokazując resztki chińskich dań przyniesionych wcześniej z restauracji. Zebrałem śmiecie i wrzuciłem do kosza obok fotela. Rachel westchnęła i poszła sobie zrobić drinka.

- Dla mnie szkocką - powiedziałem i zagłębiłem się ponownie w gazetę.

- Sam sobie weź.

- O Boże, przecież proszę cię tylko o to, żebyś mi podała drinka.

Popatrzyła na mnie.

- Zaczynam cię już powoli mieć dosyć. Chyba najwyższa pora...

- Dobrze już, dobrze! - krzyknąłem. - Sam sobie zrobię. Potem zapadła cisza, w której słychać było tylko szelest

przewracanych kartek i stukot kostek lodu. Pierwsza odezwała się Rachel.

- Nic mi nie mówiłeś, że zniszczyłeś jej obrazy. Zerknąłem na nią, ale ona nadal przeglądała magazyn.

- Dlaczego to zrobiłeś? - spytała po chwili, zorientowawszy się, że nie zamierzam się odezwać.

- Dlaczego to zrobiłem? Możesz tak sobie siedzieć i pytać, dlaczego to zrobiłem?

- Poszła do łóżka z innym mężczyzną. Była niewierna. Czy całe twoje życie opiera się na zasadach podwójnej moralności?

- O Boże! Mieliśmy się starać o dziecko! A co by było, gdybym nie wszedł właśnie wtedy, dwa miesiące później zaś dowiedział się, że jest w ciąży? Dziecko nie byłoby moje, a ja bym nawet o tym nie wiedział! Poza tym nie tylko ona była w łóżku z Robertem Lyttletonem tamtej nocy. Była z nią razem jej własna, pieprzona siostra. I to w moim domu! Ona...

- Och, zamknij się już. Mam dosyć tych twoich napadów wściekłości! Tak czy inaczej, niezależnie od tego, co się stało, nie powinieneś niszczyć jej obrazów.

- A widziałaś je? Na ich widok dostawałem dreszczy. Nie mogłem już ich znieść. A poza tym, sama się o to prosiła.

- To ty się sam prosisz. Wydaje ci się, że możesz robić co ci się żywnie podoba, i na dodatek nic a nic nie przejmować się tym, co inni na to. Sądzę, że już najwyższa pora, byś zdał sobie sprawę z tego, że świat nie został stworzony tylko po to, by zaspokajać nie nasyconego Aleksandra Belmaynea. Twoje życie to jedno wielkie bagno i jedynie siebie możesz winić za ten stan rzeczy. Przyjrzyj się sobie! Bóg jeden wie, co zrobiłeś ze sobą, ale to, co zrobiłeś swojej żonie, jest niewybaczalne! A kim ty właściwie jesteś, żeby oceniać jej sztukę? Za kogo ty się, uważasz do cholery?

Już otworzyłem usta, chcąc odpowiedzieć, ale mi przerwała.

- Jesteś po prostu nikim! Nie zasługujesz na to, by przebywać w jednym pomieszczeniu z porządnymi ludźmi. Uważasz, że ta twoja przystojna gęba daje ci prawo zachowywać się tak, jak tylko masz ochotę. Nie obchodzi cię, kogo ranisz, ani jak traktujesz ludzi, którzy cię kochają, jak choćby twoja żona. Czy wiesz, dlaczego zrobiła to, co zrobiła? Bo wiedziała, że bywasz u mnie. Wiedziała, że przez cały czas, kiedy mówiłeś, że ją kochasz, kłamałeś i zdradzałeś ją. Ona chciała ci po prostu odpłacić pięknym za nadobne, a tobie się to nie spodobało. To

nie moja sprawa, że wymyślacie sobie takie niebezpieczne zabawy, ale chcę ci powiedzieć, że twoja śliczna buźka nic nie znaczy. Liczy się to, co pod spodem, a ty pod spodem nie masz nic. Jesteś płytki i pusty - zabierasz tylko innym powietrze!

Wstała, żeby nalać sobie drinka. Głos miała spokojniejszy, lecz wzrok nadal zimny i twardy.

- Życzę sobie, żebyś stąd odszedł. I to natychmiast. Wracaj do swojej

żony, jeśli cię w ogóle przyjmie z powrotem. Idź sobie gdziekolwiek, bo ja cię tu nie chcę widzieć.

Poderwałem się z fotela i zaciśniętą pięść wcisnąłem między jej uda.

- A tutaj? Tutaj też mnie nie chcesz? Popatrzyła na mnie z uśmiechem.

- Rachel, przecież ty bez tego nie możesz żyć. Za tydzień będziesz mnie błagać na kolanach. No to co, może ostatniego na odchodne? - Zacząłem gmerać przy rozporku.

- Jeśli mnie dotkniesz, to dam ci słowo, że cię zabiję.

- A więc chcesz, żebym cię zgwałcił? - roześmiałem się ponownie. - Chcesz, żebym znów był

brutalny. A jak ma być tym razem? Mam cię związać? - Nadal trzymałem dłoń między jej udami, a ona nie próbowała się cofnąć.

Niespodziewanie nachyliła się, odstawiając szklankę na stolik.

- Aleksandrze, przestań! - odezwała się błagalnie. - Przestań! Zobacz, jak ta wściekłość, ta przemoc cię niszczy! Popatrz tylko na siebie! Zobacz, co się z tobą dzieje!

Powoli wzięła moją dłoń. Potrzymała ją chwilę w swoich dłoniach, kolejno otwierając palce.

- Aleksandrze! - westchnęła. - Tak ci współczuję, chociaż Bóg jeden wie dlaczego. Ale te jej obrazy...

jak mogłeś coś takiego zrobić? x

Odwrociłem głowę, czując się jak budzący odrazę karzeł.

- Skąd się o tym dowiedziałaś?

- Robert mi powiedział. Poczułem, że sztywnieję.

- Robert Lytdeton? To znaczy, że Jessika znów się z nim widziała.

- Nie, to znaczy, że Henry cię szuka.

- Czy Robert wie, że tu jestem?

- Teraz już tak - skinęła głową. - Widzieliśmy się dziś po południu.

- U niego w łóżku?

Odpowiedziała mi uśmiechem.

- Nie, Aleksandrze, nie w jego łóżku. Kazirodztwo nigdy mnie nie pociągało.

- Kazirodztwo? - zapytałem podnosząc głowę.

- Robert to mój syn. Nie mów mi, że nie wiedziałeś. Szarpnąłem się. Na jej uśmiechniętej twarzy malowała się

łagodność, ale ja widziałem tylko te kreski, które ocieniały kąciki jej oczu, złamaną gładkość szyi - i przez krótką chwilę miałem wrażenie,

jakbym przez łzy patrzył na twarz własnej matki. Poczułem skurcz w brzuchu. Rachel jest matką Roberta Lyttletona! I kiedy ja pieprzyłem jego matkę, on pieprzył

moją żonę! Pieprzył siostrę mojej żony. Moją żonę i jej siostrę...

- O Boże! - Coś mnie dusiło w gardle. - O Boże! Rachel odwróciła się i poszła po swojego drinka.

Patrzyłem

na nią pełen nienawiści, a kiedy spojrzała na mnie, nienawiść przemieniła się w obrzydzenie -

obrzydzenie, które objęło mnie całego, które powodowało, że pragnąłem wyrwać z siebie trzewia, zedrzeć skórę, odprawić jakieś egzorcyzmy, cokolwiek, byleby oczyścić się z tego plugastwa. Bo to przecież ja wciągnąłem wszystkie do tego rynsztoka - Jessikę, Rachel, Lizzie i wiele, wiele innych, które po drodze wykorzystywałem -wszystkie były jedynie pionkami w mojej chorej egoistycznej

grze. A mnie przez cały czas zależało tylko na tym, by je zranić, upokorzyć, a potem odejść, pozostawiając w ich pamięci moją pogardę.

Dobry Boże, kiedy się to wszystko skończy? Jak długo mogę jeszcze żyć z takim bólem? Gdzie ona jest? Dobry Boże, gdzie ona jest?

Elżbieta

Rozdział 14

Panował wesoły nastrój. Błyskały jasne światła, dzieci wrzeszczały. Przez głośniki rozbrzmiewał

okrzyk: „Gorzko, gorzko”, a gdzieś w oddali odgłos syren zatrzymał elektryczne samochodziki.

Ludzie spacerowali ze swoimi złotymi rybkami i kolorowymi balonami, w szalikach i kapeluszach szukając schronienia przed przenikliwym wiatrem, hulającym po błoniach. Wsadziłam wycinek gazety z powrotem do kieszeni i poczekałam chwilę, aż mały chłopiec szperający w moim koszyku znajdzie bilet. Z podniecenia zaróżowiły mu się policzki. Wreszcie znalazł bilecik i rozerwał go.

Ale nic nie wygrał. Chłopcu zrzędła mina, a jego ojciec, który chwilę wcześniej odpowiedział

uśmiechem na mój uśmiech, teraz popatrzył na mnie w sposób znany mi aż nazbyt dobrze.

Odwróciłam głowę, zasklepiając się w sobie, odczuwając potrzebę ucieczki, choćby na chwilę, od tego nastroju ogólnej wesołości.

Wuj przyglądał mi się, rozdając strzałki i zachęcając ludzi, żeby próbowali nimi trafić. Wiedziałam, że mi nie ufa, ale przyjął mnie z powrotem, ponieważ tamtego lata brakowało im rąk do pracy, a ja nie miałam dokąd pójść. To już pięć lat! Oparłam się o ścianę mojego straganu i zamknęłam oczy. Ach, kiedy to w końcu przestanie boleć?

Ktoś zawołał do mnie po imieniu. To Edwina, stara czarownica, której mąż zajmował się diabelskim kołem. Nie potrafiłam patrzeć na to koło, nie wspominając rodziców. Należało do nich - aż pewnego dnia zerwała się burza i zabiła obydwój. Gdyby nie doszło do tej tragedii, pewnie w ogóle bym nigdzie nie wyjeżdżała.

- To dobrze, kochanie, że bierzesz sprawy w swoje ręce -tak powiedział mi wuj tego dnia, gdy mu oświadczyłam, że zamierzam opuścić wesołe miasteczko. Opiekowała się mną wtedy Violet May, wróżka, ale tym samym ciągle przypominałam wujkowi, że nie spełnia swego obowiązku, gdyż to on powinien się mną zająć. - Jesteś wykształcona, matka już tego dopilnowała, możesz więc jechać. -

Kiedy otworzył drzwi pociągu do Londynu, chciałam mu powiedzieć, że się rozmyśliłam, lecz gdy się odwróciłam, już sobie poszedł.

Miałam wtedy czternaście lat, ale czasami wydawało mi się, jakby to było dosłownie wczoraj...

Edwina ponownie krzyknęła, wskazując na niewielką kolejkę dzieci, które czekały na zakup biletów.

Odwróciłam się ze złością. Edwina zawsze nienawidziła mojej matki, a po jej śmierci przerzuciła całą niechęć na mnie. I jak tylko wkroczy-

łam na teren wesołego miasteczka, zaledwie kilka godzin po tym, jak Aleksander odszedł z mojego życia, Edwina pojawiła się natychmiast; wrzeszczała na mnie, mówiła, że w gazecie przeczytała, co się stało - jestem ulicznicą, a takich jak ja tu nie chcą. Wuj stał wraz innymi i patrzył. W końcu wzięłam swoją torbę i ruszyłam przed siebie, ale dogoniła mnie Violet May. Nie chciała słyszeć o tym, że mam jechać do Janice - wesołe miasteczko to mój dom i tu jest moje miejsce, niezależnie od tego, co mówi Edwina. Zostałam, bo nie chciałam, by Janice szukała mi innego mężczyznę, inną pracę czy cokolwiek, co mogłoby się skończyć podobnie jak ta historia w Foxton...

- Wygrałam! Proszę pani! Proszę pani! Wygrałam! Spojrzałam na bladą podnieconą twarzyczkę i uśmiechnęłam się do rozpromienionej dziewczynki... Ale to było już dawno temu. Wszystko było już dawno temu.

Wzięłam z półki jeden z taniutkich długopisów i upewniwszy się, że nikt nie widzi, wsunęłam go dziewczynce do kieszeni. Potem wręczyłam jej misia. Położyłam palec na ustach, żeby pokazać, że dwie nagrody to będzie nasza tajemnica.

- Mamusiu, przyszedł Edward.

Spojrzałam na Charlotte, która podbiegła do straganu. Uśmiechnęła się nieśmiało do dziewczynki z misiem i patrzyła, jak ta odchodzi.

- Edward jest w przyczepie - powiedziała do mnie i próbując odgarnąć z oczu gęste czarne loki.

- Ach tak? - rzekłam z radością w głosie, podnosząc ją ponad ladą. - I nie mów mi, że znowu kupił ci watę na patyku.

Jej szare oczy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

- Masz resztki na buzi - uśmiechnęłam się, a kiedy się do mnie przytuliła, czułam, jak z dumy rośnie mi serce.

- Uch, to boli - zajęczała próbując się wyrwać. Postawiłam ją z powrotem na ziemi i patrzyłam, jak skacze na skakance po wesołym miasteczku.

- I chodź szybko! - zawołała, zaglądając do szczęśliwej sadzawki. - On czeka!

Moja dłoń zacisnęła się na skrawku gazety w kieszeni. Wyciągnęłam go ponownie i po raz ostatni przeczytałam. Minął już rok. Ożenił się rok temu, a ja nawet o tym nie wiedziałam!

Nie było sensu oszukiwać dłużej samej siebie. Ja czekałam -nigdy nie przestałam go kochać, ale teraz, dokładnie jak wtedy, kiedy zmarli moi rodzice, wiedziałam, że nadeszła pora, bym wykonała jakiś ruch.

To Violet May zapoznała mnie z Edwardem Waltersem, grubą rybą wśród marszandów. Poznali się dwadzieścia lat przedtem, gdy żona Edwarda zaczęła przychodzić do wesołego miasteczka, a May jej wróżyła. Po śmierci żony Edwarda Violet May nadal go odwiedzała.

Tak było do czasu, kiedy urodziła się Charlotta. Wtedy Edward zaczął przyjeżdżać do nas tak często, jak na to pozwalały jego interesy, a wszystko dlatego, że był oczarowany malutką dziewczynką.

Chociaż miał brata i siostrę, którzy mieszkali razem z nim w jego posiadłości w Kencie, czuł się osamotniony, co właśnie bardzo nas zbliżyło.

Próbował mnie przekonać, żebym tam zawiozła Charlotte, ale nie chciałam tego zrobić. Jego szykowne miejskie garnitury i drogie tweedy, jego swoboda i elegancja siwiejących włosów oraz mądrych niebieskich oczu przypominały mi aż nazbyt dobrze, iż ja do tego świata nie należę.

Zawsze mi jednak było miło, kiedy przychodził do wesołego miasteczka, ale najbardziej cieszyła się z tego Charlotta. Dziwacznie tylko wyglądało, że ten dystyngowany mężczyzna spędzał tutaj tak wiele czasu i poświęcał tyle uwagi mojej córce. Emanowało z niego ciepło i uprzejmość. Rzadko rozmawialiśmy o Aleksandrze, jednakże Edward wyczuwał, że nadal go kocham, i chociaż wiedział, że znalezienie Aleksandra mogłoby oznaczać utratę mnie i Charlotty, zaproponował, że go dla

mnie odszuka. Chyba dlatego, że wiedział, iż mu na to nie pozwolę. Aleksander z pewnością się zmienił w ciągu tych kilku lat, jakie upłynęły od naszego rozstania, i prawdopodobnie o mnie zapomniał. Nie, nie chciałam go odnaleźć - powiedziałam Edwardowi prawdę - zależało mi na tym, żeby go po prostu przestać kochać.

Czas mijał, a ja stopniowo zaczynałam odzyskiwać pewność siebie. Coraz bardziej przywiązywałam się do Edwarda. Czekałam na pojawienie się jego wysokiej syrwetki pośród tłumu, na zadawane zniecierliwione pytanie, czy może kupić bilet. Śmiałam się, kiedy był smutny, bo smucił się tylko wtedy, gdy przypominał sobie, ile ma lat. Powtarzał mi, że jest stary, i to o wiele za stary dla mnie. Po co zadaję się z człowiekiem po pięćdziesiątce, który już dawno temu przeżył swoje chwile świetności i lada dzień rozpadnie się na kawałki?

- No, to wtedy będę musiała cię pozszywać - powiedziałam mu po tym, jak się pierwszy raz kochaliśmy.

Chociaż ze wszystkich sił starałam się nie przeprowadzać porównań, nie mogłam się całkiem powstrzymać. Edward był tu i teraz i kochał mnie. Aleksander stał się po prostu snem. Dlaczego więc nie przestałam wierzyć, że jeśli tylko poczekam jeszcze trochę, to się pojawi?

- Ale się nie zjawi, moje dziecko - powiedziała mi Violet May tego wieczoru, kiedy Edward poprosił

mnie, bym za niego wyszła. Odmawiałam mu najdelikatniej, jak umiałam, ale ból w jego oczach nie mogłam patrzeć na ból. Trzymał mnie w ramionach, a ja czułam wzdarcie do siebie za krzywdę, jaką mu wyrządzam. On tylko ocierał moje łzy i mówił, że rozumie. W końcu, nie wiedząc już, co

mam zrobić, poprosiłam Violet May, żeby zajrzała do szklanej kuli.

Siedziałam w ciepłym półmroku przyczepy i próbowałam napotkać wzrok Violet May,

przepowiadającej mi przyszłość, ale ona nie chciała na mnie popatrzeć. Wiedziałam, że kłamie,

- Musisz mi powiedzieć - szepnęłam. - Proszę, chcę wiedzieć.

- Już ci mówiłam, on się nie zjawi.

- Posłuchaj, wiem, że chcesz, żebym wyszła za Edwarda, ale jeśli jest choćby znikoma szansa na to...

Proszę, Violet May, powiedz mi prawdę!

Ponownie zajrzała do szklanej kuli, a potem zniecierpliwionym gestem odsunęła ją na bok.

- Daj mi dłoń! - sapnęła.

Przez chwilę się jej przyglądała, aż wreszcie spojrzała na mnie oczyma pełnymi łez. Powoli pokręciła głową.

- Violet May! - krzyknęłam. - Powiedz mi! Wtedy się uśmiechnęła.

- Widziałaś go? Czy on jest w mojej przyszłości?

- Tak, moje dziecko, jest - odrzekła skinąwszy głową.

- Czy to znaczy... - przełknęłam ślinę. - Czy to znaczy, że go znowu zobaczę? - wyjąkałam.

- Tak, zobaczysz.

- Kiedy? Violet May, powiedz mi kiedy? Czy to będzie wkrótce?

Pokręciła głową.

- W tej waszej miłości jest coś bardzo tajemniczego. Ma w sobie moc, której ja nie potrafię zrozumieć.

Jednakże ziarno lasu już zostało zasiane. Musisz przebyć jeszcze wiele, zanim go ponownie zobaczysz. Ale kiedy już się spotkacie... Nie rób tego, Elżbieto, bo przyniesie ci to tylko ból. Widzę śmierć i nienawiść, całe morze nienawiści i obce ziemie...

Ale ja już dalej nie słuchałam. Dla mnie ważne było tylko to, że niezależnie od wszystkiego, pewnego dnia będziemy znowu razem...

I teraz, opierając się o ściankę mojego straganu i przypominając sobie rozpierającą mnie radość oraz pewność, jaką wtedy odczuwałam po wyjściu z przyczepy Violet, nie mogłam się

powstrzymać od płaczu. Jak głupia czekałam, będąc w głębi serca pewna, że i on wierzy w to, co mówił wtedy, że zawsze mnie będzie kochał. Ale okazuje się, że już jest żonaty, a ja pozostałam dla niego tylko

wspomnieniem.

- Znudziło nam się czekanie.

Podskoczyłam, a Edward zaśmiał się, wyciągając do mnie rękę. Obok niego podskakiwała bez przerwy Charlotta. Miała na sobie jego kapelusz i wierciła mu dziurę w brzuchu, by przyłączył się do jej nowej zabawy. Kiedy na nich popatrzyłam, poczułam, że najwyższa już pora zająć się własnym życiem. Odłożyłam koszyk i wyszłam z za lady.

Edward wpatrywał się uważnie w moją twarz. A gdy wiatr zwiął mi włosy na oczy, odgarnął je.

- Mam dziwne przeczucie, że chcesz mi coś powiedzieć.

- Bo tak jest - szepnęłam. - Edwardzie, chciałabym, żebyśmy się pobrali, oczywiście jeżeli ty tego nadal pragniesz.

Kiedy ujrzałam, jak silnie zadrżały mu usta, zaczęłam się zastanawiać, czy to możliwe, żebym była równie ślepa i wcześniej nie zauważyła, jak bardzo go kocham.

Rozdział 15

Wsunęłam pierścionek na palec i odwróciłam dłoń do światła, wręcz oślepiona błyskiem brylantu, odbijającego promienie z kryształowego żyrandola nad moją głową. Obok stał Edward, przyglądając mi się i czekając na moje słowa. Objęłam go za szyję i mocno się przytuliłam.

- Kochanie, jaki piękny! - rzekłam i ponownie popatrzyłam na brylant, uśmiechając się. Rozłożyłam ręce. Po prostu nie wiem, co powiedzieć.

- No to nie mów nic! Wystarczy, że wiem, iż ci się podoba. To jest najważniejsze.

Że mi się podoba? Ja po prostu nie mogłam uwierzyć w to wszystko, w czym uczestniczyłam. Przecież niecałe dwa lata temu byłam najzwyczajniej dziewczyną z wesołego miasteczka. Naturalnie, czytałam wiele o bogaczach, widywałam też ich dostatecznie często, czy to w wesołym miasteczku, czy w Foxton, ale zawsze należeli do innego świata. A oto i ja nagle zaczęłam żyć w tamtym świecie - w świecie Edwarda. Starał się jak mógł, bym miała świadomość, że do niego należę, ale mimo wszystko niekiedy czułam się jak intruz, jakbym sobie pożyczyła czyjeś życie, które mi może niespodziewanie zostać odebrane. Violet nie chciała naturalnie słuchać, kiedy tak mówiłam; uważała, że mam po prostu stać się dorosłą i cieszyć z tego, iż los się do mnie nagle uśmiechnął. Wizyty u niej od czasu do czasu dobrze mi robiły, bo sprowadzały mnie na ziemię. Wcale nie żałowałam, że opuściłam wesołe

miasteczko - wuj już po raz drugi z radością się mnie pozbył. Jeśli zaś chodzi o innych, to i tak zawsze byłam dla nich „za bardzo inna”.

David zaklaskał w dłonie.

- Szampana! - zawołał i jakby na zakłęcie podwójne drzwi do Sali Zachodniej otwały się szeroko, Christine zaś wystrojona w nową suknię od Zandry Rhodes i diadem wjechała z barkiem, na którym stały dwie butelki Dom Perignon i cztery kieliszki.

Edward wywrócił oczy i cmoknął.

- No, no, ale dama! - mruknął i uśmiechnął się, kiedy mu posłała całusa.

- Chodź, Davidzie. - Posunęła w jego stronę butelkę szampana. - Na co czekasz?

Edward objął mnie i poczekał, aż każde z nas będzie miało kieliszek w dłoni.

- Nieczęsto się zdarza, żeby mężczyzna zaręczał się w dwa lata po ślubie - powiedział. - Ale był to dobry pomysł na

prezent z okazji rocznicy ślubu. Mnie się w każdym razie podoba. - Ścisnął mnie delikatnie za ramię, a kiedy spojrzałam na niego, zauważyłam, że siostra i brat Edwarda stanowią, przynajmniej w tej chwili, część innego świata. - Twoje zdrowie! - szepnął.

- Zdrowie Elżbiety! - zawtórowali mu Christine i David i nastrój prysł.

Wypiliśmy szampana, potem wznieśliśmy toast na cześć Edwarda i usiedliśmy. Czując się przy nim bezpiecznie, zwinęłam się u jego stóp. Zawsze siadywał w tym samym fotelu - po lewej stronie kominka. Fotel Davida stał po prawej; jak wiele wieczorów przesiedziałam właśnie w ten sposób, studiując zawily ornament osiemnastowiecznego kominka, podczas gdy obaj mężczyźni omawiali kolejną wyprawę Edwarda do Paryża czy Rzymu, najbliższą aukcję albo też zamówienia któregoś z rozlicznych kolekcjonerów. Siedziało mi się wygodnie, czułam się bezpiecznie i z uśmiechem podciągałam kolana pod brodę. Byłam nieomal szczęśliwa.

Ta ostatnia myśl zrodziła się, zanim udało mi się ją powstrzymać, i odrzuciłam głowę, jakby próbując odsunąć rozmyślenia nad samą sobą. Zjawiała się nie jak spontaniczna przyjemna myśl, ale jak coś, co siłą stara się zaistnieć w mojej świadomości. Mając poczucie winy, oparłam głowę na kolanie Edwarda i sięgnęłam po jego dłoń.

Christine i David sprzeczekali się w bardzo delikatny sposób.

- Och, bądź cicho! - rzuciła Christine, czule dotykając jego ramienia.

- Ty, młoda damo, najzwyczajniej chcesz sobie napytać biedy! - odrzekł

David. Miał na myśli awanturę, w jaką Christine wdała się rano w wiejskim sklepie, a ponieważ Edward był wówczas w Londynie, więc to David, młodszy z braci, musiał pojechać załagodzić sprawę i udobruchać panią Russell. Raz po raz wyciągali Christine z jakichś opałów. Kiedy rodzice

zmarli, była malutka, wychowali ją więc bracia. Była oddana im obu, ale wszyscy wiedzieliśmy, że Edward zajmuje w jej sercu miejsce specjalne.

- Kto ma jeszcze ochotę na szampana? - spytała z butelką w ręku.

Wyciągnęłam kieliszek.

- Kiedy przyjeżdża Rupert? - spytałam. Rupert był jednym z rozlicznych dobiegaczy Christine.

- W końcu go nie zaprosiłam, pomyślałam sobie, że lepiej, żeby była sama rodzina. - Kiedy nieznacznie zaakcentowała słowo „rodzina”, rozejrzałam się, ale chyba nikt inny nie zwrócił na to uwagi.

Może i słusznie - rzekł Edward. - Chociaż naturalnie nie mam nic przeciwko Rupertowi - dodał

pospiesznie. Christine uśmiechnęła się i pocałowała go w głowę.

- Ty nie masz nic przeciwko nikomu - zauważyła.

- O której jutro wyruszasz? - spytał mnie David.

- Myślałyśmy, że trzeba wyjechać około wpół do dziesiątej, prawda? - spojrzałam pytająco na Christine.

- Mniej więcej. - Ponownie usiadła i zakładając nogę na nogę popatrzyła na mnie.

- Elżbieto, wszyscy wiemy, że masz cudowne nogi, ale już się taić nimi nie popisuj, bo gdy zielenieję z zazdrości, nie do twarzy mi w tej sukni.

- Przecież ty też masz świetne nogi, Christine - zauważył David. - Czego niestety nie mogę powiedzieć o twoich umiejętnościach podróżowania. Czy jesteście pewne, że wyruszacie dostatecznie wcześniej?

- Mam grube nogi i sama jestem gruba - skomentowała Christine, a David zrobił minę, jakby chciał

powiedzieć, że już to wszystko wcześniej słyszał, gdy tymczasem Christine zaczęła wylewać z siebie całe morze goryczy. Twierdziła, że ze swoimi mysimi włoskami i pełną buźką wygląda jak żołnierz parlamentu z czasów wojny domowej, ale w zasadzie była bardzo ładna; z grzywką i okrągłymi niebieskimi oczyma sprawiała wrażenie, jakby miała sporo poniżej trzydziestki. Nie odbierała tego jednak jak komplement. Tak naprawdę do pasji doprowadzały ją piegi i spędzała wiele godzin pod

okładami z cytryny, mając nadzieję, że się ich pozbędzie. A jeśli ktokolwiek odważył się jej powiedzieć, że wszelkie braki we wzroście nadrabia osobowością, musiał od razu tego pożałować, zwłaszcza David, do którego była podobna najbardziej. Bo wtedy nieodmiennie zadawała dramatycznie brzmiące pytanie, dlaczego nie może być tak wysoka i równie szczupła jak Edward.

- Wiecie co, może mimo wszystko pojedę jutro na aukcję

- odezwał się nagle Edward.

- Och, nie! - sprzeciwiła się Christine. - Przecież mówiłaś, że same mamy to wszystko załatwić. Poza tym będzie to pierwsza aukcja Elżbiety bez ciebie. Jak może się czegoś nauczyć, jeśli nigdy jej nie zostawisz samej? Spojrzała na mnie.

- A ty masz bzika, wiesz? Po co ci się mieszać w ten cały handel dziełami sztuki, jeśli możesz sobie wieść spokojne, wygodne życie. No, ale cóż. W każdym razie - zwróciła się do Edwarda - ja tam będę, gdyby miała jakieś kłopoty, ale naturalnie wszystko pójdzie dobrze.

- Pamiętaj w takim razie o jednym - jeśli dojdiesz do wniosku, że wolisz się w to nie bawić, nie zapomnij dać pełnomocnictwa licytatorowi, który już wszystko za ciebie załatwi.

Uśmiechnęłam się, widząc jak stara się mnie przed wszystkim chronić.

- Tak mówisz, jakby to miała zrobić - odrzekła Christine.

- Wszyscy wiemy, że tego nie robi - odparł David. Ale to przecież zrozumiałe, że masz dużo więcej doświadczenia niż Elżbieta.

Dyskusja trwała nadal - Edward powiedział nam raz jeszcze, do jakiej sumy jest gotów licytować, żeby zakupić klasycystyczną szafę Bułlocka, jeden z przedmiotów, które miały być wystawione na zaplanowanej w następnym dniu aukcji w wiejskiej rezydencji w Sussex.

Coraz bardziej przyzwyczajałam się do mojego nowego świata, choć trwało to długo. Przed ślubem nie miałam zielonego pojęcia, jak zamożny jest Edward. Z początku byłam aż zszokowana jego hojnością. Moje szafy pękały w szwach od strojów, które zwoził od najlepszych krawców świata; niezwykle często pakowałam je do składającego się z piętnastu elementów zestawu bagażowego firmy Hermes, gdyż lataliśmy do najprzeróżniejszych egzotycznych miejsc, gdzie Edward prowadził

interesy, ja zaś zwiedzałam okolice i spotykałam się z ludźmi. Wspólnie uczestniczyliśmy we wszystkich uroczystościach organizowanych przez

królową - a było tego sporo - jednocześnie nieustannie odbywaliśmy spotkania towarzyskie z klientami, czy to w restauracjach West Endu, czy w naszym londyńskim domu: byli to biznesmeni, gwiazdy filmowe, sławy wszelakiego autoramentu.

Dwa razy w miesiącu odbywały się bale na cele dobroczynne - niektóre w Londynie, ale większość w Nowym Jorku, Dallas czy Hongkongu. Na wszystkich tych przyjęciach Edward w zasadzie nie odstępował mnie na krok. Ponieważ bardzo go o to prosiłam, radził mi, jak się ubrać, jak mam mówić i jak jeść. Kochał mnie miłością, która idealizuje, a szczęśliwy był tylko u mego boku. Nadał nie mógł

uwierzyć, że go naprawdę kocham, skoro, jak twierdził, jest tak „stary i niedołączny”, a ja taka młoda.

Jego pełna oddania troska o mnie miała skrywać brak pewności siebie, i właśnie dlatego go kochałam.

Trochę czasu upłynęło też, zanim przyzwyczaiałam się do wystawności i ekscentrycznych zamiłowań ludzi, którzy należeli do świata Edwarda, a także do jego sztuki oraz antyków. Jednak wraz z upływem czasu oraz dzięki olbrzymiej cierpliwości ze strony Edwarda zdobywałam coraz więcej wiedzy na temat interesów i nawet w najtrudniejszych sytuacjach czułam się już znacznie pewniej. Firma Walters i Synowie należała do największych marszandów w kraju. Niemniej, bardzo się cieszyłam, że rzadko kiedy musieliśmy zapraszać ludzi do naszego domu w Kencie. Była to posiadłość rodzinna, a najlepiej czuł się w niej David. Od czasu wypadku, w którym zginęła pierwsza żona Edwarda, a David nabawił się wielu blizn na twarzy, David zrezygnował ze swego stanowiska wykładowcy uniwersyteckiego i teraz żył niemal jak odludek.

Po ślubie z Edwardem przejęłam od Christine obowiązki związane z prowadzeniem domu, podczas gdy ona sama skupiła się na moszczeniu sobie gniazdka w interesie rodzinnym i wstąpiła do zarządu firmy. Antykami i starymi mistrzami pasjonowała się niemal w tym samym stopniu co David. Nie znaczy to, że Edward się nimi nie interesował, ale ci, co go bliżej znali, wiedzieli, że Edward zakochał

się już dużo wcześniej w tajemniczej sztuce starożytnego Egiptu. Na drugim piętrze Westmoor -

rezydencji w Kencie -znajdował się pokój wypełniony wapiennymi reliefami, fajansowymi miseczkami, popękanymi twarzami z szarego granitu, a także posążkami z łupka i marmuru. Znany był jako Pokój Egipski.

Często żartowałam sobie z Edwarda i jego pasji dla wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z Egiptem, doskonale wiedząc, że na tym punkcie staje się niezwykle czuły. Zawsze po tym, gdy spędził

choćby odrobinę czasu w Pokoju Egipskim, wyłaniał się rozczochrany i z miną dziecka, które bawiło się zakazaną zabawką. To trochę jak w Foxton, gdy przyłapałam jednego z młodszych chłopców na jakimś wykroczeniu, a Edward ogromnie przypominał chłopca, zwłaszcza gdy tak bardzo starał się sprawić mi przyjemność. Nie sposób było go

nie kochać. Edwarda pasjonował zwłaszcza faraon Tutenchamon i jego niedawno odkryty grobowiec. Na ten temat mógł rozprawiać godzinami.

Nawet wbrew sobie zastanawiałam się, co by Aleksander powiedział na moje obecne życie, jeśli w ogóle kiedykolwiek mnie wspominał.

Wiedziałam, że to czyste szaleństwo myśleć

o nim tak często, zwłaszcza teraz - po tak długim czasie i kiedy moje życie niezwykle się ułożyło. Ale jakże miałam tego nie robić, skoro bez przerwy widziałam Charlotte, która każdego dnia stawała się coraz bardziej do niego podobna. Jak bym zareagowała, gdyby niespodziewanie wkroczył w moje życie?

- Elżbieto! Elżbieto! Gdzie się podziewasz? Zamrugałam, zastanawiając się, od jak dawna się do mnie zwracają.

- Przepraszam - rzekłam z uśmiechem - ale byłam daleko, daleko stąd.

- To się dało widzieć - odezwała się Christine. - Ciekawe tylko gdzie? - Czasami zadawała pytania w sposób niezwykle ostry, wręcz oskarżycielskim tonem. Edward, jakby chcąc załagodzić jej obcesowość, położył dłoń na mojej głowie.

W tej chwili rozwarły się podwójne drzwi i do pokoju wkroczył sztywno Jeffrey, w jednej osobie lokaj, szofer i kucharz.

- *Mesdames et Messieurs*, kolacja została podana w Pokoju Barokowym - oświadczył.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem i w tym momencie, jakby ktoś wyjął Jeffreyowi kij od szczotki, on sam oparł się o drzwi i zaśmiał.

- No doprawdy, nikt mnie nigdy nie traktuje poważnie - rzekł tonem pełnym skargi, gdy wychodziliśmy z pokoju.

- Wspaniały kamyczek, pani Walters.

- Dziękuję ci, Jeffreyu - powiedziałam, pokazując mu dłoń, żeby mógł się lepiej przyjrzeć. Kiedy on zachwycił się

brylantem, a Edward spoglądał z dumą, nie mogłam się powstrzymać i wspomniałam pierścionek, który dał mi Aleksander - kosztował zaledwie ułamek tego co ten i był schowany w maleńkim puzderku w sypialni. Poczułam, jak mnie dusi w gardle na to niespodziewane wspomnienie. Dlaczego właśnie dzisiaj myślałam o Aleksandrze?

Przy kolacji zauważyłam, że Christine jest niezwykle ożywiona, ale gdy spytałam, czy coś się stało, radośnie rzekła, że nie. David i Edward uśmiechnęli się pobłaźliwie - zdążyli się już przyzwyczaić do jej zmiennych nastrojów i nauczyli się nie zwracać na nie uwagi. Słuchałam, jak opowiada o meblach, które oddała tego dnia do renowacji, a potem nagle zmieniła temat, aby omówić spotkanie zarządu, które miało się odbyć w następnym tygodniu. Próbowałam jakoś zwalczyć w sobie koszmarną zazdrość. Zakrawało to na ironię - ona zazdrościła mi urody i figury, a ja szacunku, na jaki sobie zasłużyła będąc znawcą antyków. W moim odczuciu Christine zawsze miała coś ważnego do powiedzenia, gdy tymczasem ja mogłam tylko uczestniczyć w afektowanych pogaduszkach, w jakie wdawały się żony marszandów. Wściekła byłam na siebie, że się tym przejmuję. Miałam więcej szczęścia niż jakakolwiek inna kobieta i powinnam być wdzięczna Edwardowi aż do końca życia.

Mimo to nie mogłam się powstrzymać - zazdrościłam Christine nie tylko inteligencji, ale również wolności, jaką się cieszyła. Nie musiała skrywać swych prawdziwych myśli czy też poczuwać się do winy, że niedostatecznie kocha swego brata...

Dostrzegłam, że uśmiecha się do mnie, odpowiedziałam więc uśmiechem. Była rzeczywiście zdecydowanie bardziej atrakcyjna, niż jej się wydawało. Kiedyś spytałam ją, dlaczego nie wyszła za mąż .

- I co, miałabym się wyrzec tego wszystkiego? - zawołała.

- Po co? A teraz mam i ciebie, i małą Charlotte, czegoż mi więcej trzeba? Tego miałam się dopiero dowiedzieć.

Charlotte pochyliła głowę i wbiła wzrok w podłogę. Trzymała ręce splecione z tyłu, a jej drobne ramionka wznosiły się i opadały, kiedy dzielnie starała się przyjąć niezasłużony los.

- Rozumiem, matko - rzekła nie odrywając wzroku od dywanu.

Przenosiła ciężar ciała z nogi na nogę, a spod strzępów spódniczki wyjrzało maleńkie kolano. - Czy podczas twego wyjazdu będę miała jakieś cerowanie?

Dostrzegłam wzrok Davida patrzącego na mnie z drugiej strony pokoju i

musiałam odwrócić głowę, żeby nie zobaczyłam ego uśmiechu. Od czasu, kiedy David zabrał ją na *Kopciuszka*, wszyscy domownicy świadomie lub nieświadomie grali role, jakie im wyznaczyła. Naturalnie, ona była Kopciuszkiem, ja okrutną macochą, Christine i Jeffrey zaś brzydkimi siostrami. Przypuszczałam, że Kanarek, jej piastunka - tak ją nazywała ze względu na jaskrawożółty strój - miała się w każdej chwili pojawić jako dobra wróżka, która wyda ją za księcia - Edwarda. Również David z wielkim zapałem grał swoją rolę.

Czekała na odpowiedź, przybrałam więc najbardziej wyniosłą minę i spojrzałam na nią z góry.

- Czy to znaczy, leniuchu, że nie sprzątałaś jeszcze dzisiaj kuchni? Co ty sobie myślisz? Wynoś się do pracy!

- Tak, proszę matki - wyszeptała i nie podnosząc głowy, przeszła obok mnie do wyjścia.

- Charlotto! - zdążyłam zawołać, zanim zamknęły się drzwi. Zajrzała z powrotem do pokoju.

- Pani matka mnie wołała? Czy zrobiłam coś niewłaściwie? Ach, proszę mnie tylko nie bić!

Tego już było dla mnie za wiele i wybuchnęłam śmiechem.

- Chodź, pocałuj mnie przed wyjazdem! - powiedziałam.

- Och, mamusiu, wszystko zepsułaś! — I wtedy widząc, że się śmieję, z zaróżowioną buzią rzuciła mi się w ramiona. - Czy ja nie mogę z tobą też pojechać?

- Nie, dzisiaj nie. Muszę coś załatwić dla Edwarda. Mam wrażenie, że i ty dla niego coś robisz. Zdaje się, że szyłaś poduszeczkę, na której miałaś położyć szklany pantofelek.

Jej twarzyczka natychmiast się rozjaśniła.

- Ach, tak - powiedziała i przytulając się mocno przycisnęła mi usta do ucha. - Tak naprawdę to robi ją Kanarek, ale nie mów nikomu.

- Nie, naturalnie że nie powiem nikomu - szepnęłam. - No i co, dasz mi tego całusa?

Całus był obśliniony i bardzo długi. Kilka dni temu zastała mnie i Edwarda całujących się - wprawdzie wcześniej widziała, jak się całujemy, ale tym razem chciała wiedzieć, dlaczego to tak długo trwało.

Edward zajął się wyjaśnieniem sprawy i teraz powołaniem jej życia stało się udoskonalanie sztuki długiego pocałunku. Ćwiczyła na każdym, kto ją dopuścił do siebie dostatecznie blisko, czyli na wszystkich, z wyjątkiem

Edwarda - to on był księciem i jemu miała przypaść w udziale ostateczna, doskonała wersja.

- A może i mnie by się taki jeden trafił? - spytał David. Wysunęła się z moich ramion i przebiegła na drugą stronę

pokoju. David, który schylił się, by ją złapać, przewrócił się, gdy wpadła mu z impetem w ramiona.

- Chyba zostawię was samych - rzekłam ze śmiechem, kiedy potoczyli się po dywanie.

Zastałam Christine pakującą Jeffreya do mikrobusu i robiącą mu listę zakupów, które miał przywieźć, zanim wyruszy do Rowe House po kanapę. Byłam niezwykle zadowolona, ale

i zdenerwowana, że Edward z taką pewnością zakładał, iż uda mi się ją zdobyć. Musiałam go mocno przekonywać, żeby pozwolił mi jechać na aukcję; jak najłagodniej starałam się wyjaśnić, że podobnie jak inne kobiety chcę udowodnić, iż potrafię być czymś więcej niż tylko żoną.

- Ależ, kochanie - powiedział, kiedy po raz pierwszy zasugerowałam, że mogłabym aktywniej działać w firmie. Bardzo mi się podoba, że jesteś „tylko żoną”, tak jak mówisz. Chcę, żebyście razem z Charlottą były szczęśliwe i nie musiały się o nic martwić. Jesteś szczęśliwa, prawda?

- Oczywiście, tylko że chciałabym bardziej uczestniczyć w twoich sprawach.

Nieoczekiwanie jakby spodobał mu się pomysł, że jego żona może być kobietą pracującą.

- Kto wie, może już niedługo znajdziesz się w zarządzie, a wtedy nic nas nie powstrzyma, prawda?

Najpierw jednak musiało mi się powieść na aukcji.

- Gotowa? - spytała Christine, kiedy wsiadłyśmy do jej garbusa.

- Chyba tak.

- Wielki Boże, Elżbieto! Wyglądasz jak jagnię, które idzie na rzeź.

Przecież to tylko aukcja!

O jedenastej gwałtownie zahamowałyśmy przed drzwiami wejściowymi Rowe House. Mówię

„gwałtownie”, ponieważ Christine nie przejmowała się zbyt spręglem. Byłam szczęśliwa, że udało nam się przeżyć tę podróż w prowadzonym przez Christine samochodzie i że cało choć późno dotarłyśmy na miejsce. W porównaniu z tymi przeżyciami aukcja wydawała się niczym.

Dom był ponury - wewnątrz wyglądał wręcz groźnie - ale nie dałam się zastraszyć. Przedstawiciele domu aukcyjnego Christie otworzyli biuro w bibliotece, poszłam więc tam, aby się zarejestrować, a Christine, która zauważyła kogoś znajome-

go, odeszła w stronę stajni. Nie przejmowałam się jej zniknięciem, gdyż przedmiot skatalogowany pod numerem 137 miał być wystawiony dopiero za jakiś czas, dlatego też usiadłam i przyglądałam się innym marszandom, jak licytują poszczególne meble z epoki królowej Anny i Regencji. Było tam też kilka obrazów, z których jeden osiągnął szokującą cenę stu osiemdziesięciu pięciu tysięcy funtów.

Zaczynałam trochę żałować, że Edward wyznaczył mi maksymalną sumę, jaką był skłonny zapłacić za kanapę Bullocka - w pewien sposób zaczynała mnie pociągać możliwość licytowania i zdobycia danego przedmiotu niezależnie od jego ceny. Na takie przyjemności jednak przyjdzie jeszcze czas.

Teraz zależało mi na tym, żeby pokazać Edwardowi, iż potrafię sobie poradzić z wypełnianiem jego poleceń. Wiedziałam, że amerykański kolekcjoner, któremu zależało na kanapie, jest ważnym klientem Edwarda, więc szybko posłałam do nieba niemą modlitwę z prośbą o to, by nikt mnie nie przelicytował. Po raz setny popatrzyłam do katalogu na starannie wypisaną liczbę obok pozycji 137

-piętnaście tysięcy funtów. Troszkę się pocieszyłam, patrząc na zamieszczone obok zdjęcie. Z

pewnością nikt nie będzie chciał zapłacić tyle za takie brzydactwo. Może uda mi się ją nawet zdobyć taniej.

Przedmiot 135 został sprzedany po króciutkiej licytacji i wówczas rozejrzałam się w poszukiwaniu Christine. Pozycję 136 stanowiła porcelana Minton oraz mosiężna lampa, odetchnęłam więc z ulgą, kiedy w drzwiach zobaczyłam szwagierkę.

- Gotowa? - spytała siadając na krześle obok.

- Oczywiście - odrzekłam, czemu zadawał kłam mój żołądek.

Teraz zaczął mówić licytator.

- Oto przedmiot 137. Kto rozpoczyna? Dziesięć tysięcy funtów. Mam dziesięć tysięcy funtów.

Dziesięć tysięcy pięć-

set. Dżentelmen z tyłu, jedenaście tysięcy. Tak, jedenaście tysięcy.

Po kilku sekundach nabrałam przekonania, że nikt innie nie widzi. W panice spojrzałam na Chrystiie.

Musiała wyczuć moje przerażenie, ponieważ nie odwracając nawet głowy w moim kierunku, wbiła wzrok w licytatora i skinęła głową.

- Jedenaście tysięcy pięćset - rzucił, r-Dwanaście tysięcy. Nowy licytujący, pośrodku. Dwanaście tysięcy pięćset. - Czy to rzeczywiście ja podbiłam cenę o kolejne pięćset funtów?

- Dwanaście tysięcy pięćset. To pani cena, proszę pani. Dwanaście tysięcy pięćset. Trzydzieści tysięcy.

Skinęłam głową.

- Trzydzieści tysięcy pięćset.

Obok mnie nastąpiło jakieś poruszenie, lecz nie odwróciłam się, gdyż byłam zbyt skupiona na licytacji.

- Czy podnosi pani cenę? Tak. Czternaście tysięcy.

Do licytacji dołączyła siedząca obok mnie kobieta, która spokojnie założyła nogę na nogę w momencie, kiedy podniosłam kartę.

- Czternaście tysięcy pięćset. Piętnaście tysięcy.

Nagle uświadomiłam sobie, że ta kobieta musiała widzieć mój katalog i wie, do jakiej sumy jestem skłonna licytować.

- Piętnaście tysięcy pięćset!

Ja nie wykonałam żadnego ruchu, kobieta obok z pewnością nie licytowała sama ze sobą, na arenę musiał zatem wkroczyć ktoś jeszcze. Usiłowałam dostrzec, kto to taki.

- Szesnaście tysięcy!

Wstrzymałam oddech. Czy licytator uważa, że to ja podbiłam cenę?

- Szesnaście tysięcy pięćset.

Ponownie ta kobieta. Popatrzyłam na nią z nienawiścią i wręcz chciałam krzyknąć, że oszukuje. Jak to możliwe, że sprawy tak szybko wymknęły mi się spod kontroli?

- Siedemnaście tysięcy.

Odwróciłam gwałtownie głowę. Poczułam się, jakbym śniła jakiś koszmar. Wokół mnie licytacja toczyła się dalej, a ja przegrałam. Czyżby ci ludzie nie wiedzieli, że mojemu mężowi zależy na tym meblu? Czy nie wiedzieli, że nie mogę mu sprawić zawodu? Dlaczego nie przestaną licytować.

- Osiemnaście tysięcy.

Ręka sama powędrowała mi nad głowę.

- Osiemnaście tysięcy pięćset.

Christine odwróciła się do mnie z triumfalnym uśmiechem. Wiedziałam, że gdyby była na moim miejscu, ona też ciągnęłaby licytację.

- Dziewiętnaście tysięcy. Dziewiętnaście tysięcy pięćset. Nie ośmieliłabym się w tym momencie spojrzeć na liczbę w moim katalogu. Co by na moim miejscu zrobił Edward? On na pewno by licytował dalej, wiem, że tak. Kobieta obok opadła ciężko na krzesło, zajęta teraz obserwacją mnie oraz tego, kto licytował przeciwko mnie.

- Dwadzieścia tysięcy funtów.

Dlaczego nikt nie powstrzyma licytatora? Nie mogłam już dawać wyższej ceny.

- Dwadzieścia jeden tysięcy funtów. Dwadzieścia dwa tysiące funtów.

Ludzie zaczęli się rozglądać, żeby zobaczyć, kto licytuje przeciwko mężczyźnie siedzącemu na przodzie. - Dwadzieścia sześć tysięcy funtów.

Do diabła ze wszystkimi! Musiałam mieć tę kanapę. Niezależnie od ceny pojedzie ona ze mną do Westmoor.

- Dwadzieścia siedem. Dwadzieścia osiem. Dwadzieścia dziewięć.

Trzydzieści tysięcy funtów.

Nagle wstrzymałam się. Trzydzieści tysięcy funtów - to

suma dwukrotnie wyższa od tej, którą wyznaczył mi Edward. Mężczyzna siedzący w pierwszym rzędzie ani razu się nie zawahał. I on także chciał mieć tę kanapę. No to niech ją sobie bierze.

- Trzydzieści jeden. Trzydzieści dwa. Trzydzieści trzy. Czy ktoś decyduje się na trzydzieści trzy? Czy licytuje pani nadal? - Licytator wbił wzrok we mnie. W pomieszczeniu zapanowała cisza. Wszyscy czekali na mnie. Oczy Christine błyszczały, a na jej czole dostrzegłam kropelki potu. Czy zrobiłam coś nie tak? Powiedziała, że nie będzie się wtrącać, że przyjechała tylko po to, by mi dodawać otuchy.

Ale z pewnością, gdybym się zagalopowała, jakoś by się starała mnie powstrzymać. Czy ja się zagalopowałam? Postradałam zmysły? Prawie podwoiłam sumę, jaką Edward był gotów zapłacić. Nie mogłam już licytować dalej. Zrobiło mi się niedobrze.

- Kanapa George'a Bullocka sprzedana za trzydzieści trzy tysiące funtów - młotek opadł, raniąc moje napięte nerwy jak ostra kosa.

- Niech to diabli! - mruknęła Christine.

- O Boże! - spojrzałam na Christine zbolalym wzrokiem. - Czy powinnam

była dalej licytować.

Pokręciła głową z irytacją.

- Nie przejmuj się. Tylko nie powiedzieli, kto ją kupił. -Wyciągnęła szyję, żeby móc lepiej zobaczyć pierwszy rząd. -Kto to? - syknęła.

Widziałam jedynie tył jego głowy. Miałam mdłości i tak naprawdę chciałam tylko stąd wyjść.

Wstałam i zaczęłam się przedzierać między rzędami krzeseł do wyjścia. W końcu potknęłam się i woźny musiał mnie podtrzymać, a potem podprowadził za łokieć do drzwi.

Chwilę później ruszyła za mną Christine.

- Zawieź mnie do domu! - wybełkotałam. Objęła mnie za ramiona. - Nie przejmuj się tak bardzo. Zawsze musi być ten, kto wygrywa i kto przegrywa. Walczyłaś jak lwica. Ja bym dużo wcześniej dała za wygraną. Dopiero będzie, jak powiem Edwardowi! Pęknie z dumy!

- Nie, Christine, nie mów mu o tym! Wyraźnie zazaczył, że nie wolno mi wyjść ponad piętnaście tysięcy, on nie może się o tym dowiedzieć, bo już nigdy mi nie zaufa!

- Przestań histeryzować. Dobrze się jeszcze z tego uśmieje, zobaczysz!

Chwyciłam ją za ręce i błagałam, żeby nic mu nie mówiła. Może jej się to zdawało nieważne, ale chyba po prostu nie rozumiała.

- No, wiesz co - rzekła Christine, kiedy później jechałyśmy do Westmoor. - Nie rozumiem, czemu tak bardzo boisz się mu o tym powiedzieć. Przecież wiesz, że on i tak ci wszystko wybaczy.

I właśnie dlatego nie chciałam, żeby się o tym dowiedział. Nie chciałam, żeby mi wybaczał. Choćby ten jeden raz pragnęłam, by był zły. Chciałam, żeby krytykował na mój upór, żeby nakrzyczał, że omal nie przyniosłam mu straty w wysokości osiemnastu tysięcy funtów. Chciałam znaleźć się w takiej sytuacji, kiedy muszę błagać go o przebaczenie, znosić jego milczący gniew - cokolwiek, co tylko wzbudziłoby w nas obojgu uczucia pełne pasji. Jednakże oczyma duszy już widziałam miłą i cierpliwą twarz Edwarda, a w jego oczach smutek z tego powodu, że postawił mnie w sytuacji, która spowodowała moją rozpacz. Już czułam jego, silne ramiona.

Christine wysadziła mnie w Westmoor, a potem pojechała na spotkanie z Rupertem. Edward nadal był

w Londynie, Charlotta bawiła się w pokoju dzieciennym z koleżanką ze szkoły, David zaś pojechał do miasteczka. W domu panowała

cisza, pachniało pastą, srebro błyszczało w promieniach słońca, które wpadały przez okna. Nie wiedziałam, co mam ze sobą zrobić. Zastanawiałam się, czyby się nie wybrać na konną przejażdżkę, ale w końcu odrzuciłam ten pomysł. Na stoliku leżały ostatnie wydania „Vogue’a” i „Harper”. Może znalazłabym tam jakiś pomysł na ciekawe potrawy, - w następnym tygodniu mieliśmy wydać w Londynie trzy kolacje. Ale kogo tak naprawdę obchodziły nowe dania? Cały ubiegły tydzień czekałam na tę aukcję. Teraz było po wszystkim i te krótkie chwile wielkiego ożywienia przyczyniły się tylko do pogłębienia mojego niepokoju.

Opadłam na kanapę i nie widzącymi oczyma wpatrywałam się w porcelanę i obrazy, które znajdowały się w pokoju. Musiałam chyba zasnąć, bo było po piątej, kiedy Edward dotknął mego policzka, i wzięwszy mnie za rękę, pomógł wstać.

- Moje gratulacje, kochanie - szepnęła. - I ogromne dzięki. Mrugałam oczami, starając się dobudzić.

- Ty mi dziękujesz? Za co?

- Naturalnie za kanapę. Dobra robota.

- Ależ...

- Edwardzie! - Podniosłam głowę, gdy Christine weszła do pokoju. - Ach, tu jesteś! - Odwróciła się do mnie pełna niedowierzania. - Elżbieto! Jak to możliwe, że ta kanapa się tutaj znalazła?

- Naturalnie przywiózł ją Jeffrey - odrzekł Edward.

- Jeffrey? - zapytałam, kiedy obie wbiłyśmy w niego wzrok.

- Cóż was tak dziwi? Później zawiezie ją do magazynu. W tej chwili jest w bibliotece.

- Kanapa? Ale jak to możliwe? - pytałam.

- Co was napadło? - zaśmiał się Edward. - Czyżbyście rano nie pojechały na aukcję i nie kupiły kanapy?

- No tak, wygląda na to, że tak - rzekła Christine.

- W takim razie chodźmy ją zobaczyć!

Na widok mebla serce zaczęło mi walić jak młotem. Co się, na Boga, stało? Przelicytował ją ten mężczyzna w pierwszym rzędzie, jak więc możliwe, żeby kanapa znalazła się u nas w domu? I ile, wielkie nieba, za nią zapłaciliśmy?

To samo pytanie, tyle że głośno, zadał Edward. Spojrzałam na Christine, ale jej podobnie jak mnie język uwiązł w gardle.

- A zatem ile? - dopytywał się.

- No tak, może lepiej zajrzyjmy do koperty - zaproponowała Christine, podnosząc ją z mebla.

Kiedy ódczytała sumę, potwierdziły się moje najgorsze przypuszczenia.

- Trzydzieści trzy tysiące - powtórzył Edward. - Myślałem, że... zawiesił głos zwracając się do mnie.

- Usiądźmy może spokojnie... - wtrąciła Christine. - Nie mam pojęcia* jak to się stało, ale jestem pewna, że jakoś uda nam się do tego dojść.

Edward cierpliwie wysłuchał wyjaśnień Christine. A gdy doszła do końca opowieści, zaczął się śmiać.

- Ach, kochanie! I przesłaś przez to wszystko dla mnie! No cóż, to na pewno jakieś nieporozumienie, do którego doszło w biurze Christie's. Skontaktuję się z nimi i dowiem, kto jest prawowitym właścicielem kanapy. - Przed wyjściem z pokoju pocałował mnie w czoło.

Kiedy kilka minut później wrócił wraz z Davidem, miał niepewną minę.

- Nadal nie wiem, jak do tego doszło. Sprawdzają to w domu aukcyjnym. W każdym razie kanapa należy do nas. -W tym momencie David podał mu drinka. - Zapłaciliśmy za nią trzydzieści trzy tysiące funtów.

- Jakże mi przykro, Edwardzie, sama nie wiem, co powiedzieć - jęknęłam, zamykając oczy.

- Szz... - objął mnie. — To nie twoja wina. Wygląda na to, że ktoś porozumiał się z pracownikiem Christie's, prosząc by licytował w moim imieniu. Czy wiesz może coś na ten temat?

- spytał Christine. - Domyślasz się, kto to mógł być?

Christine pokręciła głową.

- Może zadzwonię do biura, żeby sprawdzić, kto mógł złożyć takie zamówienie?

- Teraz już tam nikogo nie zastaniesz, spróbujemy jutro. -Przyciągnął mnie mocniej do siebie. - Nie czyń sobie żadnych wyrzutów. . Zrobił się po prostu jakiś idiotyczny bałagan. - Ale w jego głosie zabrakło przekonania.

- Edwardzie! - odepchnęłam go. - Jak możesz mówić o tym z takim spokojem! To prawda, że część pieniędzy odzyskasz, ale przepadło około osiemnastu tysięcy funtów. I to moja wina! Moja! To ja do tego doprowadziłam!

- Elżbieto!

Spojrzałam na niego i przez jedną króciutką chwilę miałam ochotę go uderzyć. Zdałam sobie wtedy sprawę, że w sposób wręcz przewrotny

cieszyłam się z tego, co się stało, i że ta sprawa nim wstrząsnęła. Nie złościł się, bo nic nie było go w stanie rozzłościć, sprawiał jednak wrażenie lekko wytrąconego z równowagi. Z pewnością spadnie tu czyjaś głowa - oczywiście nie moja

- ale Edward niewątpliwie zwolni tego, kto licytował. Chciałam przy tym być. Chciałam widzieć, jak jest dla kogoś niemiły.

Wpatrywałam się w niego, zszokowana tymi myślami.

- Idę na górę - rzekłam.

- Idę z tobą - wstał natychmiast.

- Nie, Edwardzie! Czy ty nie rozumiesz? To była moja wina! Gdybym zatrzymała się na piętnastu tysiącach, tak jak mi poleciłeś, nigdy by do tego nie doszło. Pozwól, żebym przynajmniej miała poczucie winy. - Wyszłam z pokoju, świadoma tego, że boleśnie go zraniłam, i czując się jeszcze bardziej nieszczęśliwa niż kiedykolwiek.

Godzinę później usłyszałam stukanie do drzwi. Edward wszedł do sypialni, a ja w jednej chwili znalazłam się w jego ramionach. Wybaczył mi wszystkie moje wybuchy i zaczął wyjaśniać swym spokojnym, łagodnym głosem, że właśnie tego się bał - bał się, że jeśli pozwoli mi zająć się interesami, to tak się to skończy, że będziemy ze sobą walczyć.

- Czy ty nie rozumiesz, że jako moja żona jesteś dla mnie o niebo ważniejsza niż jakakolwiek stara kanapa czy obraz?

Tak, rozumiałam. Rozumiałam także, że tak naprawdę nie bolało go moje nieudane wystąpienie na aukcji, lecz sugestia, że samo bycie jego żoną nie wystarcza mi do pełni szczęścia. Edward nade wszystko chciał, abym była szczęśliwa. Kochał mnie i tak wiele mu zawdzięczałam - całą radość i miłość rodzinnego życia. Powinnam się wziąć w garść i odrzucić to, co pchało mnie ku działaniu, które miało wszystko zniszczyć.

Edward nigdy nie dowiedział się, jak doszło do owego nieporozumienia w Rowe House. Może tak bardzo się nie starał. Chociaż za wszelką cenę próbował tego po sobie nie pokazywać, nie miałam najmniejszych wątpliwości, że z ulgą przyjął moją decyzję, iż nie będę się więcej zajmować interesami, co jednak nie zmieniło faktu, że po tym wydarzeniu z konsternacją obserwowałam, jak zamykają się przede mną wszystkie drzwi do jego zawodowego życia. Dopiero wiele lat później wyjaśniło się, co stało się wtedy na aukcji - wiele lat, podczas których Aleksander kilkakrotnie powracał do mego życia i miał w końcu doprowadzić do zdarzeń, które to życie nieomal zniszczyły.

Jakiś tydzień po aukcji siedzieliśmy ponownie wszyscy w salonie w Westmoor. Zaczynałam mieć dosyć tego pokoju. Mimo że wciąż starałam się sama przekonać, jaka jestem

szczęśliwa, zarówno uwielbienie Edwarda, jak jego portrety i posągi zdawały się mnie przytłaczać.

Stałam przy oknie obserwując deszcz. Edward podniósł wzrok znad „Timesa” i spytał, czy się dobrze czuję.

W moim głosie musiał wyczuć poirytowanie, odłożył bowiem gazetę i podszedł do mnie. Odwróciłam głowę. Jak mogłam mu powiedzieć, że nie chcę lecieć tego wieczoru do Paryża? Że nudzi mnie Paryż, Rzym, Nowy Jork? Że pragnę zrobić coś innego, jakąś rzecz wcześniej nie zaplanowaną, spontaniczną. Nie wiedząc, co ze sobą począć, miałam wrażenie jakby za chwilę moje ciało miało eksplodować.

- Ależ on jest po prostu boski! - zakrzyknęła Christine, stwarzając odskocznnię, której mi było potrzeba. David mrugnął do mnie.

- I kimże to się teraz tak zachwycamy?

- Naturalnie Aleksandrem Belmayne'em bo, kimże innym? Zastygłam w objęciach Edwarda. Czyżby Christine w jakiś

sposób się dowiedziała i teraz usiłuje mnie dręczyć? Nie, chyba postradałam zmysły. Skąd mogłaby się dowiedzieć? Nie śmiałam spojrzeć na Edwarda, ale i on przecież nie wiedział. Opowiadałam mu o Aleksandrze, nigdy jednak nie wymieniałam jego nazwiska. Wszyscy zaś uważali, że Charlotta jest podobna do mnie.

Edward pokręcił głową i wrócił na fotel.

- Czyżby znowu pisali o nim w gazetach? Co on takiego zmalował tym razem?

- Podobno ojciec złożył za niego kaucję.

- Za co? - David słuchał jej tylko jednym uchem.

- Bo bawiąc się w hazard popadł w długi. Jest tutaj jego zdjęcie, jak z jakąś kobietą wychodzi z „Anabeli”. O Boże, jaki jest piękny! Piszą, że jego małżeństwo jest na krawędzi rozpadu i że zdaniem najbliższych przyjaciół zostawiła go żona. No, no, zapowiada się obiecująco. Jak myślisz, Edwardzie, czy mogli-

byśmy go zaprosić na drinka, kiedy będziemy następnym razem w Londynie? Elżbieto, dobrze się czujesz? Jesteś okropnie blada.

Edward natychmiast odłożył gazetę.

- Wiesz, kochanie, Christine ma rację. Chodź, usiądź! David, wezwij Marię! Niech poda herbatę!

Bezwolnie dałam się Edwardowi podprowadzić do fotela. Coś do mnie mówił, rozcierając mi dłonie.

Christine nie po raz pierwszy czytała na głos artykuł o Aleksandrze, jednakże tym razem jej słowa zabrzmiały w moich uszach wyjątkowo dobitnie. Teraz wiedziałam, dlaczego zachowuję się okropnie i jaka siła zmusza mnie do tego, by odepchnąć Edwarda. Czy ja rzeczywiście nadal kochałam Aleksandra tak bardzo, jak o tym świadczyła moja reakcja? Czy cała ta sprawa nie została zagrzebana gdzieś w przeszłości? Dlaczego w tym momencie powróciła i prześladowuje mnie? Spojrzałam Edwardowi prosto w twarz. Co ja robię tutaj z tym mężczyzną? Wszystko wokół mnie było obce - a tam gdzieś jest samotny Aleksander, tak samotny jak ja w tym pokoju. I wtedy na jedną maleńką chwilkę znalazłam się z powrotem na Bayswater - siedziałam na łóżku, patrzyłam na niego i słuchałam, jak przysięga, że mnie kocha, że nigdy nie zdołam usunąć go ze swego życia, gdyż niezależnie od tego, co się stanie, zawsze będzie kochał tylko mnie.

Chwyciłam mocniej dłoń Edwarda. Kochałam go. Nigdy nie zrobiłabym czegoś, co mogłoby go zranić. Musiał mnie przed tym obronić.

Odwróciłam się gwałtownie na dźwięk otwieranych drzwi. Do pokoju weszła Kanarek - wymachiwała długim kijkiem z przyklejoną gwiazdą na końcu. Za nią podążał Jeffrey, który udawał fanfary. Po chwili skłonił się i ramieniem objął kogoś, kto go przeprowadził przez drzwi. Do pokoju wkroczyła Charlotta, z czarnymi lokami okalającymi twarz, w satynowej su-

kience obsypanej pyłkiem wróżek oraz ze szklanym pantofelkiem chwiejącym się na poduszeczce, którą wyciągnęła w kierunku Edwarda. Rozpromienionym wzrokiem rozejrzała się po pokoju i oczyma - swymi i jego - szukała mojej aprobaty.

Nie zdołałam już powstrzymać łkania i zanim ktokolwiek się zorientował, wybiegłam z pokoju.

Aleksander

Rozdział 16

Wróciliśmy z Jessiką do siebie w dniu ślubu Henry'ego i Lizzie. Do tego czasu mieszkała z rodzicami w ich domu przy Holland Park i już od ponad sześciu tygodni ani ze sobą nie rozmawialiśmy, ani się nie widzieliśmy. Właściwie nie przeżyłem zbyt boleśnie jej odejścia - znaczyło to

przynajmniej tyle, że te makabryczne obrazki znikną z naszych ścian. Lizzie została ze mną w domu, ale sytuacja ta, co dziwne, w nikim nie budziła większych podejrzeń. W rzeczywistości mieszkał z nami Henry, a zatem tylko podczas jego nieobecności Lizzie kierowała swój niezaspokojony

apetyt w moją stronę. Nie podobało mi się to, że jestem słaby i tak jej ulegam, ale szantażowała mnie, grożąc, że powie o wszystkim Henry'emu. Nie wiem, czy spełniłaby swoją groźbę - podejrzewałem, że raczej nie - co najlepiej świadczyło o tym, jaka nędzna ze mnie kreatura.

Henry i Lizzie połączyli się węzłem małżeńskim w biurze notarialnym w Chelsea, po czym odbyło się przyjęcie w Ritzu. Przyszła na nie Jessika. Sam się zdziwiłem tym, co poczułem na jej widok. Bardzo schudła i w bladej twarzy jej oczy wydawały się większe niż przedtem. Na powrót poczułem wstyd z powodu tego wszystkiego, co jej zrobiłem. Właściwie od czasu, gdy się poznaliśmy, nieustannie cierpiała z mojej przyczyny.

Z początku odstawiła niezłe przedstawienie, aby pokazać, jak bardzo smakuje jej wolność. Śmiała się i szczebiotała, próbując udowodnić, że ma wszystko w nosie. Znałem ją jednak zbyt dobrze. Za każdym razem, kiedy przechodził koło nas kelner, częstowała się kolejnym drinkiem, a z upływem czasu widziałem, jest że coraz bardziej ustawiona. Wreszcie zabrałem ją do domu i położyłem spać.

Następnego dnia rano pojechaliśmy do teściów, żeby zabrać jej rzeczy.

W ciągu kilku tygodni po naszym pojednaniu robiliśmy to, co powinniśmy byli zrobić już wiele lat wcześniej - zaczęliśmy rozmawiać na temat tego, co jest między nami, co do siebie czujemy.

Zaszokowała mnie wiadomość, że przez cały rok, aż do momentu, kiedy się wyprowadziła, brała narkotyki. Powiedziała, że tylko w ten sposób mogła sobie poradzić z tym, że jej nie kochałem. I te wszystkie ponure obrazy na ścianach naszego domu miały przedstawiać jej łono, które nie zapłodnione wraz z upływem czasu wysycha

i blaknie coraz bardziej.

- Ale tak naprawdę to wszystko była moja wina - stwierdziła. — Ty mnie wprawiałeś w taki stan zagubienia, a ponieważ cierpiałam, chciałam też, żebyś i ty cierpiał. Bałam się, że jeśli

nie dam ci dzieci, wykorzystasz to jako broń przeciwko mnie. A ponieważ bałam się ciebie, bałam się z tobą rozmawiać, mogłam wyrazić to co czuję tylko przez moje obrazy... Nieustannie wydawało mi się, że nadal kochasz Elżbietę i przypuszczam, że tak naprawdę to chodziło przede

wszystkim o to. Prawdopodobnie nie wiesz, co to znaczy żyć z kimś i kochać go, jednocześnie wiedząc, że on cały czas kocha kogoś innego.

Z przerażeniem zdałem sobie sprawę z tego, że żyłem z Jessiką tak długo i nic nie wiedziałem o jej cierpieniu. Chociaż nie - faktycznie wiedziałem, lecz w zasadzie mnie to nie obchodziło. Teraz z radością witałem możliwość wynagrodzenia jej tego wszystkiego w każdy możliwy sposób.

Dokładałem wszelkich starań, abyśmy spędzali ze sobą możliwie jak najwięcej czasu. Najlepiej mi się odpoczywało, kiedy siedziałem w kącie jej zagraconej pracowni, która na powrót zapełniła się żywymi, jasnymi kolorami, i patrzyłem jak naga -a zapewniała mnie, że inaczej nie można - przymocowywała "pędzle do obu rąk i obracała się tak, że końcówki włosia sunęły po płótnie. Nie byłem bardziej *au fait* z jej szczególną formą sztuki niż przedtem, ale wszystko to przypominało mi wspólnie spędzane chwile w Oksfordzie i ta nutka nostalgii zbliżyła nas jeszcze bardziej.

Dość szybko zorientowałem się, że sporo pije, ale jeśli cokolwiek wspominałem na ten temat, natychmiast przybierała postawę obronną.

- Po prostu chcę się trochę rozerwać - czknęła, kiedy któregoś popołudnia wróciłem wcześniej do domu i zastałem ją rozciągniętą na kanapie, z niemal opróżnioną butelką dżinu.

- Jess, kochanie, wczoraj jeszcze butelka była pełna!

- Och, Aleksandrze! Czemu się mnie czepiasz? A tak właściwie, to dlaczego wróciłeś do domu wcześniej?

- Chyba nie zapomniałaś, że i ja tu mieszkam? No chodź, wlejemy teraz w ciebie trochę kawy.

Zachichotała, gdy się wzdrygnąłem.

- Popatrz, popatrz, nadal nie udało ci się mi zrobić dziecka, co?

- Jess, przestań, zanim powiesz coś, czego pożałujesz. Nagle wybuchnęła płaczem.

- Przepraszam, nie chciałam. Już sama nie wiem, co mówię... Ani co robię. To ty tak na mnie działasz.

Nigdy mnie nie kochałeś, a teraz tak się zachowujesz, że już sama nie wiem, jak sobie z tym poradzić.

Co powinniśmy zrobić? Może trzeba iść do jakiegoś lekarza? Wiem, że chcesz mieć dziecko, a ja ci go, do cholery, nie potrafię jak na razie dać!

Wyszedłem z pokoju, wiedząc, że nie ma sensu się sprzeczać. Porozmawiamy, kiedy wytrzeźwieje.

Może miała rację, że powinniśmy iść do jakiegoś specjalisty - przecież staraliśmy się już od tak dawna, i to bez skutku. Ale jak moglibyśmy w ogóle myśleć o dziecku, gdy Jess piła?

W podobny sposób brnęliśmy od jednej awantury do drugiej, za każdym razem bardziej zacieklej.

Byłem jednak przekonany, że kiedy zajdzie w ciążę, wszystko się zmieni; może przynajmniej wtedy zdoła uwierzyć, że naprawdę mi na niej zależy. Obojgu potrzebne nam było coś, co moglibyśmy wspólnie kochać.

Właśnie tego dnia, gdy zmobilizowaliśmy się z Jessiką, żeby wykonać testy płodności, otrzymałem instrukcje w sprawie Pinto. Nikt, z wyjątkiem być może Raddisha, urzędnika sądowego, nie był

bardziej zdziwiony niż ja. Prasa pisała o tej sprawie już od pewnego czasu. Ja się spotkałem z nią po raz pierwszy w Wydziale I sądu.

Postępowanie sądowe trwało krótko i w zasadzie trudno powiedzieć, że poznałem Ruth Pinto. Niemniej udało mi się zwolnić ją za kaucją i właśnie dlatego,

jak powiedział jej adwokat, chciała, żebym to ja dalej prowadził sprawę.

Rząd brytyjski, a dokładniej mówiąc Ministerstwo Obrony, oskarżyło Ruth Pinto o kradzież ściśle tajnych dokumentów dotyczących obrony kraju i odprzedanie ich jednemu ze stu dwudziestu pięciu dyplomatów rosyjskich, którzy zostali wydaleny z Wielkiej Brytanii. Jak mnie poinformowano, dokumenty te - a nigdy nie miałem ich zobaczyć - traktowały o pewnych istotnych szczegółach manewrów Marynarki Królewskiej na Bałtyku.

Sprawa sądowa, o której gazety pisały niezwykle obszernie, trwała cztery dni. Moja walka z oskarżycielem była bardzo zacieklej, zabawna, a wraz ze zbliżającym się sukcesem coraz dla mnie przyjemniejsza.

W dniu poprzedzającym proces jedliśmy z Jessiką kolację w domu. Byłem podenerwowany z powodu rozwoju wydarzeń w sądzie. Tego właśnie dnia zeznawał chłopak Pinto i tak jakby wręcz oddał

narzeczoną w ręce oskarżyciela. Czekало mnie jeszcze przygotowanie podsumowania mojej linii obrony przed pójściem do sądu następnego ranka, dlatego poczułem się bardziej przygnębiony niż zwykle, kiedy zorientowałem się, że Jessiką fest pijana.

Patrzyłem, jak siedząc naprzeciwko mnie, nakłada sobie minestrone. Łyżka wpadła jej do wazy, rozpryskując wokół zupę; spojrzałem wymownie na bałagan, jaki zrobiła. W odpowiedzi popatrzyła na mnie i podniosła łyżkę,

wylewając jej zawartość na sól i pieprz.

Z trudem starałem się zapanować nad złością i wyciągałem rękę po łyżkę.

- Poproszę trochę zupy. - Przez chwilę myślałem, że chluś-nie nią na mnie. Tymczasem wybuchnęła śmiechem, a wkrótce i ja sam się śmiałem.

Urwała.

- Dlaczego się śmiejesz? - Bo ty się śmiałaś.

- Ale przecież nie wiesz, z czego ja się śmiałam. A ja się śmiałam z ciebie, Aleksandrze, a więc śmiałeś się sam z siebie. Wielki Aleksander Belmayne, który wszystko wie. Pewnie wiesz, co mi dzisiaj dolega, co? Jasne, że wiesz, bo ty wiesz wszystko. Ale nawet gdybyś wiedział, choć tak nie jest, co by cię to mogło obchodzić? Bo czy ty w ogóle troszczysz się o cokolwiek poza samym sobą?

- O Boże, przecież widzisz, co dzisiaj mam na głowie, więc oszczędź mi swoich dziecinnych napadów złości. Albo powiesz mi, o co chodzi, albo się zamknij. A w zasadzie wszystko mi jedno, którą z ewentualności wybierzesz.

Popatrzyliśmy na siebie, piorunując się wzrokiem. W końcu odłożyłem serwetkę i wstałem.

- Idę popracować. Może i ty zrobisz sobie przyjemność, pójdziesz na górę i pobawisz się swoimi pędzelkami. A nuż ci to poprawi nastrój.

Dostrzegłem złowróżbny błysk w jej oku, a palce zacisnęły się na leżącym obok nożu. Ruszyłem do holu. Kiedy się tam znalazłem, zadzwonił telefon zagłuszając stek wyzwisk, którymi mnie obrzucała.

Nagle poczułem przyływ dawnej niechęci. Starałem się bardzo, nie ustawałem w wysiłkach, ale to wszystko miało się celem. Nie miałem pojęcia, czego chcę ani co powinienem zrobić, żeby była zadowolona. Nie potrafiła zaakceptować mojej miłości i teraz już sam nie wiedziałem, jak mam dalej postępować.

- Do cholery, odbierz ten telefon! - wrzasnęła. Podniosłem słuchawkę.

- Czyżby co poniektórzy byli w nie najlepszym nastroju?

- Ojczy!

- Mam nadzieję, że nie dzwonię w niewłaściwym momencie.

- Nie, w zasadzie moment jest najwłaściwszy. Jak się masz?

Pogadaliśmy przez chwilę, choć wkrótce zorientowałem się, że nie ma mi nic ważnego do powiedzenia, a to nie w jego stylu - no i proszę, oto jeszcze jeden, który nie powie od razu, o co chodzi. Starając się jak najlepiej skrywać irytację, spytałem, czy coś go gnębi.

- Nie, w zasadzie nic. Chciałem się tylko zorientować, jak sobie dajesz radę w sprawie Pinto. O ile wiem, jutro zaczynają obradować przysięgli.

- Zgadza się.

- Czy nie masz nic przeciwko temu, żebym ci coś poradził? Miałem, ale mimo wszystko poprosiłem, żeby powiedział, co ma mi do przekazania.

- Nie przygotuj tylko zbyt ostrego wystąpienia - rzekł. Spojrzałem na słuchawkę, niezbyt pewien, czy się nie przesłyszałem.

- Słucham?

- W interesie swoim i swojej klientki nie przesadzaj z linią obrony. To wszystko. Dobranoc, synu.

Ucałuj Jessikę. - Zaraz potem się rozłączył.

Rzuciłem słuchawkę, a kiedy się odwróciłem, zobaczyłem, że Jessika stoi w drzwiach.

- Co chciał?

- Dobre pytanie. On też nie mówi dzisiaj wprost. Teraz nie będziesz miała chyba nic przeciwko temu, że pójdę do siebie. Chciałbym, żeby mi nikt nie przeszkadzał. I to nikt!

- W takim razie ja pójdę pobawić się pędzlami. - Splunęła i ruszyła po schodach.

Nawet bez porady ojca, którego głos dźwięczał mi w uszach, i tak trudno byłoby mi przygotować mowę „w swoim własnym interesie”. Tyle że jak w moim interesie mogło leżeć rozmyślne doprowadzenie do przegrania sprawy, co z kolei oznaczało, że dziewczyna trafi do więzienia? Przy takim zainteresowaniu prasy, jakim sprawa się cieszyła, znalazłbym się na pierwszych stronach gazet, gdybym wygrał, a nie ma znowu tak wielu adwokatów, którzy mogą coś takiego o sobie powiedzieć w wieku lat dwudziestu czterech.

I wreszcie mnie olśniło - ktoś z rządu usiłuje wyrzucić na mnie presję... Oburzony chwyciłem za słuchawkę gotów domagać się od ojca - w tym momencie słuszniej byłoby mówić o nim „minister sprawiedliwości” - aby wyjaśnił mi, co miał na myśli. Nie wykręciłem jednak nawet całego numeru - to nie miało sensu, i tak nie powie. Postanowiłem po prostu robić swoje. Dziewczyna była niewinna, to jasne, a ja miałem doprowadzić do tego, by sprawiedliwości stało się zadość.

Ziarno wątpliwości zostało jednak zasiane. Zacząłem zastanawiać się nad tym, o czym dotychczas starałem się zbytnio nie myśleć - dlaczego rząd

zdecydował się skierować sprawę do sądu, skoro linia obrony wydawała się taka prosta? Miałem to pytanie ciągle na uwadze, aż do momentu kiedy leżące na moim biurku papiery zaczęły migać mi przed oczyma. Odłożyłem pióro i przetarłem oczy. W tej sprawie coś się nie zgadzało, jakaś rzecz absolutnie zasadnicza, coś, co musiałem przeoczyć. Byłem pewien, że to sprawa oczywista, co tylko pogłębiało moją frustrację.

- Czy już jesteśmy w lepszym humorze? Odwróciwszy się, zobaczyłem Jessikę opartą o framugę.

- Mówiłem przecież, żeby mi nie przeszkadzano - rzekłem.

- Nudziłam się na górze, a poza tym wiesz, jak bardzo twoja złość mnie podnieca. Pomyślałam sobie, że może zechcesz się trochę zabawić. - Przejechała dłonią po cienkiej jedwabnej bluzce, przyciskając ją blisko skóry. Różowy sutek naprężył się ponętnie.

Przez chwilę mu się przyglądałem, po czym westchnąłem, odwracając głowę.

- Nie jestem w nastroju, Jessiko.

Usłyszałem stukanie lodu w szklance, w której były resztki

dżinu z tonikiem. Na krótką chwilę zapadła cisza, moment później szklanka roztrzaskała się na ścianie przed moim nosem. Kostki lodu zaczęły się topić na rozłożonych na biurku kartkach, przekształcając słowa w nieczytelne kleksy.

- Tak naprawdę, kochanie, nie miałoby to większego znaczenia, nawet gdybyś był w nastroju. Teraz potrzebny jest mi prawdziwy mężczyzna..

Milczałem, nie chcąc się dać sprowokować.

- Może byś mi kogoś zasugerował? Na przykład męża jednej ze stu żon, które pieprzyłeś?

- Proszę cię, Jessiko, wyjdź!

- Jednego możesz być przynajmniej absolutnie pewien, a mianowicie tego, że nie będą sobie tutaj biegać małe bękarty Belmayne'a - powiedziała i po tych słowach opuściła pokój.

Dopadłem jej w okamgnieniu.

- A to co, do cholery, znaczy?

Zatrzymała się, a kiedy odwróciłem ją w moją stronę, zatoczyła się na ścianę.

- Jak myślisz, kochanie?

Krew huczała mi w skroniach, moje dłonie zrobiły się wilgotne, ale

staralem się zachować spokój.

- Miałaś już wyniki? - spytałem.

- Chodzi ci o te badanka, które sobie zafundowaliśmy? - Owszem - odparła i zaczęła się śmiać.

Złapałem ją za nadgarstki i przycisnąłem do ściany.

- No i co? - Zaśmiała się nerwowo i odwróciła wzrok. Potrząsnąłem nią i boleśnie wykręciłem rękę na plecy. - No i co?

Ponownie się zaśmiała, ale gdy się odezwała, nie patrzyła mi w oczy.

- Cóż - westchnęła. Wygląda na to, że u ciebie niewiele wyszło, mój drogi. Musiało to być jedno z nas, nieprawdaż?

I okazało się, że to ty. Kaput - chyba tak to można określić. Ale nie przejmuj się, nie zostawię cię.

- Czy chcesz powiedzieć...? - Popatrzyłem na nią i poczułem, jakbym dosłownie kurczył się i zasklepiął w sobie.

- Że jesteś niepłodny? Tak, dokładnie, właśnie to staram ci się przekazać. Nie możesz mieć dzieci, Aleksandrze, nie możesz mieć dziedziców, bo to, co z ciebie tryska, jest do niczego.

Puściłem ją. Na pewno kłamie. Nie ma co do tego wątpliwości.

- Cóż to? Chyba nie będziesz płakać? Aleksandrze, nie jesteś przecież małym chłopcem. To jeszcze nie koniec świata i, jak już zresztą powiedziałam, Kochająca żona gotowa jest znieść twą niedoskonałość.

Powoli zszedłem do salonu i zagłębiłem się w fotelu. Przyszła do mnie po kilku minutach, z kolejnym drinkiem w ręku. Stała tak przede mną z uśmiechem na ustach, czekając na moją reakcję.

- Dlaczego, Jessiko? Dlaczego musiałaś mi to powiedzieć w ten właśnie sposób?

- Chodzi ci o wyniosłość, z jaką ty mnie zawsze traktujesz? To boli, prawda, Aleksandrze? Po tych wszystkich przeżyciach, jakie mi zafundowałeś, po tym, co mi zrobiłeś, nareszcie masz to, na co zasługujesz. - Zaśmiała się złośliwie. - Popatrz no tylko na siebie - jesteś taki błady i drżący. Ciekawe, co by twoja ukochana Elżbieta powiedziała, gdyby cię mogła teraz zobaczyć? Powiem ci tylko jedno -

nie zostałyby z tobą, żadna kobieta by nie została, bo jesteś seksualnym kaleką, jesteś żaloszny! Wiesz o tym? Żaloszny!

Kiedy tak patrzyłem na nią - na tę dziewczynę o przekrwionych, podpuchniętych oczach, na jej plamistą cerę, czułem ogarniający mnie smutek.

- Powiem ci jedno, Jessiko. Powiem ci prawdę o sobie. Miałaś rację. Kochałem w życiu tylko jedną kobietę, a była nią

Elżbieta. Znaczyła dla mnie wszystko. Błagałem, żeby wyszła za mnie, ale twierdziła, że jestem za młody. Prosiłem ją o to bez przerwy, bo wiedziałem, że jeśli mnie opuści, umrę - i właśnie przez te wszystkie lata umierałem. Na dodatek to moja wina, bo odwróciłem się od niej, kiedy mnie potrzebowała. Nigdy sobie tego nie wybaczę! Nigdy! Tyle że teraz spłacam tę winę, a ty, Jessiko, jesteś ceną, jaką płacę!

Rozdział 17

Po tym wieczorze nie miałem najmniejszych złudzeń co do przyszłości naszego małżeństwa. To, że wykorzystałem broń, która, jak wiedziałem, zrani Jessikę bardziej niż jakakolwiek inna, było niewybaczalne, ale przeżyłem szok dowiedziawszy się w okrutny sposób, że jestem niepłodny. Tym razem, przebrała miarkę. Nigdy nie zapomnę wyrazu jej twarzy, kiedy nazywała mnie

„niesprawnym”, „seksualnym kaleką”. Prześladował mnie, napastował, ten sam wyraz dostrzegałem na twarzach wszystkich innych kobiet, z którymi się stykałem. Triumf i pogarda. Potrafiłem go zrozumieć

a posługiwały się nim tylko dla zemsty - i czułem się wtedy dokładnie tak, jak chciały, żebym się czuł: potępionym, chorym nieudacznikiem.

Jakoś udało mi się przetrwać kolejne dni. Ruth Pinto została uniewinniona - pomimo sędziowskiej przemowy, która, przyznam się szczerze, była bezwstydnie stronnicza. Tak czy inaczej, wyszła na wolność, a kiedy podała mi rękę, powiedziała coś, co miało się dla mnie stać zrozumiałe dopiero później.

- Panie Belmayne, nie wiem, jak się teraz potoczy moje życie. Byłam przekonana, że moja głupota, w połączeniu z pańskim brakiem doświadczenia, wpakuje mnie do więzienia.

Tego wieczoru gazety rozpisywały się na temat procesu. Przeżyłem wielki triumf. Aby go uczcić, Henry wydał przyjęcie w swoim mieszkaniu przy Eaton Square.

- Daj spokój, nie bądź taki skromny - zaprotestował, gdy próbowałem mu powiedzieć, że sprawa była i tak z góry wygrana. - Poczekaj tylko do rana, a nie będziesz mógł dostrzec staruszka Raddisha spoza akt, które ma dla ciebie przygotowane.

Zaśmiałem się i obiecałem podrzucić mu wszelkie nadwyżki w pracy. Następnie gratulował mi Robert Lyttleton. Ostatnio widywaliśmy go dość rzadko, gdyż harował w Ministerstwie Spraw

Zagranicznych, próbując dochrapać się zagranicznej placówki. A kiedy się spotykaliśmy, żaden z nas nie wspominał o jego romansie z moją żoną czy też moim z jego matką. Cieszyłem się, że te niemal kazirodcze stosunki, a także moja zazdrość nie wpłynęły na naszą przyjaźń - chociaż nie miałem wtedy pojęcia, jak cenna może się jeszcze okazać przyjaźń z Robertem.

Teraz trącił mnie łokciem i skinął w kierunku Lizzie, która właśnie przesunęła się obok nas z tacą zakąsek.

- Jest bez majtek.

- A skąd wiesz? - spytałem.

- Bo mi pokazała.

Pokręciłem głową, absolutnie nie zaskoczony.

- Wyobrażam sobie, że w tym czasie Henrygo nie było w pobliżu.

- No to się mylisz, staruszkule. Henry stał obok nas. W zasadzie to on kazał jej to zrobić. Słowo skauta -

rzekł, kiedy zacząłem protestować. - Henry, zaczekaj, stary. - Chwycił za ramię Henry'ego, który właśnie przepływał obok z Caroline. - Słuchaj, czy to prawda, że kazałeś swojej żonie pokazać mi jej intymne części?

Popatrzył na mnie.

- Nie mów mi, że i ty je chcesz zobaczyć? Jestem pewien, że z przyjemnością ci pokaże, jeśli ją o to poprosisz. A może chciałbyś, żebym to ja ją poprosił w twoim imieniu?

Dopiero później udało mi się złapać Henry'ego sam na sam i spytać go, co jest właściwie między nim a Lizzie.

- Poza kilkoma orgietkami właściwie nic! - odrzekł.

- Wydawało mi się, że jesteście razem bardzo szczęśliwi.

- Pieprzę ją, i to wszystko, czego chce. Jest szczęśliwa - Uśmiechał się przy tych słowach, ale znałem go aż nazbyt dobrze.

- Znowu spotykasz się z Caroline? - spytałem.

- Tak często, jak to możliwe. - Uśmiech na jego twarzy zamarł. - Nie powinienem był jej zostawiać.

- No to czemu nie zostawisz Lizzie?

- A ty dlaczego nie odejdziesz od Jessiki?

Patrzyliśmy na siebie przez dłuższą chwilę, zanim się znowu odezwał.

- No cóż, popełniliśmy cholerny błąd, idąc do łóżka z tymi dwiema. Teraz

tylko pytanie, który z nas jako pierwszy coś z tym fantem zrobi.

Następnego ranka, kiedy zjawiłem się w sądzie, znalazłem na biurku stertę gazet. Być może Henry miał rację, że wkrótce dotrą do mnie nowe akta, i Bóg jeden tylko wie, jak bardzo

było mi potrzebne coś, co mogłoby oderwać moje myśli od sytuacji w domu.

Najpierw przejrzałem pocztę, a następnie wziąłem gazety, żeby je jeszcze raz przeczytać. Nadal coś w sprawie Pinto mnie niepokoiło, choć nie liczyłem na to, że w prasie znajdę odpowiedź na moje wątpliwości.

- Telegram do pana. - Czekałem, aż urzędnik odejdzie, zanim go otworzy. Nie trzeba było przeżyć wojny, aby doświadczać pewnego niepokoju, gdy się otrzymuje telegram.

Zawierał tylko dwa słowa - dwa słowa tak niespodziewane, że nogi się pode mną ugięły. Byłem zaskoczony, sparaliżowany, czułem, że moje serce to zwalnia, to bije szybciej. Odwróciłem wzrok i spojrzałem w stronę okna, jakby spodziewając się, że tam właśnie znajdę wyjaśnienie. Odległy hałas miasta cichł nawet bardziej, kiedy słyszałem jej głos wymawiający te tylko słowa. Po tych wszystkich latach teraz, nagle, dzisiaj... spojrzałem jeszcze raz na telegram głodnym wzrokiem, pragnąc znaleźć tam coś więcej. A były tylko dwa słowa: *Gratulacje - Elżbieta*.

Musiałem siedzieć przy biurku około godziny, wpatrując się przed siebie i wolno otwierając wrota pamięci. Jakże wyraźnie widziałem Foxton - zupełnie jakbym był tam wczoraj. Słyszałem tupot nóg oraz gwar młodych chłopięcych głosów, gdy uczniowie wybiegali z sypialni. Widziałem stare budynki drzemiące pośród trawników, wyraźnie wytyczone boiska sportowe. Widziałem sale szkolne, jadalnię, gabinet dyra. A potem domek, ambulatorium oraz chatkę dróżnika. Na moment podniosłem głowę, troszkę jakby się spodziewając, że dostrzegę jej oczy uśmiechające się do mnie. Ale przede mną były tylko gołe ściany; schowałem twarz w dłoń. Tak długo starałem się o tym nie myśleć, tak wiele wydarzyło się od tamtej pory, jednakże ten ból ostatnich kilku dni...

Wieczorem spotkaliśmy się z Henrym w „El Vino”. Pod koniec dnia, kiedy telegram zdołał już się wbić w moją świadomość, doprowadziłem się niemal do stanu frustracji i niechęci, byłem bliski wybuchu.

- Dwa słowa! Dwa cholerne słowa! Dlaczego, na Boga, nie napisze, gdzie

jest?

Henry oddał mi telegram.

- A więc rozumiem, że chcesz wiedzieć, gdzie jest?

- Oczywiście, że chcę! Dziwi mnie, że w ogóle pytasz! Wzruszył ramionami. Minęła dłuższa chwila, zanim odezwał się ponownie.

- Chyba nie muszę ci mówić, Aleksandrze, jak bardzo ją zraniłeś. Może boi się, że znowu to zrobisz?

- No to po co przysłała telegram?

- Myślę, że sam możesz sobie odpowiedzieć. Podniósł rękę, kiedy chciałem się odezwać. - Wprawdzie wasze światy były od siebie niezwykle oddalone, ale mimo to bardzo do siebie pasowaliście - ty dobrze o tym wiedziałeś, ona wiedziała, i my wszyscy wiedzieliśmy. Nawet Stara Złoźnica chciała, żebyś to sobie uświadomił, gdy przyjechała do Oksfordu, prawda? Przypuszczam, że Elżbieta próbowała w ten sposób dać ci znać, że nadal myśli o tobie, a może nawet, że chciałaby cię znowu zobaczyć. I jeśli chcesz posłuchać mego zdania, to radzę ci ją odszukać. Przy tym wszystkim, co się teraz z tobą dzieje, no cóż... Znajdź ją, zanim znowu kogoś zranisz, bo wydaje mi się, że już wystarczająco dużo ludzi się wycierpiało z powodu twego krwawiącego serca.

W pierwszym odruchu chciałem wstać od stołu i powiedzieć mu, co myślę o tych radach dobrej cioci.

Ale złapał mnie za rękę i posadził z powrotem.

- Tę radę dam ci, Aleksandrze, za darmo. Nie tylko tobie jej brakowało, kiedy odeszła. Ja o niej też myślę. I nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie chcesz o niej rozmawiać, zwłaszcza ze mną.

Podobno jestem, na Boga, twoim najlepszym przyjacielem. A więc możesz porozmawiać teraz - bo zawsze

chciałem się tego dowiedzieć - dlaczego, do cholery, tak łatwo pozwoliłeś Elżbiecie odejść?

Czułem, że przechodzi mi złość, a jej miejsce zajmuje palący ból, który, jak mi się wydawało, już nigdy nie miał powrócić.

- Sam chciałem umieć na to odpowiedzieć. Wiem tylko tyle, że mój ojciec mówił tak przekonująco. I chyba nawet twierdził, że ma dowody świadczące o jej związkach z tymi cholernymi Cyganami.

Uwierzyłem mu, kiedy powiedział, że zrobiła ze mnie głupca - wtedy

wszystko pasowało do siebie.

Próbowałem ją potem odszukać. Musisz o tym pamiętać.

Henry skinął głową.

- Pamiętam także, że duma kazała ci z niej zrezygnować. Ta sama duma zraniła od tamtej pory jakże wielu ludzi. Co zamierzasz teraz zrobić?

- A co mogę, do cholery, zrobić? Czuję się, jakby jakiś duch z przeszłości zjawiał się, by mnie straszyć.

Jest tam, ale nie mogę jej dotknąć. Dlaczego teraz, po tych wszystkich latach? I dlaczego w taki sposób?

Żaden z nas nie potrafił na to odpowiedzieć i kolejne dwa tygodnie ciągnęły się niezwykle boleśnie.

Nie potrafiłem się na niczym skupić, gdyż mój umysł wypełniały wizje z przeszłości. Wyteżałem wzrok na zatłoczonych ulicach, próbując odszukać ją w tłumie.

Za każdym razem, gdy zadzwonił telefon, otwierały się drzwi, gdy zastukał listonosz... Ból czekania ciągnął się w nieskończoność. Moje stosunki z Jessiką jeszcze bardziej się pogorszyły. Od kiedy powiedziała mi, że nie mogę być ojcem, przenieśliśmy się do oddzielnego pokoju. Jessika, jak się wkrótce dowiedziałem, szukała pocieszenia w ramionach swego nowego nauczyciela, Thomasa Street. Nie obchodziło mnie to. A w zasadzie nawet cieszyło, Jessika uosabiała wszystko co złe w moim życiu, a ja chciałem się znaleźć od tego jak najdalej.

I wtedy, pewnego ranka, zatelefonował ojciec. zaproponował, byśmy spotkali się u niego w klubie; miał mi coś niezwykle ważnego do przekazania.

Serce podskoczyło mi do gardła. Czyżby odnalazł Elżbietę? Czy chciał mi powiedzieć, że lata temu popełnił błąd? Moja obsesja osiągnęła takie rozmiary, że do głowy mi nawet nie przyszło, iż ojciec chce się ze mną widzieć z zupełnie innego powodu.

Jak zwykle nie zwlekał, żeby przejść do sedna. Chodziło o sprawę Pinto. Słuchając tego, co mi miał do powiedzenia, aż nazbyt wyraźnie przypomniałem sobie pustkę, jaką odczuwałem po wygranej. I teraz uczucie to ogarnęło mnie ponownie -bardziej zrozumiałe i napełniające przerażeniem. Ruth Pinto była brytyjską agentką, a nie radziecką. Informacje, jakie uzyskiwała dla wschodniego bloku, otrzymywała w rzeczywistości z Ministerstwa Obrony - i jej komunistyczni szefowie zaczęli ją podejrzewać.

Sprawa sądowa została zaaranżowana po to, by odsunąć podejrzenia i uratować Ruth; ten jeden jedyny raz sprawiedliwości nie miało stać się zadość i za jakiś czas Ruth Pinto zostałaby po cichu zwolniona z więzienia, wywieziona gdzieś, gdzie nadano by jej nową tożsamość. Największą ironią losu było jednak to, jak powiedział mi ojciec, że ten pseudoproces został zaaranżowany, by uratować jej życie.

Dzięki mojej błyskotliwej obronie została uniewinniona. Jej ciało znaleziono poprzedniego wieczoru na ulicy Berlina Wschodniego.

To nieprawdopodobne! Gdyby mój ojciec nie był ministrem sprawiedliwości, podejrzewałbym go, że naczytał się zbyt wiele powieści szpiegowskich. Mnie chodziło jednak przede wszystkim o to, dlaczego o niczym nie wiedziałem.

- To proste - odparł ojciec. - W sądzie byli agenci KGB. Gdybyś o wszystkim wiedział, dałoby się to wyczuć w linii obrony. Ci ludzie nie są głupi. Wszystko trzeba było przeprowadzić *bona fide case*.

- No to dlaczego, do cholery, oskarżyciel się bardziej nie postarał? W zasadzie podali mi wygraną na tacy.

- Jesteś wobec siebie niesprawiedliwy. Nikt po prostu nie był przygotowany na to, że tak mądrze poprowadzisz obronę. Nie popadaj tylko w samouwiełbienie. Nadal jesteś niedoświadczonym adwokatem. Akta mogły trafić do kogokolwiek. A przypadkiem tak się złożyło, że ty byłeś w Sekcji I w Cler-kenwell. Dlatego wybrano ciebie.

- A więc to wszystko zostało zaaranżowane?

- Aleksandrze, nie wpadaj w histerię!

- Powiedziałem, że zostałem podstawiony.

- W pewnym sensie tak.

Wciągnąłem powietrze, aby dać upust złości, ale podniósł rękę, żeby mnie powstrzymać.

- Sprawa jest już zamknięta. Pozostało tylko jedno, o czym chciałem cię poinformować, zanim dowiesz się o tym z gazet. Przechodzę na emeryturę pod koniec tej sesji parlamentu.

- Emeryturę? - powtórzyłem. - Masz przecież dopiero sześćdziesiąt cztery lata! - Jego decyzja mocno mnie zaniepokoiła.

- A twoja mama niedawno skończyła pięćdziesiątkę. Wzruszyła mnie ta jego lojalność, to, że nie chciał wyjawic, ile naprawdę lat ma mama. - Nadal jest młoda, Aleksandrze, i chcę spędzić z nią trochę czasu, zanim będzie zbyt

późno. To chyba nic złego, prawda? Sam powinieneś czegoś takiego spróbować. To dobrze robi na stare serce.

- Serce? Czy coś nie w porządku?

- Kołacze się we mnie jeszcze dość życia. Ale tak... - mówił poważnym tonem. - Lekarze nalegają. A przy tym twoja matka wierci mi dziurę w brzuchu. Dałem za wygraną. Ona jest górą, tak zresztą jak zawsze kobiety. Uśmiechnął się, kiedy mówił o mojej matce; nadal się bardzo kochali po tych wszystkich latach.

Z trudem przełknąłem ślinę. Chociaż niejednokrotnie mieliśmy odmienne zdania, kochałem ojca.

- Daj spokój, staruszkule - zaśmiał się, wyciągając rękę i chwytając mnie za ramię. - Rozchmurz się już!

Nie będziesz przecież płakać do zupy? Poza tym nigdzie się jeszcze nie wybieram, to mogę ci obiecać.

Jeśli zaś chodzi o ciebie, no cóż, lepiej przygotuj się na publiczne upokorzenie, które prawdopodobnie nastąpi.

Mój ojciec nigdy nie lubił się roztkliwiać.

Jedyna dobra strona tego, że znowu o mnie pisały gazety, to to, że może Elżbieta zechce się ze mną skontaktować. Dni jednak mijały, a ja nie miałem żadnej wiadomości.

Od czasu do czasu wyciągałem telegram z kieszeni i przyglądałem mu się, na próżno szukając numeru telefonu, którego nie było. Spotykaliśmy się z Henrym codziennie w „El Vino”, pozornie po to, by rozstrząsać wydarzenia w sądzie, lecz tak naprawdę musieliśmy się wyzalić na temat naszych nieudanych małżeństw. Pograżony w rozpamiętywaniu własnego bólu nie omieszkałem mu

przypomnieć, że on przynajmniej widuje się z Caroline.

- To nie to samo — odparł. - Chcę, żeby była przy mnie bez przerwy. Czy wiesz, że po raz pierwszy w życiu cudze szczęście jest dla mnie ważniejsze niż moje własne? Czy to nie zaskakujące?

- A może to miłość?

- Nie róbmy się sentymentalni, stary. - Wstał, żeby przynieść kolejne drinki.

- Myślisz, że Elżbieta jest szczęśliwa? - spytałem, kiedy wrócił.

- Nie. Gdyby była, nie wysłałaby tego telegramu.

Wiem, że nie chciałem, żeby odpowiedział twierdząco, ale nie do zniesienia była dla mnie myśl, że jest gdzieś tam samotna i nieszczęśliwa.

- Znajdę ją, Henry, znajdę, choćby nie wiem co!

Rozdział 18

Jessika przygotowywała dom do wielkiego przyjęcia pożegnalnego, jakie wydawaliśmy na cześć Roberta. Wreszcie otrzymał swoją zagraniczną placówkę - na początku następnego tygodnia miał

wylecieć do Bagdadu. To Jessika wymyśliła, żeby przyjęcie odbyło się u nas - tyleż po to, by wykorzystać jeszcze jedną okazję do pokazania mi „prawdziwego mężczyzny”, ile z nie skrywanej chęci pożegnania się z nim.

Przez cały ranek co jakiś czas wpadała do mojego gabinetu, żeby uraczyć mnie kolejnym problemem, który się właśnie

wyłonił, i żeby spytać, czy nie mógłbym czegoś w związku z tym zrobić. Za każdym razem odmawiałem jej tak samo, a ona zatrząskiwała drzwi, miotając przekleństwa pod moim adresem - ale po cichu, żeby wynajęta na ten dzień pomoc nie usłyszała. Po lunchu, na który składała się kanapka za zamkniętymi już na klucz drzwiami gabinetu, przyszła Lizzie oraz kwiaciarka. Zastanawiając się nad tym, dlaczego wcześniej taki pomysł nie wpadł mi do głowy, chwyciłem płaszcz i poszedłem zagrać z Henrym w golfa.

Kiedy wróciliśmy razem z Henrym chełpiącym się zwycięstwem na Belgrave Square, Jessika i Lizzie zdażyły gdzieś zniknąć.

- Poszły do sklepu - poinformowała nas pani Dixon. Postanowiliśmy więc wraz z Henrym napocząć szampana. O piątej jeszcze ich nie było, mój przyjaciel zdecydował więc wrócić do domu, żeby się godzinkę zdrzemnąć.

Byłem w gabinecie, gdy usłyszałem, że Jessika i Lizzie wróciły, ale nie zadałem sobie trudu, żeby do nich wyjrzeć. Przeglądałem właśnie papiery, które poprzedniego dnia dostarczył mi do sądu prywatny detektyw. Nie było tego zbyt wiele - mogłem mu dać tylko telegram, który, jak się dowiedział, został

wysłany z poczty w Chelsea. Czułem się jeszcze bardziej zagubiony myśląc, że Elżbieta może być tak blisko. Wziąłem do ręki telegram i jeszcze raz przeczytałem. A potem ze złością zmiąłem w maleńką kulkę. Do diabła z nią! Dlaczego jest dla mnie taka okrutna?

Chichot przy drzwiach otrzeźwił mnie w mgnieniu oka. Jessika trzymała dwa kieliszki, a Lizzie nalewała do nich szampana.

- Biedny Aleksander - westchnęła. - Jak myślisz, czy znowu wspomina swoją dawną miłość?

Lizzie zachnęła się i zachichotała.

- Może trochę szampana, kochanie? - Wyciągnęła w moim kierunku butelkę, lecz ja zignorowałem ten gest i popatrzyłem na Jessikę.

- Jess, Aleksander chyba nie ma ochoty na szampana.

- Nie, chyba nie - stuknęły się kieliszkami. Wypijmy zdrowie mojego kochanego męża. A może wyjawimy mu naszą małą tajemnicę, co o tym sądzisz?

- Sama nie wiem. Może? Jessika spojrzała na mnie.

- Nie, lepiej nie, tylko się zezłości. - I wyszły z pokoju chichocząc.

- Co chciałyście mi powiedzieć? - spytałem.

- Nic - rzuciła Jessika przez ramię. - Chodź, Lizzie, zobaczymy, jak pani Dixon radzi sobie w kuchni.

- Czy coś przede mną ukrywasz, suko? Co to jest? List? Gdzie go wsadziłaś?

- Och, pn myśli, że dostał list - rzekła Jessika. I odwróciwszy się do mnie dodała: - Nie, kochanie, to nie list.

- A więc co?

- Może mu powiedzieć? - zasugerowała Lizzie.

- No dobrze, powiedz.

- Aleksandrze, jak mam na imię? - Uśmiechnęła się i skinęła głową. - Chyba już się zaczyna domyślać.

Tak, Aleksandrze, Lizzie. A od czego to zdrobienie? Zgadza się, od Elżbiety. Gratulacje, Aleksandrze! - I zataczając się ze śmiechu wyszły z pokoju. Kiedy opuściły gabinet, siedziałem nieruchomo, wpatrując się przed siebie, pełen obaw, co mógłbym zrobić, gdybym się ruszył. Wreszcie podniosłem słuchawkę i zatelefonowałem do Henry'ego. Opowiedziałem mu pokrótce, co się stało.

Zaklinał się, że zbije Lizzie na kwaśne jabłko, ale wtedy złość zaczynała mi już przechodzić, jej miejsce zajęło poczucie klęski. Poprosiłem go, żeby w ogóle o tym nie wspominał, że dla wszystkich lepiej będzie, jeśli zapomnimy o całym zdarzeniu.

Wieczór nie minął tak wesoło, jak się spodziewaliśmy. Z trudem udawało nam się z Jessiką zachowywać pozory uprzejmości, a sytuację utrudniała jeszcze obecność matki Roberta. Naturalnie, ani Jessika, ani Lizzie nie mogły się powstrzy-

mać od zawołanych, lecz ostrych aluzji do naszego romansu. Mnie to

już nie potrafiło dotknąć, ale na przyjęciu znajdowało się jeszcze dwanaście osób, głównie starych znajomych Roberta - oni i Rachel najwyraźniej nie mogli ukryć zażenowania. Robert i Lizzie się spili. W pewnym momencie Jessika zniknęła na jakieś pół godziny, a potem zauważyłem, że i Roberta nie ma. Zrobiło mi się niedobrze.

Miałem tylko nadzieję, że Jess zajdzie w ciążę. To mogłoby stanowić wystarczającą podstawę do szybkiego, nieskomplikowanego rozwodu.

Okolo jedenastej kilka osób zaczęło już wychodzić, a ja odprowadziłem Rachel do drzwi.

- Trudno było nie zauważyć, że między tobą a Jessiką jest bardzo źle - stwierdziła, kiedy jej podawałem płaszcz.

- To za mało powiedziane, Rachel.

- Źle wyglądasz, schudłeś.

- Tak wygląda człowiek, który jest nieszczęśliwy w małżeństwie.

- No to zrezygnuj z tego małżeństwa. Jesteś młody, nie musisz brać pod uwagę dzieci. Daj sobie z tym spokój, póki jeszcze możesz.

- Poważnie się nad tym zastanawiam.

- Zrób to. Wiem, że nam się jakoś nie ułożyło najlepiej, ale naprawdę twoje dobro leżało mi na sercu.

I nadal leży. I pomimo tych wszystkich słów, jakie wtedy wypowiedziałam, wiem, że za gładką fasadą kryje się dobry i porządny człowiek. Problem w tym, że to, co się dzieje między tobą i Jessiką, go zabija.

Uśmiechnąłem się smutno i przyciągnąłem ją do siebie.

- Czy naprawdę byłem dla ciebie taki niedobry?

- W ten czy inny sposób jesteś dla wszystkich niedobry. Pora już to zmienić, nie uważasz? - Otworzyła drzwi.

- Przepraszam pana. Szukam Lizzie Roseman.

Odwróciliśmy się wraz z Rachel i zobaczyliśmy wysokiego blondyna, który stał na chodniku, nieśmiało przestępując z nogi na nogę, tak jakby chciał ruszyć przed siebie. Ponad skórzaną kurtką na futrzanej podpince wystawał kołnierz fioletowej koszuli w kratkę, a jego dzinsy, które chwile świetności miały już za sobą, były wciśnięte w nogawki kowbojskich butów gigantycznego rozmiaru.

Brakowało mu tylko korkowego kasku i puszki piwa.

- Może znają ją państwo lepiej jako Lizzie Poynter - dodał, nie mogąc się doczekać z naszej strony reakcji. - Podobno mieszka tutaj jej siostra Jessika.

- Chyba już sobie pójdę - rzekła Rachel. Przechyliła się i pocałowała mnie w policzek. - Zastanów się nad tym, co ci powiedziałam. - Zbiegła po schodkach. Mężczyzna uśmiechnął się niezwykle miło, gdy go mijała, i uchylił niewidzialnego kapelusza. Ja również zszedłem po schodkach i spytałem, czego może chcieć od Lizzie. Wsadził kciuki w szlufki spodni, jakby próbując dodać sobie odwagi, której mu najwyraźniej brakowało, i oparł się o filar ganku. Słuchałem w pełnym zdziwienia milczeniu, kiedy nieznajomy, który wyłonił się nagle z ciemności owej zimnej, wietrznej marcowej nocy, opowiadał mi, kim jest i w jakim celu szuka mojej szwagierki. W końcu poprosiłem go, by zaczekał i wszedłem do domu, żeby rozejrzeć się za Henrym.

Pozwoliłem mu się dobrze przyjrzeć mężczyźnie stojącemu przed drzwiami, zanim dokonałem prezentacji.

- Henry Clive, John Roseman. Właściwie powinienem powiedzieć: mąż Lizzie.

Po pierwszym szoku odbyło się dość przyjemne kameralne przyjęcie. Lizzie z początku była przerażona, kiedy John wszedł za mną i za Henrym do salonu, ale jej przerażenie szybko zmieniło się w zachwyt, gdy Australijczyk zademonstrował cały

swój urok osobisty, który prawdopodobnie spowodował, że za niego wyszła. Henry, jak zauważyłem, rozsiadł się wygodnie i obserwował rozwój sytuacji bez większego zainteresowania.

Dowiedzieliśmy się, że Lizzie wyszła za Johna cztery lata temu podczas swej podróży po Australii.

Był to podobno płomienny romans - znali się wszystkiego trzy miesiące, po czym go zostawiła. Nie dowiedzieliśmy się w zasadzie, dlaczego od niego odeszła, ale to chyba ich sprawa. Lizzie zupełnie się nie przejmowała tym, że popełniła bigamię, podobnie zresztą jak Henry i John. Jessika w ogóle się nie odzywała i wkrótce zorientowałem się, że od początku wiedziała o Johnie. Postanowiono, że skoro Henry jest adwokatem, to on się zajmie rozwiązaniem sprawy - John obiecał zrobić wszystko, żeby pomóc - i po tym wniosku Lizzie wyszła wraz ze swym nowo odnalezionym mężem. Ale dokąd poszli? Bóg jeden tylko wie, a Henry za bardzo się tym nie przejmował.

Byłem zdumiony. Pomiędzy przybyciem Johna i jego wyjściem nie wypowiedziałem pewnie w sumie nawet dziesięciu słów.

- Zawsze lubiłem Australijczyków - rzekł Henry wkładając płaszcz. -

Skontaktuj się z ich ambasadą, staruszką. Może i dla ciebie coś wykombinują?

- Pewnie spróbuję - zaśmiałem się. - Coś z tym trzeba zrobić. Dzisiaj miał ją Robert. Jak myślisz, może udałoby się go przekonać, żeby ją ze sobą zabrał?

- Nie licz na to.

Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem, że Jessika stoi w drzwiach do salonu. Z jej miny wynikało, że słyszała każde słowo. Ruszyłem w jej stronę, zmierzając do gabinetu. Gdy ją mijalem, usłyszałem jej głos.

- Nigdy ci nie pozwolę odejść, wybij to sobie z głowy, Aleksandrze. Tuż nad ranem wsunęła się do mojego łóżka i płakała tak,

jakby jej serce miało pęknąć. Rozumiałem ten ból. Przytuliłem ją do siebie i zacząłem się zastanawiać, jaka nas czeka przyszłość.

Kiedy Henry i Caroline ogłosili datę swego ślubu, trudno było nie cieszyć się ich długo oczekiwanym szczęściem, chociaż przyznam się, że niejednokrotnie im zazdrościłem. Pó tamtej czulej nocy próbowaliśmy z Jessiką jeszcze raz się dogadać -spędziliśmy wiele godzin na długiej rozmowie o tym, co jest między nami, ale nie było sensu, żebym się znowu oszukiwał -nigdy nie mógłbym Jessice zaufać i jeśli miałem dla niej choć odrobinę miłości, jej resztki wygasły w dniu, w którym dowiedziałem się o telegramie. Byłem jej teraz wierny, tak jak by sobie tego życzyła, jednakże wierność ta zrodziła się z mojej impotencji, a nie miłości, i ona o tym wiedziała. Dręczyła mnie i ośmieszała z powodu tego, co nazywała moim „organem z defektem”, ale jeśli straszyłem, że ją zostawię, natychmiast się odgrażała, iż powie światu, że „wielkiemu Aleksandrowi Belmayne’owi nie chce stać”. Posunęła się nawet do tego, że nad łóżkiem zawiesiła mi tabliczkę z cytatem Williama Congreve’a:

*Większej wściekłości nie ma, niż gdy miłość w nienawiść się zmienia,
A i piekła takiej furii nie znają, niż gdy kobietą wzgardzają.*

Ów dwuwiersz tak doskonale oddawał łączące nas stosunki, że można by się z niego pośmiać, gdyby sytuacja nie była równie tragiczna.

Pozbawiony możliwości sprawdzania się w łóżku, rzuciłem się w wir pracy. Cieszyłem się coraz lepszą opinią jako fachowiec i jednocześnie brałem na siebie więcej, niż powinienem. W końcu Henry postanowił sprowadzić mnie na ziemię i radził mi odwiedzić psychiatrę, zanim wykończę się z przepracowania. Kazałem mu pilnować swojego nosa i

powiedziałem, że sam doskonale sobie poradzę z uporządkowaniem własnego życia.

Dylemat stawał się jednak coraz większy - chciałem mieć dzieci, i to nawet bardziej niż przedtem. Tak tego pragnąłem, że zaczynałem się do dzieci uśmiechać w sklepie, chodziłem też po parku, by popatrzeć, jak się bawią. Byłem na siebie wściekły, że w ten sposób daję upust swojej słabości, jednak tak szalenie zależało mi na dziecku, że skrywanie owego uczucia przychodziło mi z trudem.

Właśnie jednego z takich dni, kiedy spacerowałem po Hyde Parku, poczułem, że coś uderza mnie w nogi. Spojrzałem w dół i zobaczyłem twarzyczkę dziewczynki, która się we mnie wpatrywała - śmiała się, mimo że przed chwilą upadła. Uciekała przed balonem, który toczył się w jej kierunku, gdy ktoś w tym czasie próbował go napełnić gorącym powietrzem. Schyliłem się, żeby ją postawić na nogi, spodziewając się, że zaraz ucieknie, ale nie - została przyglądając mi się w ten charakterystyczny tylko dla dzieci sposób, aż do momentu, kiedy obok niej zjawiała się kobieta.

- A, tu jesteś! Myślałam już, że mi się zgubiłaś pod balonem!

Ponieważ kobieta była dość mocno zdenerwowana obecnością nieznanego, wyprostowałem się i uśmiechnąłem, żeby ją uspokoić.

- Nic się nie stało! - powiedziałem i pogłaskałem dziewczynkę po włosach. - Cała i zdrowa!

Uśmiech rozjaśnił twarz małej, czym mnie natychmiast ujęła za serce. Potem pozwoliła się kobiecie wziąć za rączkę i odeszły. Patrzyłem za nimi - chude nóżki dziewczynki podskakiwały obok eleganckiej postaci osoby chyba dość zasadniczej w kanar-kowożółtym stroju.

Tamtego wieczoru jedliśmy kolację razem z Jessiką, co zdarzało się niezwykle rzadko. Z ulgą stwierdziłem, że jest w miarę trzeźwa i w lepszym niż zwykle nastroju - w następ-

nym tygodniu miała mieć indywidualną wystawę w galerii Bayswater. Paplała radośnie, mocno podniecona, w zasadzie wcale nie zainteresowana tym, czy ja nie miałbym jej czegoś do powiedzenia, najwyraźniej szczęśliwa, że ma słuchacza. Zanim zdałem sobie z tego sprawę, już jej opowiadałem o dziewczynce i o tym, że często chodzę samotnie po parku. Mimo tych wszystkich awantur, jakie się nam zdarzały, od czasu do czasu przeżywaliśmy chwile czułości, i kiedy podeszła, żeby usiąść koło mnie, objąłem ją i westchnąłem ciężko.

- Jess, co z nami będzie? Nie możemy tak bez przerwy ranić się nawzajem.

Odwróciła się do mnie, odgarniając mi włosy z twarzy.

- Chcesz rozwodu? To właśnie starasz się powiedzieć? Czy rzeczywiście to jej chciałem powiedzieć?

Właściwie nie

zależało mi na rozwodzie. Skoro Jessika tak bardzo mną pogardzała z powodu mojej niepłodności, to skąd mogłem mieć pewność, że i inne kobiety nie będą? Poza tym, Jessika, mimo tego, co mówiła, nadal była ze mną. Może powinienem ten fakt wziąć za dobrą monetę.

- Nie wiem, Jess - rzekłem w końcu. - Sam po prostu nie wiem. Ale przyznasz, że nawzajem wyzwalamy w sobie najgorsze instynkty.

Nie zawsze. Czasem jest nam dobrze razem. A ja się zastanawiałam...

- Nad czym? - spytałem, kiedy urwała. - No dalej, co tam masz w zanadrzu?

- Powiem ci tylko tyle, że to niespodzianka, która sprawi ci wiele radości.

- A co to takiego może być?

- Nie powiem. W każdym razie jeszcze nie teraz. Chcę jednak, żebyś wiedział, że pomimo iż tak bardzo się nawzajem ranimy, pomimo tego wszystkiego, co mówię, nadal cię ko...

- Nie, cicho - położyłem jej palce na ustach.

Jej oczy błysnęły i usłyszałem, jak przełyka ślinę.

- Skoro nie mogę tego powiedzieć, to może mogłabym... No wiesz, już tak dawno... Może mogłabym ci to pokazać?

- Jess, daj spokój, to niczego nie zmieni, dobrze wiesz. Ale zmieniło. Zmieniło właściwie wszystko.

Był 4 maja. Datę tę zapamiętałem na zawsze, bo wypadały wtedy urodziny Jessiki. Szczęśliwie jej matka zadzwoniła do mnie dzień wcześniej, żeby mi przypomnieć, i w ten sposób pomogła nam uniknąć kolejnej konfrontacji. Matka Jessiki była również na tyle miła, by mi podpowiedzieć, jaki prezent mogę kupić na tę okazję.

Cały dzień spędziłem w Old Bailey, uczestnicząc w rozprawie o oszustwo. Myślałem, że skończymy na tyle wcześnie, bym zdążył do domu aukcyjnego Christie, gdzie miałem zamiar wziąć udział w licytacji pewnego naszyjnika, ale sędzia był wyjątkowo dociekliwy i zegarek wskazywał już po wpół

do piątej, gdy wreszcie wyszedłem. Aukcja miała się rozpocząć dopiero o

szóstej. Po drodze musiałem jeszcze zajrzeć do kancelarii, żeby sprawdzić, czy na następny tydzień nie ma jakichś raportów.

Owszem, były, w rezultacie mogłem wyjść dopiero po kolejnych trzech kwadransach. Wybiegłem na Fleet Street i zamachałem na przejeżdżającą taksówkę. Na ulicy panował duży ruch, tak jak zresztą zawsze, kiedy pada, i już zacząłem się głowić, co innego mógłbym kupić, gdybym nie zdążył na aukcję. Na szczęście, po kilku niezwykle efektownych wyprzedzeniach i paru sytuacjach, w których tylko cudem udało się uniknąć wypadku, kierowca dowiózł mnie do domu aukcyjnego.

- Mam nadzieję, że warto było się tak spieszyć - zauważył, gdy wyskakiwałem z taksówki.

- Ja również! - Zacząłem szperać po kieszeniach w poszukiwaniu pieniędzy. Miałem mu je już wręczyć, kiedy nagle mój

wzrok przyciągnęła postać stojąca nieco dalej na chodniku, przed Spinksem.

Kierowca wychylił się z taksówki i wziął pieniądze.

- Coś nie tak, psze pana? - zawołał.

Kiedy nie odpowiadałem, chyba odjechał, ponieważ stałem sam na chodniku, a obok mnie przechodzili ludzie, spieszący, żeby się schować przed deszczem. Teczkę upuściłem pod nogi i nadal tkwiłem tak nieruchomo.

A potem zacząłem biec. Nie myślałem o niczym. Nie zdawałem sobie sprawy, co robię ani co zamierzam zrobić. Po prostu biegłem. Gdy skręciłem na St. James's Square, dostrzegłem, że weszła w Duke of York Street. Chyba głośno krzyknąłem jej imię, ale widać mnie nie usłyszała, bo się nie odwróciła. Przyspieszyłem, biegnąc coraz szybciej do momentu, kiedy dzieliło nas parę kroków.

Wtedy ona się zatrzymała, złożyła parasol i ruszyła po schodkach do baru Julesa przy Jermyn Street.

W barze było tłoczno i nie mogłem jej dostrzec. Ktoś z tyłu zwolnił miejsce, więc usiadłem. Podeszła kelnerka, zamówiłem jedną szkocką. Minęło pięć minut, potem dziesięć. Spojrzałem na szklaneczkę i powiedziałem sobie, że zachowałem się jak głupiec. Byłem taki pewien, że to ona, a nawet jeśli to ona, to co? Do diabła! Co za idiota ze mnie! Biegam po ulicy za nieznanymi kobietami! Zacisnąłem dłoń na szklaneczce, bacznie przyglądając się każdej mijającej mnie osobie.

Skończyłem drinka i wstałem. Byłem zawstydzony swoim głupim

zachowaniem i już zaczynałem na powrót myśleć o Jessice, kombinując, jakie to podam wytłumaczenie spóźnienia na aukcję. I gdybym się nie cofnął, by przepuścić grupkę osób wracających od baru, może bym jej nigdy nie zobaczył.

Powiedziałbym, że w tym momencie sala ucichła, ale naturalnie to nieprawda. Mógłbym przysiąc, że serce zaczęło mi bić mocniej, ale nie wiem, czy tak faktycznie było. Wiedziałem

tylko tyle, że jest tam Elżbieta, że stoi przy barze i rozmawia z jakąś kobietą, śmiejąc się i mieszając drinka.

Próbowałem się ruszyć i zdałem sobie sprawę, że nogi mam jak z ołowiu. Od czasu telegramu w zasadzie nie myślałem o niczym innym tylko o tym, co zrobię, gdy ją znowu zobaczę. Teraz, gdy moment ten nadszedł, potrafiłem jedynie opaść na krzesło i zamówić kolejną whisky.

Po krótkiej chwili wzięła torebkę i ruszyła w moim kierunku. Przeszłaby po prostu obok mnie, ale ja w okamgnieniu wstałem. Kiedy poczuła moją dłoń na swoim ramieniu, odwróciła się i gdy mnie zobaczyła, krew odpłynęła jej z twarzy.

- Aleksander?

- Witaj Elżbieto - powiedziałem próbując się uśmiechnąć. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie, nie do końca pewni, czy

może nie nastąpiła jakaś pomyłka, aż nagle mocno poruszona odwróciła się, żeby sprawdzić, czy czasem kobieta przy barze nam się nie przygląda.

- Jak się masz? - spytałem.

- Wspaniale. Wspaniale. A ty?

Nie patrzyła na mnie i czułem, że lada chwila przestanę panować nad sytuacją.

- Czy moglibyśmy porozmawiać? - Zdesperowana rozejrzała się wokół niepewnie.

- Elżbieto!

Musiała dostrzec ból w mojej twarzy, bo na moment jej wzrok złagodniał.

- Nie teraz, Christine może cię rozpoznać.

- To kiedy?

Spostrzegłem, że się na chwilę zawahała.

- Możesz tu poczekać? Wróć za pół godziny. Christine ma się wtedy z kimś spotkać.

Serce mi podskoczyło. Nie liczyłem na tak wiele.

- Zaczekam!

Wróciła prawie po godzinie, a przez ten czas przeżywałem takie katusze, jakich nigdy przedtem ani potem nie doświadczyłem. Bar zdążył już nieco opustoszeć i udało mi się zająć stolik w rogu.

Zamachałem, kiedy zobaczyłem, że wchodzi.

- Poproszę białe wino. - Uśmiechnęła się do kelnerki przyjmującej zamówienie.

Przyglądałem się bacznie jej twarzy i minęła dłuższa chwila, zanim którekolwiek z nas się odezwało.

- Prawie cię nie poznałam. - Jej dłoń drżała na kieliszku, który unosiła do ust. - Jesteś, uhm... jesteś starszy...

- Mam dwadzieścia cztery lata,

- Naturalnie, cztery lata mniej niż ja.

- Prawie pięć - poprawiłem ją z uśmiechem. Zaśmiała się i nie potrafiłbym opisać radości, jaką w tym momencie poczułem. Minęło siedem lat, siedem lat, w czasie których stała się piękniejsza, bardziej dystygowana, w pewnym sensie powściągliwa. Włosy nosiła zebrane z tyłu, a w uszach malutkie kolczyki z bursztynem. Skórę miała gładką, oliwkową, uśmiechając się mrużyła swe ciemne oczy.

Była niezwykle szykowna, i to w każdym calu, począwszy od gestu dłoni, elegancko założonej nogi na nogę, do zamszowej torebki, która pasowała do zamszowych wstawek w skórzanych bryczesach z marynarką, jakie miała na sobie. Była elegancka aż do przesady - wręcz aż nazbyt doskonała, jednakże kiedy się uśmiechała, widziałem Elżbietę, którą znałem, Elżbietę, którą kochałem.

- Często się zastanawiałem, co się stało z tobą po tym, jak... - podniosłem głowę i zobaczyłem, że nie spuszcza ze mnie wzroku. - Próbowałem cię odnaleźć.

- Wróciłam do rodziny. - Nadal mi się przyglądała badawczo.

- Myliłem się... mój ojciec, wszyscy się myliliśmy, prawda? Skinęła głową.

- Teraz to nie ma znaczenia. To już przeszłość.

- Niemniej...

- Może napijesz się jeszcze kieliszek wina? Teraz ja stawiam.

- Zgadza się - zmieniamy temat.

Kelnerka przyniosła wino i przez chwilę rozmawialiśmy o pani Angrid - okazało się, że oboje mamy wyrzuty sumienia, bo żadne z nas do niej nie napisało. Mówiliśmy o pogodzie, o tym, że mój ojciec został ministrem

sprawiedliwości oraz o kolejkach do British Museum na nowo otwartą wystawę przedmiotów odnalezionych w grobowcu Tutenchamona.

Pochyliła się kładąc dłonie na stoliku, gdy nasze kolana przypadkiem się dotknęły. Tak gwałtownie cofnęła swoje, że przez moment milczeliśmy zakłopotani. Po chwili rozładowaliśmy sytuację śmiechem. Podniosłem jej dłoń, w zasadzie spodziewając się, że mi ją zabierze, ale nie zabrała.

Obracając jej na palcu obrączkę, spytałem, od jak dawna jest mężatką, starając się, by w moim głosie nie dało się wyczuć bólu.

- Prawie trzy lata.

- Opowiedz mi o nim.

Zacząła swą opowieść i wówczas odniosłem wrażenie, jakby od naszego ostatniego spotkania minęły nie lata, ale zaledwie kilka tygodni. Gdy opowiadała mi o Edwardzie i Davidzie, wydawała się bardzo rozpromieniona - aż nazbyt wiedziałem, że coś przede mną ukrywa. Nie spytałem jej o to, ale szóstym zmysłem wyczułem, że to, o czym nie mówi, jest dla niej niezwykle bolesne. A potem rozbawiła mnie, opowiadając o Christine i o tym, że ma do mnie słabość.

- Christine? To ta kobieta, z którą byłaś przy barze? Skinęła głową.

- Jest tobą oczarowana. Całe szczęście, że cię nie zauważyła.

- Nie jest w moim typie - wzruszyłem ramionami. - Poza tym kobiety o surowym wyrazie twarzy napawają mnie przerażeniem.

Spojrząwszy na mnie, ciągnęła swą opowieść o Violet May, która ze szklanej kuli wyczytała, że się kiedyś znowu spotkamy. I gdy uniosłem brwi udając zaskoczenie, trąciła mnie. Patrzyłem w te oczy, które tak bardzo starałem się zapomnieć, i wyraźnie widziałem, jak puste było moje dotychczasowe życie.

Odwróciła twarz, aby ukryć rumieniec, który się na niej pojawił.

- Dlaczego nigdy nie próbowałaś się ze mną skontaktować? - spytałem.

- Z wielu powodów. Byłeś, Aleksandrze, taki młody. Miałeś przed sobą całe życie...

- Życie, które chciałem spędzić z tobą. Wiedziałaś o tym.

- Mogłeś zmienić zdanie.

Spojrzałem na nasze dłonie złączone na stoliku.

- Można by teraz powiedzieć wiele banałów - rzekłem. - Ale starajmy się ich unikać. Mówmy sobie zawsze prawdę. Z pewnością jesteśmy dzisiaj innymi ludźmi, ale to nie zmienia przeszłości. Próbuję ci tylko uzmysłwić, Elżbieto, że chcę się z tobą znowu spotkać, że nie możemy po prostu wyjść z

tego baru jakby nigdy nic.

- Ja też bym tego nie chciała. Ale...

- Gdyby można było cofnąć czas, to który moment byś wybrała? -

Troszkę się z nią drażniłem, ale się zaśmiała, choć śmiech ten przepojony był smutkiem.

- Jechaliśmy właśnie do Sark i miałam ci powiedzieć... -wzdrygnęła się.

Wzięłam Elżbietę pod brodę i uniosłem jej twarz, zmuszając, by spojrzała na mnie.

- Co mi chciałaś powiedzieć?

- Nic - odrzekła uśmiechając się i potrząsając głową.

- Czy teraz pojechałabyś tam ze mną? Patrzyła na mnie bez słowa.

W tym momencie cofnęła dłonie i schowała je do kieszeni. Obiegła spojrzeniem całą salę, by następnie zatrzymać wzrok na winie. Wiedziałem, że zrobi wszystko, byleby nie spojrzeć na mnie -

czułem, że mi się wymyka.

- Elżbieto, proszę, posłuchaj mnie tylko. Prawdopodobnie nie mam w ogóle prawa tego mówić, ale i tak powiem. Nadal cię kocham, przynajmniej tak mi się wydaje, muszę się jeszcze co do tego upewnić. Jeśli jednak minione siedem lat było dla ciebie takim samym piekłem, jak dla mnie, to czy nie wydaje ci się, że mamy prawo spróbować jeszcze raz?

Dłuższą chwilę milczała, a gdy w końcu się odezwała, zakryła twarz dłońmi.

- Nawet sam nie wiesz, jak bardzo marzyłam, żebyś kiedyś coś takiego powiedział. Jakże często... -

podniosła wzrok i zobaczyłem, że się śmieje poprzez łzy. I kiedy cię widzę, kiedy mogę cię dotknąć, kiedy cię słyszę, nie muszę się przekonywać - ja już wiem.

Wyciągnąłem rękę, żeby zetrzeć łzy z jej twarzy, a ona pocałowała moją dłoń.

- Moja odpowiedź brzmi: tak - szepnęła. - Pojadę z tobą.

Rozdział 19

Początkowo czuliśmy się niezręcznie podczas naszego spotkania, które tym razem nastąpiło w zimnym świetle poranka. Elżbieta tym bardziej przeżywała wyjazd, że miała poczucie winy, gdyż zostawiała córeczkę. Przez czas krótkiego lotu do Guernsey próbowała nie okazywać mi, jak 'mocno ją to gryzie, ale gdy wysiadaliśmy z samolotu, czułem, że jest bliska łez. Nie

mogłem znieść jej bólu, objąłem ją więc i oświadczyłem, że wykupię bilety na najbliższy samolot i wrócimy do Londynu.

- Chcę być z tobą, Aleksandrze - rzekła.

- I będziesz. Zawsze możemy się spotkać w Londynie, kiedy nam tylko na to przyjdzie ochota. Po prostu nie chcę, żebyś była nieszczęśliwa.

- Nie jestem. I nie będę. Wiem przecież, że Charlotcie nic się nie stanie. Jest z ludźmi, którzy ją kochają, i, prawdopodobnie nawet za mną nie zatęskni. - Spróbowała się uśmiechnąć, a ja przyglądałem się jej twarzy, gdy zmagala się ze swymi uczuciami. - Najwyraźniej mam kiepską wyobraźnię. Tak bardzo o tym marzyłam, a teraz kiedy...

- Czy to państwa?

Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy, że nasze bagaże zdejmowane są z pasa. Nietrudno się było domyślić, że to nasze, bo wszyscy inni pasażerowie już dawno sobie poszli. Podziękowałem, wziąłem walizki i odwróciłem się do Elżbiety.

- Aleksandrze, boję się, boję się tego, co czuję. I boję się wrócić, żeby cię nie stracić.

- Nie stracisz mnie, kochanie. Obiecuję, że już nigdy mnie nie stracisz. Jeśli chcesz wrócić do domu, to wystarczy, żebyś tylko powiedziała.

Długo wpatrywała się w stojące na ziemi bagaże, z dłońmi mocno wciśniętymi w kieszenie płaszcza, z włosami okalającymi twarz. Kiedy wreszcie ją podniosła, oczy miała pełne łez.

- Jak myślisz, chyba powinniśmy się pospieszyć, żeby zdążyć na prom.

Poczułem tak ogromną ulgę, że odstawiłem torby i wziąłem ją w ramiona.

- Czy uważasz, że jesteśmy wstrętnymi egoistami? - spytała już na promie.

- Okropnymi - odrzekłem bez chwili wahania. - Nie mówiąc o rym, że zachowujemy się

nieodpowiedzialnie, że folgujemy własnym zachciankom...

- Przypominasz mi tego okropnego uczniaka, którego kiedyś znałam.

- Jeśli pamiętasz, zawsze przy tobie zachowywałem się

najgorzej. - Zaśmiała się i odwróciła twarz, zanim dostrzegłem rumieniec.

- Prawie tak źle, jak ty -
dodałem.

Nim dopłynęliśmy do Creux Harbour, bariera, która nas rozdzieliła

rankiem, zniknęła. Do hotelu w górę stromego wzgórza dojechaliśmy bryczką, a Elżbieta cieszyła się jak dziecko na widok dzikiego krajobrazu, który się przed nami roztaczał. Polne kwiaty rosły między drzewami i żywopłotem, a wi-jące się ścieżki, które kończyły się w długiej trawie, obiecywały jeszcze wiele innych niespodzianek, jakie kryła w sobie nie tknięta ręką ludzką przyroda. Po obu stronach osuwającej się drogi wyglądały pierwiosniki, uśmiechające się do słońca. Przyglądałem się Elżbiecie, która oczyma tryskającymi radością chłonęła wszystko, co ją otaczało.

- Och, Aleksandrze, jakie to piękne! - zawołała. Chwyciłem Elżbietę w ramiona. Całując ją, czułem, jak wszystko się we mnie odradzało. Jakby otwierało się pewne tajemne miejsce, przez siedem lat opustoszałe i zimne, które zawsze do niej należało. Zaczynała we mnie pulsować świeża krew. Gdy ją wreszcie puściłem, miała zaróżowione policzki; z zażenowaniem spostrzegłem, że wieśniacy stoją na poboczu i przyglądają się nam z szerokim na całą twarz uśmiechem.

Hotel mieszczący się w budynku z XVII wieku znajdował się na szczycie zalesionego wzgórza, które schodziło do zatoki Dixcart. Ganek był jasny, obwieszony kwiatami, a na progu wygrzewał się w słońcu baset.

Zameldowaliśmy się i rozchybotanymi schodami ruszyliśmy za kimś, kto, jak się okazało, był

kucharzem. Nie omieszkałem zauważyć szybkiego spojrzenia Elżbiety, kiedy zgłosiłem nas w recepcji jako państwo Belmayne.

Gdy kucharz wreszcie sobie poszedł, uprzednio pokazawszy nam wszystkie zakamarki naszego pokoju, który dodatkowo urozmaicał dość zaskakujący wystrój, Elżbieta podeszła do okna i rozsunęła zasłony. Zbliżyłem się do niej i dopiero kiedy ją

objąłem, zdałem sobie sprawę z tego, jak bardzo jest zdenerwowana tym, że w końcu zostaliśmy sami.

Odsunąłem się nieco, ale jej dłoń nadal trzymałem w swojej, gdy tak staliśmy patrząc na ogród, który zamykał rosnący poniżej gąszcz dzwonnków.

Wyczułem, że z ulgą przyjęła propozycję pójścia na spacer, a kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz w rześkim majowym słońcu, powrócił jej dobry nastrój. Zeszliśmy do zatoki po stromej ścieżce porośniętej drzewami, gdzie długo obserwowaliśmy fale rozbryzgujące się na skałach. Na horyzoncie można było dostrzec pięć czy sześć jachtów, ale poza nimi nie było śladu człowieka - mogliśmy sobie wyobrazić, że jesteśmy jedynymi istotami ludzkimi na całym świecie.

Czując jej dłoń wsuwającą się w moją, spojrzałem na nią z uśmiechem.

- Czy to prawda, że to ty? Czy to naprawdę ty? - szepnęła. Odgarnąłem jej włosy z twarzy i wargami dotknąłem nosa.

- Tak, kochanie, to naprawdę ja.

Zanim dotarliśmy do hotelu, zaczął zapadać zmrok... Zasiadliśmy z drinkami na ciemniejącym dziedzińcu zawinięci w płaszcze, przyglądając się migającym ceniom i przysłuchując niewidzialnym dźwiękom nocy.

Rozmawialiśmy do późna, opowiadając sobie nawzajem o naszym życiu. Powiedziałem jej o telegramie wysłanym przez Lizzie, o tym, że myślałem, iż jest od niej.

- Jaka szkoda, że nie był ode mnie - rzekła ze łzami w oczach.

- Jeszcze mi nie mówiłeś i może nie powinnam o to pytać, bo to nie moja sprawa, ale czy powiedziałeś Jessice, dokąd wyjeżdżasz? - spytała po chwili.

- Po prostu, że wyjeżdżam.

- A nie chciała wiedzieć dokąd?

- Nawet jeśli ją to interesowało, to nie spytała - powiedziałem wzruszając ramionami. Nie wspomniałem o karczemnej

awanturze po moim późnym powrocie do domu bez urodzinowego wisiorka. Właściwie to dzięki tej awanturze nie musiałem wymyślać, dokąd jadę. Po prostu spakowałem rzeczy, mówiąc, że wracam za tydzień. Słowa, jakie na pożegnanie wykrzyczała na cały głos, brzmiały dość obcesowo: Możesz się nie trudzić!

- A ty? Co powiedziałaś mężowi? - spytałem z kolei.

- Nie musiałam nic mówić. Jest w tej chwili w Nowym Jorku. - Na wzmiankę o mężu jakby zamknęła się w sobie. Nie rozwijałem tematu, rozumiejąc, że to część jej prywatnego życia. Po chwili jednak znów się uśmiechała i spytała mnie o Henry'ego.

Bardzo ją ubawiła nieprawdopodobna historia o tym, jak poślubił bigamistkę.

- Ale teraz wszystko ułożyło się doskonale - westchnęła zadumana, gdy skończyłem. - Kiedy zamierzają się pobrać z Caroline?

- Szybciej, niż początkowo planowali. Caroline spodziewa się dziecka, tak mi przynajmniej powiedział, gdy zatelefonowałem do niego wczoraj wieczorem.

- Rozmawiałeś z nim wczoraj wieczorem? Czy napomknąłeś mu...?

- Tak.

Ponownie westchnęła.

- A zatem Henry Clive zostanie ojcem. Wydaje mi się to aż nieprawdopodobne. Nadal myślę o nim jak o chłopcu, którego kiedyś znałam. Bardzo się cieszę, że mu się szczęśliwie wszystko ułożyło. -

Obróciła się w fotelu. - A ty, Aleksandrze, czy jesteś szczęśliwy?

Podniosłem jej dłoń ze stolika.

- Teraz tak. Jestem.

- Ja też.

Uniosłem jej rękę do ust.

- O czym myślisz? - spytałem, kiedy przez dłuższą chwilę milczała.

Potrząsnęła głową.

- Bardzo mi przykro, ale nie potrafię zapomnieć o Charlotte. Żałuję, że nie ma jej tutaj. No i naturalnie zastanawiam się, czy wszystko w porządku. Przypuszczam, że to dlatego, iż zaczęliśmy mówić o Henrym o... sama nie wiem...

Ścisnąłem jej dłoń. .

- Niech ci nie będzie przykro. Opowiedz mi o niej. Ile ma lat? Powoli ujęła moje dłonie i przez dłuższą chwilę się im przyglądała.

- Jest piękna, jest nieznośna, jest dla mnie wszystkim, tak jak... -

Spojrzała na mnie z uśmiechem. -

Czyżby to twój żołądek przypominał ci, że pora na kolację?

Zaśmiałem się i uszczypnąłem ją w nos wręcz zawstydzony, że z taką ulgą przyjmuję zmianę tematu.

Nie chciałem zastanawiać się nad swoimi uczuciami wobec Charlotty. To idiotyczne być zazdrosnym o dziecko, ale ja wiedziałem, że jestem. Gorsze żywiłem uczucia, gdy myślałem o ojcu Charlotty.

Cisnęły mi się przed oczy obrazy całej ich trójki, tego ich bycia razem, świadomość, że on dał

Elżbiecie to, czego ja nigdy nie mógłbym jej dać, wrzynała mi się w umysł jak brzytwa.

Kiedy weszliśmy na górę, Elżbieta rzuciła płaszcz na łóżko i podeszła zaciągnąć zasłony. Odwróciła się i zatrzymała, widząc, że stoję nieruchomo pod drzwiami, przyglądając się jej w półmroku. Zaczęła coś mówić, potem urwała, a po chwili nasze oczy się spotkały. W tym momencie chciałem tylko na nią popatrzeć i w ciszy, która zapadła, żadne z nas się nie poruszyło.

- Gdy tak stoisz, przypominasz mi Aleksandra, którego znałam, kiedy miał siedemnaście lat -

powiedziała urywanym głosem.

Nic nie odpowiedziałem, a ona zaśmiała się niepewnie, a następnie zakryła twarz dłońmi.

- O Boże, sama nie mogę w to uwierzyć! Aleksandrze, powiedz, że to nie sen! Przytul mnie, proszę, przytul!

Usłyszałem rozpacz w jej głosie i ból przeszył mi serce. Wziąłem ją w ramiona i mocno objąłem.

- Kochana moja, najdroższa! Boże! Jakże ja ciebie potrzebowałem i jak pragnąłem!

Odsunąłem się, żeby na nią popatrzeć.

- Nie pozwól mi odejść! - szepnęła. - Nigdy nie pozwól mi odejść. -
Podała mi usta, a kiedy zakryłem je własnymi wargami, poczułem, że drży.

Gdy kilka minut później znalazła się naga w moich ramionach, nie miałem najmniejszych obaw co do własnej potencji. Moje dłonie przebiegały po jej plecach, przegarniały gęste włosy. Przytuliłem swoją twarz do twarzy Elżbiety, nasze wargi spotkały się, język znalazł drogę do jej ust. Stała przy mnie, całym ciałem przlegając do mojego. Wreszcie delikatnie uniosłem ją w ramionach i położyłem na łóżku.

Powoli nasze ciała znajdowały wspólny rytm. Szeptala całując mnie i ja szeptałem, aby nadrobić te wszystkie stracone lata, gdy nie mogłem jej powiedzieć, jak bardzo ją kocham. Miała tak miękką skórę - przytulałem ją mocno, jakby z obawy, że mi się wyślizgnie. Już zapomniałem, co to znaczy naprawdę kochać się z kobietą, kiedy namiętność wyrasta z miłości, nie z pożądania -kiedy usta, które całujesz, są jedynymi ustami, jakie kiedykolwiek chcesz całować, a ciało, które wtapia się w twoje, jest jedynym ciałem, bez którego zawsze czułbyś się niepełny.

- Elżbieto! Elżbieto! - powtarzałem nieustannie jej imię, nie zdejmując jednak swoich warg z jej ust.

Gdy mgliste światło poranka zaczęło przenikać przez zasłony, zasnęliśmy nasyceni naszą miłością.

Trudno było oczekiwać, że po tylu latach wszystko będzie tak samo. Niemniej to nie terażniejszość wydawała nam się nierealna,

ale te właśnie lata, które spędziliśmy z dala od siebie. To, że w końcu mogliśmy sobie powiedzieć, co czuliśmy po naszym rozstaniu i jak bardzo myśleliśmy potem o sobie, było jakby darem niebios.

Elżbieta zmieniła się, ja zresztą też - i te zmiany albo nas radowały, albo zasmucały. Nie czuliśmy się jednak ze sobą niezręcznie - wszystko

wydawało nam się naturalne i tak łatwe, jakbyśmy się nigdy nie rozstawali. Nie chodziło o to, że któreś z nas zapomniało, co zostawiło w domu, lecz zachowywaliśmy się tak, jakby to się w tym momencie nie liczyło. Chwila obecna należała do nas. Przyglądałem się jej skośnym oczom, ustom układającym się powoli do uśmiechu oraz łagodnie falującym piersiom.

Byłem zdumiony, że tak dobrze znam sposób, w jaki odgarnia włosy z twarzy, jak swymi eleganckimi ruchami gestykuluje podczas rozmowy i jak lekko porusza się na swoich długich nogach, gdy spacerowaliśmy po wyspie. Wystarczyło, bym tylko posłuchał, jak się śmieje i mówi, czy popatrzył w jej oczy pociemniałe od miłości, by odczuć ciepło rozchodzące się po ciele.

Kiedy na rowerach jechaliśmy na północ do Greve de la Ville, La Banquette czy Eperquerie, po obu stronach morze rozpościerało się jak olbrzymie skrzydła. Droga - w zasadzie trakt dla konnych wozów - nie miała najlepszej nawierzchni, i Elżbieta, niezbyt wprawna w jeździe na rowerze, przeklinała, wpadając w jedną dziurę po drugiej. Zataczałem się ze śmiechu, gdy rzuciła rower na żywopłot, twierdząc, że wygodniej byłoby jej na trzynożnym wielbłądzie. Udało mi się ją złapać, zanim ruszyła dalej, a potem, upewniwszy się, że nie ma nikogo w zasięgu wzroku, pomasaowałem jej pośladki i uda, pytając, czy teraz czuje się lepiej. Jej oczy były promienne, kiedy mi odpowiedziała.

W panującej ciszy słyszeliśmy jedynie śpiew ptaków i szum morza. Gdy tak jechaliśmy, dochodził nas słodki zapach kokosu, a pasące się z rzadka krowy łaskawie obdarzały nas od czasu do czasu leniwym spojrzeniem. Niekiedy zatrzymywaliśmy się,

twierdząc, że chcemy popatrzeć na coś niezwykłego czy rozprostować nogi. Tak naprawdę jednak chcieliśmy jedno drugiego dotknąć czy się pocałować.

Zeszliśmy po stromym zboczu do jaskiń Botiques, gdzie przez chwilę siedzieliśmy, przyglądając się falom. Elżbieta wstała i podeszła do wylotu jaskini, żeby zajrzeć do środka. Otaczała nas aura tajemniczej powieści. Jeśli długo potrzymasz zamknięte oczy - tak jej mówiłem - zobaczysz piratów wwożących swe łupy do zatoki. Przez kilka minut stała nieruchomo. Przyglądałem się jej kątem oka, robiąc wszystko, by się nie roześmiać.

- Aar Haar! I cóż to my mamy tutaj za kantrabandę? - spróbowałem udac głoś pirata i chwytając ją w ramiona zbiegłem do groty.

- Na pomoc! Puść mnie, puść mnie, ty zbirze! Postawiłem ją na ziemi, a

ona zapała się o ścianę jaskini,

- O nie, błagam cię na wszystkie świętości, nie hańb mnie!

- No dobrze - dotknąłem niewidzialnej czapki. - Jeśli nie życzysz sobie, o pani, być zhańbiona, to trzymaj się ode mnie z daleka.

- Aleksandrze!

- Wołałaś, o pani? - westchnąłem ciężko i odwróciłem się. - Czy to znaczy, że mimo wszystko pragniesz, by cię zhańbiono?

Skinęła głową i wpadła w moje ramiona, nie mogąc wykrztusić słowa ze śmiechu.

Włóczyliśmy się po plażach, których nazw już nie pamiętam, z butami w rękach, tracąc oddech, gdy lodowate fale obmywały nam stopy. Często czułem, że mi się przygląda, a kiedy odwracałem się, wybuchała śmiechem i zarzucała mi ramiona na szyję. Ja też jej się przyglądałem - gdy się śmiała, marszczyła czoło, uciekała przede mną i z trudem łapała oddech, gdy nie znajdowała mnie w zasięgu wzroku. A kiedy wracała mnie szukać, potrafiłem wyskoczyć zza skały, przewrócić ją na ziemię i uciszyć jej piski pocałunkami.

Później pojechaliśmy konno na skały nad zatoką Dixcart. Daleko w dole słońce połyskiwało w morzu, z tyłu zaś trzymał swą samotną straż Dom Jespilliere. Obeszliśmy go dokoła, zaglądając do okien.

Wyglądał na opuszczony od wielu lat. Postanowiliśmy, że go kupimy, i zaczęliśmy się bawić, wymyślając co też z nim zrobimy, gdy będzie nasz. Na werandzie mieliśmy postawić dwa bujane fotele - tam siadywalibyśmy wieczorami pełnymi balsamicznych zapachów, przyglądając się słońcu zachodzącemu za morzem. Łóżko zaś ustawilibyśmy naprzeciw środkowego okna na piętrze, aby każdego ranka móc oglądać budzący się dzień. Elżbieta chciała perkalowe zasłonki, ja - gładkie. Ona wołała boazerię dębową, ja z orzecha. Ona chciała szary dywan, ja zielony. Ona chciała czworo dzieci, ja...

Uśmiechnąłem się i biorąc cugle poprowadziłem konia na skraj łąki. Była tam szpara w żywopłocie, pozwoliłem więc koniowi paść się swobodnie i zeskoczyłem na półkę skalną. Z boku dostrzegłem stare siedzisko wyciosane w skale. Usiadłem.

Nasza zabawa w plany na przyszłość, która rozpoczęła się niewinnie, zakończyła się gorzką reminiscencją. Zacząłem zadawać sobie pytanie, co ja tu robię? Czy nie zraniłem Elżbiety dostatecznie żeby jeszcze raz ją na wszystko narażać? Może powinienem jej powiedzieć od razu, zanim nasze

marzenia staną się tak rzeczywiste, że zaczniesz w nie wierzyć? Ale w jaki sposób? To, co zrodziło się między nami tutaj, z dala od przykrych rzeczywistości dnia codziennego, było czymś zbyt doskonałym, by to niszczyć. I tak jak ona, chciałem wyobrazić sobie nasze dzieci bawiące się na werandzie, jeżdżące na kucykach po łące, popisujące się przed nami. Mnie też były potrzebne moje marzenia. Czy to ważne, że może nigdy się nie ziszczą? Teraz były wszystkim, co mieliśmy - nie mogłem jej ich odbierać. I chociaż nienawidziłem się za swoje kłamstwa, spróbuję je wyjaśnić później, kiedy znajdziemy się już daleko stąd.

Przejechałem językiem po wargach, czując smak soli, którą niósł wiatr od morza. Wiedziałem, że Elżbieta idzie w moim kierunku, gdyż słyszałem jej kroki. Czym prędzej wytarłem ręką oczy. Byłem wściekły na siebie za chwilę słabości - za to przekleństwo niepłodności, które powodowało, że dorosły mężczyzna wylewał nad sobą łzy współczucia.

Podeszła i usiadła obok mnie, następnie splótła nasze dłonie. Gdzieś w oddali zaszczekał pies, co zabrzmiało jak dysonans przy odgłosie fal. Zakrzyczały mewy i gdzieś tam ożywił się silnik łodzi. Po chwili na powrót zapanowała cisza.

- Aleksandrze? Wszystko w porządku?

- W porządku? Oczywiście! Nachyliłem się, żeby popatrzeć, jak przybija do brzegu trimaran z dwiema osobami na pokładzie.

- Nagle tak umilkłeś.

- Delektuję się panującym nastrojem. Nie odzywała się przez chwilę, czekając.

- Coś przede mną ukrywasz, Aleksandrze.

Jakże mogłem przypuszczać, że uda mi się ją oszukać za pomocą głupstewek? Wziąłem kosmyk jej włosów i zakręciłem wokół palca, spoglądając w twarz Elżbiety i dostrzegając zaskoczenie oraz strach, tam gdzie przedtem była tylko miłość. Uśmiechnąłem się.

- Wiem, że coś ci leży na sercu - rzekła, starając się przyciągnąć mój wzrok. - Kochanie, proszę cię, powiedz, o co chodzi?

Objąłem ją ramieniem.

- O nic. Tylko kocham cię tak bardzo, że mnie to przeraża. Patrzyła mi długo w oczy. Postarałem się wytrzymać jej spojrzenie. Wtedy wzięła moją twarz w dłonie i pocałowała wolno, z czułością, jakiej nigdy przedtem nie doświadczyłem.

Drugiego dnia zabrałem ją do Litde Sark. Zejście po skałach było trudne i

stromie, kiedy jednak wreszcie dotarliśmy na sam dół, wiedziałem, że dobrze zrobiliśmy przychodząc

tutaj. To będzie nasze specjalne miejsce - maleńkie oczko wodne, sadzawka Wenus - wycięte głęboko w skale, kryjące się pod nawisem. Woda była tak czysta i niebieska, że widzieliśmy kamyki na dnie. Z

tyłu zaś morze napierało na otaczające skały, rycząc jak matka broniąca młodych. Leżeliśmy w prażącym słońcu, trzymając się za ręce i czując delikatny podmuch na twarzach. Natura docierała do każdego zmysłu.

Chwilę potem otworzyłem oczy. Elżbieta zasnęła. Przekręciłem się na bok, żeby na nią popatrzeć.

Mój wzrok powoli wędrował po jej twarzy. Delikatnie dotknąłem policzka Elżbiety, wyczuwając gładkość oliwkowej skóry pod palcami. Miałem oto przed sobą najpiękniejszą kobietę, jaką kiedykolwiek znałem. Nie chodziło jednak tylko o piękno fizyczne, ale też i o inny rodzaj piękna - to, co czyniło z niej właśnie taką kobietę, jaką była. Pomyślałem wtedy o Jessice. Zastanawiałem się, czy zaczęła mnie szukać. Czy w ogóle przejmowała się tym, gdzie jestem? Moje małżeństwo od początku było jednym wielkim kłamstwem i teraz widziałem jasno, jaki ze mnie był głupiec, skoro myślałem, że dzięki niemu uda mi się zapomnieć o Elżbiecie. Jak strasznie pogmatwałem nasze życia!

- Aleksandrze, zejdź tutaj! - W czasie kiedy spała, wdrapałem się na skały i leżałem na głazie zwisającym nad zatoczką, patrząc z góry.

- Nie! - Uśmiechnąłem się do siebie, słysząc jej śmiech.

- Proszę cię, zejdź!

- Nie mogę! W zasadzie skończył się już przypyływ, nie ma tutaj żadnego przejścia. Boję się, że zostałam odcięta!

- Co takiego?

- Próbowałem cię zbudzić, ale tak głośno chrapałaś, że się nie dało.

W jej głosie słychać było śmiech.

- Ja nie chrapię! Poza tym wcale nie zostałam odcięta.

- Skąd wiesz?

- Bo gdyby przypyływ się zaczynał, a tak nie jest, nie zostawiłbyś mnie tutaj!

- Nie zostawiłbym? - powtórzyłem układając się na łokciu. - A skąd ta pewność?

- Po prostu za bardzo mnie kochasz.

- Czyżby? Skinęła głową.
- Co więcej, gdybym cię poprosiła, abyś to udowodnił skacząc w tej chwili prosto do zatoczki, i to w ubraniu, zrobiłbyś to.
- No to poproś. Poprosiła.
- Nie - odrzekłem, o ona wybuchnęła śmiechem. Wstałem i zszedłem suchą ścieżką.
- Stęskniłam się za tobą - powiedziała, kiedy ją objąłem. Wziąłem Elżbietę za brodę i kciukiem pogładziłem po twarzy.
- Mam ci wymienić dziesięć powodów, dla których panna Sorrill jest najlepsza? - szepnąłem. - A więc po pierwsze, jest śliczna, gdy się uśmiecha. Po drugie, mówi skandaliczne rzeczy, po trzecie... -
Zaśmiałem się, kiedy zobaczyłem jej minę.
- Ty... ty to znasz?
- Powinienem - rzekłem kiwając głową. - Ja to napisałem.
- Ty? A ja zawsze myślałam, że Mark Davenish! Dlaczego nigdy...
- Szz... - szepnąłem. - Po prostu mnie pocałuj. Wysunęła się z moich ramion i zaczęła odpinać sukienkę,
nie spuszczając ze mnie wzroku. Przyglądałem się, jak naga idzie do wody. Bezkształtne skały wokół
ciągnęły się wszędzie aż po horyzont i na de ich ostrych, bezlitosnych zarysów jej sylwetka zdawała się nieskończenie delikatna. Elżbieta obejrzała się przez ramię, posyłając mi uśmiech, ja wstrzymałem oddech na widok tak niepowtarzalnego piękna. Po chwili zniknęła. Woda rozstała się, a ja czekałem, aż wypłynie na powierzchnię.
Gdy się pojawiła z włosami unoszącymi się na wodzie, zamachała do mnie z uśmiechem, następnie przekręciła się na plecy, ukazując mi swoje ciało w całej okazałości - pełne piersi pieszczone przez lekkie załamania wody, łatkę czarnych włosów w spojeniu długich nóg. Wiedziała, że się jej przyglądam. Po chwili zdjąłem ubranie, wślizgnąłem się do wody i pływaliśmy razem.

Kiedy teraz to sobie przypominam, wydaje mi się, że obydwójce wiedzieliśmy, iż zachowujemy się jak egoiści, ale wtedy byliśmy tak bardzo w sobie zakochani, że nic innego się nie liczyło. Godzinami słuchałem opowieści Elżbiety o wesołym miasteczku i Violet May. Potem ja pływałem się w jej podziwieniu, gdy opowiadałem o sprawach, w których brałem udział, bezwstydnie wyolbrzymiając swoje sukcesy. Z pewnością zdawała sobie z tego sprawę, ale mimo wszystko pozwalała mi krążyć po świecie fantazji, aż

głośnym chrapnięciem przywodziła mnie z powrotem na ziemię.

Codziennie spacerowaliśmy wąską główną uliczką miasteczka, przyglądając się robiącym zakupy i gwarzącym kobietom. Elżbieta często zatrzymywała się, by z nimi porozmawiać, i sposób, w jaki potrafiła przywołać rumieniec czy uśmiech na ich twarz, powodował, że nieomal pękałem z dumy.

Wszystkie wydawały się jej interesujące; widać było, że ludzie są dla niej źródłem radości.

- Powiedziała mi, że to jej rocznica ślubu, a więc dzisiaj zamierza wypróbować nowy przepis -

wyjaśniła machając do pulchnej kobiety odjeżdżającej na rowerze.

- Słyszałem - zauważyłem sucho.

- Chyba się nie nudziłeś, co? - przekomarzała się ze mną.

- Zanudziłem się na śmierć.

Zaśmiała się i pobiegła, zostawiając mnie z tyłu. Kiedy ją dogoniłem, siedziała na murku, czekając na mnie, a więc przysiadłem obok.

- Naprawdę się nudziłeś? - spytała.

- Nie, ale się zastanawiałem, czy to wystarczy, jak myślisz?

- Wystarczy?

- Tak. Tym kobietom. Jak myślisz, czy są szczęśliwe żyjąc tutaj, na tej wyspie, czy może chcą od życia czegoś więcej? Czegoś więcej niż tylko szukać męża?

Odwróciła się do mnie.

- Aleksandrze, nie mów mi, że jesteś na dodatek jeszcze feministą.

Zaśmiałem się.

- Nawet jeśli tak, to bardzo zacofanym. Ale powiedz mi, ty jesteś i matką, i żoną. Czy to ci wystarcza?

- Tak naprawdę to chcesz się dowiedzieć, czy podobnie jak Jessika należę do brygady lesbijek, jak ty ją w swoim męskim szowinizmie nazywasz.

- Owszem.

- A więc nie, nie jestem jedną z nich. Nie znaczy to wcale, że nie zgadzam się ze wszystkim, co postulują. Po prostu uważam, że walczą o swoje sprawy w niewłaściwy sposób i tyle.

- A ty jak byś to robiła?

- Ja? Ależ, kochanie, nie mam ani odpowiedniego wykształcenia, ani zdolności krasomówczych, by być przywódczynią kobiet, ale jedno mogę ci

powiedzieć - nie są akceptowane. Co prawda, ich osiągnięcia w sferze materialnej i społecznej są słuszne, godne podziwu, jednakże agresja, jaka im towarzyszy, powoduje, że ludzie wrogo odnoszą się do ich postulatów -w tym również inne kobiety.

Przypomina to trochę starą bajeczkę o wietrze i słońcu. To słońce i ciepło spowodowały, że człowiek zdjął z siebie płaszcz.

- Kto tu mówi, że nie ma ani wykształcenia, ani talentów krasomówczych?

Uszczypnęła mnie.

- Ale jest jeszcze inny powód, dla którego nie pasuję do ich ruchu. Po prostu jestem beznadziejnie i nieuleczalnie zakochana w mężczyźnie, a tego najzwyczajniej nie wolno.

Chociaż miałem świadomość, że nigdy nie byłem równie szczęśliwy, czarne myśli mnie nie opuszczały. Zdawałem sobie sprawę, że powinienem jej powiedzieć, a nawet próbowałem przekonać sam siebie, że zrozumie, ale byłem tchórzem. Nie mogłem zapomnieć twarzy Jessiki, kiedy mi to obwieściła, i wiedziałem również, że nie potrafiłbym znieść gdyby moja niepłodność miała się stać powodem rozstania z Elżbietą. Byłem wściekły na siebie, że pozwalałem, abyśmy snuli jakieś plany, że przysięgaliśmy sobie, iż nigdy się już nie rozstaniemy, wiedząc że jak tylko opuścimy wyspę, wszystko się skończy. Czasami, gdy się z nią kochałem, byłem agresywny, ale nie potrafiłem się powstrzymać - ogarniała mnie frustracja z tego powodu, że nasz stosunek jest tak jałowy. Zdawałem sobie sprawę, że momentami wyczuwa, iż między nami nie wszystko jest tak, jak być powinno, ale kiedy próbowała o tym porozmawiać, śmiałem się i mówiłem, że jej się zdaje. Wraz z upływem dni czułem jednak, iż moja miłość do niej wywołuje ból nie do zniesienia.

A potem został już tylko jeden dzień i jedna noc, zanim fantazja ustąpi miejsca rzeczywistości.

Elżbieta nie chciała już iść do sadzawki Wenus - powiedziała, że ból pożegnania z tym miejscem byłby nie do zniesienia.

Zatoka Dixcart opustoszała. Siedzieliśmy na kamykach, przyglądając się wpływającym jachtom.

Później na plażę przysła starsza para z psem, nastolatki spacerowały trzymając się za ręce, chłopiec w łódce powiosłował poza zatokę i wkrótce zniknął nam z oczu. Żadne z nas nie odezwało się słowem -myśleliśmy o zbliżającym się wyjazdu. Mężczyzna mniej więcej w moim wieku podszedł

nad sam brzeg. Dżinsy podwinął sobie do kolan, gołą stopą sprawdził temperaturę wody, a następnie odwrócił się, by zamachać do kogoś z tyłu za nami. Dziewczyn-

ka i chłopiec - obydwoje mieli po kilka lat - popędzili w jego kierunku, a za nimi ruszyła ich matka, śmiejąc się, kiedy ojciec złapał dzieci w ramiona i nimi zakręcił. Ostrożnie zanurzyli się w fale - dzieci z początku piszczały, ale wkrótce zebrały się na odwagę i plusnęły do wody, aż wreszcie próbowały pochłapać rodziców. Przez dłuższą chwilę cała czwórka bawiła się świetnie, nie zważając na otoczenie. Przyglądaliśmy się im wraz z Elżbietą. Nagle chłopiec się przewrócił. Czuję, że całe moje ciało sztywnieje i że jestem gotów się poderwać. Ale w pobliżu był tata chłopczyka - podniósł go i pocieszył. Rozluźniłem się i położyłem spokojnie. Dopiero po kilku minutach zdałem sobie sprawę z tego, że Elżbieta bacznie mi się przygląda.

- Aleksandrze, co cię tak przygnębia?

- Chyba nie musisz pytać.

- Nie, jest coś więcej. Wyczułam to, jak tylko tu przyjechaliśmy.

Zacząłem się podnosić, ale pociągnęła mnie z powrotem.

- Aleksandrze, proszę, nie skrywaj niczego przede mną. Jeśli mamy w przyszłości być razem, musisz mi powiedzieć, co cię gnębi.

Wiedziałem, że ma rację. W jej oczach zbierały się łzy, mnie też było nie do śmiechu. Wtedy rozejrzałem się i postanowiłem, że jeśli mamy się rozstać, to niech to będzie tutaj. Tutaj, gdzie na nowo spotkaliśmy miłość.

- Kochanie - zacząłem i urwałem. Nie odezwała się ani słowem, wzięła tylko moją dłoń i czekała.

Przez krótką chwilę bałem się mówić, bałem się wyrzucić z siebie, że oszukałem ją, składając różne obietnice, których nie mogę dotrzymać. I bałem się ją stracić - ale z pewnością tak się stanie, niezależnie od tego, co powie, ponieważ to, że nie mogę mieć dzieci, a do tego jeszcze zazdrość o dziecko, które już ma z innym mężczyzną, z pewnością nas rozdzieli. -

Elżbieto! - Rodzina wyszła już z morza; goniąc się

nawzajem, ruszyli do Łuku Korsarza. Delikatnie skierowała moją twarz tak, bym na nią spojrział, i czekała, aż będę mówić dalej. - Powinienem ci powiedzieć prawdę już na samym początku, ale stchórzyłem. Tak bardzo cię pragnąłem, że wmówiłem sobie, iż wszystko się dobrze ułoży. Ale nie ułoży się - nie możemy być razem, to niemożliwe.

- Czy to z powodu Jessiki? - odezwała się po chwili. Pokręciłem głową.

- Dlatego, że jestem mężatką?

- Nie, chociaż Bóg mi świadkiem, to powinien być dostateczny powód.

- No to w takim razie dlaczego? Powiedz mi! - Słyszałem rozpacz w głosie Elżbiety.

Wziąłem jej twarz w dłonie i przez moment widziałem usja Jessiki śmiejące się ze mnie, wyszydzające. Puściłem ją i nachyliłem się.

- Jestem niepłodny, Elżbieto. Dlatego Jessika nie może zajść w ciążę. Jestem bezpłodny, pusty, bezużyteczny czy jakkolwiek to nazwiesz, i nie mogę dać ci dzieci. Powiesz, że to bez znaczenia, ale to nieprawda. Gdybym żył z tobą na co dzień, patrzył na ciebie i wiedział, że...

- Dostyc już, Aleksandrze! Jak mógłbyś przypuszczać, że to ma jakiegokolwiek znaczenie? Jak niskie musisz mieć o mnie mniemanie, skoro uważasz, że odwróciłabym się od ciebie z takiego powodu? I to takiego, który nawet...

- Elżbieto, proszę, nie utrudniaj tego jeszcze bardziej. Wiem, co powiesz teraz, że pokocham twoją córkę jak własną. No więc, nie potrafiłbym mieszkać z twoją córką pod jednym dachem, wiedząc, że jest dzieckiem innego mężczyzny. Wiem, że jestem tchórzem, ale najzwyczajniej nie potrafiłbym.

- Aleksandrze, popatrz na mnie.

Kiedy nie chciałem odwrócić twarzy, zmusiła mnie, bym na nią spojrział.

- Nie, przestań! - rzekła, gdy próbowałem coś powiedzieć-Przestań i posłuchaj! Nie jesteś bezpłodny, słyszysz? To niemożliwe!

- Nie warto nawet próbować zaprzeczać. Jessika... robiliśmy badania... - nie chciałem już dalej ciągnąć.

Zacząła coś mówić, ale urwała. Próbowwała znowu, a potem gwałtownie wstała i pobiegła plażą.

Nie zatrzymałem jej, ponieważ znowu zobaczyłem Jessikę, znowu usłyszałem jej śmiech, ale tym razem była przy tym i Elżbieta. I ona odwróciła się ode mnie, tak jak się tego spodziewałem. Ach, Boże, a ja tak bardzo Cię błagałem, żeby tego nie zrobiła!

Siedziała przy skale niezbyt daleko ode mnie, z twarzą w dłoniach. Podniosła głowę, kiedy mój cień padł na nią. Ku mojemu zdziwieniu nie płakała, choć jej twarz wyglądała okropnie. Usiadłem obok i wzięłem ją za rękę.

Zacząłem mówić, patrząc przed siebie. Opowiedziałem jej

o Jessice, o naszych zacieklej walkach, o okrucieństwie, z jakim ją traktowałem przez pierwsze lata naszego małżeństwa; wyznałem jej, w jaki sposób Jessica zemściła się swą pogardą

i szyderstwem, kiedy się dowiedziała, że jestem niepłodny - ja, któremu tak bardzo zależało na dziecku.

Gdy skończyłem, uniosłem jej dłoń do ust i delikatnie pocałowałem.

- Widzisz więc, kochanie, do czego moja niepłodność doprowadziła w małżeństwie z Jessiką. Nie zniósłbym, gdyby coś takiego miało się stać między nami.

Spojrzałem na nią i zobaczyłem, że łzy ciurkiem płyną jej po twarzy.

- Mój Boże, co też ja zrobiłam? - szepnęła. - Co ja ci zrobiłam? - Zakryła mi dłoń usta, kiedy chciałem dalej mówić. - Muszę ci powiedzieć jedną rzecz. Coś, co powinnam wyznać dużo wcześniej i tym samym zaoszczędziłabym ci tyle

bólu. Ale ja nie wiedziałam, co zrobić, uwierz mi, byłam taka młoda i ty też, sama nie wiedziałam, co by było najlepsze. Tak mi przykro, kochanie...

- Elżbieto...?

- Chodzi o Charlotte, Aleksandrze... Ona ma sześć lat.

Z początku nie mogłem się ruszyć. Obok nas toczyło się normalnie życie, ale ja słyszałem jedynie echo słów Elżbiety. Byłem zbyt zaskoczony, żeby cokolwiek powiedzieć czy w ogóle myśleć, ale zrobiło mi się słabo, oparłem się więc o skałę i zamknąłem oczy.

Jakże mocno musiałem ją zranić, skoro tak bardzo się przede mną kryła! A jaki ból musiałem zadać Jessice, że mnie w ten sposób okłamała!

Patrzyłem na Elżbietę i przez chwilę jej nie rozumiałem. W

ciągu minionego tygodnia mogła mi to powiedzieć tak wiele razy, a jednak tego nie zrobiła. Mam córkę! Zamknąłem oczy, a łzy same potoczyły mi się po twarzy. Czułem, że Elżbieta mnie obejmuje i tuli jak dziecko. Ale nie potrafiłem zareagować.

- Tak mi przykro - powtarzała. - Powinnam ci była wcześniej powiedzieć. Tak mi przykro, kochanie.

Dużo czasu upłynęło, zanim łzy wyschły na moich policzkach. Słońce zaczynało chować się za horyzont, a ja dopiero wtedy mogłem wydobyć z siebie pierwsze słowa.

- Opowiedz mi o niej, Elżbieto - wszystko.

Następnego dnia świt wstał ponury i szary. Był to pierwszy dzień brzydkiej pogody i Elżbieta siedziała przy oknie, patrząc na deszcz.

Poprzedniego wieczoru byliśmy ze sobą bliżej, niż to możliwe. Dzisiejszego ranka oboje milczeliśmy.

Za niecałą godzinę Jack Serie miał przyjechać bryczką, żeby nas zabrać na prom. Elżbieta już się ubrała cieplej przez wzgląd na pogodę.

Zegar w kącie tykał monotonnie. Elżbieta wstała i oświadczyła, że wychodzi na spacer. Chciała być sama.

Czekałem na nią w holu, zastanawiając się, co nam przyniesie przyszłość. Kiedy pora odjazdu zbliżała się nieodwołalnie, podszedłem do okna, ale nie mogłem jej nigdzie wypatrzeć. Otworzyły się drzwi i wszedł Jack Serie. Przyjechał za wcześnie, poszedł więc do kuchni na herbatę.

Zacząłem przemierzać hol, spoglądając na zegarek. Gdzie się podziała? Czy może coś jej się przydarzyło? Wiatr był rano tak silny, no i morze... Może się poślizgnęła...?

Wyszedłem na dwór. Deszcz padał teraz mocniej, a wiatr złowróżbnie huczał wśród drzew otaczających hotel. Przysłuchiwałem się natężając słuch, jakbym spodziewał się, że ją usłyszę.

I wtedy doznałem olśnienia - wiedziałem, gdzie jest, wiedziałem też, że muszę do niej pójść.

Obszedłem hotel, minąłem ogród z tyłu i pobiegłem nie bacząc na siekący deszcz, wiedziałem tylko, że muszę się przy niej znaleźć. Po chwili już biegłem przez sad, minąłem Dom Jespilliere i przeciąłem łąkę. Tam właśnie było ledwo widoczne przejście w żółtym żywopłocie. Przepisnąłem się przez nie i ruszyłem ku krawędzi skał.

Wtulona w kamienne siedzenie, z włosami oblepiającymi twarz samotnie przeżywała swój smutek.

Przytuliłem ją mocno.

- Wrócimy tutaj, Aleksandrze, prawda? Obiecuj, że pewnego dnia wrócimy tutaj

- Obiecuję ci to, kochanie. Z całego serca, przysięgam. Skąd mogliśmy wiedzieć, co przyniesie nam przyszłość?

Elżbieta

Rozdział 20

Staralam się jak mogłam, żeby nie spoglądać na zegarek. Każdy miesiąc mego ciała był napięty do granic wytrzymałości, a serce biło coraz mocniej z wpływem każdej kolejnej minuty. Powiedział w piątek o pierwszej w barze

Julesa.

Popatrzyłam po twarzach tych, którzy przyszli tu na drinka w porze lunchu. W rogu siedziało towarzystwo, które przed chwilą odśpiewało *sto lat*. Przy barze stała zbyt głośno rozmawiająca grupka ludzi - sekretarki, biznesmeni. Wróciłam do swojego drinka. Nie przyjdzie. Wiem, że nie przyjdzie.

Słowa te wbijały mi się w głowę.

Nagle pojawił się ktoś nade mną. Gdy zobaczyłam twarz Henry'ego, cała krew odpłynęła mi z głowy.

- Elżbieto!

Próbowałam się uśmiechnąć, jednocześnie zaciskałam pięści, by zachować spokój.

- Jak się masz? - spytał przysiadłszy się do stolika.

- Dobrze, dobrze, a ty?

- W porządku.

- Aleksander opowiadał mi o Caroline - zaczęłam jak najszybciej. - Bardzo się cieszę, że się wam tak ułożyło. Kiedy ślub? — Uśmiechnęłam się do niego szeroko, tak jakbym w ten sposób próbowała opóźnić przekazanie wiadomości, z którą przyszedł i którą miał wypisaną na twarzy.

- Już w przyszłym tygodniu.

Przez dłuższą chwilę żadne z nas się nie odzywało, a w tym czasie kelnerka przyjęła zamówienie i przyniosła drinki.

- On nie przyjdzie, prawda? - szepnęłam.

Henry spojrzał na swoje dłonie złożone na stoliku. Wolno pokręcił głową. Ten ruch przeczący był jak smagnięcie biczem. To niemożliwe! To nieprawda! Za chwilę się obudzę i Aleksander wejdzie tymi drzwiami. Wystarczyło tylko otworzyć oczy.

Ale gdy je otworzyłam, obok mnie przy stoliku nadal siedział Henry, a ja zapragnęłam umrzeć.

- Czy to przez Jessikę? Wraca do niej?

- Musi do niej wrócić.

Wcale nie chciałam słyszeć współczucia w jego głosie, chciałam jedynie, by się to już skończyło.

- Kiedy wyjechaliście, Jessika miała wypadek. Zginęła w nim lady Bel, matka Aleksandra. -

Przymknęłam oczy. - Samochód prowadziła Jessika. Jest teraz w szpitalu. Lekarze mówią, że wyjdzie z tego, ale rekonwalescencja potrwa jeszcze

dłuższy czas - ciągnął po krótkiej chwili milczenia. - I jest

jeszcze jedno. - Podniosłam głowę. - Po wypadku Jessika poroniła.

Ponownie przymknęłam oczy. Ta gorzka ironia losu, po wszystkich kłamstwach, jakimi go karmiła, była wręcz nie do zniesienia.

- Czy wiedziałaś o tym, że Aleksander uważał...? Skinęłam głową.

- Dlaczego go oszukała?

Nic na to nie odpowiedział, a ja czułam ból, który mnie przytłaczał i pulsował rozrywającymi wnętrzności falami.

- Powiedział mi o Charlocie.

- Gdzie Aleksander jest w tej chwili?

- W domu swego ojca.

- Ona jest do niego bardzo podobna, wiesz? Ma takie same czarne kręcone włosy, które spadają jej na twarz w podobny sposób jak jemu. No i oczy - ma oczy szare, ale błyszczą w nich niebieskie iskierki.

I doskonale wie, tak jak on, jak się nimi posługiwać. Ona nawet się śmieje identycznie... Och, Henry, nie wiem, czy będę w stanie to znieść!

- Wyjdźmy stąd! - rzekł sięgając po moją dłoń. Zawiózł mnie do swego mieszkania przy Easton Square,

gdzie rozmawialiśmy aż do zmroku. Przestałam już płakać, ale wiedziałam, że w ciągu najbliższych pustych miesięcy wlokących się w nieskończoność wyjeję jeszcze wiele, wiele łez. Już raz go straciłam i jakoś to przeżyłam, ale nie wiedziałam, czy zdołam przeżyć po raz drugi. Nawet nie byłam pewna, czy tego chcę.

Henry wręczył mi płaszcz, ponownie nalegając, by odwieźć mnie do domu. Pokręciłam głową.

Potrzebowałam trochę czasu, zanim stanę przed Charlottą.

- Będzie chciał się z tobą spotkać, jak już się to wszystko skończy. Prosił mnie, żebym się dowiedziała, gdzie mieszkasz.

Spojrzałam Henry'emu w twarz i odniosłam na chwilę wrażenie, jakby czas się cofnął, jakbyśmy byli z powrotem w Fox-ton i Henry właśnie przyszedł, by powiedzieć, że Aleksander chciałby, abym zagrała w ich sztuce. Pokręciłam głową.

- Nie, Henry, to by tylko oznaczało jeszcze większy ból dla tych, którzy nas kochają. - Po raz pierwszy myślałam o Edwardzie.

- A co z Charlottą?

- Może kiedyś powiem jej o nim. Odnajdzie go, wiem, że go odszuka.

Powiedz mu tylko, żeby był
cierpliwy.

Henry podszedł ze mną do drzwi.

- Proszę cię, powiedz Aleksandrowi... - urwałam i spojrzałam mu w twarz. Miał zamglony wzrok i przypuszczam, że na swój sposób on również cierpiał. - Zresztą nie, nic, to nie ma znaczenia. I tak będzie wiedział.

Trudno mi opisać, jak się czułam w ciągu tygodni, które potem nastąpiły. Wiem tylko, że ból był

ostrzejszy i bardziej nie do zniesienia, niż wszystko, co mogłabym sobie wyobrazić. Myślałam o nim dzień i noc, na nowo przeżywając każdy moment, który spędziliśmy razem, i tysiące razy zadawałam sobie pytanie, dlaczego Bóg karze nas w taki sposób. Ale nawet kiedy sama siebie o to pytałam, nadal nie dopuszczałam myśli, że to już koniec.

Moja klęska wynikała właśnie z tego zaprzeczania faktom.

Wykonując swoje codzienne obowiązki, nabierałam coraz większej pewności, że pewnego dnia na powrót będziemy razem, i to do tego stopnia, że zaczynałam się przygotowywać na jego przybycie.

Zapełniłam bibliotekę książkami prawniczymi, a w długiej galerii zastąpiłam obrazy renesansowe impresjonistami. Christine przeszukiwała salony aukcyjne, zaopatrzona w listę dzieł. W Westmoor nagle zaroilo się od murarzy, malarzy, ogrodników. Wszystkich popędzałam, bo musieli skończyć, zanim pojawi się Aleksander...

- Ale to trzeba zrobić - rzekłam, kiedy Edward ostrzegł mnie, że się zamęczę, jeżeli nie zwolnię tempa.

Uśmiechnął się.

- Jadę do Florencji na weekend. Może byś sobie zrobiła przerwę i pojechała ze mną?

Popatrzyłam na niego osłupiała. Czy on nie widzi, że jestem za bardzo zajęta, by jechać do Florencji?

Może by zabrał Charlotte zamiast mnie?

Ale i Charlotte nie chciała jechać. A właściwie chciała jechać, ale nie chciała mnie zostawiać w domu.

- Mnie zostawiać? - zaśmiałam się. - Jeśli już, to byłabym tylko szczęśliwa, gdybyś mi się tu nie kręciła pod nogami. A właściwie to dlaczego nie bawisz się z koleżankami?

Spojrzała na mnie tymi swoimi ogromnymi oczyma, a ja poczułam nagle

przyływ zniecierpliwienia.

- Naprawdę, Charlotta, nie rozumiem...

- Dlaczego ciągle na mnie krzyczysz? Co ja takiego zrobiłam?

- Jak to co? Nic nie zrobiłaś? Och, Charlotta, jesteś niezdolna. Może pobawiłabyś się z końmi na łące?

Przydałoby im się trochę ruchu, tobie zresztą też.

- Byłyśmy z końmi dzisiaj rano.

- Naprawdę? - zaśmiałam się. - Ostatnio mam tak wiele spraw na głowie.

- Może mogłybyśmy zrobić coś razem, mamó? Tylko ty i ja, jak kiedyś.

- Czy nie widzisz, że jestem zajęta? On tu będzie już niedługo i...

- Mamó, ale kto? Bez przerwy to powtarzasz. Patrzyłam na nią przez dłuższą chwilę.

- Kto, mamó? Kto przyjeżdża?

- Może pobiegiesz poszukać Edwarda, żeby się dowiedzieć, czy jedziesz do Florencji, czy nie?

Później zastałam ją siedzącą na łóżku i czeszącą lalkę. Wyglądało na to, że płakała. Odwróciła buzię, kiedy zobaczyła, że to ja. Musiałam opanować swoją irytację.

- A może chciałabyś pojechać na weekend ze mną do Londynu?

Wybrałybyśmy się do teatru. -

Alexander mieszkał przy Belgrave Square. Poszłam do niego i powiedziałam, że wszystko już niedługo będzie gotowe.

- A co z Edwardem? On chciałby, żebyśmy pojechały z nim do Florencji.

- Nic mu nie powiemy. Poczekamy, aż wyjedzie, a potem wyrwiemy się do Londynu, nikomu nie mówiąc ani słowa. No, chyba powinnyśmy powiedzieć coś Kanarkowi. A właściwie to mogłybyśmy ją zabrać ze sobą. Pobiegnij kochanie spytać, czy chce pojechać. Mam jeszcze tutaj wiele do roboty, a projektant przychodzi wieczorem.

Poszłyśmy na niezapomniane poranne przedstawienie w Savoyu, pojechałyśmy do Hampton Court, zrobiłyśmy spacer po zoo, a także zaliczyłyśmy mnóstwo barów z hamburgerami i kin. Nie poszłam na Belgrave Square - jeszcze nie nadeszła pora. Ale wkrótce nadejdzie.

Gdy wróciłyśmy do Westmoor, Edwarda jeszcze nie było, za to przywieziono sprzęt gimnastyczny.

Pilnowałam dostawców, którzy go instalowali, upewniając się, że dowieźli wszystko, co zamówiłam dla Aleksandra. O czwartej wyciągnęłam Charlotte na wizytę do panny Barsby, która mieszkała w domku tuż poza

granicami posiadłości. Charlotte nienawidziła staruszki i za bardzo się z tym nie kryła. Z rosnącą złością przysłuchiwałam się jej monosylabycznym odpowiedziom na pytania panny Barsby. Nie potrafiłam znieść tego dłużej niż pół godziny, po czym przeprosiłam gospodynię, wzięłam Charlotte za rękę i wyprowadziłam do samochodu.

- Jesteś okropną, zepsutą dziewczynką - rzekłam, kiedy panna Barsby weszła z powrotem do domku. -

To starsza

samotna pani, której sprawiają przyjemność twoje wizyty, a ty jak przychodzisz, tylko się na nią boczysz. W przyszłym tygodniu spędzisz z nią całe popołudnie i będziesz z nią rozmawiać w odpowiedni sposób. Słyszysz?

Charlotte pełna buntu milczała aż do momentu, gdy zatrzymałyśmy się pod drzwiami domu.

Nachyliłam się i otworzyłam drzwiczki po jej stronie.

- Idź do swojego pokoju. Porozmawiamy później.

- Ostatnio ciągle jesteś dla mnie nieprzyjemna. Żałuję, że nie pojechałam z Edwardem. On jest dla mnie znacznie miłszy niż ty. Ty jesteś okropna.

Uciekła do domu, zanim ją zdążyłam zatrzymać, a ponieważ projektant chciał, żebym spośród kolejnych próbek wybrała zasłony do nowej łazienki, musiałam tę sprawę chwilowo odłożyć. Nie zapomniałam jednak i następnego dnia, mimo że obiecałam jej wcześniej, iż pojedzie z Jeffreyem na lotnisko po Edwarda, została w swoim pokoju.

Nowe korty tenisowe były już gotowe, zaproponowałam więc Davidowi mecz przed lunchem.

- Czy to znaczy, że masz trochę czasu? - spytał przekornie.

- Nie mów tak. To ciężka praca zorganizować ten dom. Charlotte przyglądała nam się ze swego okna, kiedy szliśmy

na kort. David pomachał do niej, ale gdy ja się odwróciłam, zniknęła. Słońce świeciło już dość mocno, pogoda była właściwie taka, że aż żal się robiło dziecka zamkniętego w sypialni, kiedy jednak David zaczął się za nią wstawiać, wcisnęłam mu raketę do garści i kazałam grać.

Nie wiem, czy to z powodu upału, czy dlatego, że tego dnia nie jadłam śniadania, w każdym razie po czterech gemach zaczęło mi się kręcić w głowie. A gdy przepuściłam czwarty z rzędu serw, David spytał, czy wszystko w porządku.

Potem już nic nie pamiętam, aż obudziłam się w swoim pokoju i zobaczyłam przy łóżku doktora.

Próbowałam się

podnieść, ale popchnął mnie z powrotem na łóżko. Następnie usłyszałam łkającą pod drzwiami Charlotte. Doktor pozwolił jej wejść, a ona wpadła do środka, rzucając się wprost w moje ramiona.

- Czy ty wyzdrowiejesz, mamusiu? - spytała.

- Oczywiście, kochanie. Po prostu zemdlałam. I dobrze mi tak. Nie

powinnam była zachowywać się tak okropnie wobec ciebie. Czy mi wybaczysz?

Skinęła głową, a ja zaczęłam wstawać z łóżka, przypominając jej, że mamy zorganizować letnią fetę.

W tym momencie wrócił doktor. Widząc, że rozglądam się za szlafrokiem, zaczął kręcić głową, - Do łóżka, moja pani - polecił. - Pani szwagier opowiadał mi, co pani ostatnio wyrabiała i...

- Ależ, panie doktorze, jest nieznośny upał i sam pan wie - odrobina pracy jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Zatem jeśli pan pozwoli, chciałabym teraz wstać.

Doktor położył Charlottcie rękę na głowie.

- Może zeszlabyś na dół i poprosiła Mary o herbatkę dla nas, co?

Kiedy wyszła, doktor odsunął kołdrę.

- Do łóżka - polecił. - Powinniśmy porozmawiać. Wstałam z łóżka dopiero na początku września. W

ciągu

tych tygodni nie mogłam znieść przy sobie niczyjej obecności, z wyjątkiem Charlotty, a nawet gdy ona była przy mnie, potrafiłam na nią tylko patrzeć i głaskać po głowie. Wiem, że mój stan napęniał ją przerażeniem, ale nie mogłam się zdobyć na to, by wyjawić dziecku, co mi powiedział doktor. Nie potrafiłam nawet o tym myśleć. Kazałam mu przysiąc, że nikomu nie piśnie ani słowa, twierdząc, że sama w odpowiednim czasie wszystkim powiem.

Mimo załamania nerwowego, dostrzegłam, że stosunek Edwarda do mnie zmienił się. Ze zachowywał się tak, jakby

wzniósł niewidoczną barierę między nami. Nadal był tak samo uczynny i troskliwy, ale w jego głosie pojawiła się nuta, której dotychczas nie znałam. Nie miałam pojęcia, na ile rozumiał przyczyny mojego załamania, ale był poza domem częściej niż w domu, i, jak się mogłam zorientować, Christine zajęła się całkowicie organizowaniem mu codziennego życia. Kiedy zjawiał się w moim pokoju, mówił tylko o niej, a mnie w ogóle nie pozwalał się odzywać. Serce mi pękało, gdy widziałam, jak bardzo cierpi, ale nie mogłam nic na to poradzić.

A potem, któregoś wrześniowego poranka, z zupełnie niezrozumiałych powodów nagle obudziłam się gotowa na nowo spojrzeć światu w oczy.

Wszyscy podnieśli głowy, kiedy wkroczyłam do pokoju śniadaniowego, a promienny uśmiech, który im posłałam, tak bardzo zaskoczył obecnych, że Jeffrey, nalewający właśnie herbatę, przelał ją Christine na spodeczek.

Edward wstał i objął mnie. Spojrzał na mnie z troską, a gdy się uśmiechnął, dostrzegłam, że zmarszczki wokół oczu mu się pogłębiły. Widać je było wyraźniej niż kiedyś, i wiedziałam, że to moja wina. Podniosłam rękę do jego twarzy, a potem przyciągając go bliżej, nadstawiłam usta do pocałunku.

- Musimy zjeść dzisiaj kolację na mieście - oświadczyłam, podsuwając sobie krzesło. - W ten sposób uczcimy spóźnione urodziny Edwarda. Co wy na to?

Skinęli głowami, nadal troszkę zaskoczeni.

- Tak - oświadczyła Charlotta, obtłukując jajko. - Czy i ja mogę pójść z wami?

- Ty musisz rano wstać do szkoły, kochanie.

- Och, mam - jęknęła.

- Pozwól jej iść - rzekł Edward, gładząc dziewczynkę po włosach. - Zawsze możemy uznać, że będzie to wcześniejsza kolacja.

- Hurrra! Czy będę mogła wybrać wino, Davidzie?

- Wino? - spojrzałam na nią przerażona.

- Obawiam się, że to jej ostatnie hobby - oświadczył David. - Słyszała, jak Edward rozmawiał o tym z kimś przez telefon i koniecznie chciała, żeby ją nauczyć. To czarujące zadanie przypadło mi w udziale. Ale nie przejmuję się, nie doszło jeszcze do degustacji.

Pokręciłam głową i zaśmiałam się. Co by Aleksander z niej zrobił? Ale nie wolno mi myśleć o takich rzeczach.

Z kolacji we francuskiej restauracji w miasteczku wróciliśmy tuż przed dziesiątą. Charlotta zasnęła w samochodzie w drodze powrotnej i sennym głosem upierała się, żeby do łóżka zaniósł ją Edward.

Czekając na jego powrót, David nalał brandy. Długo go nie było.

- Musiałem jej znowu opowiedzieć o Ozyrysie i Izydzie — wyjaśnił, gdy się wreszcie pojawił i usiadł obok mnie.

- O kim?

- Ach, to taka wspaniała historia miłosna o starożytnym bogu egipskim i jego małżonce.

- Musisz mi ją kiedyś opowiedzieć - rzekłam.

- Nie proś go, bo opowie - ostrzegła Christine. - Ale jeśli już, to każ mu uwzględnić wszystkie szczegóły, które opuszcza w wersji dla Charlotty, jak na przykład to, że ciało Ozyrysa zostało pocięte na czternaście kawałków, a gdy je ponownie złożono, fallus był jedynym kawałkiem, którego brakowało.

- Wcale tych szczegółów nie opuszczam — zaproponował Edward.

- Ach tak? - zaśmiałam się. - I nie chciała wiedzieć, co to jest fallus?

- Oczywiście, że chciała, więc jej powiedziałam. Potem mnie spytała, czy i ja mam coś takiego, a potem spytała, czy

może zobaczyć. Więc jej wyjaśniłem, że to część ciała, której ludzie nie pokazują sobie, chyba że zostaną małżeństwem.

- Edwardzie, ty jesteś naprawdę wspaniały.

- Jeszcze nie słyszeliście najlepszego. Po tym jak gorzko wyżałiła się, że przyjdzie jej na to długo czekać, poszła zbadać swoje lalki. Przyłapała ją na tym Kanarek. Powiem wam, że to wszystko było warte zachodu chociażby po to, by zobaczyć minę Kanarka, kiedy Charlotta powiedziała „fallus”.

Poczekalam, aż śmiech umilknie, a potem nerwowo biorąc kieliszek, powiedziałam jakby mimochodem.

- No cóż, gdyby Charlotta miała braciszka, nie musiałyby tak długo czekać.

Powinam była w tym momencie wyczuć, że nastrój zmienił się kompletnie, ale nie wyczułam.

Przenosiłam wzrok z Edwarda na Christine i Davida, nie dostrzegając, że ich uśmiech jest pusty.

- Dlatego właśnie chciałam, żebyśmy poszli dzisiaj na kolację - ciągnęłam. - Ale wolałam nic nie mówić przy Charlotcie. Pomyślałam sobie, że powiem jej, kiedy będziemy same.

- Co takiego chcesz jej powiedzieć, kochanie? Udałam, że nie zauważyłam dość szczególnej nutki w głosie Edwarda.

- Że będę miała dziecko.

Usłyszałam, jak Christine wciąga powietrze, ale ona patrzyła na Edwarda, podobnie zresztą jak i David. Obydwoje byli bladzi jak płótno.

- Dziecko ma się urodzić w lutym - dodałam niezbyt przekonująco.

Zapadła długa cisza. Spojrzałam na Edwarda i zobaczyłam, że się wpatruje w swój kieliszek. Po chwili wstał David i oświadczył, że idzie się położyć. Christine też wkrótce nas opuściła.

Poszłam dolać Edwardowi brandy. Nie patrzył na kieliszek, kiedy mu podawałam, postawiłam go więc na stoliku.

- Chodź, usiądź tutaj, Elżbieto - rzekł wreszcie.

Wziął mnie za rękę, a ja podnosząc głowę dostrzegłam, jak smutną ma twarz. Tego wieczoru po raz pierwszy od wielu miesięcy rozluźnił się przy mnie, ale teraz, pomimo całej miłości, jaka malowała się w jego oczach, czułam, że mnie odpycha.

- Powinienem był ci, kochanie, powiedzieć to dawno temu, ale zawsze twierdziłaś, że ci wystarcza Charlotta i że nie chcesz już mieć więcej dzieci. A więc musisz wiedzieć, że moja pierwsza żona urodziła martwe dziecko. To była dziewczynka i widzisz, czasami się zastanawiam, czy to przypadkiem nie dlatego tak bardzo kocham Charlottę. Uśmiechnął się. - Ale jak można nie kochać Charlotty? W każdym razie poród był niezwykle trudny i moja żona omal nie przyplącała tego życiem.

Powiedziano mi potem, że nie powinniśmy próbować mieć więcej dzieci, toteż nie chcąc sprawiać jej już nigdy więcej bólu, poddałem się wasektomii.

Chyba do tego momentu nie zdawałam sobie sprawy, jak karkołomny miałam pomysł. Patrzyłam na niego bez słowa, przerażona tym, co chciałam zrobić.

Odezwał się dopiero po pewnej chwili.

- Nie musisz mi niczego mówić, kochanie, ale może ci to pomoże.

Zakryłam twarz dłońmi. Tak okropnie nienawidziłam sama siebie w tej chwili, że słowa nie chciały mi przejść przez gardło.

- Czy to ojciec Charlotty? Skinęłam głową.

- To z nim wyjechałaś?

Spojrzałam mu w twarz. Wydawało mi się, że od czasu mojej choroby bardzo się postarzał, ale teraz miałam wrażenie, że jest potwornie wymizerowany.

- Och, Edwardzie - łkałam. - Nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Nie wiem...

- Szs... Ludzie, którzy ranią drugich, często mówią albo robią rzeczy, których by wcale nie chcieli zrobić. Wiem, Elżbieto, jak bardzo go kochasz. I zawsze o tym wiedziałem.

Kiedy to powiedział, chciałam wstać, puścić się pędem przed siebie i nigdy się nie zatrzymać.

Wolałabym, by mnie uderzył albo na mnie nakrzyczał, ale jego dobroć i

wyrozumiałość wręcz mnie rozdzierały,

- Czy on wie o dziecku?

- Nie.

- Czy mu o nim powiesz? Potrząsnęłam głową.

- Nie mogę. On nic... Och, Edwardzie, przepraszam. Proszę cię, wybacz mi. Nie, nie wybaczaj.

Odejdę, odejdę jak najdalej z twojego życia, możesz się ze mną rozwieść, nie będę nic od ciebie chciała. Tak cię przepraszam, Edwardzie.

- Szs... Nigdzie sobie nie pójdziesz. Wiem, że mnie nie kochasz tak jak jego, ale ja kocham ciebie i kocham Charlotte. Nie chcę was stracić.

- Ale co będzie z dzieckiem? - Spojrzałam na niego, nagle przerażona. - Nie usunę tej ciąży.

Położył mi dłoń na ustach.

- Oczywiście. To będzie moje dziecko, o ile na to pozwolisz. Nikt nie musi o tym wiedzieć, z wyjątkiem rodziny.

- Nie, Edwardzie, nie mogę się na to zgodzić.

- Ale ja chcę to zrobić. Stawiam tylko jeden warunek, a nawet wydaje mi się, że to nie jest warunek. I tak chciałbym, żebyś została. Jeśli możesz, chcę, żebyś mi obiecała, że nie będziesz się z nim widywać.

Przez chwilę zdawało mi się, że słyszę głos Aleksandra, który każe mi się nie zgodzić, ostrzega, żebym nie słuchała Edwarda. Musiałam jednak ów głos zignorować. Aleksander ponownie stał się częścią mojej przeszłości, a ten oto mężczyzna, mój mąż,

który kochał mnie bardziej, niż na to zasługiwałam, czekał na moją odpowiedź.

Obiecałam mu, o co prosił.

Wczesnym rankiem zbudziłam się i zobaczyłam, że jestem sama w łóżku. Kiedy poszłam poszukać Edwarda, ujrzałam światła w Pokoju Egipskim. Spróbowałam otworzyć drzwi, ale były zamknięte na klucz. Wyteżyłam słuch i po chwili usłyszałam, że Edward płacze.

Rozdział 21

Tamtej nocy Edward już w ogóle nie wrócił do łóżka. Następnego ranka wraz z Christine wyleciał

pierwszym samolotem do Kairu, zostawiając mi wiadomość, że się odezwie po dotarciu na miejsce.

Po tym, co zaszło, z pewną ulgą myślałam, że nie będziemy się chwilowo widzieć, a kiedy i David poinformował mnie przez Jeffreya, że wyjeżdża na kilka dni do Londynu, domyśliłam się, że i on chce uniknąć spotkania ze mną.

Gdy Charlotta wróciła ze szkoły, weszła na górę do mojego pokoju i długo siedziałyśmy przy oknie, rysując różne wzorki

na zaparowanej szybie. Podczas naszej pogawędki wielokrotnie próbowałam powiedzieć jej o dziecku, ale za każdym razem, kiedy otwierałam usta, słowa jakoś nie chciały mi przejść przez gardło.

Życie było dla mnie takie okrutne, a jednak pod innymi względami tak dobre. Pozwalało mi mieć dzieci Aleksandra, choć nie pozwalało mi być z nim samym. Objęłam Charlotte i mocno przytuliłam.

Przynajmniej zawsze będę miała jego cząstkę, ale co jemu pozostanie? Nie mogłam znieść myśli, że może być tak nieszczęśliwy. Nigdy nie wątpiłam w jego miłość ani w to, że bardzo pragnąłby być ze mną i Charlottą.

Ale Edward? Wczorajsza noc uświadomiła mi ponownie, że mnie wręcz szaleńczo kocha. Często potrafiłam wyczuć, jak walczy o to, by trzymać na wodzy swoje uczucia, i wiedziałam, że wyjeżdżając ponosił porażkę. Jego miłość była tak wszechogarniająca, że czasami zdawało się, iż go całkowicie pochłonie. Tak jakbym nie była kimś rzeczywistym, lecz przedmiotem, który należy traktować jak skarb, wręcz czcić. Ja Edwarda chciałam chronić przede wszystkim ze względu na to skomplikowane uczucie, w którym wielkie wyrafinowanie występowało obok niemal dziecięcego uwielbienia.

Kiedy trzy dni później wrócił z Kairu, zauważyłam, z jaką ulgą zobaczył, że jeszcze jestem, że nie uciekłam, a w moje serce wdarło się poczucie żalu i winy. Z wielkim ożywieniem opowiadał

o transakcji, jaka lada chwila miała dojść do skutku, nie wgłębiał się jednak w szczegóły, twierdząc, że to będzie niespodzianka. Pytał o Charlotte i chciał wiedzieć o wszystkim, co robiłyśmy podczas jego nieobecności.

Potem położył mi dłoń na brzuchu

i powiedział, że mnie kocha. Odwróciłam się, zanim udało mi się zapanować nad tym odruchem, ale on niczego nie zauważył.

Christine została w Kairze znacznie dłużej, niż pierwotnie planowała. Dzień w dzień telefonowała do Edwarda, ale on rozmawiał z nią od siebie z gabinetu, ona zaś ani razu nie

poprosiła mnie do telefonu. Po każdej rozmowie Edward zdawał się bardzo rozkojarzony, wręcz pobudliwy, a gdy pytałam go o przyczynę, odpowiadał, że ludzie, z którymi mają do czynienia w Kairze, uwielbiają zagadki. Po jednym z tych telefonów zamówił sobie bilet na samolot do Istambułu i wyjechał na pięć dni, podczas których ani razu nie zadzwonił do domu.

Christine wróciła po czterech tygodniach. Edward i ja byliśmy w tym czasie na przyjęciu u pewnego marszanda w Londynie. Edward nie powiedział mi, że ma przylecieć tego właśnie dnia, zdziwiłam się więc, kiedy pojawiła się na przyjęciu o jedenastej. Przywitała się z gospodarzem i jego żoną, ostentacyjnie zarzucając im ramiona na szyję. Wszyscy koniecznie chcieli się dowiedzieć, jak jej poszło w Kairze. Wymieniła szybkie spojrzenie z Edwardem, a następnie głośno oświadczyła, że zebrani to zgraja okrutników, skoro zarzucają ją pytaniami, nawet nie proponując drinka. Potem odeszła na bok z Edwardem - rozmawiali cicho dobre kilka minut, a następnie, już oddzielnie, ruszyli, między gości.

Czekałam, kątem oka obserwując, jak okrąża pokój. W końcu znalazła się za moimi plecami, rozmawiając z sekretarką Edwarda. Ogromnie bałam się spotkania z nią, a teraz tak ostentacyjnie mnie ignorowała, że nie wiedziałam sama, co robić. Nagle poczułam uderzenie w plecy.

- Och, Elżbieto, jakże mi przykro! - W jej głosie aż nazbyt wyraźnie dało się słyszeć sarkazm.

- Nic nie szkodzi - odrzekłam z uśmiechem. - Jak się masz?

- Świetnie. - Obejrzała mnie od stóp do głów. - Ciebie nawet nie muszę pytać o zdrowie; - Strasznie długo cię nie było - zaczęłam z innej beczki. - Stęskniłam się za tobą.

- Czyżby, moja kochana bratowo? A gdy wyjechałaś ze swoim kochankiem, też za mną tęskniłaś? A może byłaś zbyt zajęta, żeby myśleć o kimkolwiek poza sobą? Na przykład o tych* którzy zostali, żeby się opiekować twoją córką. Nie spuszczałam z niej wzroku.

- Ach, wtedy za mną nie tęskniłaś. A za Edwardem? Gzy tęskniłaś za nim, gdy wyjechałaś pieprzyć się z innym facetem? No wiesz, z tym, którego dzieci próbujesz wepchnąć mojemu bratu! - Ostatnie słowa wykrzyczała głośno.

Z przerażeniem się obejrzałam, żeby zobaczyć, czy ktoś nas słyszał.

- Cóż to, Elżbieto? Boisz się, że ktoś jeszcze się dowie, jaka to przebiegła z ciebie suka?

Proszę cię, Christine...

- „Proszę cię, Christine”. Za to, co zrobiłaś Edwardowi, mogłabym cię zabić. On nigdy nikogo nie zranił. Ale tobie udało się zadać mu ból, ty dziwko! Nie jesteś godna nosić jego nazwiska, nigdy zresztą nie byłaś! A może zrobiłabyś nam tę przyjemność i zabrała swoje bękartę z powrotem do rynsztoka, gdzie ich miejsce!

Poczułam, że ktoś mnie odciąga, i usłyszałam głośne pacnięcie dłoni Edwarda na policzku Christine.

- Idź natychmiast do domu - syknął, a potem bez słowa wziął mnie pod ramię i wyprowadził z pokoju.

Po przyjeździe do domu Edward polecił mi iść na górę. Christine, która ruszyła za mną, chwycił pod rękę i kazał iść za sobą do gabinetu. Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, wyszłam na piętro. Mimo że rozmawiali głośno, trudno było dosłyszeć, co mówili. Zrozumiałam tylko tyle, że Christine każe Edwardowi wziąć się w garść i zobaczyć, „kim naprawdę jest ta mała suka”.

Gdy drzwi się otworzyły i wyszedł z nich Edward, skryłam się w półmroku.

- Robisz to ze względu na nią! - krzyknęła Christine. - Ona nie jest tego warta!

Edward odwrócił się do niej z powrotem. Mówił za cicho, żebym mogła coś dosłyszeć, lecz z odpowiedzi Christine wywnioskowałam, że już nie rozmawiają o mnie.

- Chyba postradałeś zmysły, skoro ci coś takiego w ogóle przyszło do głowy! Jak, do diabła, zamierzasz się dostać do środka? Czy pomyślałeś o tym?

- Owszem, pomyślałem. Wystarczy tylko, żebym porozmawiał z... - już nie dosłyszałam, co Edward mógł powiedzieć, gdyż ponownie zamknął drzwi.

Dopiero tuż nad ranem usłyszałam kroki Christine wchodzącej na górę. Edward nie wszedł, więc zeszłam na palcach do jego gabinetu. Nie było go tutaj, ale zaskoczył mnie nieporządek na biurku.

Leżały tam rozrzucone katalogi i broszury, a na szczycie tej sterty znajdowało się ogromne kolorowe powiększenie maski pośmiertnej Tutenchamona. Szybko zamknęłam drzwi, czując jakby

podświadomie, że wdarłam się do świata nie przeznaczonego dla mnie i że zobaczyłam coś, czego nie powinnam była zobaczyć.

U dołu schodów zawahałam się i spojrzałam na puste piętro. Na końcu galerii widać było tylko jedno światło, rzucające długie cienie na ściany. Szósty zmysł ostrzegł mnie przed wejściem do Pokoju Egipskiego. Przypomniało mi się spojrzenie, jakie Christine rzuciła Edwardowi po zjawieniu się na przyjęciu oraz dziwaczne zachowanie Edwarda po rozmowach telefonicznych z Kairem. Pomyślałam sobie o zaskakującej wymianie zdań, którą dosłyszałam kilka godzin temu w gabinecie Edwarda.

Stojąc w półmroku nabierałam przekonania, że coś niezwykle złowróżbnego dzieje się w Westmoor.

Jonathan urodził się w lutym następnego roku, tylko w trzy dni po urodzinach Aleksandra, Poród był

trudny i Edward nie

odstępował mnie ani na krok przez cały czas. Potem nie potrafiłam się zmusić do tego, by wziąć dziecko na ręce. I im bardziej Edward się nad nim roztkliwiał i rozczulał, tym mi było trudniej. Po czterech dniach pobytu w szpitalu Edward, David i Charlotta przyjechali, żeby nas zabrać do domu.

Christine z nimi nie było, nie odwiedzała mnie również wcześniej w szpitalu.

Od owego wieczoru, kiedy spotkałyśmy się na przyjęciu, zawarłyśmy z Christine rozejm, chociaż wiem, że starała się ułożyć jakoś nasze stosunki tylko ze względu na Edwarda. Była niemiła dla Charlotty, co doprowadzało do przykrych scen między nią a Davidem. Edward zaczął ją coraz częściej wysyłać do najróżniejszych odległych miejsc w poszukiwaniu obrazów oraz antyków. Zawsze udawało się jej coś przywieźć, i zawsze, niezależnie od tego, gdzie była, po drodze zatrzymywała się w Kairze.

Któregoś wieczoru David zażartował, że ukrywa tam swojego kochanka. Tak gorąco zaprzeczyła, że obaj bracia w zdziwieniu unieśli brwi, zastanawiając się, czy może przypadkiem David nie trafił na ślad jakiejś tajemnicy.

Charlotta natychmiast zamieniła się cała w słuch.

- Och, Christine, opowiedz nam o nim - błagała. - Jak wygląda? Czy się całujecie?

- Charlotta, już tyle razy mówiłam...

- Jak ma na imię? - indagowała dalej Charlotta. Christine spojrzała na mnie. Wzięłam Charlotte za rękę

i posadziłam ją sobie na kolanach.

- Już dosyć, kochanie - powiedziałam.

- Już dosyć, kochanie! - powtórzyła Christine, przedrzeźniając mnie. - O Boże, rzygać już mi się chce, że wszyscy tak tańczą, jak ta mak zagra. Przypuszczam, że to samo będzie z Jonathanem. Nie, kochanie, tak, kochanie, już wystarczy, kochanie...

- Teraz naprawdę wystarczy! - rzekł Edward wstając. - Za niecałe dwie godziny przychodzą do nas goście, a chciałbym omówić kilka spraw przed twoim odlotem do Nowego Jorku. No, Charlotto, proszę o ślicznego całusa na dobranoc.

Godzinę później Edward wszedł do mojego pokoju. Siedziałam na łóżku, trzymając niemowlę.

Odwróciłam się gwałtownie na odgłos zamykanych drzwi i mocniej

przycisnęłam Jonathana. Miał już trzy miesiące i nie mogłam sobie wybaczyć, że go odrzuciłam tuż po urodzeniu. Zaczął cały podskakiwać, kiedy Edward podszedł bliżej i usiadł obok mnie na łóżku; żeby nie wyciągał do niego rączek, wstałam.

- Nic się nie bój, kochanie. Nie zamierzam ci go zabierać. Przytuliłam się do twarzyczki Jonathana i nie odpowiedziałam ani słowem.

Edward ujął mnie delikatnie pod łokieć i posadził z powrotem na łóżku.

- Musisz przestać już siebie obwiniać. Wiele matek zachowuje się podobnie po trudnym porodzie.

Najważniejsze, że go kochasz...

- To nie o to chodzi - przerwałam mu.

- No to o co?

- Chodzi o Christine. Jest wściekła, że tu jestem. Nie mogę już dłużej znieść tego całego udawania.

Jonathan natychmiast zaczął płakać i Edward wziął go ode mnie. Zrobiłam ruch, jakbym chciała mu wyrwać dziecko, ale dostatecznie szybko się pohamowałam. Potem, przestraszona tym uczuciem, podniosłam się i poszłam zaciągnąć zasłony, gdy Edward tymczasem położył Jonathana do kołyski.

Od powrotu ze szpitala Jonathan spał w naszym pokoju. Pomyślałam sobie, że już niedługo będzie musiał się przenieść do pokoju dziecinnego i zawstydziłam się radosnej myśli, iż w ten sposób znajdzie się troszkę dalej od Edwarda.

Edward objął mnie, a ja mu położyłam głowę na ramieniu.

- Mam pomysł, który może rozwiązać wszystkie problemy raz na zawsze - rzekł. - Tymczasem zdobądź się jeszcze na cierpliwość wobec Christine, kochanie.

Pomimo wszystko, ona cię bardzo kocha.

Wyślizgnęłam się z jego uścisku i stanęłam nad kołyską Jonathana. Czułam, że Edward stoi obok i uśmiecha się do dziecka. Nagle postanowiłam, że muszę trzymać syna Aleksandra z daleka od niego.

Jakiś miesiąc później byłam zajęta organizowaniem małej loterii w miejscowej świątyni - zysk ze sprzedaży miał zostać przeznaczony na cele charytatywne. Edward od wielu dni przebywał w Londynie, ale w dniu, kiedy miała się odbywać impreza, wrócił do domu, oświadczając z dumą, że posyła Jeffrey'a z powrotem do Londynu po całą ciężarówkę drobiazków na sprzedaż, które udało mu się wycygnąć od przyjaciół ze świata sztuki.

Christine włączyła się do akcji, pomagając w ostatnich przygotowaniach. Zdążyliśmy wszyscy nabrać przekonania, że ma jakiś sekretny romans, gdyż latała do Kairu równie regularnie, jak my jeździliśmy do Londynu.

Jednocześnie zauważyłam, że David serdecznie zaprzyjaźnił się z sąsiadką, Jenifer Illingworth, której mąż rok temu odszedł z inną kobietą.

- Może zaprosilibyśmy Jenifer dziś na kolację? - szepnęła mi na ucho Christine. Byłam w zasadzie tak zaskoczona tym, że sama, z własnej woli, odezwała się do mnie, iż na chwilę zaniemówiłam.

Decyzja została podjęta. Jenifer oświadczyła, że przyjdzie z ogromną radością, a ja zaczęłam się śmiać na widok nieszczęśliwej miny Davida. Bez wahania domyślił się, że chcemy go wyswatać.

Akcja charytatywna zakończyła się niebywałym sukcesem, a Edward przyjmował wszystkie pochwały bez przesadnej skromności.

- Wygląda na to, że między tobą i Christine sprawy układają się lepiejzauważył, kiedy ubieraliśmy się na kolację.

- Może masz rację. - Postanowiłam być ostrożna.

- To dobrze, miałem nadzieję, że pewnego dnia to się jakoś ułoży... - W zasadzie nie dokończył myśli, a gdy spojrzałam na niego, zobaczyłam, jak pieczołowicie usiłuje zakryć placki łysiny z tyłu głowy.

Wyjęłam mu z ręki szczotkę, a on odchylił się w krześle, przyglądając się swemu odbiciu w lustrze, kiedy go czesałam.

- Ach, Elżbieto — westchnął po chwili. - Co to dla ciebie za życie, gdy tkwisz tutaj z dwoma staruchami, którzy starają się zakryć placki łysiny, i jeszcze na dodatek zajmujesz się swataniem ich z porzuconymi kobietami?

Mimo że powiedział to lekkim tonem, czułam, że coś leży mu na sercu. Zarzuciwszy Edwardowi ramiona na szyję, spotkałam jego wzrok w lustrze.

- To moje życie jest wspaniałe, a wy jesteście parą cudownych staruszków. Ale o co chodzi, Edwardzie? Czym się gryziesz?

Odwrócił się w krześle, wziął ode mnie szczotkę i położył ją na toalecie. Uklękłam przed nim i wsunęłam swoje dłonie w jego.

- Zawsze potrafisz wyczuć, jeśli mam jakąś sprawę - rzekł. Poczułam lekkie zniecierpliwienie, słysząc nutę dumy w jego głosie, że znamy się tak dobrze.

- Nie zamierzałem ci mówić tego jeszcze teraz - zaczął - ale przypuszczam, że pora jest tak samo dobra jak każda inna. Przynajmniej w ten sposób będziesz miała okazję to sobie przemyśleć. - Najwyraźniej nie

miał ochoty kontynuować tej myśli.

- Czy to ma jakiś związek z Christine? - próbowałam mu pomóc.

- W zasadzie nie. Chociaż w pewnym sensie tak. To dotyczy nas wszystkich, ale głównie dzieci.

Poczułam, że serce mi gwałtownie podskoczyło.

- Nie, nie martw się - poklepał mnie po dłoni. - To nic straszego.

Omówiłem już tę sprawę z Davidem i Christine - oni również uważają, że tak będzie najlepiej. Christine z początku sprzeciwiała się mojemu pomysłowi, ale kiedy już udało mi się ją zapewnić, że w niczym on nie zmieni jej sytuacji

-

chodzi o mój testament - też uznała, że to rozsądna decyzja. I teraz, tak jak przypuszczałem, wasze stosunki są dużo lepsze właśnie z tego powodu. A więc sama widzisz, że to może być dobry pomysł.

- Edwardzie, może mi powiesz, o co chodzi?

Popatrzył na mnie niewidzącym spojrzeniem, a potem nagle się roześmiał, gdyż uświadomił sobie, że mi jeszcze niczego nie powiedział.

- Och, przepraszam, mam nadzieję, że nie masz mi za złe, iż omówiłem tę sprawę najpierw z Davidem i Christine -musiałem się po prostu dowiedzieć, czy słusznie postępuję. No cóż, właściwie to przez cały czas uważałam, że dobrze robię, ale najzwyczajniej nie wiedziałem, jak ty na to zareagujesz.

- I dalej nie będziesz wiedział, jeśli nie powiesz mi, o co chodzi.

- O Charlotte i Jonathana. Chcę ich zaadoptować. Wpatrywałam się w niego, czując, jak robi mi się zimno.

- Wydaje mi się, że tak będzie najlepiej - dodał pospiesznie. - No wiesz, wtedy będą prawnie moimi dziećmi. Nie mam żadnych dziedziców i chciałbym im zapewnić dobrą przyszłość. Elżbieto, chcę być ich ojcem,, ich prawdziwym ojcem.

Nadal nie potrafiłam wykrztusić ani słowa. Spojrzałam na swoje dłonie i spostrzegłam, że są ciągle splecione z jego. Wyrwałam je czym prędzej i nagle miałam ochotę krzyczeć na Edwarda. Jak mógł

być tak głupi? Jak mogło mu w ogóle przyjść do głowy, że oddam mu dzieci Aleksandra?

- Czekałem aż do dzii, żeby się przekonać, czy nie wrócisz do ich ojca. O, Boże, Elżbieto, gdybyś tylko wiedziała, co ja...

- Głośno przełknął ślinę. - Zresztą to nie ma już znaczenia. Liczy się tylko to, że nadal jesteś tutaj i że wydajesz się szczęśliwsza. Myślę, że chcesz zostać, a skoro tak, to pragnąłbym, żebyśmy stanowili prawdziwą rodzinę.

Czy możemy, kochanie? Czy mogę być ich prawdziwym ojcem?

Wstałam powoli, nadal bojąc się odezwać, dlatego też Edward mówił dalej, a jego słowa raniły mnie niczym sztylety.

Tego wieczoru nie zeszłam na kolację. Siedziałam w swoim pokoju, obejmując się ramionami, przekonana, że jeśli je puszczę, to rozpadnę się na drobne kawałki. Aleksander był mi wtedy potrzebny jak nigdy przedtem. Potrzebny, by mi powiedzieć, że nie muszę tego robić, że to są jego dzieci i że nic ani nikt nie może nas rozdzielić. Ale go nie byk), Edward zaś prosił mnie i nalegał. Jak mogłabym mu odmówić, skoro zrobił dla nas tak wiele? Jak mogłam mu powiedzieć: nie, nie możesz mieć dzieci Aleksandra? Nagle odczułam ogromną ulgę, bo pomyślałam sobie, że nie muszę odmawiać. Skoro były to dzieci Aleksandra, to z pewnością potrzebna będzie jego zgoda, aby można było przeprowadzić adopcję, a wiedziałam, że jej nie da.

Właśnie wtedy zaczęłam bezsensownie się dręczyć. Powiedziałam Edwardowi, że potrzebuję trochę czasu do namysłu i wyjechałam do naszego domu w Londynie.

Był lodowaty marcowy wieczór. Taksówka dowiozła mnie do rogu Belgrave Square i w mżawce szukałam wśród okazałych domów właściwego numeru. Kiedy go znalazłam, odeszła mnie odwaga.

Szybko przeszłam na drugą stronę ulicy, zapięłam wysoko płaszcz i nasunęłam futrzaną czapkę nisko na oczy. W domu Aleksandra światła były zapalone, choć nie dało się zauważyć żadnego ruchu -

wnętrze wydawało się ciepłe i przytulne. Zastanawiałam się, co by Aleksander zrobił, gdyby wiedział, że tutaj stoję. Mijała godzina za godziną, aż wreszcie, przemarznięta do szpiku kości, zatrzymałam taksówkę i wróciłam do domu.

To samo robiłam następnego wieczoru. I jeszcze następnego. Aleksandra nie widziałam, choć domyślałam się, że zaparkowany przed domem Mercedes należy do niego. Wraz z upływem dni zaczynałam sobą pogardzać za okazywaną słabość.

Aż pewnego wieczoru, kiedy już miałam dosyć tego nic nie dającego wystawiania, a moje stopy zeszywniały z zimna, otworzyły się drzwi i elegancka kobieta, opatulona, podobnie jak ja, z powodu wiatru, zbiegła po schodkach, wsiadła do samochodu i odjechała. Moje serce waliło jak młotem.

Nigdy tej kobiety wcześniej nie widziałam, lecz byłam przekonana, że to Jessica.

Teraz wystarczyło tylko przejść przez ulicę i zastukać do drzwi. A

wtedy... Dobry Boże, co by się stało wtedy? Czy rzeczywiście błagałabym go o pomoc? Czy powiedziałabym mu o Jonathanie? Muszę to zrobić. Wiedziałam, że niezależnie od tego, kto na tym ucierpi czy co się stanie potem, Aleksander musi wiedzieć o zamiarach Edwarda.

Kiedy jednak zaczęłam przechodzić przez ulicę, Mercedes wrócił na placyk i Jessika, zostawiając włączony silnik, wbiegła po schodkach. Wówczas z domu wyszedł Aleksander. Śmiejąc się usiłował

ją złapać. Pisnęła, krzyżąc że tak się tylko z nim drażni. Objął ją i przycisnął tak mocno, że ponownie krzyknęła. Potem zbiegł do samochodu, zamknął drzwiczki i odjechał. Jessika stała na chodniku, patrząc za znikającym za rogiem Mercedesem. Słyszałam jej śmiech, kiedy ruszyła na drugą stronę placu, czekając, aż się tam zjawi. On tymczasem podjechał do niej na wstecznym biegu. Gdy odjeżdżali razem, widziałam, że nadal się śmieje, skryłam się więc w półmroku, kiedy mnie mijali.

David przysiadł koło mnie na kanapie.

- Jeffrey powiedział mi, że już wróciłaś. - Siedzieliśmy w Błękitnym Sabnie, przylegającym do jadalni, z którego jednak rzadko korzystaliśmy.

- Znudziły mnie rozrywki - odrzekłam. - Gdzie jest Edward?

- Pojechał z dziećmi odwiedzić Violet May. Wesołe miasteczko rozbiło się zaledwie kilka mil stąd.

Wiedziałaś o tym?

Mary przyniosła na tacy herbatę, którą David rozlał do fdiżanek. Siedzieliśmy w milczeniu, przyglądając się strzelającym w kominku polanom.

- Czy już zdecydowałaś, co odpowiesz Edwardowi? - spytał delikatnie. Potrząsnęłam głową.

- Sama nie wiem, co zrobić.

Objął mnie i położył moją głowę na swoim ramieniu.

- Widziałam go, Davidzie, dlatego pojechałam do Londynu.

- Tak się domyślałem. I co powiedział?

- Nic. Nie rozmawiałam z nim.

- Dlaczego?

- To nieważne.

- Gdyby wiedział o dzieciach, to czy chciałby je zatrzymać?

- Tak, bardzo - zaczęłam pociągać nosem. - Bardzo chciałby je mieć.

- No to może w takim razie powinnaś pozwolić Edwardowi je

zaadoptować. Tym samym, jeśli ich ojciec kiedykolwiek dowie się o dzieciach, nie będzie mógł ich odebrać.

- Nie, sama nie wiem. Gdyby Al... gdyby wiedział, że w ogóle to biorę pod uwagę, to...

- Nigdy się o tym nie dowie.

- Ale będę potrzebowała jego zgody.

- Nie. On jest tak zwanym domniemanym ojcem. I jako taki nie musi nawet wiedzieć o adopcji.

Posłyszałam nagle okropny szum w uszach. Niemożliwe, to była moja ostatnia nadzieja.

- Nie musi? - wyszeptałam. David pokręcił głową.

- Edward rozmawiał już z adwokatem. Bardzo mu na tym zależy, Elżbieto.

Wyprostowałam się i odwróciłam głowę, żeby spojrzeć w biedną, pokrytą bliznami twarz Davida.

Kochał swojego brata i wiedział, jak bardzo zraniłam Edwarda, próbując wmówić mu, że jest ojcem Jonathana. Ta adopcja to mój dług wobec Edwarda - tyle chciał mi powiedzieć David.

Adopcja została więc przeprowadzona i Charlotta oraz Jonathan nie należeli już do Aleksandra.

Rozdział 22

Pierwszy dzień Charlotty w Żeńskiej Szkole Św. Pawła na zawsze utkwiał nam wszystkim w pamięci.

Zaszczyt zawiezienia jej tam przypadł w udziale Edwardowi, a ponieważ miała już dziesięć lat, pozwolił jej siedzieć z przodu. Jonathan, który rozpoczynał przedszkole dopiero w następnym tygodniu, koniecznie chciał jechać z nimi. Stałam z Christine, Kanarkiem, Jeffreyem oraz Mary przy drzwiach, ocierając łzy i machając ręką na pożegnanie. Widziałam przez szybę Rolls-Royce'a, jej duże szare oczy roziskrzone oczekiwaniem na nowe przygody. Żeby uczcić to wydarzenie,

David zamierzał przyjechać popołudniem do Londynu z Jenifer Illingworth. Ale Charlotta miała dowiedzieć się o tym, że David na nią czeka w towarzystwie, dopiero po wyjściu ze szkoły.

Telefon zadzwonił kilka minut po wpół do czwartej. To nie była niczyja wina. No bo kto mógł

przewidzieć, że podniecona dziesięciolatka wybiegnie na ulicę na spotkanie stryja tuż pod wyjeżdżający z za rogu motocykl?

Gdy dotarliśmy do szpitala, David oczekiwał nas na ławeczce przed salą operacyjną. Obok niego siedział chłopak w skórze z kaskiem motocyklowym w rękę. Popatrzyłam na niego. Christine odprowadziła mnie na bok, kiedy Edward i David z nim rozmawiali.

Lekarz wyszedł do nas po bardzo długim oczekiwaniu i wprowadził do separatki. Mam wrażenie, że krzyknęłam na widok jej małego ciała w łóżku, ponieważ doktor gwałtownie się obrócił w moją stronę, Christine zaś objęła mnie ramieniem. Odepchnęłam ją jednak i podbiegłam do łóżka.

Charlotcie przymocowano rurki do nadgarstków, ust i nosa. Oczy miała zamknięte, a twarzyczkę tak białą jak poduszka, na której spoczywała jej główka.

Odwróciłam się do lekarza.

- Czy ona... czy ona...

Przez chwilę przyglądał mi się bez słowa, a potem obrócił ponurą twarz w kierunku Charlotty. Sam tego nie wiedział.

Edward wyszedł z nim na korytarz, aby dowiedzieć się, jakie odniosła obrażenia. Ja jeszcze nie byłam w stanie wysłuchać tych szczegółów. Wiedziałam tylko, że może umrzeć i że niezależnie od wszystkiego nie wolno mi od niej odejść. Modliłam się wtedy tak jak nigdy. David też się modlił. Był

w szoku i doktor chciał go położyć w pokoju obok. David obwinił siebie. Gdyby przyjechał kilka minut wcześniej, zna-

lałyby się po właściwej stronie ulicy i Charlotta nie musiałaby biec... Gdyby ten taksówkarz nie zablokował jednokierunkowej uliczki, nie spóźniłby się... Christine starała się go uspokoić. Edward trzymał mnie za rękę, ale się nie odzywał. Słysząc było tylko dźwięk aparatury kontrolującej nierównomierny rytm życia Charlotty - bip, bip... bip, bip...

‘W pokoju było ciemno, Edward nadal siedział obok mnie. Podświadomie wiedziałam, że nie śpi mimo przymkniętych powiek. Christine też siedziała w pokoju. Głowa opadła jej na bok, miała otwarte usta. Nie widziałam za to nigdzie Davida, ale przypomniałam sobie jak przez mgłę, że w końcu posłuchał doktora i poszedł się położyć.

Byłam całkowicie wyczerpana. Ktoś mi kiedyś opowiadał, że jeśli człowiek postara się skoncentrować, może wniknąć w umysł drugiego

człowieka. Podobno w ten sposób udało się ocalić życie niejednej osobie. Właśnie to robiłam przez ostatnie siedem godzin z Charlottą. Każdy gram energii, jaki się we mnie znajdował, próbowałam przekazać jej. Gdzieś tam, w dalekich zakamarkach pogranicza życia i śmierci, starałam się ją chwycić i przyprowadzić z powrotem do siebie. Oddychała już tak płytko, że jej małeńka klatka piersiowa wcale się nie poruszała.

Spojrzałam na twarz Charlotty. Zdawała się taka samotna. Och, gdybym to ja mogła tu leżeć zamiast niej! Podniosłam kosmyk włosów córeczki spoczywający na poduszce i owinęłam go wokół palca.

- Charlotto, proszę cię - szepnęłam. - Proszę cię, moje kochanie, nie odchodź!

Nie poruszyła się. Spojrzałam na ciemny lok i po raz pierwszy od momentu, kiedy dowiedziałam się o wypadku, pomyślałam o Aleksandrze.

Edward otworzył oczy.

- Co się dzieje? - a gdy zobaczył, że się podniosłam, wstał i on. - Dokąd idziesz?

- Przepraszam cię, Edwardzie! - jęknęłam. - Proszę cię, postaraj się zrozumieć! On jest jej ojcem!

Christine złapała mnie przy drzwiach.

- Elżbieto, nie! — syknęła. — Nie! Teraz jej ojcem jest Edward. Nie możesz mu tego zrobić!

- Moja córka umiera, o ty mi mówisz, co mogę zrobić, a czego nie? A ja uważam, że on musi ją zobaczyć. Christine, zjedź mi z drogi! - Zaczęłyśmy się szamotać w drzwiach. Christine była silniejsza ode mnie, udało się jej chwycić mnie za ramiona i odwrócić.

- Popatrz! Tylko popatrz na niego!

Edward pochylił się, oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach.

Nie rób mu tego, Elżbieto, nie rób mu tego!

- Tak mi przykro. Christine, Edwardzie, przepraszam cię! -Otworzyłam drzwi na oścież i ruszyłam korytarzem. Już wsiadałam do windy, kiedy usłyszałam Christine.

- Elżbieto! Charlotta odzyskała przytomność! Chodź szybko!

Wciąż niepewna o jej los, popędziłam z powrotem korytarzem. Gdy wpadłam do pokoju, zobaczyłam, że moja córeczka ma szeroko otwarte oczy - dwa ciemne krążki w bladej twarzyczce.

- Charlotto! - szepnęłam. Edward odsunął się na bok, gdy podbiegłam do łóżka. - Charlotto; kochanie.

To mamusia, jestem tutaj, aniołku. Jestem tutaj.

Do sali weszła pielęgniarka i włączyła górne światło. Próbowwała minąć mnie i podejść bliżej, ale ciągle wchodziłam jej w drogę. Teraz, gdy znalazłam się bliżej mojego dziecka, dostrzegłam, że Charlotta ma oczy szeroko otwarte, i zastanawiałam się, czy mnie widzi.

- Mamusia? - wyszeptała chrapliwie.

- Tak kochanie, mamusia jest tutaj.

- Mamusia?

Spojrzałam przerażona na Edwarda. Nie słyszała mnie.

Dwie olbrzymie łzy spłynęły z kącików jej oczu.

- Jest ciemno. Gdzie jest moja mamusia?

Aleksander

Rozdział 23

Henry gwizdnął cicho, kiedy jego piłka poszybowała do nieba i wylądowała zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od osiemnastego pola.

- Powiedziałbym, że to cholernie dobry strzał. Odsunął się, by mi zrobić miejsce. - No więc, ile wygrałeś?

- Dziesięć funtów.

- Dziesięć? Tylko tyle?

- Było dwadzieścia - rzekłem, wybierając drewniany kij numer jeden - ale Froggo nie zgodził się wybulić pozostałych dziesięciu. Twierdził, że nie wypowiedziałem dokładnie tych słów, co potrzeba.

- No to posłuchajmy teraz, jak udało ci się przeszmułować tę odrobinę świętokradztwa.

Umieściłem piłkę na podkładce, a następnie opierając się na kijku opowiedziałem Henry'emu rozmowę z sędzią z poprzedniego dnia, kiedy Froggo, oskarżyciel w sprawie Saxony, założył się ze mną o dwadzieścia funtów, że nie uda mi się wcisnąć do mojej mowy zdania: „Weź swoją pościel i idź”.

Ponieważ sprawa dotyczyła kradzieży z bronią w ręku wypłat w hurtowni pościeli na East Endzie, gdy powiedziałem: „A zatem proszę sędziów przysięgłych o uważne rozważenie przedstawionych dowodów, ponieważ gdybyśmy pozwolili któremukolwiek z oskarżonych wziąć swoją pościel i wyjść z tej sali sądowej jako wolnemu człowiekowi, oznaczałoby to, że stwarzamy im warunki, by stanowili zagrożenie dla kolejnych istnień ludzkich...”, otrzymałem rzadką pochwałę w postaci mrugnięcia okiem ze

strony zwykle niewzruszonego sędziego Burra.

- Przeważnie nie jesteś aż tak sentymentalny, staruszkę — mruknął Henry.

Wzruszyłem ramionami i uderzyłem piłkę. Obaj z niesmakiem przyglądaliśmy się, jak zakręciła się na końcu drewnianego kija i poleciała w kierunku kępki drzew, by następnie wylądować Bóg jeden raczy wiedzieć gdzie, prawdopodobnie w leżącym z tyłu jezioru.

- O, Boże, Aleksandrze - coś takiego robisz już dzisiaj po raz trzeci. Co za diabeł w ciebie wstąpił?

- Mogę mieć gorszy dzień, prawda? Wzięliśmy kije i ruszyliśmy wzdłuż toru.

- W domu u ciebie wszystko w porządku? Jessika czuje się dobrze?

- Henry, chyba nie zaczniesz zabawiać się w psychoanalitka tylko dlatego, że miałem dzisiaj trzy złe uderzenia?

- Tak się tylko pytam. Powiedz mi, jak ci poszło z tą blondynką Rosalindą, jak jej tam?

- Jaką Rosalindą?

- Nie rób ze mnie idioty, staruszkę. Rozmawiasz przecież z Henrym. Chodzi mi o doradcę prawnego w sprawie Godwina.

- Rosalindą Blake. No więc?

- Henry, od kiedy stałeś się szacownym żonkosiem, wydaje ci się najwyraźniej, że wszyscy faceci wskakują bez przerwy do łóżka każdej kobiety, jaka im się nawinie. Ja natomiast już na dobre zerwałem z takim stylem życia. Dla mnie to już przeszłość, mówiłem ci to nie raz. Dlaczego nie chcesz mi uwierzyć?

- Bo to niezgodne z twoją naturą.

- Nie w sytuacji, gdy mam kaleką żonę, która mogłaby nie być kaleką, gdybym ja nie...

- Nie powiedziałbym, że strata trzech palców u prawej ręki czyni z niej kalekę. A ostatnio trudno nawet zauważyć, że utyka.

- Zapewniam cię, że ten, kto z nią żyje, zmuszony jest dostrzec nie tylko, że utyka, ale również wszystkie inne zeszpecenia, aby kilka razy na dzień czynić jej zadośćuczynienie.

Rozstaliśmy się w tym momencie, gdyż ja ruszyłem na poszukiwanie piłki.

Życie z Jessiką było nawet gorsze niż przed wypadkiem. Straciła

całkowicie swą pewność siebie i mimo że starałem się nieustannie, żadne moje gesty czy słowa nie potrafiły jej tego przywrócić. Nie mogłem mieć do niej żalu, że mi nie ufa, ale kiedy miała zły nastrój, życie stawało się na tyle nieznośne, że pragnąłem jedynie pójść sobie i nigdy już nie wracać.

Oczywiście nie mogłem tego zrobić, bo sumienie by mi nie pozwoliło. A gdybym kiedykolwiek chciał zapomnieć o swoim sumieniu, Jessika zawsze była pod ręką, żeby mi przypomnieć, jak to zaginałem gdzieś ze swoją „dziwką”, a ona musiała się błąkać po wiejskich drogach poszukując mnie.

- To ja siedziałam za kierownicą, kiedy wjechała na nas ciężarówka! Ciężarówka, która zabiła twoją matkę! I moje dziecko! Równie dobrze ty mogłeś siedzieć za kierownicą tej ciężarówki!

Teraz już wiem, dlaczego skłamała, mówiąc mi, że jestem niepłodny. Jak to zresztą zdarzało się u niej często, rozumowanie Jessiki było niezwykle pokrętne — chciała, żeby w moim życiu pojawiło się coś, czego nie mogłem osiągnąć, chciała, żebym cierpiał tak, jak ona cierpiała przeze mnie w ciągu tych wszystkich lat naszego małżeństwa. Moje pragnienie, by mieć dzieci, stało się jakby prezentem dla niej — tak mi powiedziała - ponieważ mężczyzny nic nie jest w stanie zranić bardziej niż podanie w wątpliwość jego męskości. Kiedy wyjaśniłem jej, że tego typu kłamstwo mogło tak naprawdę całkowicie mnie zniszczyć, odrzekła spokojnie, że na to zasłużyłem. Gdy jednak wyczuła, że zaczyna mnie tracić, zajęście w ciążę zdawało się jej jedynym sposobem, by mnie zatrzymać. Nie mając wycucia, popełniłem błąd pytając, czy to dziecko było moje, za co ona napadła na mnie, sycząc i prychnając jak dzika kotka.

To wszystko nastąpiło podczas jej pobytu w szpitalu, gdzie wychodziła z załamania nerwowego, do którego doszło w wyniku wypadku. Doktor uważał, że jej stan emocjonalny był spowodowany w równym stopniu obawami, że już nigdy nie będzie mogła malować, jak i przeżyciami związanymi z wypadkiem. Malowała codziennie, i głównym obrazem na jej pierwszej wystawie po wyjściu ze szpitala była makabryczna impresja z kraksy samochodowej. Tym bardziej przerażająca, że Jessika zadedykowała ją mnie.

Silna nić sympatii, jaka nawiązała się między Jessiką i moim ojcem, od kiedy wycofał swoją rezygnację z rządu i przeprowadził się do domu przy Belgrave Square, zarówno dziwiła mnie, jak i złościła. Bez końca rozmawiali o mojej matce i o tym, jak niezastąpiona była dla nich obojga. W rzeczywistości Jessika

i moja matka nigdy się tak naprawdę nie dogadywały i chociaż wiedziałem, że w ten sposób Jess próbuje sobie poradzić z tym, co się stało, złościła mnie jej hipokryzja.

Popadała w tak szaleńczo zmienne nastroje, że zacząłem przesiadywać do późnych godzin w kancelarii - robiłem wszystko, byleby nie wracać do domu. Zaledwie tydzień temu ofiarowała mi mój portret. Jakoś niechętnie o nim wcześniej mówiła. Kiedy następnego dnia zjawiłem się w domu, portret został pocięty, a w moim gardle tkwił sztylet. Cienka strużka krwi spływała z rany na ramię.

Gdy stałem porażony tym wstrząsającym widokiem, Jessika weszła do pokoju z miłym uśmiechem na ustach, wymachując dużą brązową kopertą.

- Właśnie na ciebie czekałam - rzekła. - Może podasz mi adres swojej dziewczyny? Pomyślałam sobie, że pewnie zechciałyby mieć ten obraz na pamiątkę.

Trzy lata minęły od mego wyjazdu do Sark, a ona nadal zmuszała mnie, bym za ten wyskok płacił.

Tyle dobrego, że nigdy jej nie powiedziałem o Charlotte. Ale właściwie w ciągu dnia nie było minuty, abym nie myślał o mojej córce; czasami tak bardzo tęskniłem za Elżbietą, za jej nieskomplikowaną miłością do mnie, że stawało się to nie do zniesienia...

- Hej! - krzyknął Henry. - Gramy rundkę golfa czy nie? Jesteś setki mil stąd, staruszk. No dalej, skończmy już to! Zmarzłem na kość i koniecznie muszę się czegoś napić.

W przyspieszonym tempie skończyliśmy rundę i powoli ruszyliśmy w kierunku budynku klubu.

- Posłuchaj, Henry - odezwałem się, kiedy schodziliśmy ze wzgórza obok siedemnastego dołka. -

Chcę ci coś powiedzieć, ale nie rób z tego powodu wielkiego halo.

- Strzelaj, stary!

- Chodzi mi o Elżbietę. Zatrzymał się.

- A o co konkretnie?

- Może pomyślisz, że zwariowałem, ale mam wrażenie, że mnie potrzebuje.

Ponieważ nie odpowiadał, ciągnąłem:

- Nie wiem, co to jest, nie potrafię tego nazwać, ale mam przeczucie, że... - Wzruszyłem ramionami. -

A może tak mi się tylko wydaje.

Powoli się obrócił i ruszył w dół wzgórza.

- Czy zamierzasz w związku z tym coś zrobić? - spytał w końcu.

- A co ja mogę zrobić? Już wcześniej próbowałem ją znaleźć, pamiętasz?

Nawet nie wiem, jak się teraz nazywa.

Doszliśmy do budynku klubu i Henry nachylił się, by zdjąć buty.

- Przypuszczam, że zawsze mógłbyś spróbować telepatii.

- A cóż to, na Boga, za odpowiedź?

- Tylko sugestia, staruszkule! - powiedział i waląc mnie w plecy wszedł do środka, by zamówić drinki.

W czasie przygotowań do procesu Godwina spędzaliśmy dużo czasu z Rosalindą Blake. Była niezwykłą kobietą z bezładną gmatwaniną rudych włosów i o jasnoniebieskich oczach, które dziwnie wyglądały przy jej sposobie bycia osoby trzymającej się nieco na uboczu, lecz kompetentnej.

Bardzo lubiłem z nią przebywać i byłem dość dumny z tej znajomości, w której żadna strona nie dąży do tego, by drugą zaciągnąć do łóżka.

Niesprecyzowane uczucie, że Elżbieta mnie potrzebuje, zniknęło, a jeśli w ogóle o niej myślałem, spisywałem to na rachunek braku snu oraz psikusów podświadomości. Tłumaczyłem sobie trzeźwo, że gdyby mnie naprawdę potrzebowała, znalazłaby sposób, by się ze mną skontaktować.

Po pierwszym dniu procesu, kiedy ogłoszono już wstępne oświadczenia, a także powołano pierwszego świadka, poszliśmy z Rosalindą na drinka. Nie za bardzo byłem zadowolony

z przebiegu rozprawy, a ponadto złościła mnie postawa Godwina, który najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji. On mógł swój czyn nazywać eutanazją, w sądzie jednak określa się to mianem zabójstwa bądź morderstwa. Rosalindą próbowała mnie uspokoić, twierdząc, że jutro będzie lepiej, a ja naskoczyłem na nią, że traktuje mnie jak dziecko.

Wylądowaliśmy w końcu w jej mieszkaniu. Zanim tam dotarliśmy, zdążyłem wypić morze alkoholu.

Mimo to czułem się trzeźwy, choć okropnie przygnębiony. Przez cały czas rozmawialiśmy o Godwinie i o tym, co wraz z żoną musieli razem przechodzić, zanim pomógł jej zakończyć życie. To temat, który łatwo może człowieka przygnębić.

Zaskoczyło mnie mieszkanie Rosalindy. Przy jej wyglądzie jak z obrazów prerafaelitów spodziewałem się, że będzie ono urządzone antykami.

Niemniej najnowsze zdobycze techniki również do niej pasowały. Jej obcasy stuknęły po białych kafelkach karytarza - po drodze kopnęła na miejsce dywanik. Ja podążałem za nią do kuchni, w której aż roilo się od wszelkich możliwych sprzętów domowych.

- Wiem, o czym myślisz - rzekła. - Zastanawiasz się, jak ktoś z moją pensją może sobie pozwolić na te luksusy.

- No cóż, muszę przyznać...

- To wszystko należy do mojego męża - byłego męża. Czy też raczej mogłoby należeć, gdyby wrócił i zażądał zwrotu tych sprzętów.

- A gdzie jest teraz? Wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Trzy lata temu wyszedł pewnego ranka do pracy i od tamtej pory go nie widziałam.

- A nie powiedział ci...?

- Ależ tak. Tydzień później zatelefonował, informując, że nie ma już dłużej ochoty pozostawać w małżeńskim stadle i że zamierza się zająć swoimi sprawami. Byłam wtedy zrozpaczona, ale bardziej ze względu na syna niż na mnie samą. - Nie wiedziałem, że masz syna.

- Jest w szkole z internatem. W Ghartherhouse, w Surrey. W przyszłym tygodniu skończy trzynaście lat. Pojadę się z nim zobaczyć, ale najlepszy prezent, jaki mógłby dostać, to powrót ojca. Tyle dobrego, że sukinsyn zostawił mi dosyć pieniędzy na wykształcenie chłopaka. Człowiek powinien się cieszyć nawet drobiazgami, nie uważasz?

- Ciekaw jestem, czy w dzisiejszych czasach w jakimkolwiek małżeństwie dobrze się układa? - westchnąłem.

- Na pewno w niektórych tak - odwróciła się, by na mnie spojrzeć, a jej uniesione brwi wyrażały zdziwienie. - Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że u ciebie...

- O moim małżeństwie lepiej w ogóle nie rozmawiajmy. Wzięliśmy kawę i przeszliśmy do salonu.

- Twoja żona jest feministką, prawda? - spytała Rosalinda, podwijając pod siebie nogi na przeciwnym krańcu białej skórzanej kanapy. - Pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych odwaliła sporo roboty. Pamiętam, że jej nazwisko nieustannie pojawiała się w prasie. Jak to znosiłeś?

Nie denerwowała cię ta jej aktywność?

- Cholernie. Nie zrozum mnie źle. Nie mam nic przeciwko równości płci. Nie zgadzam się jednak z motywacją Jessiki -choć może ona sama jej sobie nie uświadamiała. Ale po prostu wykorzystywała sprawy kobiet jako broń przeciwko mnie.

- Jako broń czy może jako tarczę?

- Czy ja wyglądam na człowieka, przed którym należy się bronić? - spytałem, patrząc w jej niebieskie oczy.

- Dokładnie. I już mogę sobie wyobrazić, jaki byłeś na studiach. Moim zdaniem Jessika wykazała niezwykłą odwagę, biorąc sobie ciebie na kark.

- Zwłaszcza jeśli wiedziała, że kocham kogoś innego.

- A tak było?

- Nadal jest.

- Biedna Jessika. Musiało jej być z tobą bardzo ciężko -urwała. - A ta druga kobieta? Czy Jessika wie, że nadal ją kochasz?

- Ależ tak, wie.

- Chciałabym ją poznać. Chodzi mi o Jessikę.

- No to będziesz musiała znaleźć kogoś innego, kto ci ją przedstawi. - Spojrzałem na zegarek. - Chyba powinienem już sobie pójść.

- A musisz? Mógłbyś zanoć tutaj.

Zaskoczyło mnie to, ale pomyślałem, że proponuje mi wolny pokój. Dopiero kiedy spojrzałem na jej twarz, zorientowałem się, że nie to miała na myśli.

- Czy jesteś zdziwiony? - spytała.

- Chyba owszem, trochę. No bo widzisz, wcale się nie spodziewałem, kiedy tu przyszedłem...

- Wiem. - Odstawiła filiżankę na stolik. Przesunąłem się po kanapie w jej stronę, wziąłem ją w ramiona i pocałowałem, czekając na dreszcz pożądania, który się powinien we mnie wzbudzić. Po chwili Rosalinda poprowadziła mnie przez ciemny hol do znajdującej się na końcu sypialni. Nadal czekałem na swoją reakcję, gdy zaczęła się rozbierać. Przyglądałem się jej, ale dopiero kiedy naga położyła się w pościeli, zdałem sobie sprawę, że nic z tego nie będzie.

Prosiłem, by mi wybaczyła. To nie dlatego, że mi się nie podoba, mówiłem, ale dlatego, że... Starłem się unikać jej wzroku i jak rozdrażniony chłopiec walnąłem pięścią we framugę drzwi. A po chwili, ku własnemu przerażeniu, łkałem w jej ramionach.

Szybko się jednak zebrałem w sobie, prokurując naprędce jakieś niezbyt przekonujące tłumaczenie o tym, że za dużo wypięłem, że mam zbyt wiele spraw na głowie, i wyrwałem się jej, zanim zacząłbym się kompromitować jeszcze bardziej.

Do domu dotarłem ostatecznie po pierwszej, gdzie odkryłem, że Jessika spakowała się i wyprowadziła. Wiedziałem, że to kolejny pusty gest. Poszedłem na górę, wrzuciłem kilka rzeczy do walizki i wcześniej rano wyjechałem do Suffolk, gdzie miałem spędzić weekend, usuwając skutki najobfitszych od lat opadów śniegu. Zostawiłem Jessice kartkę, wiedząc, że i tak do mnie dołączy -

zawsze tak było.

Kiedy w poniedziałek spotkaliśmy się z Rosalindą, nie wspominała ani słowem o tym, co zaszło.

Byłem ogromnie zawstydzony, więc tym bardziej doceniałem jej zachowanie. Tak się już przyzwyczailem do scen, jakie robiła mi Jessika przy najmniejszym choćby objawie słabości, że delikatność Rosalindy wzruszała mnie bardzo i w pewnym sensie przypominała Elżbietę.

Godwin został uznany winnym i skazany na dwa lata w zawieszeniu. Wraz z Rosalindą zabraliśmy go z córką na drinka.

Po rozstaniu z nimi zaprosiłem Rosalindę do galerii, gdzie tego wieczoru miał się odbyć wernisaż Jessiki. Zatelefonowałem do Henry'ego i poprosiłem, by wraz z Caroline wyprowadzili Rosalindę -

gdyby zjawiała się ze mną, Jessika wpadłaby w furję.

Kiedy przybyłem do galerii, Jessika była w dobrym nastroju, zajęta ostatnimi przygotowaniem. Mój ojciec też już zdążył przyjechać, jak zwykle służąc radą, wziąłem więc sobie kieliszek wina i wycofawszy się czekałem.

Na wystawach Jessiki zawsze zjawiała się doborowa publiczność i czerwone naklejki szybko trafiały na ramy obrazów. Temat ostatniej ekspozycji był raczej jak na nią zrównoważony, w porównaniu z jej dotychczasowymi ciągotami w stronę surrealizmu i abstrakcji. Wiosną spędziliśmy miesiąc w Toskanii. Włoskie wzgórza i dolinę uczyniła tłem do cyklu obrazów zatytułowanych „Dziecko zagubione w Toskanii”. Dziecko, które w każdym obrazie trzeba było dobrze szukać, nosiło

uderzające cechy podobieństwa do Jessiki, choć na jednym czy dwóch płótnach pojawiała się zaledwie jako płód. Zrobiła mi przegląd wszystkich po kolei kompozycji kilka tygodni wcześniej, przekonana, że w przeciwnym

wypadku nigdy bym nie zrozumiał ich ukrytego znaczenia. Odwołanie się do płodu było aż nazbyt wymowne - nie musiała do tego dodawać: „Chciałabym myśleć, że nasze dziecko jest w jakimś pięknym kraju, jak uważasz, kochanie?”

Kiedy przyglądałem jej się teraz, jak podniecona, niezwykle zręcznie krążyła między gośćmi, nagle odczułem przemożną chęć wyjścia stąd. Nie należałem do jej świata - nigdy przedtem zresztą też nie.

Nie znosiłem farsy, jaką odstawialiśmy na każdym wernisażu. Ludzie mówili o nas - nawet pisali -

jako o kochającym się małżeństwie, kiedy nic nie mogło być dalsze od prawdy. Mnie trzymało przy niej tylko i wyłącznie poczucie winy, a tak naprawdę chciałem znaleźć się od Jessiki najdalej, jak to możliwe... Ale właśnie szła w moim kierunku, uśmiechnięta, wyciągając ku mnie rękę. Szepnęła mi do ucha coś, czego nie zrozumiałem, a następnie cmoknęła w policzek.

- Zaniedbywałam cię - rzekła. - Ale to wina twego ojca. Zaprosił tylu ludzi i chce, żebym wszystkich poznała. Czy miałaś miły dzień?

Skinąłem głową, myśląc o czymś innym i potem zajrzałem jej w oczy. Może i odnosiła sukcesy, ale wiedziałem, że jest również niezmiernie delikatna. Minie jeszcze sporo czasu, zanim odzyska w pełni zniszczone zaufanie do siebie. Potrzebowała mnie teraz jak nigdy dotychczas. Tak jakby bała się cokolwiek zrobić beze mnie, chociaż nie mogła zapanować nad sobą na tyle, by mnie nie ranić i nie czuć do mnie niechęci.

- Jess! Ach, tutaj jesteś! - Ojciec położył jej rękę na ramieniu. - Przyszedł ten gość z „Timesa”, chodź

przywitać się z nim. Henry cię szuka - rzucił w moim kierunku zabierając Jessikę.

Odnalazłem Henry'ego i Caroline. - Caroline była już w dość zaawansowanej trzeciej ciąży. Stali przy stole, na którym znajdował się bar. Rozejrzałem się w poszukiwaniu Rosalindy.

- Poszła do toalety - szepnął Henry. - Mówi, że bardzo chciałaby poznać Jessikę. Czy myślisz, że to rozsądne?

- Nie mam nic do ukrycia. Poza tym chyba Rosalinda nie będzie rzucać tekstów w stylu: „My się przecież skądś znamy”.

- W porządku. No to kim ona jest?

- Naturalnie waszą znajomą.

Pół godziny później spostrzegłem Rosalindę stojącą w rogu sali z Jessiką.

Oglądały jeden z obrazów i już słyszałem Jessikę wyjaśniającą jego znaczenie. Przyglądając im się przez chwilę doszedłem do wniosku, że spotkał je w życiu podobny los. W pewnym sensie obie ucierpiały z rąk mężczyzn, których kochały. Miałem nadzieję, że się zaprzyjaźnią - pasowałyby do siebie.

Po wernisażu całą szóstką - Henry, Caroline, Rosalinda, Jessika, mój ojciec i ja - poszliśmy do Langana. Jessika i Rosalinda prawie w ogóle nie zwracały uwagi na rozmowę przy stole - za bardzo były zajęte sobą.

Od tamtej pory Rosalinda często bywała w naszym domu. Tak doskonale dogadywały się z Jessiką, że czasami czułem się przy nich, jakbym był niepotrzebny. Przy rzadkich okazjach szliśmy z Rosalindą na lunch, ale wtedy właściwie nie mówiliśmy o mojej żonie - Rosalinda tylko wspominała, że jej zdaniem Jessika odzyskuje pewność siebie. Musiałem jej przyznać rację. Po pierwsze, Rosalinda rozbudziła na nowo zainteresowanie Jessiki ruchem kobiet. Nigdy nie wiedziałem, na jakim wiecu są właśnie i gdzie, ale za każdym razem, kiedy Jessika wracała z takiego wiecu czy marszu, była inną osobą. Teraz, bez cienia goryczy, walczyła o równe prawa obu płci; pojawiła się w niej delikatność, która również znalazła swój wyraz w jej obrazach.

Dość szczególnie odbierałem tę częściową niezależność i częściową zależność Jessiki od drugiej osoby. Z jednej strony czułem się wolny, znowu mogłem swobodnie oddychać, a z drugiej, brakowało mi jej. Brakowało mi kłótni i niezgody. Brakowało mi jej obecności w domu, kiedy wracałem po długim dniu. Brakowało mi jej podejścia do mego ojca. Ale chyba najbardziej brakowało mi gwałtownych, sadystycznych gestów Jessiki - okrutnych dowcipów, pijackiej złośliwości, dziwacznych żartów. Jakże często, gdy przychodziłem do domu, zastawałem nagryzoloną kartkę: „Wróć za kilka dni” albo też telefonowała od Rosalindy informując mnie, że zostaje u niej na noc. Im mocniej Jessika stawała na własnych nogach, tym ja się czułem bardziej nieważny i niepotrzebny; musiałem się chyba czuć tak jak Jessika w czasie tych wszystkich lat naszego małżeństwa. Naturalnie z tą różnicą, że ona mnie nie zostawiła. Nadal spaliśmy w tym samym łóżku, od czasu do czasu jedliśmy razem kolację, a nawet wyjeżdżaliśmy razem na weekendy. Ale było tak, jakby zaczęła przerastać nasze małżeństwo, jakby uczyła się wolności poza nim.

- Mam wrażenie, że układa nam się lepiej niż kiedykolwiek, nie uważasz?

- rzekła pewnego dnia. - Już ze sobą nie walczymy. Ja przestałam cię nienawidzić i nie przeszkadza mi tak bardzo to, że mnie nie kochasz.

- Ach tak?

- W porządku - kłamię. Bardzo mi przeszkadza, ale potrafię sobie teraz znacznie lepiej z tym poradzić.

Rosalinda ma na mnie cudowny wpływ, nie uważasz? Pomogła mi się ze wszystkim uporać. Nauczyła mnie myśleć o sobie jak o indywidualnej osobie - no wiesz, jak o Jessice, a nie jak o Jessice z Aleksandrem.

- Czy jest w tym wszystkim jakieś miejsce dla mnie?

- Och, nie sil się przy mnie na sentymenty, w każdym razie nie teraz. W przeszłości dałam się na nie zbyt często nabierać. Znowu na koniec i tak byś mnie zranił.

- Nigdy nie raniłem cię rozmyślnie. Wiem.

- Kochasz mnie, Jess?

- Wiesz, że tak A ty? Myślisz, że mógłbyś teraz zacząć mnie kochać?

- Zawsze cię kochałem, tylko nie w sposób... Nie, nie mów już nic.

- Brakuje mi ciebie.

- Mnie ciebie też. Ale tak jest lepiej.

To po tej rozmowie, gdy poleciała z Rosalindą na weekend do Rzymu, zdałem sobie sprawę z tego, że oszukiwałem sam siebie. Wcale mi jej nie brakowało. Tęskniłem za to do Elżbiety, sam siebie mamiłem myśląc, że' chodzi o Jessikę, ponieważ w ciągu ostatnich trzech lat rzadko kiedy pozwalałem sobie na myślenie o Elżbiecie - wspomnienia i tęsknota były zbyt bolesne. Teraz nie miałem niczego, co by zapełniło godziny mojej samotności, nikogo, kto domagałby się mojej uwagi, nikogo, kto by mi nieustannie przypominał, że zniszczyłem mu życie. Wreszcie mogłem spokojnie pomyśleć o Elżbiecie.

Z lotniska odebrał Rosalindę i Jessikę mój ojciec. Zawiózł je następnie do Henrygo, gdzie tego dnia byliśmy wszyscy zaproszeni na kolację. Rosalindą zdążyła jednak wyjść, zanim ja tam dotarłem.

Zatelefonowano do niej, że jej syna odwieziono do szpitala z zapaleniem wyrostka robaczkowego.

Henry powiedział mi, że Jessika początkowo zaproponowała, że z nią pojedzie, ale: „później zmieniła zdanie. Czekał tylko, aż ją zobaczysz, wygląda wspaniale. Moim zdaniem ma ochotę na małe bara-bara”.

- Tobie nic tylko seks w głowie! - powiedziałem.

- Mnie?

- No bo co innego można powiedzieć o facecie, który w ciągu trzech lat dorobił się trójki dzieci?

- Dwójki - poprawiła Caroline, wtaczając się przez drzwi. -

Trzecie nie może się chwilowo zdecydować, kiedy ma wyjść na świat. Już bym, cholera, chciała to mieć za sobą. Czy powiedziałaś „dobranoc” swemu chrześniakowi? — spytała mnie na koniec.

Gdy po przeczytaniu dwóch opowiadań o misiu Rupercie zszedłem na dół, stół został nakryty do kolacji. Po urodzeniu się Sary, drugiego dziecka, Henry i Caroline wyprowadzili się z domu przy Eaton Square do Chelsea, gdzie często ich odwiedzaliśmy.

Henry miał rację - Jessika faktycznie wyglądała wspaniale. W Rzymie obcięła włosy - sprawiały teraz wrażenie również jaśniejszych. Po raz pierwszy widziałem ją w takiej fryzurze - teraz jej oczy zdawały się większe, a usta pełniejsze. Miała na sobie swe normalne dżinsy i sweter, ale dzisiaj nawet one wydawały się nieco inne.

Zarzuciła mi ramiona na szyję, kiedy ją pocałowałem.

- Jesteś zmęczony - zauważyła. - Mam nadzieję, że gdy ja byłam w Rzymie, nie zabawiałeś się do późna w nocy?

Odsunąłem ją.

- Siadajmy.

Posmutniała, ale ojciec już prosił Jessikę, by kontynuowała opowieść, którą zaczęła przed moim przyjściem. Wynikało z tego, że nazajutrz wraz z Rosalindą zamierzały uczestniczyć w marszu do Aldermaston, głównej siedziby Instytutu Badań Broni Atomowej.

- Weźmie udział wiele kobiet z naszej grupy. Umówiliśmy się na spotkanie we czwartek, żeby zdać sprawozdanie z całego wydarzenia. W zasadzie postanowiłyśmy na stałe przyłączyć się do tamtej organizacji. No cóż, kobieta musi walczyć o życie następnych pokoleń. Spojrzała na mnie, ale ja nie zareagowałem.

Po kolacji Henry poprosił mnie, bym poszedł z nim do gabinetu, ponieważ chciał ze mną omówić pewne akta. Do-

strzegłem porozumiewawcze spojrzenie, jakie rzucił Caroline, zanim wyszliśmy z pokoju.

W gabinecie wyjął z regału butelkę brandy. Najwyraźniej mu się nie śpieszyło, bo przez dłuższą chwilę opowiadał o Nicholasie i o tym, co robi w przedszkolu.

- No więc, gdzie są te akta? - spytałem w końcu.

- Nie ma żadnych akt — odparł najzwyczajniej. — Chodzi o coś innego. W zasadzie nie wiem, czy powinienem ci to mówić, czy nie, ale ci powiem. Chodzi o Elżbietę.

Zamarłem.

- A o co konkretnie?

- Mam jej adres. Jest zapisany tutaj, w tej kopercie. Ponieważ nie ruszyłem się, by wziąć kopertę, podał mi ją. Czułem tak silne napięcie mięśni, że aż nie mogłem mówić.

- Jak ją znalazłeś? Telefonowała do ciebie?

- Nie. Kilka dni temu odbierałem Nicholasa z przedszkola i zobaczyłem ją. Ona mnie nie zauważyła.

Wsiadła do samochodu zaparkowanego tuż przed moim i odjechała.

Pojechaliśmy za nią.

Patrzyłem na kopertę.

- Chciałbym ci jeszcze coś powiedzieć, Aleksandrze. To dziecko, które odbierała z przedszkola - to chłopiec, w wieku Nicholasa. Ma na imię Jonathan. Widziałem go...

- Mów dalej... - wyrzuciłem z siebie ochrypłym głosem.

- Moim zdaniem nie ma najmniejszych wątpliwości, a poza tym jego wiek...

Nie musiał już nic więcej mówić. Patrzyliśmy na siebie przez dłuższą chwilę bez słowa. Milczenie przerwał w końcu Henry.

- Teraz to już ty, Aleksandrze, musisz podjąć decyzję.

- Dlaczego ja? Ona zawsze wiedziała, jak mnie znaleźć.

- O Boże! Ty tę znajomość zerwałeś! To ty podjąłeś decyzję, że nie możesz zostawić Jessiki po wypadku...

- Mogła mi powiedzieć. Jeśli to mój syn...

- A od tamtej pory nie zrobiłeś żadnego ruchu, prawda? Mogłeś wrócić do niej, kiedy wszystko się uspokoiło, ale tego nie zrobiłeś. Nie kiwnąłeś palcem...

- U mnie przecież nigdy się nie uspokoiło. Jessika nadal jest w okropnym stanie. Czy mam ją zostawić teraz, po tym wszystkim, co jej zrobiłem?

- Masz tam dwoje dzieci. Czy nie uważasz, że im się coś od ciebie należy? Twoje małżeństwo jest teraz jeszcze większą farsą niż kiedykolwiek. Śmiać mi się chce, gdy tak obydwójce udajecie, że zdołaliście rozwiązać wszystkie problemy... Moim zdaniem już najwyższa pora, żebyś

uporządkował
swoje życie.

Poderwałem się z fotela jak oparzony, ale zanim zdążyłem się odezwać, Jessika gwałtownie otworzyła drzwi.

- Henry, Caroline ma bóle!

- Zastanów się nad tym - rzucił Henry spoglądając na mnie, a następnie pędem wybiegł z gabinetu.

- Czyżbym was nakryła na słodkim *tite-a-tetei* - zadrwiła Jessika. Cofnęła się jednak, kiedy zobaczyła moje ostre jak sztylety oczy.

- Mam cię już dosyć, Jessiko! Mam dosyć patrzenia na ciebie! Wydawało mi się, że się zmieniłaś, ale nawet dzisiaj nie potrafiłaś się powstrzymać, żeby mi nie wbić jakiejś szpili! No więc, powiem ci, że już za długo grasz na moim poczuciu winy, proszę cię zatem, abyś wyświadczyła nam obojgu tę przysługę i usunęła się z mojego życia, zanim zrobię coś, czego oboje pożąujemy!

- Och, już za późno, Aleksandrze! Zrobiłeś to trzy lata temu!

Elżbieta

Rozdział 24

Patrzyłam, jak Edward dumnie kroczy pośród tłumu. - Ta książka, którą pan Walters pisze, będzie wspaniała! - Kamei stał przy moim ramieniu - wydawało mi się, że nie odstępuje mnie ani na krok od chwili, kiedy się zjawiliśmy w Egipcie. Obok niego znajdował się jeden z kuratorów muzeum - w jego okrągłych brązowych oczach malowało się coś na kształt uwielbienia, gdy podążał za Edwardem.

W Muzeum Kairskim roiło się od turystów. O książce dowiedziałam się dopiero, gdy powróciliśmy z Asuanu do Kairu

- powiedział mi o niej Kamei, który towarzyszył nam dla ochrony, chociaż Edward nie wspominał

nigdy przed czym. Jego obecność powodowała, że czułam się nieswojo. Przyczyniały się do tego także zatłoczone ulice oraz anonimowe, wpatrujące się we mnie oczy, które zdawały się podążać wszędzie tam gdzie ja. Od samego początku miasto przerażało mnie tym straszliwym galimatiasem i hałasami. Kair stanowił istną dżunglę przesiąkniętą ostrym zapachem podupadłych uliczek i zatłoczonych alei, gdzie obok siebie stały nowoczesne hotele oraz stare rozsypujące się domy. Było to dziwaczne, niezwykle różnorodne miasto, pełne skrajności i kontrastów. Kiedy poznałam je lepiej, zaczęły mnie przerażać ubóstwo oraz ignorancja. Rozmawiałam o tym z

Edwardem, ale on tylko poklepał mnie po dłoni, mówiąc że nic się na to nie da poradzić. Wiem, że nie takie miał intencje, jednak miałam wrażenie, jakby Kair stanowił jego wyłączną domenę i żałował, że mnie tutaj przywiózł.

Co dzień udawał się do muzeum, aby przyglądać się ludziom oraz ich reakcjom na kolekcję Tutenchamona. Jego zafascynowanie Tutenchamonem zakrawało wręcz na obsesję. Przyjechaliśmy do Egiptu, żeby odpocząć, żeby Chariotta mogła dojść do zdrowia, ale Edward właściwie cały czas spędzał w muzeum. Oprócz badań udzielał również rad w sprawie instalacji niezwykle skomplikowanego systemu alarmowego w muzeum. Traktowano go jak królewskiego wysłannika i tak się też zachowywał. Nosił swoją galabiję, jakby się w niej urodził, jadał tylko egipskie potrawy, czytał tylko egipskie gazety i jedynie ze mną i dziećmi nie rozmawiał po arabsku. Nawet pachniał piżmem jak Egipcjanin.

Kurator zaczął gmerać coś przy kołnierzyku. Nie pasował do niego zbyt brązowy europejski garnitur. W uśmiechu ukazywał popsute zęby, a gdy się odwróciłam, zobaczyłam, że Kamei wziął

Jonathana na ręce. Kurator patrzył na chłopca takim samym wzrokiem jak na Edwarda - z podziwem graniczącym z uwielbieniem. Do tego spojrzenia już się zaczynałam przyzwycz

czając, choć mi się nie podobało. Prawie wszyscy ludzie, których spotykaliśmy, zwłaszcza w czasie naszego rejsu po Nilu - nawet w najodleglejszych wioskach, w których się zatrzymywaliśmy - W ten właśnie sposób patrzyli na Edwarda i Jonathana. Zastanawiałam się, czy to ma jakiś związek z ogromnymi pieniędzmi, jakimi szastał Edward w ubogich miejscach, których mieszkańcy, w galabijach powiewających na wietrze, wypadali ze swych domostw na zboczach górskich, aby go powitać. Nie miałam zielonego pojęcia, o czym z nimi rozmawiał, kiedy w domach z suszonej na słońcu cegły pociągali nargile i rysowali wykresy w piasku. Cokolwiek to było, stanowiło dla niego ważną sprawę.

Kamei nie odstępował nas na krok. Czasami wchodził do chat z Edwardem, przeważnie jednak pozostawał na zewnątrz z dziećmi i ze mną. Wiedziałam, że ma przy sobie broń, mimo zaprzeczeń Edwarda. I widząc, jak Kamei przygląda się powolnym ruchom wieśniaków, jednocześnie przysłuchując się odległym dźwiękom nubijskich bębnow, zdawałam sobie sprawę z tego, że na coś czeka. Zawsze w pobliżu znajdował się Nil - migocąca błękitna wstęga, przecinająca pustynię.

Konferencje ciągnęły się w upale dnia, gdy tymczasem ja z Charlottą i Jonathanem, o których Edward całkowicie zapomniał, szukałam schronienia przed słońcem. Jedyne przerywnik w codziennej rutynie następował wtedy, gdy muezin wzywał na modlitwę. Wówczas wyłaniał się Edward w pokrytej kurzem galabii oraz turbanie i czekał, żeby kobieta o twarzy zakrytej *tarha* starła mu piasek z twarzy.

Wydawał mi się wtedy człowiekiem, jakiego nie znałam. Do naszego wyjazdu do Egiptu zdążyłam już zapomnieć o złowróżbnym przeczuciu, jakie się we mnie zrodziło, kiedy podsłuchiłam kłótnię Christine z Edwardem. Podczas pobytu tutaj moje obawy rozrosły się jak ogromna czarna chmura.

Podświadomie wyczuwałam, że burza może się lada chwila zacząć i w związku z tym chciałam tylko jechać z-powrotem do domu.

Na łowisku po powrocie z Kairu przywitał nas Jeffrey, z którym pojechaliśmy prosto do naszego londyńskiego domu przy Priory Walk. Edward miał przylecieć następnego dnia wraz z Christine.

Kanarek tak była uszczęśliwiona widokiem dzieci, że myślałam, iż się rozpłacze z radości. Swoim śpiewnym szkockim głosem, za którym się tak bardzo stęskniliśmy, rozpływała się nad prezentami, jakie przywieźli jej Charlotta i Jonathan, a potem z szeroko otwartymi oczami przysłuchiwała się ich opowieściom o piramidach, wielbłądach oraz o podróżach faluką.

Następnego dnia weszła do kuchni, gdy byłam tam z Mary.

- Czy mogłaby pani przyjść do pokoju dziecinnego, pani Walters?
Chciałabym z panią pomówić — powiedziała i wyszła, nie czekając na odpowiedź.

Gdy wkroczyłam do pokoju, siedziała w swoim wiklinowym fotelu najwyraźniej podenerwowana.

Wstała i zamknęła za mną drzwi. Kiedy przechodziła obok mnie, poczułam zapach jaśminu.

- Chyba lepiej, żeby nikt nie usłyszał naszej rozmowy - rzekła.

Przysiadłam na brzeжку wiklinowej kanapy pod oknem i czekałam. Widziałam, że czuje się nieswojo, próbowałam więc pomóc jej uśmiechem.

- Podczas państwa wyjazdu ktoś tutaj był - zaczęła. Jej twarz wyrażała przygnębienie i chociaż w zasadzie jeszcze niczego nie powiedziała, czułam, że uśmiech zamiera mi na ustach. - Chciał się widzieć z panią, ale wyjaśniłam mu, że pani wyjechała na wakacje.

Jej słowa zawisły w powietrzu, gdy tymczasem ja próbowałam pozbierać myśli, które nagle zaczęły mi się tłoczyć w głowie.

- Czy powiedział, jak się nazywa? - spytałam w końcu.
 - Nie - jej twarz nagle złagodniała. - Nie musiał nic mówić.
- Wiedziałam, że jakakolwiek próba wywiedzenia w pole Ka-

narka mija się z celem. Aleksander z pewnością nic jej nie powiedział, ale z tych kilku słów wywnioskowałam, że zorientowała się w sytuacji.

- Czy w ogóle cokolwiek mówił? - spytałam.

- Nie, wtedy nic Ale wrócił następnego dnia. Wyciągnęła z kieszeni list, który mi wręczyła. - Prosił, żebym to pani oddała.

Wpatrywałam się w kopertę, rozpoznając niestaranne bazgrały. Przez cały ten czas, kiedy Charlotta dochodziła do siebie w szpitalu, myślałam o nim. Gdy będąc w Egipcie obserwowałam zachód słońca nad Nilem, żałowałam, że go tam nie ma razem ze mną. Zawsze, kiedy czułam się przestraszona i samotna, wręcz wyłam z tęsknoty. I oto się zjawił. Serce biło mi tak mocno, że Kanarek niewątpliwie słyszała jego uderzenia.

Wstałam. Moje ciało było jednak nadal sztywne i z trudem stawiałam jedną nogę przed drugą. Gdy wreszcie dotarłam do drzwi, zatrzymałam się.

- Kanarku... - Nadal nie spuszczała ze mnie wzroku. -Dziękuję, że pani nikomu o tym nie powiedziała.

Kiedy znalazłam się sama w pokoju, rozdarłam kopertę. Ręce tak mi drżały, że miałam kłopoty z wyjęciem listu.

Po jego przeczytaniu położyłam się na łóżku. Aleksander podał numer telefonu, pod którym mogę się z nim skontaktować. Pisał, że chce zobaczyć swoje dzieci. *Swoje dzieci*. O Boże, co ja mam zrobić?

Napisał, że jeśli się nie odezwę do dziesiątego, zajrzy ponownie. Dzisiaj był ósmy.

Następną dobę przeżyłam jak w maglinie. Nie mogłam dopuścić do tego, żeby tu przyszedł. Ale zdawałam sobie sprawę, że jak tylko usłyszę jego głos w słuchawce, opuści mnie cała odwaga. W

końcu wiedziałam, że nie mam żadnego wyboru. Edward wrócił już z Kairu, spytałam więc Kanarka, czy mogę skorzystać z telefonu w pokoju dzieciennym. Złożyła szycie, którym się właśnie zajmowała, i wyszła.

Telefon odebrał mężczyzna. Kiedy poprosiłam Aleksandra Belmayne'a odparł, że w tej chwili jest on chyba w sądzie. Zaproponował, bym zadzwoniła jeszcze raz o piątej, bo wtedy powinnam go zastać.

O piątej dzieci bawiły się w pokoju dzieciennym, a Edward wyszedł, postanowiłam więc zatelefonować z sypialni. Tym razem połączono mnie.

Gdy usłyszałam głos Aleksandra, moje palce zacisnęły się na słuchawce, a w ustach mi zaschło tak gwałtownie, że nie potrafiłam wypowiedzieć słowa.

- Halo? Halo? Kto mówi?

- Aleksandrze. Nastąpiła chwila ciszy.

- Elżbieto - powiedział łagodnie, a ja poczułam, jak łzy napływają mi do oczu. - Bałam się, że nie zadzwonisz.

Nic nie odpowiedziałam.

- Jesteś tam? - spytał.

- Tak.

- Przeczytałaś mój list - urwał. Czułam jego obecność tak silnie, jakby był wraz ze mną w pokoju. -

Moglibyśmy się spotkać?

Łzy zaczęły mi płynąć po twarzy; czułam, że cała drzę.

- Elżbieto? Czy wszystko w porządku? Przepraszam, nie powinienem ci czegoś takiego proponować.

Ale muszę się z tobą zobaczyć, bo inaczej zwariuję. Błagam cię, powiedz, że możemy się spotkać.

- Nie, Aleksandrze - płakałam w słuchawkę. - Nie możemy i proszę, nie domagaj się ode mnie żadnych wyjaśnień.

- Elżbieto! Nie rozłączaj się! Elżbieto...

Przycisnęłam słuchawkę do widełek i opadłam na kolana, szeptem błagając go o to, by mi wybaczył.

W tym momencie otwarły się drzwi i wpadła w podskokach Charlotta.

- Popatrz, mamusiu, co się robi...? - urwała widząc mnie klęczącą na podłodze, potem podbiegła i objęła mnie za szyję, cała przerażona, ze łzami w oczach. -

Dlaczego płaczesz, mamusiu? O co chodzi? Co się stało?

- Cichutko, kochanie, nic się nie stało. Nic, czym mogłabyś się choć odrobinę przejmować -

przygłodziłam dłonią jej włosy i nagle poczułam, jakby w środku wszystko mi pękało. Och, Charlotta, Charlotta, co ja takiego zrobiłam? I co mogę zrobić teraz?

T Nie wiem, mamusiu, ale dam ci słowo, że wszystko będzie w porządku. Zrobimy tak, żeby było.

Proszę cię, mamusiu, przestań płakać.

Jonathan, który wszedł do pokoju i zobaczył, że siedzimy na podłodze, ocierając sobie łzy z oczu, wydał z siebie długi okrzyk Wyciągnęłam do

niego ramiona.

- Mamusiu, przepraszam, ja wcale nie chciałem - pociągał nosem. -
Naprawdę, mamusiu, nie chciałem.

- Czego nie chciałeś, kochanie?

- No tego, co zrobiłem, że płaczesz. Naprawdę, mamusiu, nie chciałem,
bardzo przepraszam!

Spojrzałyśmy na siebie z Charlottą i zaczęłyśmy się śmiać przez łzy.

- Och, Jonathanie - przycisnęłam go mocno. - Tak bardzo cię kocham. -
Przytuliłam również Gharlottę. - Tak bardzo was oboje kocham.

Godzinę później nadal wszyscy troje siedzieliśmy na podłodze, gdy
poczułam zapach jaśminowych perfum. Podniosłam głowę. Stała przez
sekundę, przyglądając mi się, a potem odwróciła się i odeszła. Kiedy
wyszłam na korytarz, ona czekała na dole w holu. Z ponurą miną patrzyła,
jak schodzę.

- Już wszystko dobrze - rzekłam, przechodząc obok niej.

- Wracam do siebie - odpowiedziała.

Nie podniosłam głowy, dopóki nie zamknęła za mną drzwi,
a gdy już to zrobiła, poczułam przyływ tęsknoty. Stał tam Aleksander,
stał w moim saloniku, w ciemnym rozpiętym płaszczu, pod którym widać
było ciemnoszary garnitur. Mógł to być ktokolwiek, tyle że jakaś siła
przyciągała mój wzrok do jego twarzy, przyspieszając krążenie krwi, która na
chwilę, jak mi się wydawało, zatrzymała się w moich żyłach. Zeszczupłał,
jego przystojna twarz była znużona i wymizerowana. Wiedziałam, że
powinnam być zła na niego za to, iż przyszedł, ale kiedy się uśmiechnął i
dostrzegłam krzywy ząb, poczułam się tak, jakby jakiś magnez nagle
pozbierał w jedną całość porozdzielane kawałki mojego życia.

- Musiałem przyjść, wiesz o tym, prawda?

Skinęłam głową i nagle znalazłam się w jego ramionach.

- Och, Aleksandrze, tak bardzo cię potrzebowałam. Przytulił mnie mocno,
niemal miażdżąc i przepraszając, że
mnie w ogóle zostawił. Podniosłam głowę, zajrzałam mu w oczy i
położyłam palce na wargach.

- Ach, Aleksandrze, dlaczego nasze życie musi się tak dziwnie toczyć?

Wziął moją twarz w swoje dłonie. Nagle usłyszeliśmy na górze odgłos
otwieranych drzwi i tupot nóg po schodach.

- Co zrobimy? Nie możesz tutaj zostać, Edward wraca lada chwila.

- Elżbieto, powiedz, czy Jonathan jest moim synem?

Nie byłam w stanie spojrzeć mu w oczy. Odwróciłam się więc i poszłam usiąść przy kominku.

- Co zamierzasz zrobić? - spytałam po krótkiej chwili. Podszedł, wyciągnął rękę po moją dłoń, odwracając mnie do siebie.

- To chyba zależy od ciebie - rzekł.

Wyrwałam dłoń, ale on nie spuszczał z mej twarzy swych szarych oczu.

- Proszę cię, Aleksandrze, odejź stąd, zanim zranimy kogokolwiek.

- Elżbieto, urodziłaś dwoje moich dzieci, których nawet nigdy w życiu nie widziałem. Czy nie uważasz, że najwyższa pora wszystkie sprawy jakoś uregulować?

- Już za późno, Aleksandrze, nie ma już nic, co można by wyjaśniać.

- Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał blednąc. — Albo jestem ich ojcem, albo nie jestem? Jak to jest?

- To chyba mnie najłatwiej przyjdzie na to pytanie odpowiedzieć. - Kiedy obydwoje odwróciliśmy się, w otwartych drzwiach stał Edward. Ruszył w naszą stronę. - Czy nas sobie przedstawisz, Elżbieto? -

rzekł nie odrywając wzroku od Aleksandra.

Wymamrotałam ich nazwiska i odwróciłam się, gdy sobie podawali ręce.

- Wydaje mi się, że Elżbieta próbuje panu powiedzieć, że Charlotta i Jonathan - bo takie mają imiona, gdyby pan nie wiedział - że Charlotta i Jonathan nie są już...

- Nie! - krzyknęłam. - Proszę cię, Edwardzie, nie!

- Ależ on musi się o tym dowiedzieć, kochanie - rzekł Edward, odwracając się w moją stronę. - W

przeciwnym razie będzie uważał, że może sobie tutaj przychodzić, kiedy mu się żywnie spodoba.

Zobaczyłam, że Aleksander się najeżył, natychmiast więc włączyłam się do rozmowy.

- Pozwól, Edwardzie, że ja mu to wyjaśnię.

- Zamknij się! - Nigdy jeszcze Edward nie podniósł na mnie głosu.

Musiałam mieć zaszokowaną minę, bo Aleksander zrobił krok do przodu, jakby w mojej obronie. Edward wyraźnie się cofnął, jednak jego decyzja była niepodważalna. -Próbuję panu, młody człowieku, powiedzieć, że dzieci, których ojcostwo pan w tak bezczelny sposób przypisuje sobie, są w rzeczywistości moje. Trzy lata temu zaadoptowałam zarówno Charlotte, jak i Jonathana.

- Edward, przestań - podbiegłam do Aleksandra. - Przebrałeś miarę, Edwardzie.

- Elżbieto, powiedz, że to nieprawda - rzekł Aleksander, wrywając mi swoją rękę. - Powiedz, że on kłamie!

Zwiesiłam głowę, ale złapał mnie za ramiona i obrócił, bym na niego spojrzała.

- Pozwoliłeś na to, by ten mężczyzna zaadoptował moje dzieci - wyrzucił z siebie. - Mimo tego, co dla siebie znaczymy, pozwoliłeś mu...

- Aleksandrze, to nie tak, ty tego nie rozumiesz, ja nie miałam wyboru...

Edward wysunął się przede mnie, nie spuszczając wzroku z Aleksandra.

- Nie ma pan prawa nachodzić mojej żony...

- Pańskiej żony? A cóż to za żona, która od pana ucieka i funduje sobie dziecko z innym? A pan jakim jest człowiekiem, że kradnie cudze dzieci?

- Wynoś się stąd! - warknął Edward. Podbiegłam do Aleksandra.

- Proszę cię, posłuchaj! - Ale on mi się wyrwał. Kiedy odwrócił się do mnie, jego oczy były jak lody.

- Nigdy nie zrozumiem, jak mogłeś coś takiego zrobić! Ty lepiej niż kto inny wiedziałaś...

- Dostyc już tego! - wdarł się między nas głos Edwarda.

- Nie, Aleksandrze, nie odchodź! - krzyknęłam, gdy odwrócił się, by odejść. - Edwardzie, proszę cię, pozwól mi iść za nim, on nie może tak odejść!

- Zostań tutaj, Elżbieto! Tego człowieka nie ma już w twoim życiu.

- To niemożliwe! Jest przecież ich ojcem!

Gwałtowny policzek natychmiast mnie uciszył. A potem, zanim się zorientowałam, Aleksander powalił Edwarda na podłogę. Rzuciłam się do męża, ale mnie odepchnął i stanął na

nogi. Oddychał ciężko. Próbował odzyskać równowagę opierając się na krześle.

- Wynoś się! - warknął Edward. Jego szara twarz wyglądała groźnie i poczułam nagle przemożny strach.

Aleksander podał mi rękę i pomógł wstać.

- Zabierz mnie ze sobą! - błagałam. - Zabierz mnie!

- Idź sobie z nim, a wtedy już nigdy nie zobaczysz swoich dzieci - wykrztusił Edward.

- Ona nie idzie ze mną!

Odwrociłam się i zamarłam na widok bezlitosnych oczu Aleksandra.

- Nie, Elżbieto. Ty podjęłaś decyzję w dniu, w którym pozwoliłaś mi zaadoptować nasze dzieci. -

Pokręcił wolno głową i w końcu jego oczy trochę złagodniały. - Elżbieto, o Boże, dlaczego to zrobiłaś? - Mówił teraz cicho. - To były moje dzieci, Elżbieto, moje dzieci. - W tym momencie odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

Podeszłam do Edwarda. Wycierał rozkrwawiony nos drżącymi dłońmi. Przez dobre kilka minut żadne z nas się nie poruszyło. Nadal opierał się na krześle całym ciężarem ciała. Nagle opadł na kolana, a głos, który próbował wymówić moje imię, uwiązł mu w gardle. Z przerażeniem patrzyłam, jak wolno opada na podłogę.

Gdy, Edwarda odwieziono na łóżku, zostałam sama na szpitalnym korytarzu, rozpamiętując w kółko to, co się stało. Nienawidziłam sama siebie, wiedząc, że to wszystko moja wina. Gdybym nie wyszła za Edwarda, oszczędziłabym mu tego wszystkiego i nie leżałby teraz w szpitalu, kto wie czy nie konając.

Ale nawet wtedy myślałam o Aleksandrze i o bólu, jaki jemu również zadałam. To wszystko była moja wina. Gdybym nie zobaczyła wtedy Aleksandra i Jessiki tak szczęśliwych, kiedy

stałam w ciemności na skraju Belgrave Square, nigdy bym się nie zgodziła na to, by Edward zaadoptował dzieci. I teraz on płacił za ten niewybaczalny akt zemsty.

Do szpitala przybyli David i Christine. Twarz Christine była blada i pełna obawy, a ja nie mogłam się zdobyć na to, by jej spojrzeć w oczy. Gdyby wiedziała, kto spowodował to, co się stało, nigdy by mi nie wybaczyła. Lekarz uratował mnie przed natychmiastowymi wyjaśnieniami.

- Pani Walters! Nie trzeba tak się martwić - rzekł z uśmiechem. - Pani mąż wyzdrowieje.

Pode mną ugięły się nogi. David złapał mnie, zanim upadłam, i podprowadził do krzesła.

- Ale... co on...? Czy...

- Pani mąż przeszedł chwilowe niedotlenienie mózgu - wyjaśnił doktor. — Innymi słowy, miał

nieznaczny wylew, lecz nie należy się tym martwić. Rano będzie mógł wyjść ze szpitala.

- Rano? - powtórzyłam całkowicie zaskoczona.

- Owszem. Z początku proponowałbym unikać większych wysiłków, jednak nie widzę powodu, aby nie prowadził nadal całkowicie normalnego życia.

- Jak to się stało? - spytała Christine.

Czułam, że sztywnieję, ale doktor nadal się uśmiechał.

- Taki atak może zostać spowodowany przez różne przyczyny - w tym wypadku wygląda to na skurcz naczyńka krwionośnego w mózgu.

Kiedy dotarliśmy do Westmoor późnym popołudniem, poszliśmy z Edwardem prosto do sypialni. W

pokoju było chłodno, więc żadne z nas nie zdjęło płaszcza. Starym zwyczajem Edward usiadł na kanapie przed zimnym kominkiem i wskazał mi miejsce obok siebie. Długo milczeliśmy, ale mieliśmy świadomość, że to on musi zacząć rozmowę.

Wreszcie, gdy już zrobiło się ciemno i zapaliłam lampy po

obu stronach łóżka, Edward przemówił. Twarz nadał miał szarą, choć na lewym policzku, w miejscu gdzie opierał się na dłoni, widać było namiastkę rumieńca. On, który zawsze dbał o nienaganną fryzurę, miał teraz zmierzwiłone włosy, więc automatycznie przeczesalam je palcami, próbując jakoś ułożyć.

- Przestraszyłem się - rzekł zwyczajnie. - To jedyne wytłumaczenie mojego zachowania. Nie, proszę cię, wysłuchaj mnie. Jak go tylko zobaczyłem, wiedziałem kto to. I wpadłem w popłoch. Widziałem, że cię tracę, że być może już cię straciłem. Myślałem jedynie o sobie i o tym, że bez ciebie i dzieci moje życie byłoby tylko samotnością i pustką, i taka wizja całkowicie pozbawiła mnie rozsądku. Jest taki młody i przystojny, a ja przy nim... Wtedy zdałem sobie sprawę z tego, co zrobiłem z twoim życiem, żeniąc się z tobą. - Podniósł dłoń, stał lży

, z mojej twarzy, a potem westchnął, uśmiechnął się i wyjrzał za okno w ciemną noc. - Nie mogę cię tutaj dłużej zatrzymać, kochanie. Wiem, że muszę pozwolić ci odejść do niego. Postanowiłem polecić z Christine do Kairu w niedzielę, więc będzie ci łatwiej odejść. Chciałbym tylko, żebyś wiedziała, jak mi przykro. Przepraszam cię za te wszystkie lata, kiedy cię trzymałem przy sobie, i przepraszam za wszystko, co zaszło wczoraj.

- Edwardzie, och Edwardzie, co ja ci zrobiłam? - Płakałam rozpaczliwie, a on kołysał mnie delikatnie w ramionach, gładził po włosach i twarzy, jakbym była dzieckiem. - Nie zostawię cię, Edwardzie, i Przycisnął mnie

mocniej.

- Wyjadę jednak do Kairu. Gdybyś zmieniła zdanie, kiedy tam będę, albo nawet wcześniej... - tutaj głos uwiązł mu w gardle i Edward skrył twarz w moich włosach.

Edward odleciał zgodnie z planem w niedzielę, ale Christine nie poleciała z nim. Przyjechała za to do Londynu, aby

przenocować ze mną i dziećmi przed wylotem do Hongkongu następnego dnia. Miała się spotkać z Edwardem w Kairze w piątek.

Kiedy dotarliśmy na Priory Walk, Kanarek czekała już na nas - natychmiast zagnała dzieci na górę, żeby przygotować dla nich rzeczy do szkoły na następny dzień. Jeffrey zaniósł ich bagaż na piętro, Christine i ja tymczasem weszliśmy za Mary do bawialni.

- A zatem - zaczęła Christine, kiedy drzwi za Mary się zamknęły - może zechcesz mi wyjaśnić, co się dzieje? - Podniosłam głowę znad tacy z herbatą. — Mówię o niewielkim wylewie, wymownym milczeniu, twoich czerwonych oczach, a przede wszystkim o tym, co Edward powiedział do ciebie w Westmoor przed wyjazdem, że jeśli zechcesz odejść... Bo to właśnie powiedział, prawda? O co więc, do diabła, chodzi?

Odstawiłam dzbanek z herbatą i zebrałam się na odwagę, by spojrzeć jej w twarz.

- Nie chciałabym być niegrzeczna, Christine - rzekłam, starając się, by w moim głosie nie dało się wyczuć zdenerwowania. - Choć wiem, że bardzo troszczysz się o Edwarda, jednak to, co się dzieje między nami, nie dotyczy ciebie.

Pokryła się nagle ciemnym rumieńcem.

- Myślę, że to także moja sprawa, jeśli mój brat zostaje odwieziony do szpitala z wylewem.

- Chyba nie ma sensu ciągnąć tej rozmowy. Tak jak mówiłam...

- Nie traktuj mnie z góry, ty dziwko! Już raz o mało nie złamałaś mojemu bratu serca, a tym razem o mały włos go nie zabiłaś! - szła w moją stronę, zaciskając pięści po bokach. — Ty i te twoje bękarty zadały mu więcej bólu, niż może to znieść jakikolwiek człowiek. Chcę ci powiedzieć tylko jedno, że jeśli zranisz go jeszcze raz, to Bóg mi świadkiem - zabiję cię! - Myślałam, że mnie uderzy, ale nagle, tak jakby nie mogła znieść

już mojego widoku ani chwili dłużej, odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju.

Tego dnia już jej więcej nie widziałam, a kiedy następnego ranka zesłam na dół, zdążyła wyjechać na lotnisko.

Postanowiłam nic o tym Edwardowi nie mówić. Wiedziałam, że by się tylko zmartwił i doszłoby do dalszych jego kłótni z Christine. Kiedy powrócili razem z Kairu dwa tygodnie później, Christine powitała mnie słodkim siostrzanym pocałunkiem, jakby nigdy nic, ja też zdecydowałam pójść w jej ślady i zachowywać pozory. Ale od tamtej pory miałam się wobec niej na baczności.

Po tych perturbacjach życie toczyło się normalnym trybem. Wraz z Edwardem bywaliśmy dużo w towarzystwie, Westmoor stał się Mekką dla marszandów sztuki. W czasie tych rzadkich chwil, gdy nie było gości, Edward zajmował się planami systemu alarmowego dla kairskiego muzeum, których jeszcze nie skończył. Skarżył się nieustannie, że przy braku zabezpieczeń w muzeum maska Tutenchamona jest w stałym niebezpieczeństwie. Zastanawiało mnie trochę, dlaczego tak długo kończy te plany, ale na pewno projekt miał wiele zawłości, a Edward był perfekcjonistą.

W czerwcu David powrócił z Gstaad wraz z Jenifer Illingworth i obwieścił nowinę, na którą czekaliśmy - zamierzali się pobrać.

Tymczasem miesiące mijały i w miarę jak zacierało się szokujące wspomnienie tamtego wiosennego dnia, coraz częściej myślałam o Aleksandrze. Doszło nawet do tego, że podniosłam słuchawkę telefonu, ale do niego nie zadzwoniłam. Mimo że tak bardzo go pragnęłam, nie mogłam narażać Edwarda na choćby odrobinę dalszego bólu. W końcu to ani nie Aleksander, ani nie ja zrobiliśmy ruch w kierunku pojednania, lecz Henry.

Nie wyjaśnił mi, dlaczego zadzwonił właśnie wtedy, ale zrozumiałam, że nosił się rym zamiarem od pewnego czasu. Mówił krótko i tylko o rzeczy zasadniczej. Nie wiedział, dlaczego pozwoliłam Edwardowi zaadoptować dzieci, był jednak pewien, że miałam po temu powody, a mnie prosił tylko o to, bym je wyjaśniła Aleksandrowi. Uważał - nie miał wątpliwości, że mu przyznam rację - iż przynajmniej tyle należy się ode mnie Aleksandrowi.

I tak, nie zważając na wszystkie obietnice, jakie poczyniłam Edwardowi, natychmiast po zakończeniu rozmowy z Henrym zatelefonowałam do Aleksandra, do jego kancelarii i umówiłam się na spotkanie następnego dnia.

Potem spotykaliśmy się co najmniej raz w miesiącu na moście Serpentine. Rozmawialiśmy godzinami - rozmawialiśmy i śmialiśmy się,

kiedy mu opowiadałam o dzieciach. Czekał na każdy szczegół, na wszystkie anegdoty, które zgromadziłam w pamięci w ciągu minionych lat, w nadziei że pewnego dnia będę mogła mu je opowiedzieć. Czasami jechał ze mną, kiedy odbierałam je ze szkoły -

przyglądał się z daleka, aż zniknęliśmy. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak się musiał czuć, ale nigdy nie prosił o więcej.

Miałam okropne wyrzuty sumienia z powodu swego postępowania i choć byłam przerażona, że Edward mógłby się dowiedzieć, nie potrafiłam z tego zrezygnować. Edward, który najwyraźniej był

zajęty jeszcze bardziej niż zwykle, jakby się coraz bardziej ode mnie oddalał. Gdy z rzadka trafiał nam się wspólny wieczór w domu, czułam, że myślami błądzi zupełnie gdzieś indziej. Kiedy go jednak pytałam, o czym myśli, uśmiechał się jedynie i przytulał mnie, niczego mi nie wyjaśniając.

Potem, dzięki przyjaźni, jaka nawiązała się między Jonathanem i Nicholasem, synem Henry'ego, Aleksander mógł poznać swego syna. Wiele godzin spędzaliśmy w domu Henry'ego w Chelsea i moje stosunki z Caroline stały się bardzo serdeczne. Od czasu do czasu Caroline przyprowadzała dzieci do domu

przy Prior Walk to był jej pomysł, uważała bowiem, że będzie lepiej, mniej podejrzanie, jeśli Edward pozna jej dzieci.

A ja z Aleksandrem, niezależnie od pogody, spotykałam się w Hyde Parku. Żadne z nas nigdy nie odważyło się zaproponować innego miejsca. Przez cały ten czas staraliśmy się nie dotykać, choć jego uśmiech był nieraz jak pieszczota i musiałam się z całych sił powstrzymać, aby mu się nie rzucić w ramiona i nie prosić o to, by mnie przytulił. Nawet nie potrafię wyjaśnić, co to za uczucie wiedzieć, że czeka na mnie, kiedy zostawiam samochód i idę w kierunku mostu Serpentine. I wystarczyło, by podbiegł i spojrzał na mnie z ulgą, a potem uśmiechnął się oceniając mój wygląd, a już czułam się najszczęśliwszą kobietą pod słońcem, na dodatek najpiękniejszą.

I wtedy pewnego dnia, kiedy siedzieliśmy w małej kafejce nad brzegiem Serpentine, chroniąc się przed deszczem, zaczął mówić o ojcu.

- Był bardzo przygnębiony, gdy mu powiedziałem o tobie, a więc mamy kolejną osobę z poczuciem winy. Obwinia siebie, tak jak ty i ja, twierdzi, że powinien był się starać nas lepiej zrozumieć, gdy byliśmy młodzi. Chciałby ci to jakoś wynagrodzić, Elżbieto. Jak myślisz, spotkałabyś się z nim?

- A co z Jessiką?

- Jeśli nie uczestniczy w jakimś marszu, to jest w pracowni, którą wynajęła z Rosalindą w Windsorze.

Projektuje materiały dla swojej organizacji, Rosalinda z kolei udziela darmowych porad, gdy ktoś ma kłopoty z policją. Myślę, że stanowią siłę, z którą należy się liczyć. Poza tym nie ma jej w domu już od wielu tygodni.

- A jaa była, kiedy ją ostatni raz widziałeś?

- Taka sama, jak zawsze - słodka i czarująca, gdy się pojawiła, i skacząca mi do gardła przy pożegnaniu. Tyle dobrego, że na początku ma dobre intencje. Przypuszczam, że nie pomagam jej za bardzo.

- Dlaczego?

- Między innymi dlatego, że wyniosłem się do oddzielnego pokoju.

Tydzień później spotkałam się z lordem Belmayneem w ich domu przy Belgrave Square. Spotkanie przebiegło znacznie lepiej, niż mogliśmy z Aleksandrem przypuszczać. Aleksander żartował z ojca, że najwyraźniej spodziewał się zobaczyć nieokrzesaną dwudziestojednolatkę, którą spotkał w Foxton.

Pokazałam mu zdjęcia wnuków, a Aleksander z dumą opowiadał, jak dzieci są do niego podobne.

Czułam się tak dobrze, że nie chciałam, aby to popołudnie w ogóle się kończyło.

Gdy przybyłam na zaproszenie ministra sprawiedliwości jeszcze raz, czekał na mnie przy drzwiach w płaszczu, a na zewnątrz stał samochód z włączonym silnikiem. Lord Belmayne musiał nagle wyjechać na spotkanie, gdyż powstała jakaś sytuacja kryzysowa.

- W domu jest Aleksander, który bardzo się nad sobą użala - rzekł. - Przegrał w piątek sprawę po mocnej utarczce z kimś, kto jest lepszy od niego. Ale proszę mu nie powtarzać, że coś takiego pani powiedziałem.

Kiedy weszłam, zastałam Aleksandra przed portretem matki. Trzymał ręce założone na plecach, stał

na lekko rozstawionych długich nogach - wicehrabia w każdym calu.

- Jak się masz? - zagadnął mnie z uśmiechem.

- Zimno - podeszłam do niego bliżej kominka. - Ojciec wspominał, że przegrałeś w piątek sprawę.

- Po mocnej utarczce z kimś, kto jest lepszy ode mnie. Słyszałem. - Podeszedł do adapteru w rogu. -

Chciał mi się jakoś odwdzięczyć, ponieważ powiedziałem mu o spotkaniu, na które musiał się udać...

- Ty mu powiedziałaś... - odwróciłam się twarzą do niego.
- Elżbieto, nie mogę już tego dłużej znieść.

Stałam bez ruchu, czując, jak rumieniec zalewa mi twarz. - Pamiętasz to? - spytał. Puścił płytę *Przypieczętowane pocałunkiem*.

Nie spuszczał ze mnie wzroku i niewyraźnie zaczęłam sobie zdawać sprawę z tego, że serce wali mi jak młotem. Ogień strzelał na kominku. I już za chwilę Aleksander wyciągnął do mnie ramiona.

Złączeni w uścisku zaczęliśmy wolno tańczyć. Gdy muzyka umilkła, jego usta były tak blisko moich, że czułam oddech Aleksandra na twarzy. Po krótkiej chwili zamknęłam oczy, a on wziął mnie na ręce i zaniósł na górę.

Rozdział 25

Krzyk poderwał na nogi cały dom. Półprzytomna znalazłam w ciemności szlafrok i podbiegłam do drzwi.

- Co się stało? Co to?

- Wydawało mi się, że krzyczała Christine. - David przeszedł przez piętro i gwałtownie otworzył

drzwi do jej pokoju, który tonął w ciemności i nie było śladu Christine.

- Gdzie jest Edward? - spytał David.

- Tutaj - odrzekł mój mąż. Odwróciliśmy się i zobaczyliśmy Edwarda wchodzącego po schodach w ubraniu - ku mojemu zdziwieniu, gdyż położyliśmy się razem.

- Wszystko w porządku - możecie się z powrotem kłaść spać.

- Ale ten krzyk? - zaprotestowałam. - Co to było?

- To Christine, przeżyła drobny szok, lecz nie ma powodów do obaw. - Zauważyłam, że ma wymizerowaną twarz. Potem wymienili z Davidem porozumiewawcze spojrzenie.

Kanarek zaproponowała, że zrobi wszystkim coś gorącego do picia, ale David objął ją ramieniem i skierował z powrotem do pokoju dziecinnego, zostawiając mnie wraz z Edwardem na korytarzu.

- Gdzie jest teraz Christine? - spytałam. - Czy mogłabym jej w jakikolwiek sposób pomóc?

- Nie wydaje mi się - wyjrzał przez balustradę na dół. - Poza tym zaraz do niej pójdzie David.

Letnie wakacje spędzaliśmy wszyscy w Westmoor, z wyjątkiem Charlotty, która miała już czternaście lat i pojechała na tydzień z koleżanką

ze szkoły i jej rodziną na południe Francji.

Przy śniadaniu następnego dnia nikt nie wspomniał ani słowem o nocnym incydencie. I kiedy Christine później wyłoniła się ze swego pokoju, nic w jej wyglądzie nie wskazywało na przyczynę krzyku, dlatego też postanowiłam o wszystkim zapomnieć i zaczęłam się zastanawiać, jak wytłumaczyć swój wyjazd do Londynu w przyszłym tygodniu.

W zasadzie ostatnio nie musiałam nawet za bardzo szukać wymówek. Edward tak wiele czasu spędzał

w swoim gabinecie czy też w samolocie na trasie Kair-Londyn, że nawet nie bardzo mógł zauważyć, czy jestem w domu, czy mnie nie ma.

Wiedziałam, że lada dzień ma sfinalizować jakąś olbrzymią transakcję, nad którą pracował od wielu lat, ale ze mną takich spraw nie omawiał, a ja muszę się ze wstydem przyznać, że od kiedy Aleksander na powrót pojawił się w moim życiu, sprawy Edwarda były mi całkowicie obojętne.

Siedziałam po południu w Błękitnym Salonie, kiedy doszły mnie głosy z dołu. Z tego, co wiedziałam, Edward z Christine pojechali zrobić przegląd w magazynie, więc z ogromnym zdziwieniem skonstatowałam, że to oni.

Miałam już właśnie otwo-

rzyć drzwi do przyległego pokoju, gdy pewne zdanie Christine mnie powstrzymało.

- ...ależ, na Boga, Edwardzie, oni go zabili!

- No to zacznijmy od tego, co on tam w ogóle robił?

- Podobno zasnął.

- A co z...? - Nie usłyszałam pytania Edwarda do końca, ale odpowiedź Christine mnie zmroziła.

- Czy jedynie o tym jesteś-w stanie myśleć? Facet leży martwy, a ty się potrafisz przejmować tylko...

- Za długo już na to czekałam - przerwał jej Edward - żeby pozwolić, aby cokolwiek mi pokrzyżowało szyki. I co jeszcze powiedzieli? Kiedy zamierzają to wynieść?

W tym momencie wyszli z jadalni. A gdy później próbowałam znaleźć Edwarda, Jeffrey powiedział

mi, że nie ma go w domu i że nie wie, kiedy wróci.

Czekałam jeszcze do końca dnia, ale ani się nie pojawił, ani nie zadzwonił. Zniknęła również Christine. Ze dwa razy telefonował do niej mężczyzna o cudzoziemskim akcencie, nie chciał jednak zostawić żadnej wiadomości ani się przedstawić.

Pojechałam do Londynu. Aleksander czekał już w mieszkaniu, które wynajmowaliśmy w Chelsea.

Prowadziliśmy podwójne życie od ponad trzech lat. Teraz było nam znacznie łatwiej się spotykać, ponieważ Jessika w zasadzie wyprowadziła się do Rosalindy. Niewielkie mieszkanie zapełniliśmy przedmiotami, które wspólnie kupiliśmy na bazarach z antykami i w sklepach ze starzyzną. Na ścianach kuchni porozwieszaliśmy szkolne obrazki dzieci, a w saloniku i w sypialni pełno było ich zdjęć. Kiedy się zjawiłam, Aleksander w przewiązonym fartuchu zabierał się w kuchni do przyrządzania wieczornego posiłku. Za bardzo byłam pochłonięta tym wszystkim, co się działo w Westmoor, by zjeść dużą kolację, tak więc gdy Aleksander zaczął opowiadać mi o swoim dniu w sądzie, uczucie przygnębienia, jakie mi towarzyszyło od dłuższego czasu, udzieliło się także jemu.

Warczeliśmy na sobie przy posiłku, potem krzyczeliśmy przy sprzątaniu ze stołu, stłukliśmy poza tym kilka talerzy, zalaliśmy się wodą do zmywania naczyń. Nadrobiliśmy wszystko potem w łóżku, ale następnego dnia wyjechałam do Westmoor bardzo wcześnie.

Edward był w tak dobrym nastroju, że odważyłam się go spytać o rozmowę, którą podsłuchałam.

Odpowiedział mi bez zmrużenia powieki.

- Ach, to! - zaśmiał się. - To było nieporozumienie. Wiesz, jacy są Egipcjanie, robią z igły widły.

- Wydawało mi się, że słyszałam, jak Christine mówiła, że ktoś został zabity - ciągnęłam. - Czy to mogło być nieporozumienie?

- Bardzo łatwo. O ile ja się mogę w tym rozeznaczyć, doszło do bójki - jeden z Arabów upadł, uderzył o coś głową. Drugi, przekonany, że go zabił, uciekł w popłochu. A więc cała historia sprowadza się do guza na głowie.

- Ale właściwie o co walczyli?

- O pieniądze.

- O te, które im płacisz?

- Tak, ale jak mówiłem, nie ma się czym przejmować, wszystko już wyjaśniono i za kilka dni transakcja będzie sfinalizowana, a twój mąż osiągnie coś, czego jeszcze nikt nie osiągnął przed nim w świecie sztuki.

Wiedziałam zatem tylko tyle - aż do przyjazdu z Francji Charlotty, która powtórzyła mi usłyszaną przypadkiem rozmowę.

Przyszła do mnie z ogrodu - akurat byłam w jej pokoju, przeglądając

ubrania, które miały pójść na loterię. Usiadła na brzegu łóżka.

- Mamo, usłyszałam przed chwilą coś ogromnie dziwnego.

- Co takiego, kochanie? Zachichotała.

- No, brzmiało to jak z filmu, ale wydarzyło się tutaj, w naszym ogrodzie.

Charlotta siedziała oparta o murek domu, kiedy Christine i David wyszli z pokoju do ogrodu. Właściwie nie zwracała większej uwagi na ich rozmowę, aż do chwili, gdy dołączył do nich Edward.

- Nie chcę wiedzieć już nic, ani słowa ponad to, co wiem. Wycofuję się z tego interesu - rzekł David, a Edward się zaśmiał.

- No i co, rozmawiałaś ze swoim mężem i jesteś zadowolona, że to nie on? - rzekł do Christine.

- Mężem? - przerwałam Charlotcie.

- Tak powiedział.

- Przecież Christine nie jest mężatką.

- Wiem.

- Musiałaś się przesłyszeć, kochanie. Czy to już wszystko?

- Nie. Wtedy Edward spytał Christine, gdzie ląduje samolot, a Christine odparła, że na lotnisku Greg Dunne - tak jak poprzednio. I że dała mu już wcześniej pieniądze.

Objęłam Charlotte, starając się nie wybuchnąć śmiechem.

- Dobrze wiesz, że Edwardowi przysyłają samolotami rzeczy z całego świata.

- Wiem, tylko że tym razem to wszystko brzmiało jakoś inaczej.

- Jak inaczej?

- Po pierwsze, nie słuchałby tego David. Pomyślałam przez krótką chwilę.

- Wiesz co - rzekłam. — A może pójdiesz do Edwarda spytać, czego się spodziewa? Jestem przekonana, że odpowie ci z wielką radością.

I faktycznie. W przyszłym tygodniu oczekiwał przesyłki z Hongkongu, a Greg Duune miał do niego zatelefonować, kiedy zostanie odprawiona na cle. Charlotta nie wspominała nic o „mężu”, gdyż idiotyczne było przypuszczać, że Christine chciałyby coś takiego ukryć, założyłyśmy więc, że Charlotta najzwyczajniej się przesłyszała.

Przez następne kilka dni Edward był niezwykle ożywiony,

przez co wydawał się młodszy - W tym ostatnim tygodniu jakby ubyło mu dziesięć czy nawet piętnaście lat. W Pokoju Egipskim wiele się działo - bez przerwy kręcili się tam malarze - stare skarby usuwano i delikatnie

transportowano do magazynu. Nocami jednak przewracał się na łóżku, nie pozwalając mi zasnąć, mimo że już wtedy spaliśmy oddzielnie. W przeciwieństwie do Edwarda, Christine wydawała się przez cały czas podenerwowana i powtarzała mu, by się wziął w garść. A potem David niespodziewanie obwieścił, że wraz z Jenifer jadą do Gstaad i wrócą najwcześniej za miesiąc

Po wyjeździe Davida Edward popadał to w melancholię, to w zły humor i był nieustannie poirytowany. Gdy raz Jonathan odebrał telefon, Edward dosłownie chłopca odepchnął. Dzwoniła naturalnie jego sekretarka, która się chciała dowiedzieć, kiedy planuje przyjazd do Londynu, gdyż zebrano się sporo spraw do załatwienia. Edward warknął, że poinformuje ją o swoich krokach w odpowiednim czasie, i rzucił słuchawkę. Później do pokoju weszła Charlotta i już po chwili Edward wrzeszczał także na nią.

Wszystko to było nietypowe jak na naszą rodzinę i jednocześnie na ryle przykre, że postanowiłam wyjechać do Londynu. Jonathan bardzo chętnie przystał na ten pomysł, ale Charlotta nie miała większej ochoty na podróż. Domyślałam się, że ma to coś wspólnego z Colinem Newmanem, który grał Romea w przedstawieniu, w którym ona była Julią, jednakże Edward oświadczył, że ma zbyt wiele na głowie, by zajmować się zakochaną nastolatką, i w związku z tym ona także ma jechać. I tak z synkiem, który cieszył się na wyjazd, oraz naburmuszoną nastolatką przyjechałam na Priory Walk późnym wieczorem w upalną sierpniową środę.

Muszę zapamiętać te wszystkie drobne szczegóły, przydadzą mi się potem w sądzie w zeznaniach we własnej sprawie.

Następnego dnia po południu zatelefonował Aleksander. Umówiliśmy się na spotkanie w naszym mieszkaniu o wpół do

ósmej. Dwadzieścia minut później telefon zadzwonił ponownie. Tym razem był to Edward.

- Elżbieto, chcę, żebyś wróciła jak najszybciej. Zostaw dzieci w Londynie, Jeffrey może je zabrać jutro.

- Edwardzie, ale ja nie mogę.

- O Boże, Elżbieto, to sytuacja wyjątkowa!

- Co przez to rozumiesz? - spytałam, ale zdążył już odłożyć słuchawkę. Natychmiast wykręciłam numer do Westmoor, linia jednak była zajęta, i to przez dłuższy czas. Nagle zaczęło ogarniać mnie zimne przerażenie.

Aleksander wyszedł na konferencję, pojechałam więc do mieszkania i zostawiłam mu kartkę.

Do Westmoor dotarłam tuż po siódmej. Edward czekał na mnie na podjeździe. Kiedy zatrzymałam się obok jego Rolls-Royce'a, gwałtownie otworzył moje drzwiczki.

- Dzięki Bogu, nareszcie - z trudem złapał oddech. -Christine zraniła sobie nogę - potrzebuję, żebyś poprowadziła mi samochód. Mamy niewiele czasu.

Przynaglając przesadził mnie za kierownicę Rollsa.

- Dokąd mamy jechać? - spytałam.

- Ruszaj w kierunku Dover, powiem ci, gdzie masz skręcić z głównej drogi.

Kiedy dojechaliśmy do A2 zdążył się już nieco uspokoić. Spojrzałam na niego kątem oka, starając się wyczuć, w jakim jest nastroju, a potem spytałam ponownie, dokąd jedziemy. Uśmiechnął się. Jego oczy były zbyt błyszczące.

- Zobaczysz, kochanie, zobaczysz za chwilę.

Czułam dziwny ucisk żołądka. Chciałam zatrzymać samochód i kazać mu powiedzieć, dokąd jedziemy - ale coś w wyrazie twarzy Edwarda nie pozwoliło mi tego zrobić.

Tuż za Aylesham skręciliśmy w prawo w drogę jednopasmową. Słońce zaczęło się już kryć pośród drzew, choć było jeszcze na tyle widno, że nie musiałam włączać świateł. Po przejechaniu kilku mil po niezwykle wyboistej szosie Edward kazał mi się zatrzymać przy bramie. Stałam, a on spojrzał na zegarek.

- Jesteśmy za wcześnie, będziemy musieli poczekać.

- Na co za wcześnie?

- Elżbieto, proszę, żebyś nie zadawała więcej pytań, wkrótce wszystkiego się dowiesz.

Wpatrywał się uporczywie przed siebie. Sytuacja była tak nietypowa, że nawet nie potrafiłam sobie zacząć wyobrażać, co się dzieje. Co my tu robimy, w zaparkowanym samochodzie, na odludziu, czekając na spotkanie Bóg wie z kim? Już chciałam mu powiedzieć, że się boję, ale słowa uwięzły mi w gardle, bo uświadomiłam sobie, że się boję Edwarda...

Nagle gdzieś w górze zawarczał silnik niewielkiego samolotu. Edward nie spuszczał z niego oczu, ale nie odezwał się ani słowem nawet wtedy, gdy samolot wylądował jakąś milę od nas. Od czasu do czasu patrzył na zegarek, a następnie na horyzont. Wreszcie, kiedy zapadła głęboka noc, polecił mi zapalić silnik.

Była to niebezpieczna podróż, ponieważ kazał mi jechać na mało przydatnych w takich warunkach światłach postojowych. Dziwiło mnie, że tak dobrze zna drogę - i każdy jej zakręt... W końcu polecił

mi przejechać przez wyrwę w żywopłocie -wtedy droga zrobiła się gładka i prosta. Dopiero po dłuższej chwili zorientowałam się, że jadę po pasie startowym.

Byłam tak zszokowana tym, co się stało później, że właściwie mogłam tylko siedzieć w milczeniu i z przerażeniem się przyglądać.

Z ciemności wynurzył się nagle jakiś człowiek i Edward, wrywając kluczyki ze stacyjki, wysiadł z samochodu. Przez kilka minut rozmawiali, wskazując to na samolot, który mogłam teraz dostrzec w przyćmionym świetle księżyca, to na samochód. Patrzyłam, jak odchodzą, aż ich postacie roztopiły się w ciemności i zostałam sama.

Natężałam słuch, właściwie spodziewając się, że lada chwila usłyszę krzyk, wystrzał karabinu, tupot stóp... Rozglądałam się

wokół, usiłując przezwyciężyć odruch wymiotny, wywoływany przez strach. Pobliskie krzaki wydawały się czarnymi plamami, a kiedy się im przyglądałam, jakby coś się poruszyło w ciemności.

Nerwy miałam napięte jak postronki, słyszałam łomot własnego serca. Czy tam się czai ktoś, kto może wyskoczyć z cienia? Nagle coś się poruszyło z tyłu samochodu. Odwróciłam się, otwierając usta do krzyku.

To był Edward. Zabrał małą paczkę z tylnego siedzenia i ponownie zniknął. Mężczyzna, który nadal stał w tamtym miejscu, wziął paczkę, a potem czekał, aż Edward otworzy bagażnik. Słyszałam, że coś z bagażnika wyjmują, następnie coś do niego chowają; po chwili bagażnik zamknięto. Mężczyzna odszedł, a Edward wsiadł z powrotem do samochodu. Wręczył mi kluczyki i polecił włączyć silnik.

- Jedź powoli - rzekł. - Bez świateł, dopóki nie wjedziemy na główną szosę.

Przez całą podróż nie spuszczałam oczu z drogi. Nie pytałam, co wieziemy. Nie chciałam wiedzieć.

Kiedy podjechaliśmy pod dom w Westmoor, była prawie północ. Christine czekała na nas przy drzwiach frontowych. Edward wyskoczył z samochodu, ponownie wyjmując kluczyki ze stacyjki.

Wysiadłam za nim, trzymając się z tyłu, a on otworzył bagażnik i wraz z Christine wyjęli stamtąd jakąś paczkę. Spojrzałam na stopę Christine.

- Elżbieto, odstaw samochód - warknął Edward.

Gdy wracałam z garażu, spojrzałam na dom, wiedząc już, że w Pokoju Egipskim będą zapalone światła. I nagle zrozumiałam, że to coś, czego bałam się od tak dawna, przybyło do Westmoor.

Edward zszedłszy na dół zastał mnie w holu. Miał zaczerwienioną twarz i cały drżał.

- Elżbieto! - westchnął, jakby jedno z nas właśnie powróciło z długiej podróży. A potem podchodząc do mnie, rozpostarł ramiona i przytulił mnie.

Och, Elżbieto! Dzisiaj jest największy dzień w moim życiu! - Wziął mnie za ramiona, lecz gdy podniosłam oczy, patrzył gdzieś w bok. - Dzisiaj osiągnęłam to, czego żaden inny człowiek nie osiągnie! - I w tym momencie stracił ów dziki wyraz oczu, które nagle rozbłysły, tak jakby za chwilę potok łez miał mu spłynąć na policzki.

Odwrócił się, słysząc Christine na schodach. Skinęła do niego, a następnie przeszła obok nas do salonu.

Odsunęłam się od Edwarda, gdy wziął mnie za rękę, ale on się tylko uśmiechnął i jak ojciec, który namawia dziecko do zrobienia czegoś, czego ono się boi, poprowadził mnie w górę po schodach.

W Pokoju Egipskim światła były zgaszone, lecz ich nie zapalił. Słyszałam jego przyspieszony oddech, kiedy ustawiał mnie przy drzwiach. Dopiero wtedy pstryknął, zalewając pokój strumieniem jasności.

Zaparło mi dech w piersiach - nie było już w Pokoju Egipskim starożytnych kamieni i alabastrowych skarbów z Egiptu, nie było już mumii, reliefów, obrzydliwych rzeźbionych twarzy. Ich miejsce zajął największy skarb Egiptu, a właściwie świata - o skośnych hebanowych oczach utkwionych prosto we mnie, w przybraniu na głowę z płytek ze szczerzego złota i turkusów, jak laser odbijający blask ścian i sufitu w tych samych kolorach - pośmiertna maska Tutenchamona.

Rozdział 26

Drzac całą, poczułam, że mam gęsią skórę. To tak jakby w chłodnym powietrzu pokoju pojawiło się prawdziwe zło. Oderwałam wzrok od maski i spojrzałam na Edwarda. Miał rozanieloną twarz - gotów za chwilę paść na kolana i oddawać jej cześć.

- Wielki Boże! - szepnęłam. - Co ty zrobiłeś?

- Szsz... - uciszał mnie.

- Ależ...

Chwycił mnie za rękę i wyciągnął na korytarz.

- Zaczekaj, porozmawiamy na dole. - Następnie odwrócił się, wyłączył światła i zamknął drzwi na klucz.

Miał rację - nikt by się nigdy nie domyślił, że pośmiertna maska Tutenchamona jest tutaj, ponieważ na jej miejscu w kairskim muzeum znajdowała się inna - znakomita kopia. I nikt by czegoś takiego nawet nie podejrzewał, bo kto by w ogóle przypuszczał, że przez ostatnie pięć lat mała grupka fachowców, specjalizujących się w fałszerstwach, wchodziła do muzeum jako turyści i wykorzystując fatalny system zabezpieczeń, chowała się w magazynie aż do nocy, by wtedy podjąć pracę. Okazuje się, że jedyny problem, jaki w zasadzie musieli rozwiązać, to wyniesienie maski z muzeum. Ale nawet to nie nastęrczało zbyt wielu trudności. Fałszerze najzwyczajniej dołączyli skrzynkę z maską do bagażu transportowanego ciężarówką do Luksoru, a następnie porwali samochód na przedmieściach Kairu.

Ciężarówkę szybko odnaleziono z nie naruszonym ładunkiem, a braku najważniejszej skrzynki nikt przecież nie zauważył, bo nie wiedział, że tam w ogóle była.

Edward skończył swoją opowieść, a ja wstałam nalać sobie następne brandy. Nie pijam dużo, lecz tego wieczoru musiałam się napić. To było niesamowite, że tak sobie siedzieliśmy w salonie, popijając brandy, jak każde inne małżeństwo, gdy tymczasem mój mąż spokojnie i cicho opowiadał mi, jak obmyślił kradzież oraz fałszerstwo, które nie miało sobie równego w całej historii sztuki światowej.

Tej nocy spałam w pokoju Charlotty - Edward mnie przerażał. Przez te wszystkie lata wydawało mi się, że go znam, ale teraz okazało się, że był mi całkowicie obcy.

Kiedy Jeffrey i Kanarek przywieźli dzieci następnego dnia, z przerażeniem myślałam o tym, że Edward zaprowadzi je do Pokoju Egipskiego. Ale nie, nawet sam tam nie poszedł. Za to zawiózł

Charlottę do świetlicy, gdzie odbywała się próba *Romea i Julii*, Jonathana zaś zabrał do Tunbridge Wells na spotkanie z klientem. Życie toczyło się zatem normalnym trybem.

Christine zastałam w jej gabinecie i spytałam, dlaczego skłamała, że ma jakieś kłopoty ze stopą.

- Edward nie chciał czekać z rozpakowaniem maski po powrocie, dlatego to wszystko, co jeszcze znajdowało się w Pokoju Egipskim, należało wynieść, aby zrobić dla niej miejsce. Wywieźliśmy te rzeczy z Jeffreyem do

magazynu - a ty byłaś jedyną osobą, która prowadzi.

- Dlaczego nie pojechał sam?

- Widziałaś, w jakim był stanie - nie mógł prowadzić samochodu.

Jakże żałowałam, że David wyjechał! Tak bardzo potrzebowałam kogoś, z kim mogłabym

porozmawiać! Nawet się zastanawiałam, czyby nie zadzwonić do niego do Gstaad, ale uświadomiłam sobie, że wyjechał tam przede wszystkim dlatego, że nie chciał z tą sprawą mieć nic wspólnego.

Wiedziałam, że Aleksander się o mnie niepokoi, zadzwoniłam więc do kancelarii, i po raz pierwszy nawet udało mi się go tam zastać. Powiedziałam mu, że Edward zachorował. Ubiegłej nocy, kiedy przewracałam się na łóżku, nie mogąc zasnąć, wymyśliłam, że zwrócę się o pomoc do Aleksandra, ale w świetle dnia zobaczyłam, że nie mogę go w to mieszać. Był adwokatem. Gdyby kiedykolwiek wyszło na jaw, że wiedział o całej tej aferze, zrujnowałby sobie karierę.

W czasie weekendu życie toczyło się w absurdalnie normalny sposób. I chociaż Edward zdawał się nieprawdopodobnie radosny i zasypywał nas prezentami, miałam wrażenie, że coś jest nie tak.

Najdziwniejsze, że sam w ogóle nie zbliżał się do Pokoju Egipskiego.

Dzień, w którym Edward zmarł, rozpoczął się jak każdy inny - dzieci krzyczały do siebie na korytarzu, śniadanie zjedliśmy w jadalni, Christine telefonowała do Londynu, a Edward siedział z gazetą w Błękitnym Salonie. Poszłam do niego.

Wiedziałam, że nie mam większych szans na przekonanie męża, by zwrócił maskę, ale musiałam spróbować, zanim podejmę decyzję, jaki zrobić następny krok.

Zaproponowałam, abyśmy przeszli do ogrodu, gdzie nikt nas nie mógł usłyszeć. Podczas spaceru wsunął moje ramię pod swoje z tym na poły szaleńczym uśmiechem, który pojawił mu się na ustach od czasu, kiedy do Westmoor przybyła maska. Tym razem znowu uderzyła mnie szalona nierealność całej sytuacji - oto niby normalna para małżeńska przechadza się po ogrodzie, rozmawiając jakby nigdy nic o jednym z największych skarbów świata, który się znajduje w ich domu.

- To zabobony - zaśmiał się, kiedy mu powiedziałam, że poczułam jakieś zło w momencie, gdy zobaczyłam maskę. Wybij sobie takie rzeczy z głowy. Teraz musimy myśleć tylko o tym, że wreszcie mam wszystko, na czym mi w

życiu zależało. Spójrz na to w ten sposób - tutaj jest bezpieczna, o niebo bezpieczniejsza niż w kairskim muzeum, przy ich systemie bezpieczeństwa. Oni nie zasługują... -

Urwał i widziałam, że stara się opanować. - Przepraszam, ale krew się we mnie gotuje, gdy sobie pomyślę, że ktokolwiek może się tam włamać o dowolnej porze i zabrać, co sobie tylko zażyczy. W

muzeum nie ma żadnych kamer kontrolnych, żadnego systemu alarmowego - niczego...

- Ależ, Edwardzie, czy nie uważasz, że sam jesteś jednym z tych, o których mówisz? Ty albo ktoś, komu zapłaciłeś, poradził sobie z systemem zabezpieczeń i wykradł najcenniejszy eksponat z całej kolekcji muzeum. Czy nie mógłbyś go w jakiś sposób zwrócić, kochanie? Jego miejsce jest w Kairze i dobrze o tym wiesz.

- Mylisz się, Elżbieto. Miejsce maski jest tutaj - przy mnie.

- Tak to możliwe? Nie jesteś przecież nawet Egipcjaninem?

- Kto wie, kim czy też czym byłem w moim poprzednim życiu? - uśmiechnął się. - Może powinienem opowiedzieć ci o poczuciu pokrewieństwa, jakie...

- Nie, Edwardzie, nie będę tego słuchać, to szaleństwo. Go się z tobą stało? Zawsze byłeś uczciwym człowiekiem. Dlaczego to zrobiłeś? Co będzie, gdy ktoś się o tym dowie?

- Ale już ci mówiłem, kochanie - nikt się nie dowie. Nie ma żadnego powodu, aby ktokolwiek zaczął

sprawdzać maskę, która w tej chwili znajduje się w muzeum, a jedynie specjalista potrafiłby zauważyć, że to falsyfikat.

- No a teraz, skoro ją masz, dlaczego nigdy nie pójdziesz na nią popatrzeć? Nawet nie podszedłeś do Pokoju, od czasu kiedy się tu zjawiała. Och, Edwardzie, tak cię proszę, zabierz ją z domu! Jeśli już musisz maskę zachować, to przynajmniej ją gdzieś wywieź. Nie mogę znieść myśli, że jest pod jednym dachem razem z Charlottą i Jonathanem!

- Moglibyśmy spytać, co o niej sądzą - rzekł Edward. - O, nadchodzi Charlottą, mam ją spytać?

- Nie!

- Tak tylko żartowałem - szepnął całując mnie w czoło.

i zawołał do Charlotty, która szła po trawniku w naszą stronę:

- Czemu zawdzięczamy ten zaszczyt? Przypuszczam, że spieszysz się na próbę?

- Owszem - odparła. - Ale chciałabym zapytać o jedną rzecz. — Widać było, że z trudem przychodzi jej powiedzieć to co chce, więc natychmiast się domyśliłam, że ma to coś wspólnego z jej nowym chłopakiem. - No bo Colin i paru znajomych jedzie do Devonu pod namioty w przyszły weekend i zaprosili mnie, bym z nimi pojechała.

- Bardzo mi przykro, kochanie, ale to w ogóle nie wchodzi w rachubę. Cała ta młodzież ma co najmniej po szesnaście lat, a ty zaledwie czternaście i pół. Jesteś trochę za młoda na tego typu wyjazdy. A poza tym Colin nie jest chyba odpowiednim dla ciebie chłopcem.

- Chodzi ci o to, że nie należy do tej samej klasy co my, bo jego ojciec jest tylko piekarzem?

Faktycznie, miło się z tobą rozmawia.

- Absolutnie nie to miałam na myśli. Chodziło mi o...

- Owszem, miałaś, bo jesteś, mamó, snobką. No cóż, jego ojciec jest piekarzem, ale kim, na przykład, był twój? Wychowałaś się w wesołym miasteczku! Nie tak dawno sama byłaś jak małe Cyganiątko.

- Charlotto! - Edward przerwał jej w pół słowa. Wystarczy! Nie życzę sobie, abyś kiedykolwiek mówiła w ten sposób o matce! Słyszałaś już odpowiedź, nie możesz jechać i tyle.

- A kto ciebie pytał o zdanie?

- Charlotte! - krzyknęłam.

- Nikt mnie nie pytał! - odwarknął Edward. - Ale ja ci odpowiadam. Ostatnio mam już dosyć twojego zachowania -jesteś niegrzeczna i zuchwała. Najwyższa pora, aby ktoś się tobą porządnie zajął. Teraz idź do pokoju, porozmawiam z tobą później!

- Nie będziesz mi rozkazywać! Nie jesteś nawet moim prawdziwym ojcem!

Twarz Edwarda poszarzała.

- Coś ty powiedziała? - syknął.

- Powiedziałam, że nie jesteś moim prawdziwym ojcem!

- Charlotto, wracaj tutaj! - wrzasnęłam, łapiąc ją za rękę.

- Puść mnie! - krzyknęła.

Nagle Christine chwyciła ją za ramię i załatwiła sprawę, wymierzając dziewczynie policzek.

- Ty mała suko! - warknęła. - Jak śmiesz w ten sposób mówić do ojca?

- Nie jest moim ojcem! - krzyknęła Charlottą. - Nie jest! Nie jest!

Nienawidzę go!

- Zaprowadź ją do domu! - polecił Edward.

Charlotte próbowała się wyrwać, ale Ghristine była zbyt silna.

Patrzyliśmy z Edwardem, jak idą przez trawnik i znikają wewnątrz domu.

- Chyba należało liczyć się z tym, że coś takiego pewnego dnia nastąpi - rzekł Edward - chociaż nigdy nie przypuszczałem, że w ten sposób. - Odwrócił się do mnie. Czy ona go zna?

Potrząsnęłam głową.

- Ale ty się z nim spotykasz, prawda? Nie, nie kłam, Elżbieto. Widziałem przed chwilą twój wyraz twarzy. Jak długo to trwa?

- Cztery lata, może dłużej.

Słyszając moje słowa, jakby się skurczył.

- Tak długo! - szepnął. - Mówiłem ci, że możesz mieć więcej swobody, ale stwierdziłaś, że chcesz zostać. I przez cały ten czas...

Kiedy nic nie odpowiedziałam, zakrył twarz dłońmi.

- Tak bardzo się starałem cię zrozumieć. Zrobiłem wszystko, żeby ułatwić ci życie, ale ty i tak zawsze wracasz do niego. Co jest w nim takiego? Dlaczego nie możesz się od niego oderwać?

Gdybym próbowała wyjaśnić mu swoją miłość do Aleksandra, zraniłabym go jeszcze bardziej.

Dlatego milczałam.

- Przez te wszystkie lata nie dawałaś mi swojej miłości. Charlotte to wyczuła. I to właśnie nastawiło ją wrogo wobec mnie.

- Nie nastawiałam jej wrogo wobec ciebie, Edwardzie. Nie wiem, dlaczego zachowała się w ten sposób, ale ci przysięgam, że nic nie wie o swoim ojcu.

Próbował uśmiechnąć się przez łzy.

- Swoim ojcu! - Odwrócił się i zaczął wolno odchodzić w stronę domu. Szedł zgarbiony, jakby broniąc się przed dalszym bólem.

Weszłam za nim do środka. Najpierw pomyślałam, że idzie do sypialni Charlotty, ale gdy dotarł na piętro, skręcił w drugą stronę, ku Pokojowi Egipskiemu, a ja szłam tuż za nim - czułam, że z jakiegoś powodu chce, żebym była blisko.

Kiedy otworzył drzwi, aż zapało mi dech w piersiach. Ściany i sufit pomieszczenia zostały pomalowane w turkusowo-złote pasy, co przy słońcu przebijającym się przez szczelbelki żaluzji sprawiało wrażenie, jakby maska wypełniała cały pokój.

- Piękna, prawda? - spytał Edward, odwracając się do mnie. Faktycznie była piękna. Staliśmy w drzwiach, pozwalając, by światło wchłonęło nas w obręb niesamowitego wzoru złota i niebieskości. I tym razem miałam wrażenie, że hebanowe oczy przyglądają mi się ze środka pokoju.

Edward stanął obok maski. Pełna spokoju twarz, wsparta na zaplecionej brodzie i wspianym kołnierzu z lapis-lazuli, kwarcu i amazonitu, rzuciła mu młodzieńcze, niewinne spojrzenie.

Nagle serce mi zamarło. Palce Edwarda, które dotykały maski, drżały tak silnie, że uderzały o boki złotej głowy.

Złapałam go, kiedy upadł, wraz z nim osuwając się na kolana.

- Kruszy! - Wydobył się z niego gardłowy charkot. Kruszy!

- powtórzył.

- Kruszy? O co chodzi? Co to jest? Och, Edwardzie, proszę!

- Wezwałam pomoc, ale było już za późno.

Moim najtrudniejszym zadaniem przez następne kilka dni było pocieszanie Charlotty. Nic jej nie mogło przekonać, że Edward zmarł na skutek wylewu - uważała, że to ona spowodowała jego śmierć.

Nie spytałam jej, dlaczego zdecydowała się wspomnieć o swoim prawdziwym ojcu właśnie tego dnia -i tak cierpiała aż nadto.

Christine nie wychodziła ze swego pokoju.

Dopiero po pogrzebie opowiedziałam Davidowi, jak wyglądała śmierć Edwarda. On, tak samo jak ja, był zdziwiony, że

Edward w ostatniej chwili swego życia wypowiedział coś, co brzmiało jak „kruszy”. Nikt z nas nie mówił o tym, co ma się stać z maską, choć wszyscy namacalnie zdawaliśmy sobie sprawę z jej obecności.

W dzień po pogrzebie zadzwonił Aleksander. Było mu autentycznie smutno z powodu śmierci Edwarda - dało się to wyczuć w jego głosie. To, że się odezwał, że mogłam porozmawiać z kimś, kto nie był w żaden sposób związany z tą okropną maską, stanowiło taką ulgę, że się załamalam i wybuchnąłam płaczem. Były to pierwsze łzy, jakie wylałam od czasu owego okropnego poranka w Pokoju Egipskim.

Aleksander słuchał moich skarg, jak to nigdy sobie nie wybaczę, że Edward w taki sposób dowiedział

się o nas. Powiedziałam mu, że obydwójce kłamaliśmy i oszukiwaliśmy już dostatecznie długo, że już najwyższa pora się rozstać, zanim zadamy więcej bólu innym ludziom - w tym także naszym dzieciom.

Jego słowa pożegnania stanowiły jakby echo moich własnych myśli i

pograżyły mnie w głębokim smutku.

- Bóg jeden wie, dlaczego wszystko tak nam się układa, Elżbieto. Naszą jedyną zbrodnią jest to, że się kochamy. Tym razem jednak czuję, że jest coś, o czym mi nie mówisz. Więc chciałbym, abyś wiedziała, że kiedy dojdiesz do wniosku, że możesz mi na powrót zaufać, będę na ciebie czekał. A tymczasem pamiętaj - że kocham cię całym sercem.

Aż oniemiałam ze zdziwienia, gdy się zorientowałam, że Edward wszystko zapisał mnie. Naturalnie, przeznaczył okazałą sumkę dla Christine, ale z sobie tylko znanych powodów pozostawił ją w gestii zarządu powierniczego. Testament opatrzony był w kodycył - na wypadek gdybym zmarła przed Christine, ona miała zabezpieczyć pieniądze dla Charlotty i Jonathana. Z zaciętej miny bratowej po wyjściu z kancelarii

adwokata wyraźnie dało się wyczytać, że nie takiej ostatniej woli się spodziewała, i wiedziałam, że od tej chwili moje życie będzie niełatwe...

Zaczęło się już tydzień później, kiedy przyszła do mnie po pieniądze. Byłam zszokowana - nie tylko dlatego, że mogłabym jej czegokolwiek odmówić, ale ze względu na sumę oraz powody, jakie mi podawała.

- Prosisz mnie, bym zapłaciła fałszerzom tej maski? Bardzo mi przykro, Christine, ale nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Sama musisz to jakoś załatwić!

- O Boże, kiedy ty dorośniesz? Czy nie zdajesz sobie sprawy z tego, że jesteś w to wplątana w takim samym stopniu jak ja? Przez cały czas wiedziałaś, że maska znajduje się tutaj i nikomu o tym nie powiedziałaś. Nawet tamtej nocy podwiozłaś Edwarda, gdy ją odbierał. Pojechałaś z nim do Egiptu, byłaś z nim w muzeum. Tak naprawdę gdyby nie ty, toby tej cholernej maski tutaj w ogóle nie było!

- Ja? To nie ma nic wspólnego ze mną!

- Ma bardzo wiele. Zanim się pojawiłaś w jego życiu, maska była dla Edwarda jedynie przedmiotem -

pięknym przedmiotem, który podziwiał. Popadł w obsesję dlatego, że go tak a nie inaczej traktowałaś.

Szalał na twoim punkcie, Elżbieto, tak bardzo, że kiedy raz za razem go odtrącałaś, postanowił

koniecznie chwycić się czegoś, co się przeciwko niemu nie obróci. Co nie będzie mu przypominało, że nie jest dostatecznie dobry. Maską była dla niego namiastką ciebie. A zatem, czy ci się podoba, czy nie, tkwisz w tym po

same uszy. - Urwała. - Falszerze chcą pięćdziesięciu tysięcy funtów. To pierwsza obiecana im przez Edwarda rata. I dla nas obu byłoby lepiej, gdybyś tę sumę zapłaciła, bo z pewnością zdajesz sobie sprawę, że ci ludzie mogliby nas wpakować do więzienia na bardzo długo.

- Ale przecież ja nic nie wiedziałam o zamiarach Edwarda. O, Boże, cała ta rozmowa jest w ogóle idiotyczna! Dlaczego on nigdy mi o tej masce nie wspominał? Przecież go kochałam, musiał sobie z tego zdawać sprawę. A ty na pewno od początku wiedziałaś, co się święci, dlaczego więc go nie powstrzymałaś?

- Powstrzymać! Równie dobrze mogłabym sama to cholerstwo podrobić. Musiał ją mieć! Wydawało mu się, że jest jedyną osobą na świecie, która umie tę maskę ochronić. Ale nie miałyby potrzeby jej chronić, gdyby nie obawiał się, że nie będzie mógł być z tobą. Potrzebował czegoś, co mógłby hołubić. Edward taki właśnie był

- ciągnęła z okrutnym uśmiechem na ustach. - A ty się pytasz, dlaczego z tobą nie rozmawiał o masce?

Nie powiedział ci, bo nie chciałaś o tym wiedzieć. Interesował cię tylko twój kochanek. Ty od Edwarda oczekiwałaś jedynie pieniędzy i pozycji. No cóż - teraz masz to, czego chciałaś, i musisz zapłacić.

- Ale nie zapłacę, Christine. Słyszysz? Nie zapłacę! Zwrócę tę maskę! Uniosła ręce do góry, następnie klepnęła się o uda.

- Mówimy, kochanie, o masce Tutenchamona, a nie o jakimś bzdecie z Harrodsa. Nie bądź naiwna!

Oni chcą pieniędzy, Elżbieto! Pieniądzy! Dali nam pięć dni na zapłacenie tej sumy, w przeciwnym razie zaczną sypać. Powiedzą między innymi o zabójstwie strażnika muzeum - jego ciało nadal znajduje się w jednym z sarkofagów.

- Co takiego? - Tego było jak na mnie za wiele.

- Słyszałaś - mówiła cicho, ale gorycz, jaka przepęniała jej słowa, wywoływała we mnie dreszcze.

Został zamordowany, ponieważ nakrył fałszerzy przy pracy. Pamiętasz, jak krzyknęłam tamtej nocy, prawda? To z tego powodu. Wtedy myślałam, że zamordowano kogoś innego, ale teraz nie ma to większego znaczenia. Zaczynasz już wszystko rozumieć? Tych ludzi nie da się zbyć byle czym.

Zapłać, bo w przeciwnym razie, ostrzegam cię - pożałujesz! Ty i te twoje bękarty!

Kiedy weszła do gabinetu, siedziałam za biurkiem Edwarda

- teraz stałam za kanapą, trzymając się jej oparcia.

- Potrzebuję czasu do namysłu - rzekłam. - Jutro muszę jechać do Londynu — dzieci zaczynają szkołę.

- Możesz sobie myśleć do woli, ale odpowiedź i tak jest jedna - i im wcześniej się z tym pogodzisz, tym lepiej. Zatelefonuję do ciebie jutro wieczorem. O której spotykasz się ze swoim kochankiem?

Postaram się zadzwonić, zanim wyjdiesz. A może chciałabyś mi podać numer telefonu do mieszkania w Chelsea?

Wysłałam z pokoju prosząc, by zadzwoniła o siódmej. Nie zdecydowałam się sprawić jej tej przyjemności i spytać, skąd wie o naszym mieszkaniu w Chelsea.

Następnego dnia podjęłam decyzję jeszcze na długo przed jej telefonem. Była chyba szalona myśląc, że pozwolę się szantażować fałszerzom. Zamierzałam udać się do adwokata Edwarda i wszystko mu opowiedzieć - wtedy przynajmniej zabiorą maskę, niezależnie od konsekwencji, jakie by z tego wynikły.

Christine była wściekła, kiedy jej zakomunikowałam, co postanowiłam.

- Na Boga, czy ty w ogóle nie dbasz o te swoje bachory? - wrzeszczała w słuchawkę. Elżbieto, ci ludzie nie mają skrupułów - nic ich nie jest w stanie powstrzymać!

Powiedziałam sobie, że w ten sposób usiłuje mnie tylko zastraszyć. Prawda bowiem była taka, że ona miała o wiele więcej powodów do obaw niż ja - istniały dowody na to, że była zamieszana w przestępstwa, do których doszło w różnych częściach świata. Nie zmieniałam więc zdania, kończąc naszą rozmowę rzuceniem słuchawki.

Jak ta głupia myślałam, że na tym skończy się cała sprawa - że wystarczy mi tylko pozbierać wszystkie fakty, a następnie udać się do adwokata Edwarda, aby sytuacja całkowicie się wyjaśniła. Nie miałam wtedy pojęcia, co się stanie z Christine,

ale postanowiłam ją ostrzec, zanim zrobię jakiś ruch, aby sama mogła zdecydować, co zamierza.

Późnym wieczorem zatelefonował do mnie David mówiąc, że wraz z Jenifer udają się z powrotem do Gstaad. Nie chciał tego otwarcie przyznać, ale żadne z nich nie miało większej ochoty przebywać pod jednym dachem z maską. Żałuję, że zabrakło mi odwagi, aby poprosić Davida, by on rozwiązał całą sprawę - był w końcu bratem Edwarda, wiedziałam jednak, że to mój

problem. - David umył od wszystkiego ręce, na długo przedtemzanim maska wkroczyła w nasze życie.

W weekend zabrałam dzieci z powrotem do Westmoor, ponieważ właśnie wtedy miała się odbyć premiera *Romea i Julii*.

Christine zdążyła już wyjść, zanim dotarliśmy do Westmoor w sobotni rano, zostawiła mi jednak liścik przyczepiony do wczorajszej gazety, a ponadto zaznaczyła artykuł zatytułowany: „Eksperci przeprowadzają badania maski Tutenchamona”. Serce zaczęło mi bić gwałtowniej i zanim przeczytałam artykuł, zerknęłam na kartkę od niej: „Droga Elżbieto, może teraz uwierzysz mi, że ci ludzie naprawdę zrobią wszystko, by załatwić to, na czym im zależy. Już wkrótce specjaliści zorientują się, że maska jest falsyfikatem, ale to jeszcze drobiazg. Wielka Brytania nie ma porozumienia o ekstradycji z Egiptem, nam jednak nadal grozić będą w kraju zarzuty o nielegalny import, czy Bóg jeden raczy wiedzieć cóż jeszcze. Ten przeciek informacji do władz egipskich to ostrzeżenie od ludzi, z którymi prowadziliśmy wraz z Edwardem interesy. Tak jak ci mówiłam, maskę mają w nosie, ale zależy im na pieniądzu. Proponuję, żebyś już zaczęła się modlić i pilnowała swoich dzieci. Bądź

grzeczna i zniszcz tę kartkę po przeczytaniu”.

Wreszcie dotarło do mnie, że jesteśmy w niebezpieczeństwie. Christine miała rację - tych ludzi nic nie powstrzyma przed odebraniem pieniędzy, które byliśmy im winni.

Przede wszystkim pomyślałam o dzieciach. Charlotta znajdowała się w miejskiej świetlicy z resztą członków zespołu teatralnego, gdzie zostanie aż do zakończenia dzisiejszego premierowego wystąpienia. Jonathan był w ogrodzie z Jeffreyem. A więc przynajmniej chwilowo o dzieci nie musiałam się bać.

Następnie zadzwoniłam do domu Oscara Renfrew. Telefon odebrała żona, powiedziała, że Oscar wyjechał i wróci we wtorek.

- Czy mogłabym się z nim porozumieć tam, gdzie jest?

- Niestety, to niemożliwe. Wędruje w tej chwili gdzieś po Górach Penińskich.

Nieomal chora ze strachu zaczęłam chodzić po pokoju, nie bardzo wiedząc, co zrobić. Co jakiś czas zerkałam na artykuł w gazecie. W zasadzie brzmiał niewinnie, ale przy moim stanie nerwów potrafiłam w nim wyczytać najróżniejsze groźby.

O drugiej zadzwoniła Christine.

- Bogu dzięki! - jęknęłam. - Gdzie jesteś?

- W magazynie. Teraz posłuchaj uważnie. Sprawy potoczyły się znacznie szybciej, niż przypuszczałam. Ktoś już jest w drodze, żeby się z tobą spotkać. Kto? - nieomal wrzasnęłam.

- Chyba z Urzędu Ceuł, Akcyzy czy z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, sama nie wiem. Wiem tylko tyle, że ktoś tutaj dostał cynk od Egipcjan, że Edward był w jakiś sposób zamieszany w śledztwo prowadzone w Kairze. Znalaziono ciało strażnika i strona egipska chce, aby w Wielkiej Brytanii przeprowadzić dochodzenie.

- Jak się tego wszystkiego dowiedziałaś?

- Nieważne. Ta maska nadal jest w domu i musimy się jej jakoś pozbyć. Ale to nie jedyny nasz problem. Teraz to już tylko kwestia czasu, by władze Egiptu odkryły, że cała kolekcja Edwarda została nabyta w sposób równie nielegalny jak maska. Wystarczy. Choć jest jeszcze więcej tego typu spraw. Najwyższa

pora, żebyś się wszystkiego dowiedziała, to może wreszcie zrozumiesz, że sytuacja jest dość poważna.

Pamiętasz nasze wizyty w wioskach wzdłuż Nilu? Musieliśmy wtedy przekupić mieszkańców, którzy, moja kochana bratowo, siedzą na bogactwie, o jakim ci się nigdy nie śniło. Wszystkie te domy zbudowane są na starożytnych grobowcach, pełnych bezcennych przedmiotów. Z jednej strony władze egipskie starają się wykupić te domostwa, a z drugiej ludzie tacy jak Edward płacą im, by je tam utrzymali. W zamian mieszkańcy wioski prowadzą drobne wykopaliska na własną rękę...

Większość pieniędzy idzie do Kairu. Zostają one wykorzystane na zakup broni dla OWP czy też Libijczyków - a może nawet dla Izraelczyków - to nie ma większego znaczenia - liczy się tylko, kto płaci odpowiednią cenę. To wszystko działa się pod twoim nosem, ale byłaś za głupia, żeby się zorientować. - Urwała, a mnie wydawało się, że słyszę jej cichy śmiech. Teraz wyjdź z domu i przyjedź tutaj spotkać się ze mną. Zrób to tak, żeby wyglądało, jakbyś szła na zakupy, żebyś, na Boga, nikomu nie powiedziała, dokąd jedziesz!

Kiedy milczałam, odezwała się ponownie.

- Elżbieto! - szepnęła, a chłód w jej głosie zmroził mnie do szpiku kości. - Byłaś jego żoną i odziedziczyłaś wszystko, dosłownie wszystko!

Starałam się nie spieszyć, zbierając swoje rzeczy, żeby to wyglądało,

jakbym wyjeżdżała do Tunbridge Wells. W drodze do miasteczka dostrzegłam, jak panna Barsby wskazuje komuś drogę i wtedy nagle mi się przypomniało, że zostawiłam liścik Christine na biurku Edwarda. Szybko cofnęłam samochód za zakręt, modląc się, żebym zdążyła do domu, zanim kto inny tam dotrze.

Kiedy wreszcie dojechałam do magazynu, Dan - tamtejszy dozorca - czekał na mnie przy drzwiach.

Minęłam go i popędziłam na drugie piętro. Zaczęłam się rozglądać za Christine,

ale nie mogłam jej nigdzie znaleźć. Ponieważ była sobota, panowała niesamowita cisza.

Wzdrygnęłam się na odgłos swoich własnych kroków, gdy ruszyłam do pomieszczenia z magazynem po drugiej stronie budynku.

Otworzyłam szeroko drzwi i krzyknęłam przerażona. Wszystko, co się tutaj znajdowało, zostało rozwalone w drobnusieńki mak - ukochane przedmioty Edwarda stanowiły jedną wielką stertę skorup. Ktoś przewalił jego biurko i całą zawartość wysypał na podłogę. A na tym wszystkim leżały podarte płótna - to, co się zachowało z kolekcji starych mistrzów Edwarda - oraz połamane antyki.

Na jakiś odgłos za plecami odwróciłam się i zamarłam z przerażenia - wpatrywały się we mnie oczy, w których czaił się obłąd.

Aleksander

Rozdział 27

Byłem w Westmoor po raz pierwszy. Myślę, że przy każdej innej okazji zaimponowałyby mi ta wspaniała rezydencja, lecz teraz jechałem zbyt szybko, by dostrzec piękno ogrodów czy zachwycać się wiejskim krajobrazem. Zatrzymałem się przed domem i mocno zastukałem do frontowych drzwi.

Drzwi otworzyła Kanarek, Przecisnąłem się obok niej do środka i już miałem zawołać, kiedy nagle pojawiła się u szczytu schodów. Spojrzałem na nią ze ściśniętym sercem. Ubrana była na czarno, miała zaciętą twarz, jej przepiękne kruczoczarne włosy zostały obcięte.

Popatrzyła na mnie i w tym momencie dostrzegłem ogromny strach w jej oczach. Wolno uniosłem ramiona, wyciągając je do Elżbiety.

Przywarła do mnie i mogłem wręcz wyczuć wszystkie kosteczki drżące pod skórą.

- Ja tego nie zrobiłam - szepnęła. - Ja ich nie zabiłam. Wiem i dlatego tutaj jestem.

Z tyłu za Elżbietą dostrzegłem Charlotte stojącą u szczytu schodów - równie piękną i przerażoną jak jej matka. Kanarek odprowadziła ją z powrotem do pokoju.

Wszystko było tak dziwaczne, że aż trudno uwierzyć. Próbując zatuszować tę jedną z najgłośniejszych i najbardziej skomplikowanych historii kryminalnych w sztuce światowej, ktoś podpalił magazyn na przedmieściach Londynu. Dozorca, Daniel Davison, zginął podczas pożaru. Dwa dni później Elżbieta została aresztowana pod zarzutem morderstwa, następnie zwolniona za kaucją. Policja wciąż przeszukiwała zgłiszcza magazynu w poszukiwaniu szczątków ciała Christine.

Przez następne trzy dni wypytywałem Elżbietę o wszystko, co się wydarzyło. Nadal była w szoku i nadal tak zrozpaczona, że czułem się okropnie, przepytując ją w kółko, aby dowiedzieć się szczegółów. Musiałem jednak poznać prawdę. Naturalnie była niewinna - co do tego nie miałem najmniejszych wątpliwości, ale jak jej mogłem bronić, skoro nie miałem pojęcia, co się stało?

Wiedziałem, że Rada Adwokacka nigdy się nie zgodzi na to, bym wziął tę sprawę, kiedy więc Henry poinformował ojca, że tak właśnie zamierzam postąpić, nie zdziwiło mnie, że wezwał mnie do swego biura.

Aż podskoczyłem na fotelu.

- O Boże, ojcze! Przecież została oskarżona o zabójstwo!

- I podpalenie. Popatrzyłem na Henry'ego.

- Niezależnie od tego, o co jest oskarżana, nie możesz jej bronić, bo to najzwyczajniej nieetyczne.

- Nieetyczne! - naskoczyłem na niego. - Kto tu się będzie, do cholery, przejmował etyką! My mówimy o Elżbiecie. Ona chce, żebym jej bronił, i z pewnością to zrobię.

- Freddie Rees zaproponował, że weźmie tę sprawę - jest jednym z najlepszych adwokatów.

- Ona nie chce Freddiego Reesa. A poza tym, co ty tu, do cholery, robisz?

- Ja go poprosiłem, żeby przyszedł - odrzekł ojciec. - Miałem nadzieję, że uda mu się jakoś przemówić ci do rozsądku. Czy Elżbieta wie, co dla twojej kariery może oznaczać wzięcie jej sprawy?

- Naturalnie, że nie wie. I nikt jej tego nie powie. Już i tak jest

dostatecznie przerażona.

- A czy ty zdajesz sobie z tego sprawę, Aleksandrze?

- Myślisz, że mnie to cokolwiek obchodzi? Powiedziałem ci, że będę jej bronił. - Nie mogłem im powiedzieć, jak bardzo Elżbieta mnie błagała, bym nie odstępował sprawy nikomu innemu, kiedy coś takiego jej zasugerowałem. Nie rozumiała, nawet nie wiedziała, jak Rada Adwokacka by na coś takiego zareagowała, ale mówienie jej o tym byłoby wielkim egoizmem z mej strony. Nie mogłem wyjaśnić, że za bardzo ją kocham, by ją zawieść, i że jeśli o mnie chodzi, to jej pragnienia i uczucia są dla mnie ważniejsze niż własna kariera - niż wszystko inne.

- Nie masz doświadczenia w takich sprawach - dodał Henry.

- Zwłaszcza - wtrącił ojciec - jeśli znajdą szczątki jej bratowej,

- Nie znajdą. Jest gdzieś, cała i zdrowa, a my ją musimy odszukać.

- Tego nie wiesz jednak na pewno. Spójrz na to, synu, z tej strony. Może przez to, że bierzesz tę sprawę, pomniejszasz jej szanse? Wiem, jak się w tym czujesz, obydwaj wiemy, ale...

- Gdzie jest napisane, że nie mogę wziąć tej sprawy? Co? Możecie mi pokazać?

- Wiesz dobrze, że nigdzie. Ale wiesz także, że wszyscy kierujemy się względami praktycznymi.

Rozsądniej byłoby, gdybyś się ich trzymał, Aleksandrze.

- Jak ci się wydaje, czy zachowasz zimną krew, gdy sprawa nie będzie toczyć się po twojej myśli? -

spytał ojciec. - Wystarczy, żebyś zobaczył, co się z tobą dzieje w tym momencie.

- Naturalnie, teraz kieruję się emocjami, czegoż innego można by się spodziewać? Ale kiedy dojdzie do procesu, stanę się równie obiektywny, jak wy dwaj.

- A jeśli przegrasz? To jak z tym wytrzymasz do końca życia? - spytał ojciec

- Nie przegram.

W końcu ojciec wstał.

- Nie pochwalam tego. Nie powiedziałeś nic, co by mnie przekonało, że postępujesz słusznie.

Zajmiesz się tą sprawą jako adwokat pomocniczy. Freddie Rees, o ile się zgodzi, będzie adwokatem głównym. Niech on zadecyduje o tym, czy pozwoli ci poprowadzić obronę. A jeśli tak, to lepiej, żeby ci się powiodło.

Proces miał się rozpocząć za cztery miesiące. W tym czasie właściwie przeprowadziłem się do domu przy Priory Walk, gdzie mieszkała Elżbieta z dziećmi. Próbowaliśmy jednocześnie prowadzić jak najbardziej normalne życie. Od czasu do czasu widywałem się z Jessiką, lecz nasze spotkania zawsze kończyły się nieprzyjemnie. Chociaż była zadowolona z życia, które dawało jej sporo satysfakcji, nadal zachowywała się jak zazdrosna żona w stosunku do Elżbiety. Wcale mnie nie zdziwiło, gdy powiedziała, że Elżbieta jest winna.

- Tobie się wydaje, Aleksandrze, że twoja wspaniała Elżbieta nigdy nie mogłaby zrobić niczego złego.

Jest winna, na pewno - jeszcze zobaczysz. Mam nadzieję, że dostanie to, na co zasługuje, a co zabawne, jeszcze ty się do tego przyczynisz. Nie wygrasz sprawy, choćbyś nie wiem jak się starał.

Rosalindy przy tej rozmowie nie było, a szkoda! W jej obecności nasze spotkania miały nieco kulturalniejszy przebieg.

Ale wraz z upływem czasu, kiedy Freddie Rees zgodził się poprowadzić sprawę, w przeciwieństwie do mego ojca uważał, że możemy coś zyskać na tym, jeśli ja wezmę na siebie obronę - Jessica złagodniała i nawet niekiedy do mnie telefonowała, żeby się dowiedzieć, jak nam idzie. Freddie czuwał nad zdobywaniem przede mną informacji i nieustannie służył mi radą, a także zachęcał do dalszych wysiłków. Naszym największym problemem było zaginięcie Christine. Udałem się nawet do Gstaad, aby porozmawiać o niej z Davidem, ale nie orientował się, gdzie może być jego siostra.

Podobnie jak Elżbieta uważał, że nie poleciała do Kairu, gdyż nie miała pieniędzy na opłacenie szantażysty. Zaskoczył mnie jednak ogromnie, kiedy odmówił stawienia się w sądzie i zeznawania jako świadek. Elżbieta była pewna, że przyjedzie. W każdym razie wziąłem od niego podpisane oświadczenie, w którym przedstawił dokładnie wszystko, co wiedział na temat kradzieży maski.

I jeszcze jedna sprawa nas ogromnie zaskoczyła - że maska okazała się falsyfikatem.

- Można się o tym przekonać na podstawie otworów w uszach - powiedział mi jeden ze specjalistów z Muzeum Brytyjskiego, kiedy pojechałem do Westmoor, żeby się zorientować w postępie prac.

- Jakich otworów? - spytałem.

- Właśnie - tutaj ich nie ma. Prawdziwa maska ma przekłute uszy. I co

więcej, otwory są całkiem pokaźne. Ktokolwiek

robił kopię, zostawił to tak specjalnie, aby falsyfikat można było od razu odróżnić.

- Dlaczego?

Naukowiec wzruszył ramionami.

- Sam nie wiem. To taki oczywisty błąd, którego Walters nie mógł przeoczyć. Poza tym, jakość wykonania jest nieporównywalna.

A więc to było ostatnie słowo Edwarda: „uszy”.

Aż zaniemówiłem. Wiedziałem, że zarówno Elżbieta, jak i Charlotta siebie winiły za śmierć Edwarda, gdy tymczasem spowodowało ją fałszerstwo - odkrycie zbulwersowało mnie maksymalnie. Tyle dobrego, że zaskoczony opiniami specjalistów Urząd Celny postanowił zrezygnować z oskarżenia o przemyt, zakładając, iż zapłacone zostaną odpowiednie cła importowe od metali szlachetnych.

Elżbieta wręcz nie mogła w to wszystko uwierzyć.

- Wiesz, Christine mówiła, że obsesja Edwarda zaczęła się, gdy uznał, że nigdy go nie pokocham tak, jak on by tego chciał. A teraz okazuje się, że nawet maska go oszukała. Biedny Edward. Żyłam z nim tyle lat, tyle lat, a w zasadzie męża nie znałam. Dlaczego ludzie robią to, co robią? To nie może być tylko miłość.

- Najważniejsze, że nie musisz winić siebie. Nic nie mogłaś poradzić. Tak jak mówisz, został

oszukany, a kiedy się o tym przekonał, postradał zmysły. - Urwałem. - Teraz musimy przejmować się Christine, nie Edwardem. To Christine próbowała cię zabić i prawdopodobnie jeszcze raz spróbuje.

Zbladła.

- Musimy spojrzeć prawdzie w oczy, Elżbieto. W myśl testamentu Edwarda, jeśli tobie się cokolwiek stanie, wszystko przypada Christine, przynajmniej do momentu, kiedy Charlotta i Jonathan dorosną na tyle, by przejąć swój spadek.

- A do tej pory zrobi wszystko, żeby już nie było co przejmować - dorzuciła Caroline.

W drodze do domu zajrzałem do Henry'ego, gdzie mieszkała Elżbieta. Ponieważ wciąż nie mogliśmy ustalić miejsca pobytu Christine, wołałem, żeby Elżbieta sama nie przebywała na Priory Walk. Dom Henry'ego pełen był dzieci, ponieważ Henry i Caroline mieli czworo, a do tego dochodzili

Charlotta i Jonathan.

Henry odprowadził mnie do drzwi.

- Dlaczego jej jeszcze nie powiedziałeś? - spytał.

- Zrobię to niedługo. Przyjdę jeszcze później i zabiorę ją do naszego mieszkania. Myślę, że powinienem jej to powiedzieć bez świadków.

Rozprawa została wyznaczona na najbliższy poniedziałek i miała się odbyć w Old Bailey. Nie wspominałem jeszcze Elżbiecie, że oskarżycielem jest Michael Samuelson. Widziałem już, jak Samuelson walczy z adwokatami o wiele bardziej doświadczonymi ode mnie, ale jeszcze nie widziałem, aby go ktokolwiek pokonał. Nawet Freddie Rees.

Rozdział 28

Sekretarz sądu wstał. Sponad sterty papierów zawierających akt oskarżenia wyłaniały się jedynie jego oczy za okularami oraz czubek łysiejącej głowy. Z tyłu znajdował się sędzia McKee pomniejszony przez swoją perukę i czerwoną togę. Z miną jak zwykle poirytowaną rzucił okiem na pełną galerię dla publiczności. Było dla nas zaskoczeniem, że rozprawa ma się odbywać w Pierwszym Sądzie.

Przytłaczające wrażenie sprawiało ciemne drewno, podobnie jak złowróżbna wydawała się atmosfera sali. Podniosłem głowę, by spojrzeć na Elżbietę. Miała wymizerowaną twarz i podkrążone z niewyspa-

nia oczy. Niebieski kolor sukni nadawał podobny odcień jej cerze, ponieważ w ciągu ostatnich miesięcy ogromnie schudła, tak że pozostały z niej skóra i kości. Za jej ławką stał strażnik więzienny.

Czym prędzej odwróciłem wzrok, aby nie zaczęły kierować mną emocje. Przez ułamek sekundy zobaczyłem sąd oczyma Elżbiety - obce i znajome twarze, czarne togi oraz białe peruki. Musiało to wszystko przypominać makabryczny teatr.

- Akt oskarżenia zawiera pięć zarzutów. Zarzut pierwszy: morderstwo. Oskarżona podejrzana jest o to, że piątego września 1981 zamordowała Daniela Raymonda Davisona. Czy oskarżona przyznaje się do winy?

- Nie - mówiła cicho, lecz stanowczo, patrząc przy tym na sędziego. On nie odwzajemnił jej spojrzenia, a ona, chociaż się nie poruszyła, tak jakby znalazła na ławie.

- Zarzut drugi: podpalenie. Oskarżonej zarzuca się, że piątego września 1981 roku, w myśl Aktu o Przepięstwach Kryminalnych z roku 1971,

rozdział pierwszy, paragraf drugi, podpunkt... - Urzędnik monotonicznie odczytywał każde słowo, a na koniec spytał: - Czy oskarżona przyznaje się do winy?

- Nie.

Przez tę samą procedurę przeszliśmy jeszcze trzykrotnie, kiedy wyszczególniano kradzież, fałszerstwo oraz przechowywanie kradzionych przedmiotów. Następnie sala zamilkła, gdy zaprzysięgano ławę przysięgłych. Wreszcie wstał Michael Samuelson. Tym samym proces się rozpoczął.

Przez dwa dni przesłuchiowano świadków oskarżenia. Koncentrowano się głównie na morderstwie i podpaleniu, ale ponieważ nikt nie widział początku pożaru, w tej sprawie zeznano niewiele. Jak dotychczas większość zarzutów opierała się na przypuszczeniach i domniemaniach. Nie martwiłem się zatem i miałem nadzieję, że sprawy pójdą po naszej myśli. Jednak podczas składania przysięgi głos Elżbiety drżał. Wszyscy sędzio-

wie ławy przysięgłych patrzyli na nią. Oto mieli po raz pierwszy okazję poznać z pierwszej ręki wersję wydarzeń owego dnia w magazynie.

Rozpoczęliśmy od omówienia szczegółów testamentu Edwarda - wolałbym wprawdzie tego uniknąć, ale wiedziałem, że jeśli ja tego nie zrobię, sprawę tę wyciągnie później Samuelson.

Gdy uznałem już, że sędziowie przysięgli zrozumieli, iż z testamentu wynika motyw dokonania zabójstwa Elżbiety przez Christine, przeszedłem do dnia, w którym wydarzył się pożar.

Uśmiechnąłem się zachęcająco i poprosiłem Elżbietę, by zaczęła od powiedzenia nam, kiedy przybyła do Westmoor tego dnia, gdy wybuchł pożar, oraz co się stało po znalezieniu przez nią liściku od Christine. Mówiła cicho, ale spójnie podała szczegóły rozmowy telefonicznej z bratową. Potwierdziła zeznanie Kanarka, której wtedy powiedziała, iż idzie po zakupy. Potem zrelacjonowała wyjazd do miasteczka oraz powrót do Westmoor po liścik Christine, aby nie wpadł on w niczyje ręce.

- Czy mamy ów liścik wśród dowodów? - spytał sędzia McKee.

- Niestety nie, Wysoki Sądzie - odparłem. - Szukaliśmy go wszędzie, ale w końcu doszliśmy do wniosku, że musiał spłonąć w czasie pożaru.

Ach - McKee powiedział tylko tyle, lecz to wystarczyło, by podać w wątpliwość fakt jego istnienia i przydać wiarygodności zeznaniu panny Barsby, która tłumaczyła urzędnikowi celnemu, jak dojechać do Westmoor, kiedy dojrzała Elżbietę wyjeżdżającą z wioski na wstecznym biegu. Panna Barsby ewidentnie sugerowała, że Elżbieta starała się ukryć przed

urzędnikiem.

- Co pani zrobiła po zabraniu liściku? - zwróciłem się do Elżbiety.
- Pojechałam prosto do magazynu. Kiedy tam dotarłam,

Dan - dozorca - stał przy drzwiach. Przebiegłam obok niego na drugie piętro, gdzie mąż miał duże pomieszczenie magazynowe. Szukałam Christine, ale nie mogłam jej znaleźć. W magazynie byłam przedtem tylko raz - pamiętałam jednak, że na końcu korytarza znajdowało się jeszcze mniejsze pomieszczenie, które Edward wykorzystywał jako gabinet. Idąc w tamtym kierunku, sprawdzałam po kolei wszystkie zakamarki, ale Christine nigdzie nie było. A potem, kiedy otworzyłam te ostatnie drzwi, pamiętam, że krzyknęłam, przywołując Dana.

- Dlaczego pani go wezwała?
- Ponieważ wszystko w pokoju zostało doszczętnie zniszczone. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Już same zniszczone przedmioty warte były fortunę.

Kątem oka dostrzegłem, że Samuelson coś sobie zapisuje.

- A co się stało potem? - spytałem.
- Usłyszałam hałas za plecami, odwróciłam się i zostałam wepchnięta do pokoju.

- Czy potrafiłaby pani rozpoznać osobę, która to zrobiła?
- Nie, wiem tylko, że to był mężczyzna.
- Mężczyzna. Ale o przyjazd do magazynu prosiła panią bratowa.
- Tak.
- Czy tamtego sobotniego popołudnia widziała pani swoją bratową?
- Nie.

Skinąłem głową.

- A co się stało po tym, jak została pani wepchnięta do pokoju?
- Wpadłam w te połamane szczątki. Śmierdziały naftą. Następnie wrzucono do pokoju gazetę, a drzwi zostały zamknięte.

- Co się wydarzyło potem?

- Całe pomieszczenie natychmiast stanęło w ogniu. Udało mi się dotrzeć do drzwi, były jednak zamknięte na klucz. Próbowałam znaleźć coś, czym mogłabym rozwalić zamek, ale się poślizgnęłam i ubranie zaczęło się palić na mnie. Krzyczałam, lecz nikt mnie nie mógł usłyszeć. Cały pokój wypełniał dym i trudno było oddychać. Starłam się ciałem napierać na drzwi, ale jakbym znowu została wepchnięta z powrotem w

ogień. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że ktoś usiłuje otworzyć drzwi od zewnątrz, dlatego się broniłam. Ponad hukiem płomieni usłyszałam krzyk. W tym momencie zostałam wyciągnięta na korytarz. To był Dan. Okrywał mnie swoim kombinezonem i pytał, co się stało. A ja zdołałam tylko wykrztusić imię Christine. Wydaje mi się, że pomyślał; iż Christine jest w płonącym pomieszczeniu, bo zakrył twarz oraz ręce kombinezonem i wbiegł do środka. Dosłownie kilka sekund później przewrócił się na niego kredens, Dan krzyknął, próbowałam podciągnąć się W jego kierunku. Nadal krzyczał, kiedy spadło na niego coś innego... i wtedy przestał krzyczeć.

W tym momencie Elżbieta pociągała nosem i sędzia skinieniem głowy polecił woźnemu podać jej krzesło. Czekałam, aż na sali sądowej zapanuje cisza. Wreszcie zasygnalizowała, że jest gotowa brnąć dalej.

- Pani Walters, czy wówczas uznała pani, że Dan nie żyje?

Uniosła dłoń do oczu, przecierając je tak, jakby chciała przywrócić swemu spojrzeniu jasność.

- Nie wiem, co wtedy myślałam. Prawdopodobnie wydawało mi się, że nie żyje.

- Co pani zrobiła?

- Nadal leżałam na podłodze. Ogień rozprzestrzeniał się niezwykle szybko i wiedziałam, że muszę sprowadzić pomoc. Udało mi się jakoś stanąć na nogi, ale zaczęłam się dusić, więc zdałam sobie sprawę, że muszę wydostać się na zewnątrz.

- Czy pomyślała pani o tym, by skorzystać z telefonu w biurze Dana przy wejściu do magazynu?

- O tym pomyślałam, kiedy dotarłam na parter, ale wtedy już słyszałam syreny i wiedziałam, że pomoc nadciąga.

- Czy może pani powiedzieć ławie przysięgłych, dlaczego nie było pani w magazynie, gdy na miejsce przybyła policja oraz straż pożarna?

Pokręciła głową i ponownie wytarła oczy wierzchem dłoni.

- Przeraziłam się i stchórzyłam, po prostu wpadłam w panikę.

- Dlaczego?

- Sama nie wiedziałam, co o tym myśleć... Nie miałam pojęcia, kto podpalił magazyn, nadal mi się wydawało, że mogli to być ludzie, z którymi Christine załatwiała sprawy, i pamiętałam jej słowa, że są oni zdolni do wszystkiego. A potem myślałam już tylko o dzieciach i że muszę do nich jak najszybciej jechać.

- Co się stało, gdy dotarła pani do domu?

- Kanarek - nasza opiekunka do dzieci - schodziła po schodach, gdy otworzyłam sobie drzwi.

Powiedziałam jej, że muszę się dostać na górę, zanim dzieci mnie zobaczą. Weszliśmy do sypialni -

ona chciała wezwać lekarza, ale jej nie pozwoliłam. Wiedziałam, że moje oparzenia są poważne, ale zarówno Kanarek, jak i ja jesteśmy wykwalifikowanymi pielęgniarkami. Wydaje mi się, że wówczas zemdlałam, bo jakieś pół godziny później...

- Która mogła być wtedy godzina?

- Wpół do piątej Kanarek pomogła mi dojść do lustra. Kazałam jej obciąć spalone włosy. Potem wysłałam ją do fryzjera po jakąś treskę. A kiedy wyszła, przebrałam się -włożyłam spodnie i koszulę z długim rękawem. Nie chciałam przestraszyć dzieci swoim wyglądem.

- Dlaczego nie zadzwoniła pani wtedy na policję?

Podniosła głowę, jakby nie chcąc dopuścić do łez, które już jej się w oczach zbierały.

- Nie wiem - załkała. - Ale, na Boga, żałuję, że tego nie zrobiłam!

- W swoim zeznaniu pisze pani, że nie zadzwoniła na policję, gdyż usiłowała pani w ten sposób chronić dzieci.

- Owszem, ale poza tym bałam się, że gdybym poszła na policję, to ten, kto mnie wepchnął do płonącego pokoju, znowu próbowałby mnie zabić. Chyba nie myślałam wtedy logicznie. Wszystko robiłam na opak, jednak wiedziałam, że tak czy inaczej policja w końcu dotrze do mnie.

Odwróciłem się do Ławy przysięgłych, aby osiągnąć tym lepszy efekt swej wypowiedzi.

- I wiemy od policji, jak pomocna się okazała, kiedy wreszcie do pani dotarła. A czy pani bratowa skontaktowała się z panią od tamtej pory?

- Nie.

- Czy od dnia wypadku ktokolwiek panią odwiedzał?

- Tylko policja. Parokrotnie przyszli mnie przesłuchać, a potem zjawili się, by mnie aresztować.

Wyglądała na wyczerpaną, spytałem więc sędziego, czy moglibyśmy zrobić przerwę na lunch.

Zgodził się natychmiast, wiedząc, że potrzebny jej będzie nowy zapas sił na pytania ze strony oskarżenia.

Samuelson rozpoczął od omówienia warunków testamentu Edwarda.

Natychmiast zorientowałem się, do czego zmierza - że w ciągu kilku lat Elżbiecie udało się nakłonić Edwarda, by zostawił jej wszystko, po czym postanowiła usunąć ostatnią przeszkodę stojącą na drodze do odziedziczenia przez dzieci całego majątku, a mianowicie Christine. Nie rozwodził się nad tym szczególnie, ale dołożył wszelkich starań, aby ława przysięgłych wzięła taką ewentualność pod uwagę.

Następnie przeszedł szybko do momentu, w którym Elżbieta dotarła do magazynu.

- Mówi pani w swoim zeznaniu, że po przybyciu do magazynu natknęła się na mężczyznę - że spojrzała pani w jego twarz, zanim panią chwycił i wepchnął w ogień - a jednocześnie usiłuje nas pani przekonać, że nie potrafiłaby go rozpoznać, że nie może nam pani podać jego rysopisu.

- Zgadza się.

- Że nie ma pani absolutnie pojęcia, jak ten człowiek mógł wyglądać?

- Nie.

Samuelson spojrzał na ławę przysięgłych, unosząc brwi.

- Kogo stara się pani osłaniać, pani Walters?

- Nikogo - odparła spojrzawszy na mnie. - Nikogo nie osłaniam. Było tak, jak mówiłam. - Urwała, gdy ja tymczasem odwróciłem wzrok. Powiedziałem jej, że ma tylko odpowiadać na pytania.

- Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale pytam panią, czy specjalnie usiłuje pani przekonać sąd, że pani bratowej nie było w magazynie?

- Ja jej nie widziałam.

- A więc możliwe, że tam była.

- Nie wiem.

- Uświadamiam to pani, pani Walters, że tam była, bo dlaczego by w takim razie Daniel Davison uważał, że może znajdować się w płonącym pomieszczeniu? Było przecież sobotnie popołudnie, spokojny dzień. Davison widziałby ją, gdyby wchodziła.

- Nie, nie było jej tam.

- Twierdzi pani, że bratowa groziła pani dzieciom. Czy dlatego stoczyła pani z nią walkę i wepchnęła ją w ogień, pani Walters?

Elżbieta patrzyła na niego przerażona, tak jakby nie mogła pojąć, że Samuelson czy w ogóle ktokolwiek potrafiłby ją o coś takiego podejrzewać.

- Czy dlatego poprosiła ją pani o spotkanie w magazynie? Po to, by upiec

dwie pieczenie na jednym rożnie? Pomyślała może pani, że podpalając zbiory w magazynie i wpychając bratową w ogień odsunie pani niebezpieczeństwo od siebie i swoich dzieci?

- Nie, to nie było tak. Ja nie...

- Czego pani nie zrobiła?

- Ja jej nie widziałam!

- Ława przysięgłych może przypuszczać, że ją pani widziała, pani Walters. Może również przypuszczać, że teraz się ukrywa, ponieważ się pani boi. Wiemy z całą pewnością, że nie zginęła w tym pożarze, ale może była świadkiem morderstwa Daniela Davisona? Morderstwa, które popełniła pani z mężczyzną, którego stara się teraz pani osłaniać? Czy pani bratowa nadal żyje, pani Walters?

- Nie. Tak. Nie.

- Tak czy nie, pani Walters?

- Tak.

- Nadal żyje? Ale skąd pani może to wiedzieć, skoro się z panią nie skontaktowała od czasu pożaru?

- Nie...

- Jeśli nadal żyje, jak pani twierdzi, no to gdzie jest? Widziałem, że Elżbieta jest bliska załamania.

Samuelson tylko

czekał na odpowiednią chwilę, gdy będzie całkiem zagubiona i bezbronna, aby zmusić ją do przyznania się do winy. Wstałem.

- Wysoki Sądzie, wydaje mi się, iż ustaliliśmy, że pani Walters nie zna obecnego miejsca pobytu swojej bratowej. Może moglibyśmy...

- Proszę siadać, panie Belmayne.

Samuelson uśmiechnął się i powrócił do swoich wywodów dopiero po dłuższej przerwie.

- Pani Davison zeznawała, że jej mąż wiedział, co jest w magazynie na drugim piętrze - chodzi o przedmioty, które należały do zmarłego Edwarda Waltersa, a teraz należą do pani - że zostały one albo nielegalnie nabyte, albo skradzione, i Davison od pewnego czasu zastanawiał się, czy nie powinien o tym donieść policji. Czy dlatego musiał umrzeć, pani Walters? Żeby zamilknąć? A czy ten mężczyzna, którego spotkała pani w magazynie, to pani wspólnik? W końcu Davison był potężny -

pomoc mogła się okazać potrzebna.

- Myli się pan! Prawie w ogóle nie znałam Dana! Nawet nie wiedziałam, że te przedmioty są kradzione, dopóki nie przeczytałam liściku od Christine.

- Liściku? Ale nie mamy żadnego liściku, pani Walters! Elżbieta spojrzała na mnie, ale ja mogłem jedynie potrząsnąć głową.

- A puszka nafty, którą znaleziono w krzakach pół mili od magazynu? Od szofera państwa wiemy, że zwykle wozi pani taką w samochodzie. W jaki sposób znalazła się w krzakach?

- Nie wiem.

- W jaki sposób się pani poparzyła, pani Walters? Dlaczego chciała pani ukryć oparzenia? Dlaczego nie poszła pani na policję po pożarze? Czego się pani bała?

- Nie wiem. Ja go nie zabiłam!

- Pani kłamie, proszę pani! - Jego głos zagrzmiał na sali sądowej tak, że Elżbieta skuliła się w ławie.

Skoczyłem na równe nogi.

- Wysoki Sądzie! Mój szanowny kolega posunął się...

- Owszem, panie Belmayne! - Następnie sędzia zwrócił się do Samuelsona. - Nie pochwalam urządzania przedstawień na sali sądowej. Panie Samuelson, proszę zacząć na powrót zadawać konkretne pytania i przestać napastować oskarżoną!

- Nie mam dalszych pytań, Wysoki Sądzie! - Samuelson nadal miło się uśmiechał siadając.

Przeprowadziłem krótkie przesłuchanie. Chętnie oszczędziłbym jej niepokoju związanego z odpowiadaniem na jakiegokolwiek następne pytania, ale istotne znaczenie miało przekonanie ławy przysięgłych, że to Elżbieta była zamierzoną ofiarą morderstwa z premedytacją, uknutego przez Christine i dokonanego przez nieznaną osobę lub osoby, prawdopodobnie te, które ją szantażowały.

Ponownie udało mi się wywołać u niej szczerzy ból i smutek z powodu śmierci Davisona.

Byłem nieco zdeprymowany rozwojem sytuacji, kiedy wychodziliśmy tego dnia z sądu. I chociaż Freddie starał się kryć z podobnymi uczuciami, wiedziałem, że on też nie jest zachwycony.

W przebieralni Samuelson pogratulował mi sposobu, w jaki dotychczas prowadziłem sprawę, delikatnie przypominając, że jestem jeszcze bardzo niedoświadczony. Obydwaj jednak wiedzieliśmy, że w naszych armatach nie ma porządnych kul. Brak faktów oznaczał, że zakończenie sprawy będzie teraz w dużej mierze zależało od naszych adwokackich umiejętności — wygra ten, któremu uda się przeciągnąć na swoją stronę ławę przysięgłych. Samuelson miał za sobą lata praktyki.

O dziesiątej rano następnego dnia Samuelson powstał, by wygłosić mowę końcową. Miał przed sobą rozłożone notatki, ale przez najbliższą godzinę w zasadzie w ogóle do nich nie zaglądał. Jego mowa była tak przekonująca, jak można się było spodziewać - słuchałem uważnie, kiedy omawiał przed sędziami przysięgłymi wszystkie dowody. Robił to zwięźle i niezwykle przystępnie, aby wszyscy bez problemu mogli zrozumieć.

- Szanowni sędziowie przysięgli, nie ma w tej chwili innego wyjścia niż uznać oskarżoną winną podpalenia - jego głos drżał z oburzenia. - Dlaczego próbowała ukryć fakt, że znajdowała się w płonącym pomieszczeniu? Czy można wskazać jakąkolwiek inną przyczynę niż ta, że sama ów pożar wzniciła?

Dopiero kiedy policja zaczęła ją przesłuchiwać i nie mogła już dłużej ukrywać tego faktu, przyznała się, że tam była. A gdzie jest teraz jej bratowa? Czy obawia się wyjść z ukrycia, czy... No cóż, zastanawiam się, gdzie może teraz być, sędziowie przysięgli. Jakież to wygodne, nieprawdaż, że nie ma żadnych świadków zbrodni? Jediną osobą, która przeżyła pożar, jest na

pewno kobieta stojąca przed wami, kobieta, która najwięcej mogła skorzystać ze zniszczenia magazynu w Bridlington.

Daniel Davison od pewnego czasu wiedział już, że antyki oraz różne starożytne przedmioty przetrzymywane na drugim piętrze były albo nielegalnie nabyte, albo skradzione, i z tego powodu, iż chciał spełnić swój obywatelski obowiązek, zginął tak tragicznie - w płomieniach.

Urwał nagle, pozwalając, by na sali sądowej zapadła głucha cisza. W tym elektryzującym milczeniu wszyscy mogli sobie uświadomić przeraźliwą śmierć Davisona.

Samuelson poprawił togę na ramionach i po paru chwilach spojrzał w górę.

- I to w jakim celu? Aby ukryć trwającą przez całe życie procedurę kłamstwa, oszustwa i kradzieży.

Przypomnijmy sobie słowa oskarżonej, kiedy, jak twierdziła, odkryła zniszczenia w magazynie. „Już same zniszczone przedmioty warte były fortunę.” To było jej pierwsze spostrzeżenie, z którym przysłała na salę sądową, sugerujące nam, być może, sposób myślenia tej kobiety. Szanowni sędziowie przysięgli, jestem przekonany, że zgodzą się państwo ze mną, iż te nieliczne fakty, którymi dysponujemy, mówią same za siebie. Wyrok może być tylko jeden, nieprawdaż? Winna!

Siadając z miłym uśmiechem na ustach, Samuelson nie mógłby bardziej przypominać kota.

Gdy wstałem, dał się słyszeć lekki pomruk na galerii dla publiczności. Byli tam wszyscy stali bywalcy Old Bailey -współczesne odpowiedniki wiem, które Rewolucję Francuską

przeżyły przy gilotynach. Jak pijawki zaspokajały swój straszliwy krwi apetyt innych.

Po mowie Samuelsona ława przysięgłych zaprezentowała mi dwa szeregi wrogich twarzy.

Poprzedniego wieczoru, kiedy wraz z Freddieм robiliśmy ostatnie poprawki do jego wystąpienia, doszliśmy obaj do wniosku, że ława przysięgłych nie będzie miała ochoty na ponowne omówienie wydarzeń.

- Wysoki Sądzie, szanowni sędziowie przysięgli. Zawsze jest niezwykle trudno przedstawiać sprawę od strony obrony, ale dzisiaj przychodzi mi to szczególnie ciężko po tak przekonującym wystąpieniu mego szanownego kolegi. W jego argumentacji występuje jednak pewien zasadniczy brak - a mianowicie brak jakichkolwiek dowodów, które mogłyby poprzeć jego

twierdzenia. Jak sam był uprzejmy powiedzieć, nie ma żadnych świadków wydarzeń w magazynie i jakiegokolwiek dowody w tej sprawie sprowadzają się do przypuszczeń czy domniemań. W terminologii prawniczej są to jedynie dowody pośrednie. Pamiętajcie zatem, sędziowie ławy przysięgłych, że o losie oskarżonej zadecydujecie jedynie na podstawie dowodów pośrednich. Pamiętajcie również, że jest niewinna do momentu, kiedy udowodnicie jej winę ponad wszelką wątpliwość. Panna Barsby twierdzi, że tamtego dnia widziała panią Walters, jak jechała do miasteczka o drugiej trzydzieści. Panna Roberts, opiekunka do dzieci państwa Walters, zeznała, iż widziała, jak pani Walters wróciła do Westmoor tuż po czwartej. Według pana Samuelsona w ciągu tej półtorej godziny pani Walters dokonała następujących czynów: odbyła półgodzinną jazdę do magazynu, gdzie dokonała podpalenia, posprzeczała się, a może nawet stoczyła bójkę ze swoją bratową, po czym - po doznaniu silnych poparzeń ciała - wezwała Daniela Davisona pilnującego wejścia do magazynu i wraz z niezidentyfikowanym mężczyzną wrzuciła Davisona w płomienie, następnie przebiegła pół mili wzdłuż drogi, żeby wyrzucić puszkę po nafcie w krzaki, poko-

nała owe pół mili z powrotem, i wróciła do Westmoor po kolejnych trzydziestu minutach jazdy samochodem. Czy to jest prawdopodobne, sędziowie przysięgli? Czy to jest w ogóle fizycznie możliwe? Panna Roberts zeznała również, iż słyszała, jak Christine Walters groziła oskarżonej. A dowody dostarczone przez British Airways, Pan Am oraz Singapore Airlines wyraźnie wskazują na to, że Christine Walters już od wielu lat mogła być zaangażowana w coś, co okazało się podejrzanymi transakcjami handlowymi na międzynarodową skalę. To właśnie możliwość ujawnienia owych transakcji, a także nieugięcie się oskarżonej przed szantażem, zmusiły Christine Walters do wynajęcia kogoś, aby - posłużmy się w tym momencie określeniem mojego szanownego kolegi - „upiec dwie pieczenie na jednym rożnie” — podpalić magazyn i pozbawić życia panią Walters. Dlatego właśnie, szanowni sędziowie przysięgli, Christine Walters się ukrywa i nie jest obecna na sali sądowej.

W czasie procesu moja klientka nigdy nie zaprzeczała, że była na miejscu pożaru, ani też nie zaprzeczała zeznaniom świadka oskarżenia. Proszę, aby sędziowie przysięgli popatrzyli na oskarżoną.

Czy ona faktycznie przypomina gorgonę, jaką pan Samuelson usiłuje z

niej zrobić? Naturalnie nie.

Jest porządną, przestrzegającą prawa obywatelką, która została uwikłana w splot wydarzeń wręcz nieprawdopodobnych. Jeszcze wiele można by mówić o siostrze męża mojej klientki, lecz nie zebraliśmy się tutaj, by sądzić Christine Walters, a jedynie dopilnować, by sprawiedliwości stało się zadość w procesie Elżbiety Walters. Sprawiedliwość - brytyjska sprawiedliwość - mówi nam, że do momentu udowodnienia winy oskarżony jest niewinny. - Uśmiechnąłem się, spoglądając na Elżbietę.

Miała spuszczoną głowę, kiedy odwróciłem się, by popatrzeć na ławę przysięgłych, wszystkie oczy były zwrócone na nią. — W tej sprawie istnieją tak wiele wątpliwości, że, jak mniemam, jeste-

ście równie zaskoczeni jak ja, iż w ogóle znaleźliśmy się na sali sądowej. To fizycznie niemożliwe, aby pani Walters popełniła te wszystkie przestępstwa. Przeciwnie, to ona była ich zamierzoną ofiarą.

Wygłoszenie werdyktu uniewinniającego pozostawiam wam, sędziowie przysięgli.

Kiedy usiadłem, poczułem, że ktoś mnie klepie po ramieniu - to adwokat Edwarda Oscar Renfrew, przekazał mi karteczkę. „Niech to cholera! Masz sprawę w kieszeni!” - przeczytałem i pozwoliłem sobie na uśmiech. Z oblicza Freddiego trudno było cokolwiek wyczytać, lecz gdy napotkałem jego wzrok, mrugnął do mnie. Na każdej twarzy w ławie przysięgłych malowało się pomieszanie wątpliwości i współczucia. Czułem przez skórę, że Oscar Renfrew ma rację.

Sędzia zdecydował się odroczyć rozprawę do wpół do jedenastej następnego dnia, kiedy wygłosi swoją mowę, a następnie sędziowie przysięgli mieli zacząć rozważać werdykt.

Wieczorem Jessika zostawiła mi wiadomość w kancelarii, że chce się ze mną spotkać. Po drodze do domu wstąpiłem do Henry'ego i Caroline, żeby zobaczyć się Elżbietą. Wyglądała znacznie lepiej niż w ostatnich dniach, choć na jej twarzy nadal dawało się zauważyć napięcie. Pora nie wydawała mi się odpowiednia na przypomnienie Elżbiecie, iż teraz musi zacząć szukać Christine, zanim Christine ją odnajdzie.

Poszliśmy z Jessiką na kolację. Rozmawialiśmy głównie o procesie i ku swemu zdziwieniu spostrzegłem, że słucha mnie ze współczującym zrozumieniem. Po tak długim kontrolowaniu emocji wygadanie się przed kimś dobrze mi zrobiło, a kiedy Jessika powiedziała, że ojciec dość wstrzemięźliwie pochwalił moje wystąpienie, nie mogłem ukryć

zadowolenia. Jednak muszę przyznać, że zastrzeżenia ojca co do sprawy nie były całkowicie nieuzasadnione - obrona Elżbiety nie należała do najłatwiejszych w mojej adwokackiej karierze, a kto wie, czy okaże się, że była najlepiej przeprowadzona.

- Jeszcze kilka minut temu byłeś taki pewny siebie - rzekła Jessika z uśmiechem.

- Nadal jestem. No, naturalnie zawsze można założyć, że sędziowie przysięgli ulegną jakiejś masowej psychozie... Nie, mam na myśli to, że może w całej tej sprawie nie zachowałem się jak dostatecznie dojrzały mężczyzna. Ponieważ chodziło o Elżbietę, nie chciałem nawet słyszeć o tym, by ktokolwiek inny zajął się jej obroną. Nawet nie wiedziałem, czy tak było dla niej najlepiej. Po prostu czułem, że ja to muszę zrobić. - Wzruszyłem ramionami. Chyba teraz za późno, by się nad tym zastanawiać. Dzięki Bogu, wszystko jakoś się ułożyło.

Potem rozmawialiśmy o Jessice i tym, co robiły wraz z Rosalindą - a pod koniec kolacji byliśmy gotowi znowu sobie skakać do gardeł. Myślę, że przyczyna tkwiła tyleż w mojej nietolerancji, ile w nieuleczalnej zazdrości Jessiki o Elżbietę. Po powrocie do domu udaliśmy się do naszych oddzielnych sypialni, a kiedy następnego dnia wychodziłem do sądu, nadal spała.

Mowa sędziego McKee nie była w zasadzie stronnicza, ale powtarzała to wszystko, co i ja powiedziałem o wątpliwościach oraz braku konkretnych dowodów potwierdzających oskarżenie - w tej sytuacji Samuelson mógł już widzieć swoją przegraną.

Sędziowie przysięgli zjawili się z powrotem o drugiej. Gdy zasiadali z powrotem w ławach, Henry, siedzący za mną, pokazał mi kogoś na galerii dla publiczności - zjawiała się tam Charlotta, która przyprawiła mnie o żywsze bicie serca, kiedy do mnie pomachała. Tego dnia mieliśmy powiedzieć jej i Jonathanowi, że ja jestem ich prawdziwym ojcem.

Przemawiał sekretarz sądu.

- Sędziowie przysięgli, czy uzgodniliście swój werdykt?

- Tak, Wysoki Sądzie - oznajmił przewodniczący ławy przysięgłych. W tym momencie spojrział na mnie - i wiedziałem wszystko.

- Sędziowie przysięgli, czy w sprawie pierwszego zarzutu o morderstwo uznajecie oskarżoną winną czy niewinną?

- Winną.

- Sędziowie przysięgli, czy w sprawie drugiego zarzutu uznajecie, że oskarżona jest winna czy niewinna?

- Winna.

Krew huczała mi w uszach - przeżyłem kompletny szok. A taki byłem pewny swego! Henry chwycił mnie za ramię - Elżbieta zasłabła.

Urzędnik sądowy monotonicznie odczytał pytania o trzy pozostałe zarzuty. Ja mogłem tylko stać i patrzeć, jak woźni sądowi pomagają Elżbiecie podnieść się na nogi.

- Sędziowie przysięgli, a zatem we wszystkich pięciu zarzutach uznajecie, że oskarżona jest winna?

- Tak.

- Czy tak brzmi werdykt wszystkich członków ławy przysięgłych?

- Tak.

- Dziękuję. Proszę usiąść. Sędzia wezwał o spokój na sali.

- Wiem, że będzie pan chciał wystąpić o złagodzenie kary, panie Belmayne, proszę zatem.

Wstał Freddie. W zasadzie nie słyszałem, co mówi, ale kiedy podniosłem głowę, dostrzegłem współczujący wyraz twarzy u sędziego i faktycznie - zanim ogłosił wyrok, wyraził zdziwienie werdyktem ławy przysięgłych.

Dożywocie. Siedem lat oraz trzykrotnie po pięć lat równoczesnych wyroków.

Złapałem Elżbietę, kiedy wyprowadzano ją z sali, odsuwając na bok strażnika i próbując ją podtrzymać.

- Dzieci... - wykrztusiła - co się stanie z dziećmi? Och, Aleksandrze, zaopiekujesz się nimi, prawda?

- Tak, oczywiście...

Zanim zdołałem dodać cokolwiek, wyrwano mi ją i zabrano do więzienia. Był to najgorszy moment w moim życiu. Gdy dotarłem do przebieralni, czekał tam już na mnie Henry z Caroline i Charlottą. Do tej chwili nie pamiętałem, że i Charlottą była w sądzie. Widząc pobladłą z przerażenia dziewczynkę, wziąłem ją w ramiona i przysięgłem, że zrobię wszystko, aby uwolnić jej matkę z więzienia, do którego trafiła przez pomyłkę.

Rozdział 29

Następnego ranka poszedłem do kancelarii. Wiedziałem, że dla dobra dzieci, jak też mojego, powinienem prowadzić normalne życie. Jessika była

w sądzie na odczytaniu wyroku. Zatelefonowała po Rosalindę i obie przesiedziały ze mną z pół nocy. Czy to nie zabawne, że teraz mnie wspierała, skoro sama przepowiedziała, że Elżbieta zostanie skazana? Zanim wyszła rano, przytuliłem ją i nawet musiałem przełknąć kilka łez, kiedy wyznała, jak jej przykro, że sprawy tak się potoczyły. Nie wiem, czy miała na myśli nasze stosunki, czy proces Elżbiety, w każdym razie czułem, że jej smutek jest szczery.

Gdy zjawiłem się w kancelarii, Raddish właśnie wychodził z mojego pokoju.

- Będziemy się odwoływać - rzekłem do niego. - Porozum się Oscarem Renfrew i umów nas na spotkanie.

- Dobrze, proszę pana. Przyszedł jakiś pan, który chce się z panem widzieć. Mówi, że najpierw pojechał do pana do domu i pański ojciec przysłał go tutaj.

- Do domu? Czy powiedział, jak się nazywa?

- Tak proszę pana, Walters.

W pierwszym momencie pomyślałem o Edwardzie, ale to przecież był absurd. David wstał i wszedł do pokoju, wyciągając do mnie rękę. Swoją podałem niechętnie. Nie mogłem mu wybaczyć, że nie zeznawał jako świadek obrony.

- Obawiam się, że się pan spóźnił, panie Walters. Nie słyszał pan jeszcze?

- Słyszałem, i dlatego tutaj jestem.

- Ach tak? - Zdjąłem płaszcz i odwiesiłem na wieszak za drzwiami.

- Dowiedzieli się od Christine.

To imię zawisło między nami niczym ostrze, a nienawiść do tej kobiety, której nawet nigdy w życiu nie widziałem, zaczęła mi zżerać wnętrzności.

- Kiedy? Gdzie ona jest?

- Zadzwoiła do mnie wczoraj po ogłoszeniu wyroku. Przebywa w Kairze.

Chwyciłem za telefon.

- Co pan robi? - spytał David.

- Telefonuję do Interpolu.

Pokręcił głową i powiedział, że to nie ma najmniejszego sensu.

- Ludzie, z którymi jest, wyprzedzają Interpol co najmniej o trzy ruchy.

- Jak Christine dowiedziała się o wyroku?

- Bardzo prosto. Zatelefonowała do kogoś na Fleet Street -urwał i spuścił

wzrok na swoje buty. - Ona była w magazynie, panie Belmayne.

- Nigdy w to nie wątpiłem.

- Wydaje mi się, że powinien pan polecieć do Kairu ją odszukać.

Przyjrzałem mu się uważniej i dostrzegłem, że szrama na twarzy Davida jeszcze bardziej się pogłębiła od naszego ostatniego spotkania w Gstaad. Jego przeredzona czupryna wyglądała tak, jakby dopiero co był na wietrze, i zdałem sobie sprawę, że . od momentu, kiedy się tu zjawił, bez przerwy nerwowo przeczesuje ją palcami.

- To jest pańska siostra, dlaczego zależy panu na tym, by ją odnaleziono? W jego uśmiechu czaił się smutek.

- Ponieważ w przeciwieństwie do tego, co pan myśli, Elżbieta jest mi bardzo bliska. Wiem, że nie potrafiłaby wywołać pożaru, a moja siostra owszem, byłaby do tego zdolna. Ale widzi pan, panie Belmayne, Christine mimo wszystko jest moją siostrą i w zasadzie bardzo ją kocham. Kiedy zniknęła - a przysięgam panu na wszystko, że nie wiedziałam, gdzie była - Kair wydawał mi się ostatnim miejscem, do którego mogła się udać, no bo nie miała pieniędzy, żeby spłacić Paszę.

- Jakiego Paszę?

- To znaczy „pana”. To właśnie z nim Edward oraz Christine prowadzili ostatnio interesy - fatalna sprawa. W każdym razie po jej zniknięciu oraz aresztowaniu Elżbiety, no cóż, chyba straciłem zaufanie do brytyjskiej sprawiedliwości, ponieważ nigdy nawet mi się nie śniło, że Elżbieta może pójść do więzienia. Założyłem, że nie ma na to dostatecznych dowodów.

- Pańska siostra jest mądrzejsza, niż pan przypuszcza, panie Walters. Proszę mówić dalej.

- Tak, to prawda. Wiem tylko tyle, że ten Pasza ma jakiś

wpływ na Christine. Chcę ją z tego wyciągnąć, nawet jeśli miałyby to znaczyć, że sunie przed sądem.

- Nie chodzi jedynie o podpisane zeznanie? - byłem zaskoczony.

Pokręcił głową.

- Choć prawdopodobnie tylko tyle zdoła pan osiągnąć -i to pod warunkiem że ją pan znajdzie.

Na szczęście, business class w samolocie British Airways do Kairu była prawie pusta, usiadłem więc wygodnie, zapatrzyłem się na znikające i zamazujące się w oddali przedmieścia Londynu i zacząłem się zastanawiać, jak zniosę pięciogodzinną podróż. Starłem się nie myśleć o Elżbiecie, ale

było to niemożliwe. Widziałem ją wczoraj wieczorem i jej twarz - blada jak płótno, zdziwiona - wryła mi się w pamięć. Naturalnie, ciągle jeszcze była w szoku. Tym martwiłem się najbardziej - jak sobie poradzi, kiedy szok minie i w pełni zrozumie, co się stało. I jak poradzi sobie jeszcze z tym, co ją dopiero czeka. Serce mi się ścisnęło na myśl, jakie upokorzenia czy molestowanie może ją spotkać ze strony współwięźniarek. Jak znajdzie siły po przeżyciach ostatnich czterech miesięcy i po rozprawie. W tej chwili, zaledwie po dwóch dniach, wyglądała na chorą i nie mogła mi spojrzeć w oczy, kiedy rozmawialiśmy. Na jakiegokolwiek trzaśnięcie drzwiami, nawet w oddali, natychmiast się kuliła, a raz, gdy do pokoju, w którym byliśmy, ktoś podchodził, zacisnęła paznokcie na dłoniach, zostawiając na nich głębokie czerwone ślady.

Kiedy jej powiedziałem, że lecę do Kairu, mruknęła coś, że nie chce, żebym jechał, że to i tak na nic.

Zdawałem sobie sprawę, że nie sposób z nią dyskutować, dlatego też spróbowałem zmienić temat, ale ona bez przerwy powtarzała, że nie wiem nawet, z kim się tam będę zadawał, że to są źli ludzie, że nie wolno mi mieć z nimi nic wspólnego, bo moje życie znaj-

dzie się w niebezpieczeństwie. Próbowałem Elżbiecie wytłumaczyć, że to jedyna szansa, by ją jakoś wyciągnąć z więzienia, ale ona tylko odpowiadała, że nie chce, abym odnalazł Christine.

Nadszedł koniec widzenia - strażniczka już czekała, żeby ją odprowadzić do celi. Elżbieta ruszyła za nią z rękoma zwieszonymi po bokach. Czekałem, ale się nie odwróciła.

Krew zaczęła mi pulsować w głowie tak mocno, że musiałem wstać. Może i ja byłem w szoku, bo nie potrafiłem opanować wściekłości na tak zwaną brytyjską sprawiedliwość, która ją tak urządziła. I wiedziałem już, że kiedy ta sprawa się skończy, nikt nie będzie mnie musiał prosić o to, bym zrezygnował z adwokatury - sam to zrobię.

Dziesięć minut później wróciłem na fotel i przywołałem stewardesę, żeby mi przyniosła coś do picia.

Stewardesa stała się wyraźnie zalotna po moim wejściu do samolotu, gdy zdała sobie jednak sprawę, że nie jestem zainteresowany niczym towarzystwem, zaczęła mnie traktować z niejaką pogardą.

- Aleksandrze!

Odwróciłem się i z początku nie mogłem uwierzyć własnym oczom.

- Charlotta!

Próbowała uśmiechnąć się szerzej.

- Wiedziałaś, że nie zgodzisz się na to, bym leciała z tobą - rzekła. - No więc, cóż... - wzruszyła ramionami.

Starając się pozbierać myśli wstałem.

- Jak się tutaj znalazłaś?

- Pomyślałam sobie, że mogę trochę pomóc. Może ci się przydam, bo znam Kair, pamiętam też niektóre miejsca i niektórych ludzi.

Wiedziałem, że była w Kairze tylko raz, jako jedenastolatka. Teraz miała lat szesnaście - siedziała z włosami zebranymi pod beretem, z czerwonymi opuchniętymi oczami, pragnąc koniecznie

coś zrobić, żeby pomóc matce. Uśmiechnąłem się, przełykając ślinę, po czym ucałowałem ją w głowę i usiadłem obok.

- Nie jesteś na mnie zły, prawda? - szepnęła.

- Nie. Nie jestem zły, ale jak tylko wylądujemy, wsadzę cię na pokład pierwszej klasy z powrotem do Londynu.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Nie odsyłaj mnie, proszę! Oszaleję, jeśli nie będę mogła jakoś pomóc. Zostanę w hotelu i nawet nie ruszę się z pokoju, jeśli ci na tym zależy, ale proszę, pozwól mi być z tobą!

Serce mi się ścisnęło na widok jej buzi. Te skośne oczy i świeża młoda cera tak bardzo przypominały Elżbietę, Uważałem ją za dziecko, ale przecież miała dokładnie tyle lat, ile ja, kiedy zakochałem się w jej matce.

- Aleksandrze? - Błagalnym wzrokiem czekała na moją odpowiedź.

Pogłaskałem ją po policzku i wsadziłem czarny lok za ucho. - Aleksandrze — mówiła cicho, drżącym głosem. -Wiem, że jesteś moim ojcem

Słowa te były dla mnie szokiem wręcz trudnym do zniesienia.

- Prawda? Jesteś moim ojcem. I ojcem Jonathana.

- Tak - szepnąłem. - Jonathana również.

Oparła mi głowę na ramieniu, jej dłoń mocno uścisnęła moją.

- Jak się domyśliłaś? - spytałem po chwili. Zachichotała.

- Bo mama zawsze szalała na punkcie mojego uśmiechu. A potem zobaczyłam, jak patrzy na ciebie...

No bo wiesz, ja też mam zakrzywiony ząb.

Wybuchnąłem śmiechem i przycisnąłem ją mocno do siebie, zanim mogła spostrzec łzy napływające mi do oczu.

- Jak się to już wszystko skończy - rzekła - kiedy wrócimy do Londynu i marna Wyjdzie na wolność, czy mogę zmienić nazwisko na twoje?

- To będzie pierwsza rzecz, którą zrobimy jako rodzina - obiecałem, czując zarówno gorycz, jak i smutek z powodu nieobecności Elżbiety w tak wspaniałym momencie.

Gdy wysiedliśmy z samolotu, zrobiło się już po dziesiątej. Na spotkanie wyszedł nam Robert Lyttleton. Szybko awansował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i teraz był *attaché* wojskowym przy Ambasadzie Brytyjskiej w Kairze. A jeszcze do przedwczoraj nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Henry zatelefonował do niego, opowiedział też wszystko, co się stało, i Robert natychmiast zaoferował swoją pomoc.

Przyglądałem się jego twarzy, kiedy podawał rękę Charlotcie, i nieco zaskoczyło mnie to, że wcale się nie zdziwił na jej widok.

- Na zewnątrz czeka samochód - powiedział. - Zarezerwowałem wam pokój w Marriocie. -

Uśmiechnął się do Charlotty, zajętej opatulaniem się w bardzo obszerny płaszcz. - Dwu-pokojowy apartament, a więc zamieszkasz wraz ze swoją...

- Czy chcesz powiedzieć, że się jej spodziewałeś?

- Oczywiście. Henry zatelefonował, żeby mnie o tym uprzedzić, a nawet żeby przekazać jej instrukcje.

Zwróciłem się do Charlotty, która teraz naciągała wełnianą czapkę na uszy.

- Henry wiedział, że się tu wybierasz?

Przytaknęła. Pokręciłem głową z uśmiechem. Będę z nim musiał pogadać, jak wrócimy.

W drodze do miasta Robert powiedział mi wszystko, co dotychczas zdążył ustalić. Wyglądało na to, że Kamei - zacząłem głowić się, gdzie też wcześniej słyszałem to imię, ale nie mogłem sobie przypomnieć - został aresztowany. Robert nie wiedział dokładnie za co, choć był prawie pewien, że za jakieś machlojki eksportowo-importowe w Dolinie Królów.

- Wiem z kolei na sto procent - ciągnął Robert - że policja

próbuje znaleźć jakąś nić łączącą fałszerstwo, podejrzenie o handel narkotykami oraz bronią, no i oczywiście morderstwo strażnika - z osobą Paszy.

- Paszy? Wspominał o nim David Walters, który przypuszcza, że Christine jest z ,nim.

- I może ma rację, ale to na razie niewiele nam pomoże. Pasza jest niemal udzielnym księciem w Kairze, Christine może więc się znajdować w każdym

dowolnym miejscu.

Skinął na mnie ręką, abym wyjrzał za okno.

Niewiele wprawdzie widziałem w ciemności, lecz natychmiast zrozumiałem, o co mu chodzi. Kair wyglądał na takie miasto, w którym można się ukrywać w nieskończoność. W świecie szaleńczo migających neonów dostrzegłem, że na tyłach nowoczesnych budynków, tworzących pierzeję głównych arterii metropolii, ciągnie się labirynt maleńkich uliczek i alejek, mrowisko pełne rozpadających się domostw, tętniące przewalającymi się tłumami. W moich oczach - oczach obcokrajowca - Kair jawił się niczym wizja chaosu. Nawet główna ulica wyglądała niewiele lepiej.

Narażający się na niechybną śmierć w wypadku kierowcy trąbili i naciskali na gaz jak szaleńcy.

Zatrzymaliśmy się u wjazdu na Most Szóstego Października - przed nami policjant wydzierał się na mężczyznę, który do połowy wysunął się przez okienko samochodu. Gdzieś w oddali miejską symfonię wzbogacała głośna, lecz nieco makabryczna muzyka.

Kiedy przejechaliśmy przez most zmierzając w kierunku Az-Zamalik, Robert się zaśmiał.

- Rozchmurz się! To nie takie straszne, jak się wydaje!

Hotel Marnot jak dotychczas sprawił na mnie najprzyjemniejsze wrażenie w mieście - fontanny z białego marmuru oraz złota sieć żelaznych łuków stanowiły jakby spokojną oazę cywilizacji w otaczającym chaosie. Ponieważ zbliżała się północ, poleciłem Charlocie iść spać. Zamówiliśmy sobie wraz z Robertem drinki do pokoju i siedzieliśmy, rozmawiając do późna w nocy.

Następnego ranka śniadanie przyniesiono nam do apartamentu o ósmej i zasiedliśmy z Charlottą na balkonie, przeżuając gumowate grzanki. Patrzyliśmy z góry na palmy, fontany i wodospady, otaczające hotelowy basen. Powietrze nadal było chłodne, chociaż słońce robiło wszystko, żeby się przebić przez gęstą, zawieszoną nisko mgłę. Kątem oka obserwowałem Charlotte, jak wyciąga swe długie nogi i sięga po herbatę. Odgarnęła włosy z oczu dokładnie takim samym ruchem, jak to zwykle robiła Elżbieta. Nagle poczułem piekący ból -poczucie straty. Straciłem tak wiele z jej dzieciństwa.

Nigdy dotychczas nie pozwalałem sobie na to, by zbyt intensywnie myśleć o Charlocie, ale kiedy teraz ją widziałem, aż trudno mi było uwierzyć w idiotyczne poczucie dumy, że jestem jej ojcem.

Gdy się odezwała, nie odwróciła głowy, lecz nadal patrzyła na ogród.

- Wiem, że starasz się to ukryć, ale w tej chwili mi się przyglądasz -

rzekła. - O czym myślisz?

Musiałem przełknąć ślinę, zanim udało mi się wydobyć głos, a potem się zaśmiałem.

- Zastanawiałem się, w jaki sposób trafiła mi się tak piękna córka.

Przez chwilę rozważała moje słowa, a następnie spojrzała na mnie z figlarnym błyskiem w oku.

- Jak myślisz, a może mama miała z tym coś wspólnego?

- I to wiele. Przecież w końcu, poza tobą, uchodzi chyba za jedną z najpiękniejszych kobiet na świecie?

- Naturalnie nie jesteś w tym sędzie stronnicy, prawda?

- O ile dobrze pamiętam, raz sama mnie o to oskarżyła - rzekłem z uśmiechem, po czym westchnąłem.

- O Boże, to wszystko wydaje się teraz tak odległe - wtedy o tobie mi się nawet nie śniło.

- Opowiedz mi o tym, opowiedz o tym, jak się poznaliście

i dlaczego się z nią nie ożeniłeś, kiedy się urodziłam. Naprawdę chciałabym wiedzieć, jak to było.

W tym momencie zadzwonił telefon i wstałem, żeby go odebrać. Telefonował Robert, mówiąc, że nie wyrwie się z ambasady przed drugą. Nie za bardzo mi odpowiadało tak długie czekanie, zdawałem sobie jednak sprawę z tego, że bez jego pomocy niewiele wskóram. Z drugiej strony, cieszyłem się, że spędzę trochę czasu z Charlottą. Miała rację - najwyższa pora, żeby się dowiedziała, jak wyglądała historia naszej znajomości z Elżbietą.

Siedzieliśmy przy basenie, kiedy przybył Robert, godzinę wcześniej, niż zapowiedział. Towarzyszył

mu niewysoki Egipcjanin o przebiegłym spojrzeniu, mający na sobie coś, co kiedyś musiało być szykownym europejskim garniturem. Mężczyzna wyszczerzył się w uśmiechu, ukazując jednak więcej przerw niż zębów. Nazywał się Mohammed Abu el-Shami, ale mieliśmy na niego mówić Shami.

Robert wyjaśnił, że Shami powrócił rankiem do Kairu i najwyraźniej jego zdaniem oznaczało to koniec naszych kłopotów. Patrzyłem na szczurawatego człowieczka dość sceptycznie, ale wystarczyło mi przez pół godziny posłuchać jego łamanej angielszczyzny, aby się zorientować, że wie wszystko i zna cały światek przestępczy. W świecie tym obowiązywała przede wszystkim zasada: przysługa za przysługę i wkrótce nabrałem

przeświadczenia, że połowa Kairu winna jest przysługę Shamemu - nie pytałem już o tę drugą połowę. Robert wyjaśnił mi już cel naszego przyjazdu. Teraz Shami zamierzał

odejść i wprawić w ruch całą maszynę.

- Pan nie musi się niczym przejmować, panie Belmayne - jego okrągła twarz promieniała, gdy dodawał te słowa. - Nie ma takiej rzeczy, której Shami nie mógłby zrobić. - Wyciągnął z kieszeni palce poplamione tytoniem i pocierając kciukiem

o pozostałe palce pod moim nosem w sposób oczywisty dał mi do zrozumienia, jaki magiczny element jest niezbędny do cudów Shamiego.

Tego wieczoru wraz z Charlottą uczestniczyliśmy w koktajlu w Ambasadzie Brytyjskiej. David ambasador, powiedział, że zainteresowała go szczególnie nasza sprawa i zapragnął nas poznać.

Natychmiast się domyśliłem, że ojciec do niego telefonował.

Jakie to dziwne uczucie uczestniczyć w oficjalnym przyjęciu z córką wspartą na ramieniu - musiałem skryć uśmiech, kiedy wyciągnęła puderniczkę z torebki pożyczonej od Susie, żonę Roberta, i przed wejściem na salę poprawiała szminkę. Wyglądała przepięknie ze swymi ciemnymi skręconymi włosami rozpuszczonymi na ramionach i włożonym na tę okazję długim białym zakieciem oraz w naturalnym kolorze lnu plisowanej spódnicy Calvin Kleina, jak mi powiedziała, które wspaniale podkreślały jej delikatną opaleniznę. Rozpierała mnie idiotyczna duma, kiedy głowy odwróciły się w naszą stronę, gdy weszliśmy, i nieomal zakrztusiłem się ze śmiechu, kiedy spytała, czy nie wolałbym jej przedstawić jako swojej dziewczyny.

Po powrocie do hotelu znalazłem wiadomość od Shamiego; pisał, że jeśli chcę się dowiedzieć, gdzie jest Christine, powinienem natychmiast udać się do powalonej na ziemi figury Ramzesa II w Memfis.

Ponieważ nie wiedzieliśmy, jak długo może to potrwać, a Robert był nadal w ambasadzie, Susie zaproponowała, że weźmie Charlottę do domu. Gdy samochód ambasady zniknął za zakrętem w drodze do Aguzy, poprosiłem portiera, by mi wezwał taksówkę.

Pan jechać do Memfis? — spytał kierowca, kiedy odjeżdżaliśmy sprzed hotelu. Dostrzegłem jego wzrok w lusterku. Nie mówiłem portierowi, dokąd chcę jechać.

Podróż trwała dość długo i gdy wreszcie wyjechaliśmy poza granice miasta, poruszaliśmy się po ciemnej, nieznanej mi okolicy - z prawej strony

ciągnęły się czarne krzaki, z lewej -połacie suchej, wypalanej słońcem nagiej ziemi. Żaden z nas się nie odzywał. Wreszcie, po półgodzinie, zjechaliśmy z drogi i kierowca wyłączył światła. W przyćmionym blasku księżyca mogłem dostrzec tylko piaszczystą pustynię.

- Ramezys - rzekł taksówkarz wskazując przed siebie. - Pan zaczekać.

Wysiadłem z samochodu i ruszyłem w kierunku, który mi wskazał. Dosłyszałem, jak samochód zawraca. Po chwili, ku mojemu przerażeniu, odjechał.

Jakieś kilka metrów przed sobą mogłem dostrzec budynek. Po chwili księżyc schował się za chmurą.

Nigdy dotychczas nie widziałem takich ciemności. Wiatr zawodził, a dziwne nocne stwory pustynne wydawały z siebie najprzeróżniejsze odgłosy. Poczułem gęsią skórę.

Szedłem ostrożnie przez piasek. Kiedy dotarłem do budynku, dłonią zacząłem macać jego gładkie betonowe ściany, aż znalazłem wejście. Zawołałem, lecz mój głos jedynie odbił się w pustym wnętrzu niesamowitym echem. Postanowiłem tutaj zaczekać - nie było sensu wchodzić do środka, skoro w ciemnościach i tak nic nie mogłem dostrzec

Czas mijał. Raz zobaczyłem w oddali jadący w moim kierunku samochód, lecz skręcił, zanim tutaj dotarł. Wzmógł się wiatr. Coś mi przebiegło po stopie - cofnąłem się, to coś uciekło w noc. Następnie usłyszałem jakiś hałas, w kierunku którego natychmiast się obróciłem. Ale dostrzegłem tylko cień zginającego się i skrzypiącego na wietrze drzewa.

Wiatr ucichł równie szybko, jak się wzmógł. Cisza, jaka wtedy nastąpiła, była niesamowita. Zacząłem się zastanawiać, jak, do diabła, będę mógł wrócić, kiedy nagle pomieszczenie zalał strumień światła.

Chwilę czekałem, aż się ktoś pojawi, ale skoro nikt nic wyszedł, sam zacząłem ostrożnie wchodzić do środka. Słysząc było jedynie trzepot skrzydeł

ptaków, które nagle zostały spłoszone. A także moje kroki.

Rozejrzałem się wokół. Przede mną na środku pomieszczenia leżała olbrzymia figura na plecach.

Znieruchomiałem. Skośne oczy patrzyły złowieszczo, a spokój kamiennego uśmiechu był wręcz niesamowity. Gotowe do walki ręce z zaciśniętymi pięściami spoczywały przy torsie ubranym w tunikę, a poniżej potężnych ud i kolan na prawej łydce można było dostrzec świeże ślady amputacji.

- Pan Belmayne?

Odwróciłem się na pięcie, by dostrzec wyłaniającego się z mroku właściciela tajemniczego głosu. Był

równie wysoki jak ja, choć szczuplejszy. Czarne włosy pieczołowicie zaczesane do tyłu usztywniała brylantyna. Miał na sobie ciemny garnitur i koszulę o olśniewającej bieli, która kontrastowała z ciemną skórą. Wyciągnął do mnie rękę, lecz moja pozostała nieruchoma.

- Czy to pan jest Paszą? - spytałem, choć podświadomie wiedziałem, że tak.

Uśmiechnął się, ukazując błyszczące złoto.

- Jest pan wielkim formalistą, panie Belmayne - rzekł przyglądając się mojemu smokingowi. -

Widziałem pana wcześniej, jak pan wychodził z ambasady ze swoją córką. Piękna dziewczyna.

Wzruszył ramionami, kiedy nic nie odpowiedziałem.

- Shami powiedział mi, że pan kogoś szuka.

- Czy wie pan, gdzie ten ktoś jest? Zaśmiał się.

- Może ten ktoś nie chce być odnaleziony?

- No to dlaczego pan tu przyszedł?

- Żeby panu powiedzieć, że rozsądniej byłoby, gdyby wrócił pan do swojego kraju.

- Wyjadę, gdy ją znajdę.

- To bardzo mało prawdopodobne, aby pan ją odszukał. Prosiła mnie, abym panu przekazał

wiadomość - jest bardzo krótka. - Zaciągnął się głęboko papierosem, a następnie zakopał go w piasku.

Czekałem. Mierzyliśmy się wzrokiem. Zaśmiał się szyderczo. Ani przez chwilę nie miałem wątpliwości, że użyje broni, którą właśnie wyjmował z kieszeni.

Jego palce zacisnęły się na spuście i usłyszeliśmy głuchy trzask. Zaśmiał się, a ja poczułem, że oblewa mnie zimny pot. Palce mężczyzny poruszyły się ponownie. Nie miałem czasu pomodlić się o to, by coś odwróciło jego uwagę, zanim to coś na nas spadło. Spojrzałem w górę na ptaka, on zresztą też.

Pistolet wyleciał mu z dłoni, kiedy stopą podbiłem mu nadgarstek i pięścią wyrznąłem w twarz.

Obróciłem się, jak szalony szukając broni. Gdy zamierzałem się po nią schylić, jego noga trafiła mnie w krocze i obolały padłem na ziemię. Kilka sekund później trzymał pistolet przy mojej skroni.

Usłyszałem kroki, po czym coś roztrzaskało mi czaszkę i straciłem przytomność.

Rozdział 30

Obudziła mnie grupa japońskich turystów, którzy patrzyli na mnie z góry. Obolały i zagubiony, mrugałem powiekami, starając się odzyskać ostrość wzroku i spojrzeć na baldachim otaczających mnie zaskoczonych twarzy. Gdy spostrzegli, że otwieram oczy, pomogli mi wstać, a jeden z nich, niezbyt może delikatnie, pomógł mi się otrzepać.

Szczęśliwie, przewodnik Japończyków mówił po angielsku, zapytałem go więc o najbliższy telefon.

Zaśmiał się głośno i przetłumaczył moją prośbę. Grupa wybuchnęła śmiechem, radośnie poklepując mnie po plecach. Niemniej, po wielu

perturbacjach, zdołałem wynająć konny wóz. Woźnica, starszy bezzębny chłop, który nie mówił ani słowa po angielsku, wysadził mnie w jakimś zdewastowanym hoteliku w drodze do Sakkary.

Kiedy już udało mi się ustalić, gdzie jestem, przyjechał po mnie Robert.

- Czy wiesz, kto to był? - spytał. Gdy zbliżaliśmy się do przedmieść Kairu, dostrzegłem, że mocniej zacisnął dłonie na kierownicy, przygotowując się do zmagania w ruchu miejskim.

- Nie, nie zostawił wizytówki. Powiedział mi tylko, że ma wiadomość od Christine.

- Która chce, żebyś jak najszybciej stąd wyjechał?

- Wiesz, co mnie zastanawia? Dlaczego ten facet mnie nie zabił? - zapytałem, gdy próbowaliśmy jakoś przejechać obok nie oznaczonych robót drogowych.

- Nie przejmuj się. Przypuszczam, że po prostu chcieli cię nastraszyć. Jeśli mieliby cię zabić, to by to zrobili, możesz nie mieć co do tego najmniejszych wątpliwości.

Robert wszedł ze mną do hotelu i poczekał, aż wezmę prysznic i się przebiorę. Zadzwonił do mnie dyrektor Marriota, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku, ponieważ strażnik, którego postawił pod moimi drzwiami na prośbę ambasady, poinformował go, że nie spałem tej nocy we własnym łóżku.

Prawdopodobnie dzięki telefonowi dyrektora zauważyłem, że kiedy wychodziliśmy z hotelu pół

godziny później, by pojechać po Charlotte, strażnika nie było. Spytałem Roberta, czy przypomina sobie, by widział kogoś pod drzwiami, kiedy przyszliśmy do Marriota. Zmarszczył czoło - wydawało mu się, że ktoś tam był, ale nie dałby głowy.

Wróciłem do pokoju, by zatelefonować do dyrektora hotelu, zostawiając Robertowi poszukiwanie strażnika. Zanim jednak podniosłem słuchawkę, telefon zadzwonił.

- Czy to pan Belmayne?

- Owszem.

- Pan mnie nie zna, ale telefonuję w imieniu Paszy. Głos mówił z nieskazitelnym oksfordzkim akcentem. - To było *inshallah*, nieprawdaż, panie Belmayne, że wczorajszej nocy w Memfis nic się panu nie stało? Allah jest dla pana łaskawy. W każdym razie pistolet miał panu tylko zaszygnalizować, że panna Walters nie chce zostać odnaleziona. Pasza jest przekonany, że zechce pan zrobić to, o co prosi, aby w ten sposób uniknąć dalszych nieprzyjemności. Pan musi tylko pójść do Banku Kanału Sueskiego, gdzie Shari el-Giza zlewa się z Shari el-Nil. Ktoś będzie tam już na pana czekał. Poda panu numer konta, na które proszę wpłacić sto pięćdziesiąt tysięcy funtów egipskich, to jest około pięćdziesięciu tysięcy funtów szterlingów. Po czym proszę polecieć najbliższym samolotem do Londynu. Miejsce ma pan już zarezerwowane dzięki uprzejmości Paszy. Założyłem, że woli pan lecieć liniami brytyjskimi. Pański bilet czeka na pana...

- A co będzie z Christine Walters?

- Chyba pan mnie nie zrozumiał, panie Belmayne. To nie są pieniądze za dostarczenie panny Walters.

Pieniądze to zaledwie pierwsza rata, jaką pani Walters jest winna Paszy. I w zamian za to, ponieważ Pasza, jest człowiekiem szczodrym, postara się...

- Zapłacę tę sumę, o jaką pan prosi, ale nie jako ratę jakiegokolwiek umowy pana Edwarda Waltersa z Paszą, tylko za Christine Walters.

- Panie Belmayne, pan zapłaci te pieniądze, ale obawiam się, że na warunkach Paszy, a nie pańskich.

- Przyjechałem do tego kraju, aby odnaleźć Christine Walters, Proszę powiedzieć Paszy, że dopóki tego nie zrobię, nie wyjadę.

- Być może panie Belmayne, zmieni pan zdanie, kiedy panu powiem, że pańska córka, nawet teraz, gdy rozmawiamy...

Zaschło mi w ustach.

- Charlotte! Gdzie, do diabła, ona jest?

Jest w bezpiecznym miejscu, panie Belmayne. Proszę zrobić tylko to, o co proszę, a nadal będzie bezpieczna. - W tym momencie połączenie się przerwało.

- O Boże! - odwróciłem się, a w tej samej chwili do pokoju wpadł Robert.

- Gdzie jest Charlotta?

Myślałem, że jest z twoją żoną. - No bo jest. A o co chodzi?

- Och, ten telefon... — chwyciłem słuchawkę i zacząłem wykrecać numer. Sygnał miałem od razu i Susie odezwała się niemal natychmiast.

- Ach, Aleksandrze, nareszcie! Co się stało? Gdzie...

- Gdzie jest Charlotta?

- A nie ma jej z tobą?

Czułem, jak ziemia usuwa mi się spod nóg.

- Nie, nie ma. Kiedy ją ostatni raz widziałaś?

- Jakąś godzinę temu. Podwiozłam ją do hotelu.

- No to gdzie jest w tej chwili? - pytanie naturalnie zawisło bez odpowiedzi.

Rzuciłem słuchawkę i złapałem Roberta za koszulę pod szyją.

- Mają ją, słyszysz?

Robert wyrwał mi się i wziął telefon.

- Dzwonię do ambasadora. Co dokładnie ten mężczyzna powiedział?

Wszystko mu zrelacjonowałem.

- Masz pieniądze? - spytał.

- Naturalnie, ten pieprzony szmal to żaden problem.

- Proponuję zatem, żebyś zrobił tak, jak kazali.

- Wbij to sobie dobrze do głowy, Robercie, że nie wyjadę z tego cholernego kraju bez mojej córki - nie ma nawet o czym w ogóle mówić!

- Tu Robert Lyttleton - rzekł do słuchawki. - Proszę mnie natychmiast połączyć z ambasadorem. Nie obchodzi mnie to, czy ma właśnie jakieś spotkanie - proszę mnie połączyć!

Czekał, aż telefonistka go przełączy, a ja chodziłem w tę i z powrotem po pokoju, ganiąc się w kółko za to, że nie odesłałem jej prosto do Anglii.

- I co powiedział? - spytałem, gdy Robert odłożył słuchawkę.

- Telefonuje do Londynu.

- Do Londynu, a co to nam, kurwa, pomoże?

- Zobaczymy - odparł Robert. - Tymczasem proponuję, abyśmy się udali do Banku Kanału Sueskiego.

Zatrzymaliśmy się w biurze dyrektora hotelu. Na szczęście nie był taki jak jego rodacy. Zamiast oczekiwanego potoku przeprosin, najzwyczajniej podniósł słuchawkę. Nie miałem pojęcia, co mówił, ale kiedy skończył, kazał mi iść holem do Narodowego Banku Arabskiego, gdzie miało na mnie czekać sto pięćdziesiąt tysięcy egipskich funtów.

Po dotarciu do Banku Kanału Sueskiego nie musieliśmy czekać długo, zanim podeszła do nas starsza kobieta zakutana w ciemną *gilbab* oraz *khimarę*.

- Anglicy? - syknęła.

Skinąłem głową, a ona wręczyła mi skrawek papieru, odwróciła się i zniknęła w tłumie. Chciałem ruszyć za nią, ale Robert mnie zatrzymał.

- Zapłacono tej kobiecie za to, by ci dostarczyła kartkę, która na pewno przeszła przez wiele rąk, zanim dotarła do niej, trudno byłoby więc odnaleźć jej autora. - Wyjął skrawek papieru z mojej reki i rozwinął - był na nim jedynie numer konta.

Transakcję załatwiłem bez żadnych komplikacji i z banku wyszedłem po niecałych dziesięciu minutach. Robert czekał na mnie w taksówce.

- Powinniśmy chyba pojechać do ambasady - rzekł.

- Wyrzuć mnie po drodze w hotelu. Jeśli ktokolwiek zechce się ze mną skontaktować, to będzie dzwonił tam.

Jednak do końca dnia nikt już się nie odezwał.

Po raz pierwszy telefon zadzwonił dopiero następnego ranka. Był to ambasador, który powiedział, że numer konta zawiódł ich donikąd. Otrzymał za to pewne instrukcje z Whitehallu. Polecono mu poinformować prezydenta Mubaraka, że rząd Jej Królewskiej Mości będzie ogromnie zobowiązany za wszelkie wysiłki podjęte w celu zapewnienia bezpiecznego powrotu do Wielkiej Brytanii wnuczki ministra sprawiedliwości.

Patrzyłem na Roberta oniemiały.

- Nie wiem, Aleksandrze, czy zdajesz sobie sprawę...

- Nie wiesz, czy zdaję sobie sprawę? Tu chodzi o moją córkę! Została porwana! Porwana! A biorąc pod uwagę fakt, że zrobili to szaleńcy - kto wie, czy jeszcze żyje, a wy możecie jedynie uprzejmie prosić, by ją wydano! Czy to, do cholery, coś pomoże?

- Zobaczysz - odparł Robert spokojnie. I faktycznie za godzinę

zobaczyłem.

Szef kairskiej policji przyszedł do mego pokoju w Marriocie. Towarzyszył mu ambasador brytyjski oraz dwóch jego ludzi. Szef policji wypytywał mnie przez ponad godzinę, a w tym czasie zorganizowano tymczasowy sztab na parterze w Salonie Verdiego.

- W tej chwili Pasza jest przesłuchiwany - rzekł szef policji, odsuwając zasłony i spoglądając w dół na ogród.

Serce zaczęło mi bić żywiej.

- Czy wiecie, gdzie on jest?

- Mamy go w sztabie. Ale obawiam się, że więcej nie zdołamy z niego wyciągnąć. - Wyjął z kieszeni skrawek papieru, który położył na stole.

Obaj popatrzyliśmy na kartkę, ale była po arabsku. Nawet nie próbowałem ukryć irytacji.

- No i co tu jest napisane?

- Tu jest napisane, panie Belmayne, że francuski hrabia przeklina w podwójnych liczbach.

- A cóż to, do cholery, może znaczyć?

- W tej formie nic. Musimy się dopiero dowiedzieć. Pasza działa w ten właśnie sposób.

- Czy to może być w takim razie rebus? - Ambasador był trochę zagubiony.

- Owszem, może, ale nie tylko - jestem tego pewien. Przypuszczam, że kartka zawiera również sugestię, gdzie może być przetrzymywana pańska córka. - Wpatrywałem się w niego, przekonany, że postradał zmysły. On tymczasem zwrócił się do ambasadora: - Pański wywiad powinien przyłączyć się do moich ludzi, żeby złamać ten szyfr. Mamy bardzo niewiele czasu.

Chwyciłem kartkę papieru.

- O Boże, to jest przecież tylko zagadka. Pan tę kartkę traktuje, jakby stanowiła klucz do kryzysu bliskowschodniego. Francuski hrabia, potem przekleństwo, to znów przysięga, czary, plaga...

Wszystkie podwójne liczby są powyżej dziesięciu.

- Dziesięć plag - rzekł Robert.

- Tak, *a propos* - wtrącił ambasador. - Właśnie się dowiedziałem... O co chodzi, panie Belmayne? Czy coś...

- Dziesiąta plaga - szepnąłem i kiedy zdałem sobie sprawę z tego, że wszyscy się we mnie wpatrują, nieomal krzyknąłem. - Gdybyście panowie znali Biblię - dziesiąta plaga to rzeź pierworodnych!

Ambasador popatrzył na mnie przerażony, a ja na niego. *Ona nie żyje! Nie żyje!* Te słowa pulsowały mi w głowie wraz z rytmem serca. Zobaczyłem jej twarz przed oczyma i czułem, jak przerażenie rozrywa mi ciało.

- Proszę nie wpadać w panikę - mówił teraz szef policji. -

Jest jeszcze wcześniej. I pan, panie Belmayne, dał nam klucz. -Jakby wbrew swym słowom, zdawał się przygnębiony. Tego było dla mnie za wiele.

- Nie słyszał pan, co powiedziałem? Czy ta wiadomość nie jest dostatecznie dobitna? Bo przecież takie jest znaczenie dziesiątej plagi, prawda? To, do cholery, pański kraj i pańska cholerna historia!

- Owszem, nie ma co do tego żadnych wątpliwości, ale to tylko znaczenie powierzchowne. Pasza nie porusza się jednak wśród takich oczywistych symboli. Udało się panu rozszyfrować wiadomość w ciągu kilku minut - takie ma pan przynajmniej przekonanie. Teraz musimy jednak rozwikłać zagadkę dziesiątej plagi.

Widząc moją reakcję, szef policji doszedł najwyraźniej do wniosku, że najlepiej będzie się w tym momencie wycofać. Od chwili porwania Charlotty byłem absolutnie wyczerpany nerwowo, a teraz, przy takim dramatycznym rozwoju wydarzeń, mogłem się lada chwila całkowicie załamać.

Po bezsennej nocy policja wcale nie była bliższa jej śladu. W Salonie Verdiego panowało zamieszanie - prawie wszyscy szyfranci z Bliskiego Wschodu zostali oddelegowani do odczytania „zagadki”, jak to teraz nazywali. Rozsądek potrafili zachować, jak mi się wydawało, jedynie szef policji oraz dyrektor hotelu.

Minął kolejny dzień bez żadnych wiadomości. Zatelefonował ojciec, lecz nie chciałem z nim zbyt długo rozmawiać, żeby nie zajmować linii. Później zadzwonił Henry, ale i tym razem skończyłem rozmowę, zanim ją nawet rozpoczął.

Trzeciego dnia tuż przed lunchem przyjechał Robert z garścią telegramów. Podał mi je w momencie, gdy telefon, który milczał cały ranek, nagle się rozdzwonił.

- Panie Belmayne? Mówi Gaudé de Rousse z „Le Monde”.

- „Le Monde?”

Robert nacisnął na widelki, przerywając w ten sposób połączenie.

- Na twoim miejscu zacząłbym od czytania telegramów. Historia w jakiś sposób wydołała się na zewnątrz. Masz tutaj wyrazy wsparcia od

przedstawiciele brytyjskiej społeczności.

- Co takiego?

- Jakiś mądrała posklejał do kupy historię twego życia, staruszk. Podobno w kraju cała prasa o tym pisze - i to na pierwszych stronach. Romans stulecia! Mam wrażenie, że właśnie tak nazwali historię twoją i Elżbiety.

- Moją i Elżbiety? Ale co...?

- Okazuje się, że dokopali się jeszcze do przeszłości z Foxton - Cyganka i arystokrata. Przemówiło cholernie do wyobraźni ludzi, że potajemnie kochaliście się przez te wszystkie lata. Nawet że jesteś ojcem jej dwojga dzieci. Wszystko opisali. Naturalnie, sam tego nie czytałem, ale Henry mi powiedział. Zadzwoił do mnie wczoraj wieczorem. Podobno najpierw telefonował do ciebie, ale go rozłączyło.

Słuchałem w osłupieniu, choć wzbierała we mnie wściekłość. Kiedy skończył, wybuchłem.

- Co za cholera! To przecież nie jest jakiś pieprzony serial telewizyjny! Czy oni nie zdają sobie sprawy z tego...

Przerwał mi telefon. Odebrał Robert.

- Obawiam się, że pan Belmayne nie może w tej chwili wygłosić żadnych komentarzy - powiedział

odkładając słuchawkę. Następnie zadzwonił do dyrektora hotelu, poprosił go, by wszystkich dziennikarzy łączono z Salonem Verdiego.

- A teraz uspokój się - rzekł odwracając się do mnie. - Czy nie widzisz, że czytelnicy w Wielkiej Brytanii i prasa są po twojej stronie? To wywiera tym większy nacisk na Egipcjan, aby próbowali odnaleźć Charlotte. I znajdą ją, zobaczysz!

- Też chciałbym w to wierzyć! A gdzie się, do cholery, podziewa Shami?

Robert spojrział na zegarek.

- Powinien tutaj być lada chwila. Twierdzi, że wie, gdzie jest Christine.

- Co? Dlaczego mi tego wcześniej nie powiedziałaś?

- Myślałem, że przede wszystkim powinienem cię ostrzec przed *paparazzi* - odparł wzruszając ramionami. Przylecieli wszyscy dzisiaj rano, więc musimy się jakoś wyślizgnąć tylnymi drzwiami.

- A co z policją? Powiedziałaś im, że być może wiemy, gdzie jest Christine?

- Szef policji właśnie do nas idzie. Tak *h propos*, ten telegram na samej

górze jest od twojej żony.

Zaśmiał się na widok mojej skonsternowanej miny.

- Na twoim miejscu bym go przeczytał. Chyba cię nie rozczaruje.

Telegram był bardzo krótki: „Powodzenia, kochanie” -przeczytałem. - „Postaraj się być cały i zdrowy na nasz rozwód. Ucałowania, Jess.”

Spojrzałem na Roberta i zobaczyłem, że się śmieje. Po raz pierwszy od wielu dni zaśmiałem się i ja.

- Dobrze wie, jaki moment wybrać, nie Uważasz? Czy mógłbyś wysłać do niej telegram w moim imieniu? - spytałem.

- A co mam napisać?

- „Obiecuję.”

Gdy Shami wszedł do pokoju, wytrzeszczył oczy na widok szefa policji. Zaczął mrużyć pod nosem, że pomylił pokoje, i czym prędzej chciał zamykać drzwi. Policjant był jednak szybszy i wciągnął go do środka.

Trzeba przyznać, że Shami budził jeszcze mniej zaufania niż zawsze, twierdząc, iż to nie on widział

Christine, tylko jego brat.

- Ale to przecież na jedno wychodzić, nie? - dodał.

Szef policji pokręcił głową, Shami zaś wyglądał jak zbity z tropu.

Ale ja wyjaśnić. Mój brat, on znać żona drugi kuzyn Paszy, ona zabrać mojego brata do miejsca, gdzie widzieli Christine. To jest na Chan al-Chalili, gdzie mężczyźni robić złoto. Złoto do maski Tutenchamona, nie?

- Jakiej maski Tutenchamona, Shami? - spytał policjant, bacznie mu się przyglądając.

Shami rozejrzał się bezradnie po pokoju.

- Ja nie wiedzieć, proszę pana. Shami wiedzieć bardzo nieduży. - Spojrzał w tym momencie na mnie. -

Ale mój brat mówić, że my być dziś w „Fishawi”. Ktoś nas zaprowadzić do tych mężczyzn i może oni powiedzieć, gdzie jest Christine. Teraz my się pospieszyć, dobrze?

- Tak - rzekł policjant.

Następnie Shami z ponurą miną wyjaśnił, że jego brat nie byłby zadowolony, gdybyśmy przybyli na miejsce z policją.

- Ale nie dlatego, że on nie lubić policja - dodał spiesznie.

Szef policji posłał nam krzywy uśmiech i podniósł słuchawkę. Mówił szybko przez telefon po arabsku, a potem poprosił nas, byśmy zaczekali kilka minut, zanim jego ludzie zorganizują coś dla zmylenia prasy przed hotelem.

Na zewnątrz czekała cała kolumna samochodów, chociaż żaden nie był oznaczony jako policyjny.

Kiedy odjeżdżaliśmy sprzed hotelu, dostrzegłem, że kilka z nich również ruszyło, a następnie zagubiło się w ruchu ulicznym.

Gdy dotarliśmy na bazar, szef policji zniknął we wnętrzu meczetu Sajjida el-Husseina wraz z dwojgiem swoich ludzi. Po kilku minutach pojawili się wszyscy w tradycyjnych strojach egipskich.

Zbliżył się do nas policjant, którego rozpoznałem z Salonu Verdiego. Wskazując na bazar, mówił coś do swego szefa, który słuchał go uważnie, następnie skinął głową i zwrócił się do nas.

- Moi ludzie są na stanowiskach. Zajęli wszystkie strategiczne punkty na Chan al-Chalili. Muszę pana poinstruować, panie Belmayne, że gdyby znalazł pan się w niebezpieczeństwie, proszę całkowicie zdać się na nich. Niech się pan nie sili na żadne bohaterstwo. Nie rozumie pan ludzi, z którymi mamy do czynienia. Dla nich wszystko to *inshallah* - wola Boga. Jeśli ktoś staje im na drodze i muszą go zabić, to nie zastanawiają się dwa razy - *inshallah* i już po wszystkim. - Następnie zwrócił się do Shamiego: - Idź przodem do „Fishawi”, tylko bez żadnych sztuczek, bo mamy cię na oku. Teraz proszę za mną -szef policji zwrócił się do mnie i do Roberta, kiedy Shami wtopił się w tłum.

Zaprowadzę panów do „Fishawi” - to kafejka kilka uliczek stąd. Gdy zobaczą panowie, że siadam, proszę podejść do najbliższego straganu i zacząć się przyglądać wystawionym towarom. Proszę pod żadnym pozorem stamtąd się nie ruszać, chyba że dam panom taką instrukcję. Znajdziemy się w rękach Shamiego. I tak jak mówiłem - proszę się nie zgrywać na żadnych bohaterów.

Kilka chwil później pogrążyliśmy się w zgiełku Chan al-Chalili. Kafejka „Fishawi” nie znajdowała się daleko, ale wiedziałem, że gdybym chciał tam trafić drugi raz, z pewnością by mi się to nie udało. Szef policji w swojej pasiastej galabii i turbanie doskonale wmieszał się w tłum kawiarnianych bywalców.

Staliśmy z Robertem dość beztrosko w pobliżu niego, popychani i poszturchiwani, przyglądając się miedzianym i mosiężnym naczyniom. Już po kilku sekundach właściciel straganu chciał, żebyśmy wyznaczyci ceny, za jakie jesteśmy skłonni kupić towar, nie chcąc więc niepotrzebnie zwracać na siebie uwagi, Robert wdał się w długi i skomplikowany targ. Udawałem, że

im się przyglądam, ale przez cały czas nie spuszczałem wzroku z Shamiego, który siedział kilka stolików od szefa policji.

Przez wiszące obłoki dymu i pary mogłem widzieć puste twarze Egipcjan spokojnie pociągających nargile - podnieceni handlarze tymczasem zachwalali mętną miętową herbatę i kawę po turecku. „Fishawi” była bardzo dziwnym miejscem. Wprawdzie brudna i nieco zdewastowana, ale miała jedyny w swoim rodzaju urok sepii - zniszczone stoliki wychodziły daleko w alejkę - kelnerzy pędzili w tę i z powrotem z nargilami oraz tacami.

Robert zakupił miedzianą tacę.

Zaskoczony patrzyłem, jak Shami zdejmuje buty i wręcza je czyścibutowi. Policjant zamówił nargilę, Robert zaś nabył dzbanek. Czas włókł się niemiłosiernie.

Wreszcie szef policji odstawił nargilę i podszedł do nas. Udawał, że przygląda się mosiężnym dzbankom, i pod tym pretekstem szepnął nam, że jego zdaniem albo Shami kłamał, albo on został rozpoznany.

Serce we mnie zamarło. Przesunąłem się, przepuszczając kobietę z niemowlęciem. Jednocześnie włożyłem ręce do kieszeni, aby dla wyładowania się nie walnąć pięścią w cokolwiek.

Nagle poczułem mocne kopnięcie w lewą nogę i Robert teraz już tak obładowany zakupami, że z trudem się poruszał -skinął głową w kierunku Shamiego. Obok niego stała kobieta, która właśnie przed chwilą nas mijiała - coś mu mówiła pospiesznie. Shami słuchał, głaszcząc dziecko po głowie.

Kobieta skończyła, zawinęła niemowlę z powrotem w kocyk i ruszyła dalej. Shami wstał.

Chciałem podążyć w jego kierunku, ale policjant mnie powstrzymał.
- Proszę zaczekać - syknął.

Shami wraz z kobietą zniknęli za rogiem, a my ruszyliśmy w kierunku „Fishawi”. Gdy minęliśmy róg budynku, dostrzegłem kobietę przeciskającą się zdecydowanie przez tłum. Za nią podążał Shami. Idąc jego śladem, mijaliśmy labirynt przejść, stragany z dywanami, biżuterią... Sklepikarze próbowali zastę-

pować mi drogę, podsuwając pod nos swoje towary. Przez tłum z rykiem silników przejeżdżali motocykliści, ale ja ani na chwilę nie spuszczałem wzroku z kobiety podążającej przodem. Nagle ktoś krzyknął, usłyszeliśmy huk rozpadającego się straganu -motocykl wjechał w wystawę sklepową.

Podniosłem głowę i w tym momencie kobieta przede mną zniknęła. Zacząłem biec, przedzierając się przez tłum, który bezlitośnie rozpychałem na boki. Rozglądałem się na lewo i prawo lustrując uliczki. Nagle chwycił mnie za ramię pewien straganiarz, pokazując, że mu coś zniszczyłem, ale najzwyczajniej go odtrąciłem i popędziłem dalej. Mijałem morze twarzy zdziwionych moim przedzieraniem się przez tłum. Dojrzałem wreszcie kobietę z niemowlęciem, Shamiego jednak nie było. Stała na rogu, patrząc w prawo. Przebijałem się w jej kierunku. Gdy mnie zobaczyła, pobięła naprzód. Puściłem ją przed sobą i znalazłem się w ciemnym pasażu. Był

zapełniony owcami, jednak w drugim końcu dostrzegłem kościstą postać Shamiego, który zniknął w jakichś drzwiach.

Zwierzęta tłoczyły mi się pod nogami, tworząc żywy mur zawieszonych ciał. Chwytałem je i odrzucałem jedno na drugie, próbując się przez nie przecisnąć. Nigdzie ani śladu szefa policji czy Roberta.

Drzwi prowadziły do następnego mrocznego pasażu. Omal się nie cofnąłem, kiedy w nozdrza uderzył

mnie panujący tam kwaskowaty odór. Ściany porastała pleśń, a na podłodze pokrytej obskurnym linoleum walały się odchody. Wyteżyłem wzrok, żeby dostrzec coś w mroku. Kilka metrów dalej po prawej stronie znajdowały się schody. Ruszyłem w górę pó dwa stopnie - na końcu korytarza dostrzegłem światło dzienne. Poszedłem w jego kierunku, a gdy wydostałem się na świeże powietrze, znalazłem się wśród labiryntu klatek schodowych bez dachów. Skręciłem w najbliższą i poczułem, że nogą trafiłem na coś dużego i miękkiego. Spojrzałem na zakrwawioną twarz. Shami

jęknął. Schyliłem się, by mu pomóc i w tym momencie czyjaś stopa rąbnęła mnie w bok głowy.

Potem zaczęła się jatka. Upadłem na Shamiego, a z nosa i ust tryskała mi krew. Napastnicy przeskakując po moim ciele popędzili drogą, którą ja przybiegłem. Z trudem się podniosłem i ruszyłem za nimi po schodach. Padł jakiś strzał, wycofałem się więc z powrotem w mrok. Po chwili usłyszałem tupot nóg oraz wrzaski, a następnie kolejne strzały, i wybiegłem na ulicę. Zewsząd nadbiegali policjanci, gdy tymczasem napastnicy - a było ich czterech - rozpierzchli się we wszystkich kierunkach. Dostrzegłem, że jeden zniknął w wijącej się uliczce, ruszyłem więc za nim. Na końcu uliczki wpadliśmy w sam środek targowiska. Stałem, żeby się rozejrzeć. Ktoś

krzyknął i z tłumu wyjechał nagle czarny Peugeot.

Gwałtownie, z szybkością błyskawicy, wysadziłem kierowcę taksówki z jego miejsca. Kiedy zapalałem silnik, otworzyły się drzwi pasażera - wsiadł do mnie Shami z twarzą pokiereszowaną i nadal krwawiącą.

- Jechać, panie Belmayne! - krzyknął.

Ruszyłem w tłum samochodów. Shami wrzeszczał przez okno na ludzi, by ustępowali z drogi. Obok migały meczety i kopuły. Słyszałem z tyłu wycie syren samochodów policyjnych, a przede mną czarny Peugeot mknął ulicami, aż wreszcie z piskiem opon wjechał na drogę wiodącą ku piramidom.

Skręciłem za nim, ale zaraz musiałem przycisnąć hamulec, żeby ominąć kroczące powoli wielbłądy, które otoczyły Peugeota. Wychyliłem się samochodu, a wtedy nagle się rozstąpiły i Peugeot popędził

przed siebie. Znowu pochyliłem się nad kierownicą, naciskałem dłonią na klakson, wrzeszcząc na poganiaczy wielbłądów, żeby zeszli z drogi. Zza zakrętu wyjechały samochody policyjne. Udało im się ominąć całe zbiegowisko i na pełnym gazie pognały w kierunku piramid, śladem Peugeota.

Kiedy zdołałem ruszyć dalej, pościg zniknął mi z oczu.

Przejechałem jakieś dwie mile, a droga ciągnęła się bez końca przez wiele, wiele mil. Wiedziałem, że moja pogoń mija się już z celem. Zawróciłem i wolno ruszyłem z powrotem. Nagle z tyłu podjechał do mnie na pełnym gazie samochód policyjny, a gdy zamachałem, zahamował z piskiem opon. Szef policji wygramolił się z tylnego siedzenia.

- Mamy go! Proszę zawrócić i jechać za nami. Gdyby się pan zgubił, Shami wie, gdzie jest ulica Aleksandryjska. - A ty, Shami... - powiedział coś po arabsku i wrócił do samochodu.

Kilka minut później zatrzymaliśmy się przed wspaniałą willą. Brama była zamknięta, ale z samochodu szefa wysiadł policjant i przez chwilę rozmawiał przez domofon. Potem dołączył do niego sam szef, coś posłuchał i wróciwszy do samochodu, otworzył tylne drzwi. Robert wysiadł i obaj podeszli do mnie.

- Pasza jest w tym domu - rzekł szef policji. - Ghce rozmawiać z panem. Zgodziłem się zaczekać na zewnątrz, ale do środka wejdzie z panem pan Lyttleton. Mam wrażenie, że teraz wie pan już, iż Pasza jest człowiekiem niebezpiecznym. Proszę tylko go słuchać i nie zrobić żadnego głupstwa.

Skinąłem głową, gdy tymczasem szef policji udał się do domofonu. Kilka

sekund później brama willi powoli się rozsunęła. Kiedy wjeżdżałem, zobaczyłem, że szef policji oraz dwóch policjantów wkrada się na teren za moim samochodem i znika w krzakach ogrodu.

Robert ruszył za mną do drzwi. Niezbyt pewnie nacisnąłem klamkę, ale ku mojemu zdziwieniu drzwi się otworzyły. Hol wejściowy, wyłożony skórami tygrysa oraz ozdobiony połączanymi lustrami, był pusty. Odwróciłem się do Roberta, gdy nagle podwójne drzwi na końcu korytarza się otwały.

- Panie Belmayne.

Pierwszą rzeczą, jaką dostrzegłem u Paszy, był wręcz zniewalający uśmiech. Drugą - wzrost. Jego czoło kryło się za framugą drzwi, ale oczy spoglądały w moje, kiedy uniósł obwieszoną złotem rękę. Długim palcem, przypominającym szpony, ocierał usta. Miał ruchy wręcz kobiece, lecz z każdego jego gestu emanowała groźba - stanowiło to złowieszcze połączenie, które przyprawiało mnie o dreszcz zgrozy.

- Nie będziemy marnować słów, panie Belmayne - wycedził. - Jeśli chce pan uwolnić córkę, proszę natychmiast zażądać od policji, aby opuściła teren mojej posiadłości.

Nagle straciłem panowanie nad sobą i rzuciłem się na niego, chwytając za gardło.

- Powiedz, gdzie ona jest, bo inaczej cię zabiję. Zapiszczał jak królik, wyrzucając kończyny we wszystkich kierunkach.

- Puść go!

Odwróciłem się i zobaczyłem kobietę stojącą u dołu schodów. Trzymała pistolet wycelowany w Roberta. Włosy i część twarzy zasłaniała jej ozdobiona błyskotkami chusta, oczy miało mocno uczernione. Wyczułem raczej niż dostrzegłem jej triumfalny uśmiech. ,

Puściłem Paszę. Wyciągnął rękę po pistolet, a następnie mimochodem obejrzał mnie i Roberta.

- Wygląda na to, Christine, że jeszcze nie rozwiązali mojej zagadki - rzekł. - A zatem to dziecko jest paszportem, który umożliwi nam wyjazd.

Christine spojrzała na niego pełnym nieomal hipnotycznego uwielbienia wzrokiem. Pasza skinął na nas głową, abyśmy weszli za nim do pokoju. Wymieniliśmy z Robertem szybkie spojrzenia, ale nie mogliśmy za wiele zrobić z wycelowaną w nas bronią.

Krzyk usłyszałem nagle, kiedy znalazłem się w pokoju. Drzwi frontowe

się otwarły i w pomieszczeniu niespodziewanie zaroilo się od policjantów. Prawie jednocześnie padły dwa strzały.

Odwróciłem się — wzrok Paszy zdawał się wbijać

w moje oczy. Zanim upadł, dostrzegłem w jego spojrzeniu tyle zła, ile nie widziałem przez całe swoje życie. Christine krzyknęła, podbiegła w jego stronę i zanim ktokolwiek z nas się ruszył, chwyciła pistolet, który wycelowała we mnie.

- To wszystko przez ciebie! - wyrzuciła. - To wszystko twoja wina i tej twojej dziwki. Zabiłeś mego brata, a teraz zabiłeś mego męża! - I zanim ktokolwiek zdołał ją powstrzymać, nacisnęła spust.

Kula przeszła mi ramię. Policja pojmała Christine dosłownie w ciągu kilku sekund. Robert podtrzymywał mnie, żebym nie upadł. Ale chwilę później straciłem przytomność.

Noc spędziłem w ambasadzie, otumaniony środkami znieczulającymi, z ręką na temblaku.

Następnego ranka Robert zajrzał dowiedzieć się o moje samopoczucie. Pielęgniarka, zmierzwszy mi temperaturę i obejrawszy ranę, oświadczyła, że mój stan jest na tyle dobry, iż mogę opuścić pokój. W

drodze do gabinetu ambasadora opowiedział mi o wszystkim, co się jeszcze wydarzyło tej nocy.

Pasza żył. Podczas gdy Robert przetransportował mnie do lekarza przy ambasadzie, gdzie nie byłbym narażony na nagabywania dziennikarzy, Paszę odwieziono pod policyjną eskortą do szpitala.

- A co z Christine?

- Ją zatrzymano w El Knater - więzieniu dla kobiet. Przystanął, aby kogoś przepuścić, a potem nie ruszył się, jakby nie zamierzał iść dalej. -

Przypuszczam, że nie wiesz, iż została żoną Paszy.

- Nie - pokręciłem głową. - Ale wydaje mi się, że to właśnie miał na myśli jej brat mówiąc że Pasza ma na nią jakiś szczególny wpływ. Jeszcze zaczniesz żałować tego małżeństwa.

- Dlaczego tak mówisz? — spytał, kiedy ruszyliśmy dalej.

- Przecież chyba zgodnie z prawem islamu kobieta jest własnością męża, prawda? Zakładam, że Pasza to muzułmanin. - Robert skinął głową. - Tym samym będzie musiała odpowiadać przed surowym prawem egipskim. Jeśli wziąć pod uwagę morderstwo strażnika, fałszerstwo maski, nielegalny import i eksport, porwanie i Bóg jeden wie co jeszcze,

może jej nawet grozić kara śmierci. - Przed zadaniem następnego pytania starałem się jakoś uzbroić, mimo że i tak znałem odpowiedź. -Czy ktoś wie, gdzie jest Charlotta? Robert pokręcił głową.

- Nie było jej w willi - policja dokładnie przeszukała cały dom. Ale mam też i dobrą wiadomość -

wezwano jakiegoś mądrałą z Muzeum Kairskiego, któremu wydaje się, że zdołał rozwiązać zagadkę.

Doszliśmy już do gabinetu ambasadora. Czekał na nas sam ambasador oraz szef policji oraz profesor.

Ten ostatni siedział przy stole pod oknem, otoczony bibliami i książkami historycznymi.

- Musieliśmy zacząć myśleć zupełnie inaczej - rzekł szef policji już po prezentacji. - Dokonał tego obecny tutaj mój przyjaciel i teraz, po długim procesie eliminacji, mamy już odpowiedź. -Profesor siedział obok, uśmiechając się dobrodziejnie, podczas gdy szef policji wyjaśniał, w jaki sposób udało mu się dojść do rozwiązania zagadki. Było to jak wszystko, co mnie dotychczas spotkało w Egipcie — dziwaczne i zupełnie niespotykane.

- Wykorzystaliśmy hieroglify - wyjaśnił profesor, tak jakby hieroglify mogły posłużyć do rozwiązania każdej starej tajemnicy. - Zaczęliśmy od laski. Pamięta pan, że Laska Mojżesza przemieniła się w węża. W ten sposób Bóg ukazał, że Mojżesz ma w sobie Jego moc. Proszę - podał mi kawałek papieru.

-Oto hieroglif w kształcie węża. Widzi pan?

Wraz z Robertem i ambasadorem wpatrywaliśmy się w zawijasy, które jedynie w dużym przybliżeniu przypominały węża. Profesor tylko wzruszył ramionami na nasz brak wyraźnego zachwyty.

- Potem zaczęliśmy się zastanawiać, jak wyglądała plaga i jak zginęły dzieci pierworodne. Nawiedził

je Anioł Śmierci, prawda? Lecący jak ptak nocą nad Egiptem. A jaki ptak lata nocą? Sowa. A tak wygląda hieratyczny zapis słowa „sowi”. Widzi pan?

Ponownie wskazał na kartkę papieru. Było na niej nagryzmołone coś, co przypominało trójkę.

- To jest znak na sowę. Proszę, a jeśli zestawimy znak sowy i węża razem, otrzymamy coś takiego.

Czekał, aż przekazemy sobie z rąk do rąk efekty jego wysiłków, a potem, odbierając kartkę z powrotem od Roberta, ciągnął wyjaśnienia.

- To jest znak wypisany nad wejściem do El Khalifa -Miasta Zmarłych - rzekł z trudem opanowując podniecenie. To są drzwi do domu matki Paszy. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że tam przebywa pańska córka. A zatem, jeśli jest pan gotów, jedziemy.

Byłem tak zaskoczony oczywistą logiką tego, co usłyszałem, że pozostało mi tylko się uśmiechnąć głupkowato.

Podróż na południowo-wschodni kraniec miasta trwała długo i w zasadzie niewiele z niej pamiętam, gdyż przez cały czas modliłem się, żeby pewność szefa policji okazała się zasadna. Kiedy wjechaliśmy do Miasta Umarłych, Robert podciągnął szyby z obawy przed smrodem. Pozostaliśmy w samochodzie szefa policji wraz z ambasadorem, podczas gdy on w otoczeniu swoich ludzi zagłębił się w makabryczne cmentarzysko.

Szokowały nowiusieńkie Mercedesy, Jaguary oraz, co wręcz niesamowite - Rolls-Roycey. Robert wyjaśnił mi, że mieszkający tu ludzie, nawet jeśli się wzbogacą, wolą mieszkać tam, gdzie się przyzwyczaili, pośród starych grobów i w sąsiedztwie zmarłych. Jeżeli wcześniej nie straciłem nadziei na to, że kiedykolwiek zrozumie Egipcjan, to traciłem ją właśnie w tym momencie.

Czekaliśmy już od dziesięciu minut, a może trochę mniej, kiedy dobiegł nas przerażający głos muezina rozlegający się z odległych minaretów. Przygarbione i zakryte postacie przechodziły obok, powłócząc nogami, rzucając nam ukradkowe spojrzenia. Kilka minut później nadszedł wielkimi krokami szef policji. Za nim starsza pani, wyjąc głośno, była eskortowana przez dwóch policjantów.

Wcisnęli ją do samochodu, a szef wrócił do swojego. Nigdzie ani śladu Charlotty.

- Nie ma jej - rzekł. — Zabrali ją dzisiaj rano.

- Ale kto? O kim pan mówi? - spytałem, starając się nie okazywać rozpaczy.

Szef skinął w kierunku kierowcy, a następnie odwrócił się do nas.

- Bardzo mi przykro, panie Belmayne, ale nie potrafię na to odpowiedzieć. Wiem tylko tyle, że kiedy ją zabierali, żyła. Moi policjanci wiozą teraz matkę Paszy na przesłuchanie, lecz wydaje mi się, że ona naprawdę nie zna ludzi, którzy przyszli zabrać pańską córkę.

Zapadłem się w fotelu, właściwie nie wiedząc, czy potrafiłbym jeszcze cokolwiek znieść. Nikt nas nie wypowiedział ani słowa w drodze powrotnej do ambasady. Żaden z nas nie chciał przyznać, że być może wróciliśmy do

punktu wyjścia.

- Ach, panie ambasadorze, panie Belmayne - rzekł Shami, szczerząc zęby w uśmiechu, kiedy weszliśmy do gabinetu ambasadora. - Sekretarka powiedziec, że ja zaczekać na pana. Pan znaleźć córkę, nie?

- Nie!

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Pan jej nie znaleźć? Ale czy moja... - Podrzucił ramiona w rozpacz. - On znowu pić - rzekł

tajemniczo. - Pan pójść ze mną, panie Belmayne, ja pana zaprowadzić do pańska córka. Bardzo śliczna, bardzo piękna dziewczyna, pańska córka. Ja pana zabrać teraz. Ona na pana czekać.

- Czy chce pan powiedziec, że pan wie, gdzie ona jest?

- Jasne. Ona być z mój brat. Ja ją zabrać z El Khalifa dziś rano. Jej się tam nie podobać. Chodź, ona czekać.

Czułem, że całe moje ciało przeszywa podejrzenie, które przemienia się w pewność.

- Czy przez cały czas wiedziałeś, gdzie ona jest? Shami pokiwał radośnie głową.

- Jasne, panie Belmayne. Shami wiedziec wszystko. Rzuciłem się na niego, ale powstrzymali mnie Robert oraz ambasador.

- Jeśli wiedziałeś, to dlaczego pozwoliłeś, żebyśmy przechodzili przez całą tę gehennę? - wrzasnałem.

Shami wzruszył ramionami.

- Jak powiedziec, to nie dostać pieniędzy, panie Belmayne. A tak jak inni, Shami potrzebować pieniędzy. Wyszczrzył zęby. - A pościg aaah, ona była świetna, co?

Przez chwilę odebrało mi mowę i mogłem się jedynie na niego gapić. Kiedy moja córka przechodziła przez nie wiadomo jakie piekło z nie wiadomo jakimi ludźmi, ten człowiek myślał tylko o swoich pieniądzech oraz o tym, jaka to wszystko jest fajna rozrywka. Przeszł z nogi na nogę i uśmiechając się przymilnie spoglądał to na mnie, to na Roberta. Wtedy szef policji wyprowadził go z pokoju, zanim na powrót się opanuję.

Elżbieta

Rozdział 31

Kiedy Aleksander wrócił z Charlottą do Anglii, minęło dokładnie szesnaście dni mojego pobytu w więzieniu Holloway, choć wydawało mi się, że były to całe wieki. Przyszedł do mnie tego dnia Henry, aby mi powiedzieć, że Aleksander zabrał Charlotte prosto do szpitala. Jakże trudno wyjaśnić innym poczucie własnej bezradności.

Dzień po przylocie Aleksander przyszedł się ze mną zobaczyć wraz z Oscarem Renfrew. Kiedy prowadzono mnie do sali widzeń, miałam serce w gardle - niedobrze mi się zrobiło na myśl o upokorzeniu, jakim było pokazywanie mu się w takim

stanie. Gdy przyszedł pierwszy raz, dzień przed wyjazdem do Kairu, byłam zbyt oszołomiona, żeby rozsądnie myśleć. Ale teraz, kiedy szłam bezgłośnie korytarzem, unikając wzroku strażniczek mijanych po drodze, aż nazbyt dokładnie zdawałam sobie sprawę z tego, jakim piekłem stało się moje życie. Dowiedziawszy się, że przychodzi, przeschotkowałam włosy, wiedziałam jednak, że nie uda mi się ukryć ciemnych obwódok pod oczyma ani bladości cery. Spośród trzech strojów, które mi pozwolono zabrać do więzienia, wzięłam także czarny kostium Chanel, który chciałam wkładać na widzenia, ale już go nie miałam. Moja współwięźniarka, oburzona takim ostentacyjnym manifestowaniem bogactwa, podarła go na kawałki, które wykorzystywałyśmy jako ściereczki do czyszczenia celi. Więźniarki prawie w ogóle się do mnie nie odzywały, a jeśli już, to parskały na mnie, syczały albo gwizdały. Byłam tym przerażona. W czasie posiłków stałam, ponieważ nie pozwalały mi usiąść. Jadłam bardzo niewiele, bo albo pluły mi do jedzenia, albo wytręcały tacę z ręki. Przeważnie się nie myłam, gdyż bałam się iść do łazienki. I dopiero po tym, jak Izabela, współwięźniarka z celi, postanowiła się ze mną zaprzyjaźnić, wypowiedziałam więcej słów do kogokolwiek. Nie wiem, jak bym bez niej przetrwała. Po wielu dniach milczącego obserwowania tego, jak mnie traktowano, postanowiła chronić moją osobę przed nieustannymi atakami, także seksualnymi, i wykorzystwała swoje znajomości, by mi załatwić pracę wraz z nią w bibliotece. Tylko ona dawała mi wytchnienie w tym koszmarze.

Tuż za salą widzeń strażniczka zatrzymała się i otworzyła drzwi. Na podłodze leżał brązowy dywan, ściany były gołe. Pośrodku stał stół. Kiedy weszłam, zamknęła za mną drzwi. Kilka chwil później usłyszałam kroki, potem drzwi się otworzyły i wszedł Aleksander. Obiecowałam sobie, że będę silna i nie dam po sobie poznać, jak mi jest okropnie, ale gdy zobaczyłam

jego oczy, straciłam panowanie nad sobą. Nigdy nie widziałam męskiej twarzy tak przepełnionej miłością i niepokojem.

Objął mnie ramieniem i z twarzą zanurzoną w moich włosach prosił, bym się uspokoiła. Oscar skinął

głową w kierunku strażniczki i ta zostawiła nas samych. Minęła dłuższa chwila, zanim udało mi się opanować. Podczas pobytu Aleksandra i Charlotty w Kairze Henry informował mnie na bieżąco, co się dzieje, jednak teraz, kiedy już wiedziałam, że wrócili do domu cali i zdrowi, przerażenie, które próbowałam w sobie stłumić, znalazło upust. Aleksander milczał, a ja mu robiłam wymówki, że wbrew moim prośbom wyjechał, a przecież ostrzegałam go przed ludźmi, z jakimi miał mieć do czynienia. Twierdziłam, że jest nieodpowiedzialnym egoistą, głupcem, a nawet nakrzyczałam na niego z powodu rany ramienia. Wreszcie chwycił mnie i odwrócił do siebie.

- Jak dobrze cię widzieć! - rzekł.

Wtedy mnie posadził, a sam oparł się na stole. Zaczął się śmiać i opowiadać mi, jak to Jonathan był

zielony z zazdrości, że i on nie został porwany, i nie mógł się doczekać, kiedy Charlotta wróci ze szpitala, aby się od niej dowiedzieć wszystkich krwawych szczegółów.

- Nic się nie martw - uśmiechnął się, gdy zobaczył moje przerażenie. - Ojciec zabierze Jonathana na wieś dziś po południu, Charlotta będzie więc miała spokój. Zajmie się nią Caroline, Kanarek, no i oczywiście ja.

Odwróciłam głowę. Poczułam w sercu tępy ból - teraz będą razem - Aleksander, Charlotta, Jonathan, a ja tymczasem...

Musiał wyczuć, co mnie gryzie, ponieważ wysunął rękę z temblaka i przytulił mnie.

- Wyciągniemy cię stąd, kochanie - obiecał. - Wiem, że to nie będzie łatwe, ale proszę cię, postaraj się zdobyć na cierpliwość.

Wyczułam jednak w porozumiewawczym spojrzeniu, jakie wymienili z Oscarem, że coś go niepokoi. Przyznał, że tak, kiedy go spytałam. Chodziło o sposób, w jaki Egipcjanie przesłuchiwali Christine. Chociaż nie wiedział dokładnie, co im się udało z niej wyciągnąć, zdawał sobie sprawę z tego, że gdy dojdzie do apelacji, oskarżenie będzie kłaść duży nacisk na egipskie metody i może im się nawet udać unieważnić zeznania.

Nasza jedyna nadzieja w tym, że będzie mogła być na rozprawie - rzekł Oscar - ale i tak nie ma pewności, czy się przyzna do popełnienia zbrodni.

Jednak udało się ją sprowadzić. Wywierając maksymalną presję

ambasador brytyjski w Kairze oraz ojciec Aleksandra zdołali przetransportować Christine pod strażą do sądu. Dopiero później dowiedziałam się, że gdyby jej nie było, nie odbyłaby się rozprawa apelacyjna.

Nie widziałyśmy się prawie dziewięć miesięcy, z czego cztery spędziła w egipskim więzieniu. Miała teraz czterdzieści trzy lata, lecz wyglądała na sześćdziesiąt. Włosy, a właściwie ta resztką, która jej została, oblepiały czaszkę, a kiedy podnosiła wzrok znad kościstych dłoni i z trudem przenosiła ciężar ciała z jednej nogi na drugą, dostrzegałam w jej oczach dziwną bladość. Jej małe usta o pełnych wargach teraz rozciągnęły się w ostrych równoległych liniach, wyrażających rozgoryczenie. Trzymała się prosto, ale można było dostrzec, iż pod brązową serżą, w której nieomal tonęła, jej wychudzone ciało jest wyczerpane.

Wręcz przerażona przyglądałam się, jak składa przysięgę, gdy mnie tymczasem, widząc ją w tym stanie nieomal dusiło poczucie żalu i współczucia. A potem, kiedy rozejrzała się po sali sądowej, triumfalny błysk rozświecił jej pośółkłe oczy, i wiedziałam, że nadeszła pora wyrównania naszych porachunków.

- Nie mam wątpliwości - rzekła - że do końca tego roku

już nie będę żyła. Przestępstwa, jakie z mężem popełniliśmy w Egipcie, wystarczyłyby na dwa wyroki śmierci. Przyjmę je z radością. Ja już nie mam po co żyć - moim życiem był mój mąż i mój brat. Nie żywię najmniejszych złudzeń co do tego, że mną manipulowali, że byłam zaledwie pionkiem w ich niebezpiecznej grze, że byłam wykorzystana jedynie do wymiany przysług, jakie sobie wzajemnie świadczyli, ale to jest bez znaczenia. Miałam to, czego chciałam. Miałam Salaha - Paszę. Ożenił się ze mną, ponieważ mój brat tego od niego zażądał. Wiem, że nigdy mnie nie kochał ani nie pokocha, ale potrafię się z tym pogodzić. Wystarczyło mi, że zostałam jego żoną. Miał w ręku ogromną władzę -

potrafił być bezwzględny tyranem, złośliwym, przekupnym i okrutnym człowiekiem, ale mnie zawsze traktował z delikatnością. Opowiadałam to wszystko, abyście zrozumieli, dlaczego zrobiłam to, co zrobiłam dla mojego brata. Ja wiedziałam, co to znaczy kochać kogoś, kto kocha innego mężczyznę. Mój brat żył w takim piekle przez ponad dwanaście lat. Codziennie przeżywał męczarnie - był z nią, lecz ona go nie kochała. To spowodowało, że postradał zmysły, a nawet go to zabiło. Salah także kochał

mężczyznę, ale to ja będę z nim do końca, i to w taki sposób, w jaki żona mego brata nigdy ze swoim mężem nie była.

Kiedy ciągnęła opowieść, próbując wyjaśnić swą ślełą miłość do Paszy, zdawać by się mogło, że uczucia te odżywiają w niej na nowo. O ślubie Christine dowiedziałam się dopiero od Aleksandra i teraz wraz ze wszystkimi na sali sądowej siedziałam zauroczona jej relacją o namiętności i nie odwzajemnionej miłości do Salaha, którą od czasu do czasu porównywała z uczuciem Edwarda do mnie.

- Może teraz zrozumiecie, dlaczego podpaliłam magazyn w Bridlington, zamierzając zabić żonę mego brata - rzekła w końcu, spuszczaając wzrok. Poczułam, jak moje ciało nagle sztywnieje, a wszystko dokoła zaczyna wirować. - Nienawidzi-

łam jej, bo sprowadziła do naszego domu bękart - bękart, którego miała z tym facetem - wskazała drżącą ręką na Aleksandra, chociaż przy tych słowach nie podniosła głosu - a mój brat potraktował to dziecko jak swoje. Dawał im obu, czego tylko zapragnęły. I jak mu się za to odwdzięczyła? Znowu uciekła ze swoim kochankiem i usiłowała podrzucić mojemu bratu drugiego bękart. A on, nawet po tym, jak go okłamała i oszukała, wybaczył jej, bo ją kochał. I jeszcze adoptował jej dzieci Na ich rzecz zmienił testament. I przez ten cały czas to ja rozniecałam w nim ambicję, która mogłaby go uratować przed ostateczną sromotą jej niewierności. Potrzeba zdobycia maski płonęła w nim z całą mocą, taką samą jak jego miłość. Gdyby nie mógł jej mieć, nie miałby już nic. A kiedy ja mu pomagałam, ona wlała z powrotem do łóżka swego kochanka. Tym razem mój brat, jak się o tym dowiedział... to go zabiło. Moja bratowa zasłużyła na śmierć i zginęłaby, gdyby Daniel Davison nie uratował jej życia. -

Na krótką chwilę jej oczy spoczęły na mnie, zanim znowu odwróciła wzrok. - Gdybym to ja mogła o tym decydować, nie poszłaby do więzienia, tylko smażyła się w piekle. - Ponownie urwała i złowieszczy uśmiech wypłynął jej na usta. - Ale mój brat ją kochał. Wybaczyłby jej wszystko i właśnie dlatego jestem gotowa uwolnić ją z ciężącego na niej wyroku - jest niewinna.

Wbiłam dłoń w balustradę znajdującą się przede mną i wtedy odwróciwszy się, utkwiała wzrok we mnie. Teraz jej uśmiech miał w sobie coś tak złowieszczego, że aż zamarłam z przerażenia. Dlaczego zdecydowała się to zrobić? Dlaczego, skoro tak bardzo mnie nienawidziła, przyczyniała się do mego uwolnienia? Cała drżałam, kiedy ona wysyczała odpowiedź na moje

wszelkie wątpliwości.

- Żyj teraz z poczuciem winy!

Nadal nie spuszczała ze mnie wzroku, gdy ledwo słyszalny śmiech wydobył się z jej ust. Wygrała!

Po moim uwolnieniu, wraz z upływem kolejnych tygodni, coraz rzadziej widywałam Aleksandra. Nie mogłam teraz na niego patrzeć i kochać go, nie mając przed oczyma twarzy Christine z sali sądowej.

Próbowałam wszelkich możliwych sposobów, abym się pozbierała, ale im bardziej krzyczał czy perswadował, tym mocniej ja się zamykałam w sobie.

A potem, w dniu, w którym Christine miała umrzeć -14 września - dotarł do mnie posłaniec z przesyłką. Nawet dzisiaj, z perspektywy czasu, trudno mi nazwać uczucia, jakie mną targają, kiedy otworzyłam kopertę. Nie zawierała żadnego wyjaśnienia, kto wydarł i wysłał mi kartkę z dziennika Christine. Przyszło mi nawet do głowy, że zrobiła to ona sama. Wpis pochodził z 12 września. Kiedy go czytałam, wyobraziłam sobie, co musiała odczuwać nie tylko podczas ostatnich swoich godzin, ale od momentu, gdy pojawiłam się w jej życiu.

Już w chwili, kiedy wkroczyła w moje życie, nie miałam najmniejszych wątpliwości, że pewnego dnia będę ją musiała zabić. Możliwe, że była to tylko wizja przyszłości, choć nie pamiętam konkretnych obrazów ani nawet wyrazistości ognia, który miał zniszczyć tak wiele. Odczuwałam jedynie nieodpartą potrzebę chronienia siebie oraz tego wszystkiego, co do mnie należało.

Elżbieta Sorrill Była obdarzona taką urodą, o jakiej ja mogłam tylko marzyć - moim braciom przyniosła radość, choć sama przez cały czas hołubiła ból po miłości, którą straciła i której się nigdy nie wyrzekła.

A jakie prawo miała do tej miłości? Ja jestem kobietą i ja zaznałam miłości I zaznałam bólu straty. Czy przeżyłam swe życie w taki sposób, by inni z tego powodu cierpieli?

Jednak teraz wiem, że nie doświadczyłam takiej miłości, jaka związała Elżbietę i Aleksandra. To miłość, która nie tylko wznio-

sla most nad przepaścią różnicy klas, ale przetrwała lata rozłąki, ból odrzucenia oraz najbardziej niszczycielskie uczucie - poczucie winy. Czy zazdrozczę jej tej miłości? Nie, współczuję jej. Miłość tak głęboka, tak silna, wymaga odpowiedniej ceny. To ja miałam być dłużnikiem i niczego nie żałuję.

Dlaczego ona ma mieć wszystko? Jak można porównać jej cierpienie do mojego? Mój brat otworzył

przed nią świat - to był także mój świat - a ja kłamałam, oszukiwałam i mordowałam, aby go odzyskać.

Jednak przez cały ten czas moim wrogiem - moim niewidzialnym wrogiem - nie była Elżbieta, nie był

Aleksander, ale miłość, jaka ich łączyła.

Dlaczego ich miłość była tak niezniszczalna?

Teraz opieram głowę o ścianę. Przede mną rozciąga się tylko ciemność, moje nozdrza wyczuwają jedynie gnilny smród otoczenia. A wśród niewielu wręcz niedosłyszalnych odgłosów słyszę swój śmiech. Śmieję się i śmieję. Ironia polega na tym, że jeśli ktokolwiek może mi odpowiedzieć na to ostatnie pytanie, to wtedy tutaj, na samym końcu, będzie mógł mi wręczyć klucz do życia.

I z tego wynika, że to oni dzierżą klucz - oni, to znaczy Elżbieta i Aleksander.

Gdy skończyłam czytać, nic miałam najmniejszych wątpliwości, że sama Christine przysłała mi kartkę ze swego dziennika. Widziałam nieomal jej uśmiech - uśmiech, który mi przesłała w sali sądowej. Dając mi wolność, skazywała na więzienie, z którego nie ma ucieczki - więzienie winy.

Wiedziała, co robi, i to było jej ostatnie przypomnienie, przesłanie, że wraz z jej śmiercią zamykają się przede mną drzwi, a klucz do nich znika na zawsze.

Gdy tak rozpatrywałam smutną historię nas obu, zamykałam się coraz bardziej w sobie, nie będąc w stanie z nikim o tym porozmawiać czy też wziąć na nowo życia w swoje ręce i zacząć od początku.

Niekiedy, z okna na górze, widziałam Aleksandra, jak wychodzi z domu z Charlottą czy Jonathanem.

Zrezygnował z adwokatury i od przyszłego roku miał zacząć pracować jako doradca władz miasta.

Chciał, żebyśmy wszyscy zaczęli od początku. Ale za każdym razem, kiedy go widziałam, przypominali mi się ludzie, którzy przez nas cierpieli. Jeśli dostrzegł mnie, jak wyglądałam z okna, natychmiast opuszczałam zasłonę, nie mogąc mu spojrzeć w oczy. Tęskniłam za nim tak bardzo, że czasami wydawało mi się, iż oszaleję. Ale im bardziej starałam się przestać go kochać, tym głębsza stawała się moja miłość, a więc pragnęłam raczej

umrzeć, niż dalej żyć bez niego. Jednakże moje poczucie winy było wszechobecne, nie pozwalając mi nawet na luksus ostatecznego wyjścia na wolność.

Jessika zatelefonowała w pewne sobotnie popołudnie pod koniec września. Nie spuszczałam wzroku z Kanarka, kiedy mi podawała telefon - już samo imię Jessiki wystarczyło, by moje sumienie się odezwało. Kolejna ofiara - kolejny oskarżyciel. Pytała, czy może przyjść się ze mną zobaczyć.

Odmówiłam, ale ona nalegała.

Przyjechała około czwartej swoim srebrnym Volksvagenem. Serce ścisnęło mi się boleśnie, kiedy zobaczyłam jej samochód. Takim samym jeździła Christine, miał nawet identyczny kolor. Słyszałam, jak Jessika rozmawia w holu z Kanarkiem, potem drzwi się otworzyły, a ja zebrałam się na odwagę, by jej stawić czoło.

Blond włosy Jessiki, gładkie, jedwabiste, błyszcząły w przedpołudniowym słońcu. Miała opaloną twarz. Chociaż już raz ją wcześniej widziałam, teraz wydała mi się znacznie piękniejsza. Jej oczy rozszerzyły się w zadziwieniu, gdy zobaczyła, jaka jestem zaniedbana. - No cóż, przypuszczam, że nie zawsze wygląda pani tak

okropnie - rzekła. - W każdym razie zupełnie inaczej sobie panią wyobrażałam.

Przyglądałam się jej, ale ona tymczasem zaczęła lustrować pokój.

- Czy napije się pani herbaty? - zapytałam.

- Mam wrażenie, że Kanarek - bo tak się chyba ta pani nazywa - właśnie robi herbatę.

Gestem zaprosiłam ją, by spoczęła, a ona zsunąwszy z ramion żakiet zasiadła w fotelu Edwarda, zakładając nogę na nogę - wyglądała na osobę drobną, elegancką i zupełnie rozluźnioną. Najwyraźniej nie spieszyła się z rozpoczęciem rozmowy, a bezceremonialność, z jaką mi się badawczo przyglądała, trochę mnie zaczynała drażnić. I nagle się zaśmiała.

- Jest pani do niego podobna! O Boże! Jest pani do niego po prostu podobna!

Wstałam, kiedy Kanarek weszła do pokoju. Postawiła herbatę na stoliku pomiędzy nami, a potem wyszła.

- Przypuszczam, że nie przyszła pani mi się po prostu przyjrzeć - rzekłam, wręczając Jessice filiżankę.

- Po co zatem musiała się pani ze mną widzieć? - Nie zamierzałam być tak obcesowa, ale od momentu jej telefonu byłam okropnie zdenerwowana.

- Przyszłam tutaj, żeby się przekonać, do czego pani zmierza.
- Do czego zmierzam? - odstawiłam filiżankę, rozlewając herbatę na talerzyk. - Nie wydaje mi się, aby miała pani jakiegokolwiek prawo...

Przerwała mi łagodnym głosem.

- Elżbieto, żyłam z twoim duchem od tylu lat, że nawet nie pamiętam od kiedy. Już choćby dlatego mam prawo.

Patrzyłam na nią, zdając sobie sprawę z narastającej między nami wrogości.

- W porządku, skoro masz prawo, to mów, z czym przychodzisz. Słucham.

Pogrzebała w torebce i wyjęła pudełko papierosów.

- Nic znoszę brukowców, wiesz? Te dranie ze szmatławców już od tygodni naśmiewają się z tego, co my z Rosalindą robimy na Greenham Common, tak po prostu dla picu - nie mają ani sumienia, ani żadnych zasad, nie mówiąc już o współczuciu. Ale przecież nie po raz pierwszy padam ich ofiarą, prawda? Bo właściwie przez cały czas, wraz z Aleksandrem, Edwardem, Christine i tobą przeżywam skutki ich ohydneho artykułiku, gdy postanowili rozbić w drobny mak wasze życie w Foxton. Nic na tym nie zyskali, tyle że chwilowo zdołali oczernić lorda Belmaync'a. Było to tylko kilka linijek sensacji, nie biorących pod uwagę ludzi, których życie w ten sposób ulega zniszczeniu, i zanim człowiek zdąży nawet pomyśleć o „reperkusjach”, ci ludzie już wynajdują sobie następną ofiarę. A więc wszystko zaczęło się od artykułu w szmatławcu. Czy w takim razie zamierzasz siedzieć w swojej sypialni do końca życia, winiąc siebie za wszystko, co się stało? To chyba niezłe uczucie mieć świadomość takiej samej potęgi, jak Bóg Wszechmogący.

- No więc troje ludzi nie żyje i nikt oprócz ciebie nie jest temu winien - rzekła zaśmiawszy się. - Bo tak właśnie uważasz, prawda? Słuchaj, a może oddałabyś mi trochę tej winy? No bo zobacz, gdybym ja nie wyszła za Aleksandra, to ty nigdy nie zostałabyś żoną Edwarda.

Poczułam, jak krew odpływa mi z twarzy. Przez ułamek sekundy zdawało mi się, że widzę oblicze Christine śmiejącej mi się w oczy.

- Jesteś żaloszna - w jej głosie brzmiało szyderstwo. - Ranisz Aleksandra, ranisz siebie, ranisz dzieci - a to wszystko dlatego, że kłamczynie i morderczynie została skazana na śmierć w jakimś dalekim kraju za zbrodnię, które sama popełniła. Czy

słyszysz, co mówię? Ona je popełniła! Nie potrzebowała do tego twojej pomocy! Nie mogłaś jej powstrzymać, nie wiedziałaś' nawet, co zamierza zrobić! Dlaczego teraz wszyscy mają za to cierpieć?

- Jak możesz tak mówić? Czy Aleksander powiedział ci, co Christine zeznała w sądzie? Czy wspominał ci, jak przez te wszystkie lata oszukiwałam Edwarda, kiedy zresztą Aleksander oszukiwał

ciebie?' Jak braliśmy to, co chcemy, nie martwiąc się, że może raniemy innych? Czy mówił ci...

- Aleksander mówił mi wszystko. I owszem, wiedziałam, że mnie zdradza. Zdradzał mnie od dnia naszego ślubu, a nawet jeszcze wcześniej. Wtedy cię kochał i kocha cię teraz. Dlatego tutaj przyszedłam, choć Bóg jeden raczy wiedzieć, co mnie to może obchodzić! Elżbieto, zastanów się, po co przez to wszystko przechodziłaś? Żeby to teraz odrzucić? Weź się w garść! Zachowujesz się...

- Jessiko, Edward i Christine nie żyją! I cokolwiek powiesz...

- Edward zmarł, ponieważ był złodziejem i fałszerzem i się przeliczył, oszukali go ci, których chciał

oszukać. Jego wylew spowodowała ta cholerna maska - wiesz o tym i Christine też o tym dobrze wiedziała. I jak, w związku z tym, możesz tutaj siedzieć, każąc Aleksandrowi, Charlotcie i Jonathanowi płacić za wszystko? Co minęło, już nie wróci, Elżbieto! Musisz o tym zapomnieć i żyć dalej!

Spojrzałam w dół, gdyż guzik od sweterka, który kręciłam, nagle się urwał i poleciał na podłogę.

Jessika też spojrzała, zaśmiała się i wstała, żeby sobie dolać herbaty.

- A zatem skoro załatwiłyśmy sprawę Edwarda i Christine, przejdźmy do ciebie. Jestem przekonana, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, że to powiem, a jeśli tak, tym gorzej dla ciebie - jesteś miękka, Elżbieto. I podszyta tchórzem. Aleksan^ der chyba postradał zmysły, że pozwala ci na te fanaberie.

- Och, gdybyś znała prawdę, gdybyś tylko znała prawdę!

- Elżbieto, nie wiem, czy chcesz w to uwierzyć, ale wiem, jak się czujesz. Chyba nikt nie mógłby przejść przez to, co ty przeszłaś, bez żadnego śladu. Pomyśl jednak o Aleksandrze. Zrezygnował ze swego małżeństwa, odrzucił karierę, potem ryzykował życie - i to wszystko dla ciebie. Czego jeszcze od niego oczekujesz? Szczerze ci powiem - ty mnie za bardzo nie obchodzisz, ale proszę cię, jego już przestań ranić!

Przemówić mogłam dopiero po dłuższej chwili. Byłam zbyt przytłoczona jej niespodziewanym współczuciem, toteż nie mogłam na nią nawet spojrzeć.

- Czy on wie, że tu jesteś? - spytałam.

- Nie. - Odstawiła herbatę, potem wzięła żakiet. - Przyszłam, bo pomyślałam sobie, że powinnaś o tym wiedzieć -wczoraj Aleksander i ja wzięliśmy rozwód.

Patrzyłam, jak idzie do drzwi. Zanim sięgnęła do klamki, odwróciła się i przyglądała mi się przez krótką chwilę.

- Cieszę się, że przyszłam. Nie znałam wprawdzie Edwarda, ale czuję... No cóż, chyba mieliśmy wiele wspólnego, nie uważasz? On miał tę swoją obsesję, jaką było poszukiwanie sensu życia. Obydwoje dźwigaliśmy ten sam krzyż, bo was kochaliśmy. Wszyscy za to zapłaciliśmy, Elżbieto. Nie pozwól, żeby ta ofiara poszła na marne.

Jeszcze długo po tym, jak Jessika wyszła, siedziałam w fotelu, rozpamiętując jej słowa. To prawda -

chyba nie mogła trafić celniej niż wtedy, gdy mnie nazwała tchórzem. Byłam nawet czymś więcej niż tchórzem. Ale teraz wiedziałam, że muszę zrobić to, co powinnam była zrobić już na samym początku.

Muszę powiedzieć Aleksandrowi prawdę, aby wiedział, że nie ma dla nas przyszłości. Muszę mu wyznać, jak w to sobotnie wrześnie popołudnie podpaliłam skład w Bridlington i zabiłam Daniela Davisona...

Nic chciałam go zabić, zamierzałam zabić Christinc. W momencie gdy odwróciłam wzrok od rumowiska w magazynie i spojrzałam w oczy Kamelowi, byłam tylko śmiertelnie przerażona. Zaśmiał się widząc, jak bardzo się boję i zwrócił się do Christinc, która stała za nim.

To ona wymyśliła, żeby spalić wszelkie dowody przeciwko nam, a także Dan. Kamei wysłał mnie po puszkę nafty z samochodu. Wylał jej zawartość na wszystko, co się znajdowało w magazynie, za to ja podłożyłam ogień. W ciągu kilku sekund cały pokój stał w płomieniach. Kamei zaczął uciekać i krzychał, żebyśmy się cofnęły. Christine stała przy drzwiach, nie mogąc oderwać wzroku od płomieni.

A ja nagle postradałam zmysły -wiedziałam tylko tyle, że można skończyć z szantażem, że można położyć kres zagrożeniu dla moich dzieci. Podniosłam ręce i zatrasnęłam drzwi za plecami Christinc Kiedy próbowała ruszyć do przodu, popchnęłam ją ponownie. Wpadła w ogień, ale gdy odwróciłam się, żeby uciekać, udało się jej jakoś wydostać z płomieni i

złapała mnie za stopę, powalając na ziemię.

Walczyłyśmy starając się jedna drugą wrzucić w ogień. Moje włosy się zapaliły - płonęła także jej suknia. Z całych sił starałam się zrzucić leżącą na mnie Christinc W końcu mi się to udało, a ona wrzasnęła, kiedy ponownie ogarnęły ją płomienie. Teraz patrzyłam, ani drgnąwszy, jak próbuje wstać.

Krzyczała. Widziałam w jej oczach przerażenie, jednak się nie ruszyłam.

Potem ktoś mnie odsunął na bok. To Dan rzucił się, by ją wyciągnąć. Krzyknął, żebym mu pomogła, wrzeszczał, wyzywając mnie od suk, ale ja mogłam tylko patrzeć, sparaliżowana tym, co zrobiłam.

Zanim na Dana przewrócił się kredens, udało mu się wyciągnąć Christine, potem jednak nie widziałam ani jego, ani jej. Po chwili uciekłam.

A więc byłam tchórzem. Byłam winna morderstwa i podpalenia. I przez cały ten czas, kiedy Aleksander mnie bronił, nie

wątpiąc ani na moment w moją niewinność, Michael Samuelson omal nie poskładał w jedną prawdziwą całość biegu wydarzeń. Aleksander zaryzykował życie, zaryzykował życie Charlotty, aby mnie uwolnić z więzienia, gdy tymczasem ja byłam winna tych czynów, za które tam trafiłam. A wiedziałam, że tego mi nigdy nie wybaczy.

Rozdział 32

O jedenastej następnego ranka moja torba była spakowana i stała w holu. Powiedziałam Jeffreyowi, że może ją zabrać do samochodu, a sama wróciłam na piętro.

Zatelefonowałam z sypialni. Serce biło mi już równomiernie, ale palce nadal drżały, gdy wykręcałam numer. Po siódmym sygnale chciałam odłożyć słuchawkę, lecz w tym momencie ktoś ją podniósł.

Teraz, kiedy już ta chwila nadeszła; głos mi uwiązał w gardle.

Słyszałam jego oddech.

- Elżbieto, to ty? - spytał po chwili.

Cieężko przełknęłam ślinę, pragnąc, żeby było już po wszystkim.

- Aleksandrze, musimy porozmawiać - rzekłam w końcu.

- Zaraz do ciebie przyjadę!

- Nie! - zaczerpnęłam powietrza. - Zamierzam ci to powiedzieć teraz. Nie chcę cię widzieć, a kiedy usłyszysz, co ci mam do powiedzenia, zrozumiesz dlaczego będzie lepiej, jeśli się nie spotkamy.

Słuchał w milczeniu. Czasami przerywałam, myśląc że może się odezwie,

ale on nic nie mówił.

Ciągnęłam więc, opowiadając mu wszystko dokładnie tak, jak było, aż doszłam do końca.

Czekałam, ale on nadal milczał.

- Aleksandrze, jakże mi przykro - szepnęłam. - Wiem, że jest już za późno i to niczego nie zmieni, chcę jednak, żebyś wiedział, jak bardzo cię kocham. Nie ma dla mnie żadnego wytłumaczenia. Nic, co powiem, nie zmieni tego, co się stało, ale...

- Dlaczego mi nie zaufałaś?

Cisza przedłużała się, aż w końcu stała się nie do zniesienia, dlatego odłożyłam słuchawkę i wyszłam z pokoju.

Spędziłam w Sark trzy dni. Było chłodno, zimowo, zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy przyjechaliśmy tu z Aleksandrem.

Odwiedziłam wszystkie miejsca, w których byliśmy razem: jaskinię piratów, zatokę Dbccart, sadzawkę Wenus. Zamieszkałam nawet w tym samym hotelu. Próbowałam z całych sił przypomnieć sobie, jak to było, kiedy się tak bardzo kochaliśmy, zanim mu skłamałam, zanim zmarła Christine, zanim zdradziłam Edwarda... ale moje wspomnienia ginęły w jego pytaniu, dlaczego mu nie zaufałam.

Było późne popołudnie, chmury gęstniały i padała okropna mżawka, a ja szłam ścieżką w kierunku Domu Jaspilliexe.

Bałam się tutaj przyjść. Bałam się, ponieważ ze wszystkich miejsc na wyspie właśnie tutaj, z tymi łąkami i skałami wiązały się nasze najdroższe wspomnienia. Dom nadal stał, pełen godności w swym porzuceniu. Przypomniałam sobie, jak to marzyliśmy, że pewnego dnia będzie nasz. Zawróciłam i ruszyłam przez malusieńką łączkę, przez wyrwę w żywopłocie na półkę skalną. Poczułam, że fala wspomnień aż zapiera mi dech. Tutaj właśnie, pod koniec tamtego tygodnia, kiedy myślałam, że porazi mnie ból rozstania z Aleksandrem, odszukał mnie. To tutaj na wyspie poczęty został Jonathan i tutaj także po raz pierwszy powiedziałam mu, że ma córkę. Teraz, patrząc wstecz, nie mogłam się nie zastanowić, co by się stało, gdybyśmy przyjechali tutaj za pierwszym razem, gdy mnie o to prosił

-kiedy on miał siedemnaście lat, a ja dwadzieścia dwa. Wszystko mogłoby się potoczyć zupełnie inaczej. Czy nasza miłość, by się wypaliła gdybyśmy jej dali trochę czasu? Czy przez te wszystkie lata łączyło nas to, że nie mogliśmy być razem, oraz pragnienie czegoś niemożliwego? Nie, to było coś więcej, coś, czego nie potrafiłam nazwać.

Wiatr huczał obok skał, szczypiąc mnie w twarz i przenikając przez ubranie swymi zimnymi podmuchami, gdy nagle zdałam sobie sprawę z tego, że słusznie zrobiłam przyjeżdżając do Sark. W

końcu przypomniało mi się, jak byliśmy tutaj po raz pierwszy, jak trzymał mnie w ramionach i obiecywał, że kiedyś wróciły w to miejsce. Nigdy już nie dotrzyma tej obietnicy, ale ja na zawsze zapamiętam, jak bardzo się wtedy kochaliśmy.

Spojrzałam w niebo, pozwalając aby deszcz zmył łzy z mej twarzy. Teraz już wszystko skończone, ale ja go zawsze będę kochać, bo tego nigdy już nic nie zmieni.

Owijając się szczelnie płaszczem, rzuciłam ostatnie spojrzenie na morze, nad którym teraz nie świeciło słońce. Wzrokiem śledziłam przyływ -.. fale systematycznie zbliżające się do linii

brzegu. Długo stałam, wpatrując się w zatokę, aż otulił ją mrok, jakby próbując zebrać razem porozrywane kawałki mego serca. Zatopiłam twarz w dłoniach, pogrążając się w bezdennym smutku.

A potem, jeszcze zanim wymówił moje imię, wiedziałam, że to on. Podniosłam głowę z oczyma pełnymi łez, odwróciłam się i ruszyłam prosto w jego ramiona.